

„Elegancki i inteligentny suspens, umiejętnie sfabularyzowany”.

JOHN GRISHAM

CHRIS
PAVONE

KOBIETA,
KTÓREJ NIKT
NIE ZNAŁ

Nigdy nie pozbędziemy się tajemnic

CHRIS PAVONE

**KOBIETA, KTÓREJ
NIKT NIE ZNAŁ**

Dla moich małych ekspatów, Sama i Alexa

Prawda jest piękna, bez wątpienia; podobnie zresztą jak kłamstwa.

Ralph Waldo Emerson

Jedynym urokiem małżeństwa jest to, że czyni życie w kłamstwie absolutnie koniecznym dla obu stron.

Oscar Wilde

Preludium

Dziś, 10:52, Paryż

- Kate?

Kate przypatruje się przez szybę sklepowej witrynie wypełnionej poduchami, obrusami i zasłonami w szarobrazowych, czekoladowych i ciemnozielonych kolorach. Ta paleta zastąpiła zeszłotygodniowe pastele. Zmieniła się pora roku, ot tak.

Odwraca się od okna ku kobiecie stojącej obok niej na wąskim skrawku chodnika rue Jacob. Kim ona jest?

- O mój Boże, Kate! Czy to ty? - Głos brzmi znajomo. Ale głos to za mało.

Zapomniała już, czego bez przekonania wypatrywała w tej witrynie. Jakiegoś materiału. Zasłon do łazienki dla gości? Czegoś frywolnego.

Zapina pasek przeciwdeszczowego prochowca w geście samoobrony. Rano, po drodze do szkoły, padało, mgła unosiła się znad Sekwany, a twarde obcasy skórzanych botków stuknęły po mokrym bruku. Ciągle chodzi w lekkim trenczu, z kieszeni wystaje złożona „Herald Tribune” z krzyżówkami; głowiła się nad nimi w kawiarni obok szkoły, gdzie jada najczęściej śniadania razem z innymi zagranicznymi mamami.

Ta kobieta nie jest jedną z nich.

Ta kobieta nosi okulary przeciwsłoneczne zakrywające jej połowę czoła, część policzków i całe oczy. Nie ma sposobu, by rozpoznać osobę ukrywającą się za czarnym plastikiem ze złocistym logo. Dosyć krótkie kasztanowe włosy są mocno ściągnięte z tyłu głowy i przewiązane jedwabną apaszką. Wysoka i wysportowana, choć pełna w biodrach, ma ładny biust, jest ponętna. Jej skóra lśni zdrową, prawdopodobnie naturalną opalenizną, jakby spędzała dużo czasu na dworze, grając w tenisa albo uprawiając ogródek. Nie jest ciemnobrazową frytką jak wiele Francuzek, które lubią sztuczną opaleniznę produkowaną przez ultrafioletowe promieniowanie lamp instalowanych w przypominających trumny łóżach.

Ubiór tej kobiety - choć jej spodnie nie są w zasadzie bryczesami, a wierzchnie okrycie fraczkiem - przypomina strój jeździecki. Kate rozpoznaje zakiet w kratę, widziała go na wystawie nieprzyzwoicie drogiego butiku nieopodal - całkiem nowego butiku, który pojawił się w miejsce ulubionej miejscowej księgarni, co, jak twierdzili miejscowi, oznacza

koniec Faubourg St-Germain, jakie znali i kochali. Ale miłość do książek miała raczej abstrakcyjny wymiar i księgarnia świeciła przeważnie pustkami, natomiast nowy butik był niemal zawsze oblegany, i to nie tylko przez teksańskie żony, japońskich biznesmenów i noworuskich zbirów płacących gotówką w postaci świeżo wypranych, nieskazitelnych zwitków banknotów za sterty koszul, zwoje szali i naręcza torebek, ale także przez zasobnych mieszkańców dzielnicy. Tutaj nie ma biedy.

Ta kobieta? Uśmiecha się. Ma idealnie równe, oślepiająco białe zęby. To znajomy uśmiech, podobnie zresztą jak głos. Ale Kate musi zobaczyć oczy, by potwierdzić swe najgorsze przypuszczenia.

Są na rynku fabrycznie nowe południowokoreańskie auta, które kosztują mniej od tego zakietu w kratę. Kate jest ubrana całkiem nieźle, w niezbyt wyzywającym stylu preferowanym przez kobiety jej pokroju. Ta kobieta stosuje zupełnie inne reguły.

Ta kobieta jest Amerykanką, ale mówi bez wyraźnego regionalnego akcentu. Mogła się urodzić gdziekolwiek. Może być kimkolwiek.

- To ja - mówi, zdejmując okulary. Wreszcie.

Kate instynktownie cofa się o krok, potykając się o pokryty sadzą szary kamień u podstawy kamienicy. Metalowe okucie torebki uderza niepokojąco w sklepową szybę.

Kate bezgłośnie otwiera usta.

Myśli najpierw o dzieciach i natychmiast ogarnia ją całkiem zrozumiałym atak paniki. Istota bycia matką: natychmiastowy strach w trosce o dzieci, zawsze. Dexter nigdy poważnie nie wziął pod uwagę tej części planu - dojmującej trwogi, niedającego się opanować przerażenia, kiedy w grę wchodzi dzieci.

Ta kobieta ukrywała twarz za okularami, a jej włosy mają teraz zupełnie inny kolor i są całkiem inaczej obcięte. Skóra jest o odcień ciemniejsza niż kiedyś, przybyło jej jakieś pięć kilogramów. Wygląda inaczej. Mimo to Kate jest zdumiona, że nie poznała jej natychmiast, po pierwszej wypowiedzianej przez nią sylabie. Teraz już wie dlaczego. Nie chciała jej rozpoznać.

- O mój Boże... - wyrywa się jej z gardła.

Biegnie myślami ulicą, skręca za róg, wpada przez ciężką, pomalowaną na czerwono bramę pod zawsze wietrzną wiatę, a stamtąd na okolony kolumnadą dziedziniec i do wyłożonej marmurową posadzką sieni, w górę mosiężną klatką windy do kanarkowego holu z osiemnastowieczną ryciną w złotych ramach.

Ta kobieta rozkłada szeroko ręce. Zaprasza ją do serdecznego amerykańskiego uścisku.

Pędem na drugi koniec korytarza do wyłożonego boazerią biura z widokiem ponad dachami na wieżę Eiffla. Ozdobny mosiężny klucz otwiera dolną szufladę starego biurka.

Dlaczego nie paść jej w ramiona? Są przecież starymi przyjaciółkami. W pewnym sensie. Jeśli ktoś je obserwuje, nieuściskanie przyjaciółki może wydać się podejrzane. A może podejrzany byłby uścisk?

Nie potrzebowała wiele, by dojść do wniosku, że ktoś je obserwuje. Zawsze tak było przez cały czas. Dopiero kilka miesięcy temu Kate nabrała przekonania, że prowadzi normalne, całkowicie wolne od nadzoru życie.

W środku szuflady stalowa kasetka o podwójnych ścianach.

- Co za niespodzianka! - mówi Kate. To prawda, ale i nieprawda.

W środku kasetki cztery paszporty: nowa tożsamość dla całej rodziny. I gruby zwitek gotówki ściągnięty gumową opaską. Euro o dużych nominałach, brytyjskie funty i amerykańskie dolary - nowe nieskazitelne banknoty, jej własna wersja wypranej forsy.

- Jak miło cię widzieć.

I owinięta w irchową ściereczkę beretta 92FS, którą kupiła od tego szkockiego alfonsa w Amsterdamie.

CZĘŚĆ I

Dwa lata wcześniej, Waszyngton

- Luksemburg?

- Tak.

- Luksemburg?

- Owszem.

Katherine nie wiedziała, jak na to zareagować. Zdecydowała się więc na oczekiwaną odpowiedź - obronę przez ignorancję.

- Gdzie leży Luksemburg?

Zadając to głupie pytanie, żałowała już sposobu, w jaki postanowiła się bronić.

- W zachodniej Europie.

- Chodziło mi o to, czy leży w Niemczech... - Odwróciła wzrok od Dextera, była zawstydzona pułapką, którą sama na siebie zastawiła. - Czy może w Szwajcarii?

Dexter obrzucił ją beznamiętnym spojrzeniem, starając się - z całej siły - nie powiedzieć czegoś niewybaczalnego.

- To oddzielne państwo - oznajmił. - Wielkie księstwo - dodał bez sensu.

- Wielkie księstwo.

Kiwnął głową.

- Żartujesz, prawda?

- To jedyne wielkie księstwo na świecie.

Nie skomentowała tego.

- Graniczy z Francją, Belgią i Niemcami - ciągnął nieproszoney Dexter. - Kraje te otaczają Luksemburg ze wszystkich stron.

- Nie... - Kręciła głową. - Nie ma czegoś takiego. Mówisz o... nie wiem... Alzacji. Albo Lotaryngii. Mówisz o Alzacji-Lotaryngii.

- Alzacja-Lotaryngia jest we Francji. Luksemburg to zupełnie inna... hm... nacja.

- A dlaczego jest wielkim księstwem?

- Bo panuje w nim wielki książę.

Przeniosła wzrok na deskę do krojenia i posiekaną w połowie cebulę, i na blat, który w każdej chwili mógł spaść ze spaczonych szafek, ściągnięty z nich przez jakąś pierwotną siłę - wodę albo grawitację, albo obie naraz - zamieniając tę akceptowalnie zapuszczoną kuchnię w

nieakceptowalną ruinę, niehigieniczną i zwyczajnie niebezpieczną, tym samym wymuszając na nich gruntowny remont pomieszczenia. Ten, nawet po odjęciu kosztów niepotrzebnych luksusów schlebających gustom estetycznym, pochłonąłby jakieś czterdzieści tysięcy dolarów, których nie mieli.

Jako prowizorkę Dexter wykombinował klamry spajające rogi blatu i zapobiegające zsunięciu się laminatu wraz z deską z szafek na podłogę. Wykombinował to przed dwoma miesiącami. Od tamtej pory źle przytwierdzone zaciski sprawiły, że Katherine stłukła kieliszek do wina, a tydzień później miała poważny wypadek: krojąc mango, uderzyła prawą dłoń o klamrę, nóż wysunął się jej z ręki, a ostrze przecięło wewnątrz lewej dłoni i z rany wprost na mango i deskę do krojenia popłynęła krew. Stała nad zlewem, przyciskając kuchenną ścierkę do rany, a krew skapywała na rozkładającą się podłogową matę, wsiąkając w bawełniane włókna w taki sam sposób, jak wtedy w Waldorfie, kiedy powinna była odwrócić głowę, lecz tego nie zrobiła.

- A kim jest wielki książę? - Otarła cebulową łzę z oka.

- Gościem, który panuje w wielkim księstwie.

- Wymyślasz to wszystko.

- Nie! - Na twarzy Dextera gościł nikły uśmiezek, jakby rzeczywiście ją nabierał. Ale nie - ten uśmiezek był zbyt nikły jak na nabieranie. Był to uśmiezek Dextera udającego, że ją nabiera, choć w gruncie rzeczy jest śmiertelnie poważny. Był to udawany fałszywy uśmiezek.

- Okay - powiedziała. - Odgryzę się: po co mamy się przeprowadzać do Luksemburga?

- Żeby zarobić mnóstwo pieniędzy i podróżować po Europie przez cały czas. - Teraz na jego twarzy pojawił się uśmiech szeroki i swobodny. - Tak jak zawsze chcieliśmy. - Szczera twarz mężczyzny, który nie ma żadnych tajemnic i nie przyjmuje do wiadomości, że są ludzie mogący je mieć. Właśnie to ceniła w mężu nade wszystko.

- Ty będziesz zarabiał mnóstwo pieniędzy? W Luksemburgu?

- Tak.

- Jak?

- Brakuje im przystojnych facetów. Więc będą mi płacić kupę kasy, żebym był niesamowicie atrakcyjny i oszałamiająco seksowny.

To był ich małżeński żart. Żart, który powtarzali od dekady. Dexter nie był ani szczególnie przystojny, ani specjalnie seksowny. Był klasycznym maniakiem komputerowym, tykawatym i niezdatnym. W gruncie rzeczy nie wyglądał źle, miał gładką buzię, a całość

tworzył nierzucający się w oczy amalgamat jasnych włosów, spiczastej brody, wystających policzków i brązowych oczu. Z pomocą fryzjera, wizażysty i prawdopodobnie psychoanalityka mógłby uchodzić za przystojniaka. Emanował jednak otwartością i inteligencją, a nie fizycznością i seksualnością.

I właśnie to od samego początku podobało się Katherine w tym mężczyźnie, zupełnie pozbawionym ironii, przebiegłości i stylu - całkowicie niewystudiowanym. Dexter był prostolinijski, przewidywalny, godny zaufania i miły. Mężczyźni, z którymi pracowała, byli manipulatorami, pyszałkami, łobuzami i egocentrykami. Dexter stał się jej antidotum. Był zrównoważonym, niekrępującym, niezawodnie uczciwym i zwyczajnie wyglądającym mężczyzną.

Już dawno pogodził się ze swoją pospolitą urodą i brakiem stylu. Podkreślał swoją fajtłapowatość w klasyczny sposób: okulary w taniej plastikowej oprawie, niemodne i pozornie niedobre ciuchy, zmierzwiłone włosy. I żartował ze swojego wyglądu.

- Będę stał w miejscach publicznych - kontynuował. - A czasem, kiedy się zmęcę, usiądę. I wiesz... będę zwyczajnie przystojny - zachichotał z własnego dowcipu. - Luksemburg jest światową stolicą prywatnej bankowości.

- I...?

- I właśnie otrzymałem propozycję lukratywnego kontraktu od jednego z tych prywatnych banków.

- Jak bardzo lukratywnego?

- Na trzysta tysięcy euro rocznie. Blisko pół miliona dolarów według dzisiejszego kursu. Plus utrzymanie. Plus premie. W sumie jakieś trzy czwarte miliona rocznie.

To z całą pewnością było mnóstwo pieniędzy. Więcej, niż - jak przypuszczała - kiedykolwiek zarobi jej mąż. Bo choć Dexter zajmował się siecią od mniej więcej jej początków, zawsze brakowało mu motywacji i wizji, żeby się wzbogacić. W ogóle się nie starał, podczas gdy jego przyjaciele i koledzy zbierali kapitał, podejmowali ryzyko, bankrutowali albo wchodzili na giełdę, by latać po świecie prywatnymi odrzutowcami. Wszyscy, tylko nie Dexter.

- A teraz to, co najlepsze - mówił dalej - największy plus... - Wyciągnął rękę, by zadać śmiertelny cios. - Wygląda na to, że wcale nie będę musiał za dużo pracować... - Kiedyś oboje byli ambitni. Ale po dziesięciu spędzonych razem latach, w tym pięciu z dziećmi, tylko Dexter zachował resztki ambicji. Żeby pracować coraz mniej.

Tak się jej przynajmniej wydawało. Teraz najwyraźniej chciał być do tego bogaty. W Europie.

- Skąd wiesz?

- Znam zakres przedsięwzięcia, jego złożoność, rodzaj transakcji. Ich wymagania co do bezpieczeństwa nie są tak surowe jak te, z którymi teraz mam do czynienia. Poza tym, to Europejczycy. A wszyscy wiedzą, że Europejczycy się nie przepracowują.

Dexter nigdy nie był bogaty, ale zarabiał przyzwoicie. A Katherine też awansowała powoli w siatce płac. Razem zarobili w zeszłym roku ćwierć miliona dolarów. Ale mając na karku hipotekę i niekończące się remonty małego domku na tak zwanych nowych obrzeżach odmłodzonej podobno dzielnicy Columbia Heights, a do tego prywatną szkołę - posyłanie dzieci do publicznej szkoły w stolicy kraju było ryzykowne - oraz dwa samochody, w zasadzie nie mieli pieniędzy. Mieli za to złote kajdanki. Nie, nawet nie złote, mosiężne w najlepszym wypadku, a nawet aluminiowe. A ich kuchnia zwyczajnie się rozpadła.

- Więc będziemy bogaci - ucieszyła się Katherine - i będziemy mogli wszędzie pojechać, a ty będziesz zawsze ze mną i z chłopcami. Czy raczej nigdy cię nie będzie? Jak teraz...

Przez ostatnie dwa miesiące Dexter nieustannie podróżował. Służbowo. Tracił przez to kontakt z życiem własnej rodziny. Jego podróże służbowe stały się źródłem konfliktów. Właśnie wrócił po kilku dniach spędzonych w Hiszpanii. O tym, że leci do Hiszpanii, dowiedział się w ostatniej chwili, przez co Katherine musiała zrezygnować ze zobowiązań towarzyskich, których miała tak niewiele, że nie należało ich przekładać pod byle pretekstem. Nie prowadziła życia towarzyskiego i miała niewielu przyjaciół, dlatego byli dla niej tak ważni.

Dawniej to jej podróże służbowe stanowiły problem. Ale zaraz po przyjeździe na świat Jake'a niemal zupełnie zrezygnowała z wyjazdów i drastycznie ograniczyła liczbę godzin spędzanych w pracy. Mimo to, mimo nowego reżimu, rzadko wracała do domu przed siódmą. Tylko w weekendy mogła poświęcić czas dzieciom, a i tak było go niewiele, jeśli wziąć pod uwagę zakupy, sprzątanie czy aerobik.

- Nie będzie dużo wyjazdów - odrzekł wymijająco, niezobowiązująco. Ten unik nie umknął jej uwagi.

- A te, które będą, to dokąd?

- Do Londynu, Zurychu, może na Bałkany. Nie częściej niż raz w miesiącu, góra dwa.

- Na Bałkany?

- Pewnie do Sarajewa. I Belgradu.

Katherine wiedziała doskonale, że Serbia była ostatnim miejscem na ziemi, jakie Dexter chciałby odwiedzić.

- Bank prowadzi tam interesy. - Wzruszył lekko ramionami. - Tak czy inaczej, podróże służbowe nie są decydującym elementem mojego zatrudnienia. Jest nim natomiast pobyt w Europie.

- Podobało ci się w Luksemburgu? - zapytała.

- Byłem tam może ze dwa razy. Nie znam w zasadzie tego kraju.

- Ale coś o nim wiesz? Bo ja, zdaje się, nie wiedziałam nawet, na jakim leży kontynencie. - Kiedy już raz zaczęła kłamać, musiała ciągnąć to kłamstwo do końca. Na tym polega sekret dobrego kłamstwa - nie wolno go maskować. Okłamywanie męża zawsze przychodziło jej niepokojąco łatwo.

- Wiem, że to bogaty kraj - odpowiedział Dexter. Najwyższy na świecie PKB *per capita* przez wiele lat.

- To nie może być prawda - zaprotestowała, choć wiedziała, że jest. - Musieliby tam wydobywać ropę. Jak w Emiratach, Kuwejcie albo Katarze. A mówimy o kraju, który pięć minut temu leżał według mnie w Niemczech.

Wzruszył ramionami.

- Okay. Co jeszcze?

- Jest... hm... jest mały.

- Jak bardzo?

- Pół miliona ludzi w całym państwie. Wielkości Rhode Island. Tyle że Rhode Island jest, moim zdaniem, większe. Trochę.

- A miasto? Jest tam jakieś miasto, co nie?

- Stolica. Też się nazywa Luksemburg. Mieszka w niej osiemdziesiąt tysięcy ludzi.

- Osiemdziesiąt tysięcy? To nie jest miasto! To jest... nie wiem... uniwersytecki kampus?

- Ale bardzo piękny. W samym środku Europy. Gdzie ktoś będzie mi płacił mnóstwo pieniędzy. Więc to nie jest Amherst. Co więcej, nie będziesz musiała pracować w tym kampusie.

Katherine zamarła nad cebulą przy ostrym zakręcie, którego spodziewała się przed dziesięcioma minutami, kiedy tylko zadał jej pytanie „A co byś powiedziała na przeprowadzkę do Luksemburga?” Zakręt ten oznaczał, że będzie musiała rzucić pracę, na zawsze. W pierwszej chwili - gdy zdała sobie z tego sprawę - poczuła ulgę; taką ulgę, jaką sprawia niespodziewane rozwiązanie nierozwiązywalnego problemu. Będzie musiała rzucić pracę! To nie jest zależne od niej. Nie ma wyboru.

Nigdy nie przyznała się mężowi - ba, nigdy nie przyznała się sama przed sobą - że

chce zrezygnować z pracy. A teraz już nigdy nie będzie musiała do niczego się przyznawać. Nikomu.

- Więc co będę robiła? - zapytała. - W Luksemburgu? Nawiasem mówiąc, nadal wydaje mi się dosyć nierzeczywisty.

Uśmiechnął się.

- Musisz przyznać - powiedziała - że wygląda na zmyślony.

- Będiesz w nim leniuchowała.

- Bądź poważny.

- Jestem poważny. Nauczysz się grać w tenisa. Będiesz planowała podróże. Zajmiesz się nowym domem. Nauczysz się nowych języków. Możesz pisać blog.

- A kiedy mi się to znudzi?

- A kiedy ci się to znudzi? Znajdziesz sobie pracę.

- Na przykład jaką?

- Waszyngton nie jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie pisze się memoranda.

Katherine opuściła wzrok na cebulę i znów zaczęła ją siekać, usiłując przełknąć tę żabę, jaka nagle wskoczyła do rozmowy.

- *Touché.*

- W istocie - ciągnął Dexter - Luksemburg jest jedną z trzech stolic Unii Europejskiej razem z Brukselą i Strasburgiem. - Był teraz chodzącą reklamą cholernego wielkiego księstwa. - Wyobrażam sobie, że działa tam mnóstwo organizacji pozarządowych, którym na finansowanej przez bogatych darczyńców liście płac przyda się przemądrzała Amerykanka. - Finansowanej razem z łowcami głów. Tymi nieodmiennie radosnymi pracownikami działu personalnego w niewyprasowanych koszulach khaki, z kieszeniami bojówek pobrzękującymi złotem.

- Więc kiedy? - Katherine odsunęła od siebie nieprzyjemne myśli: perspektywy, przyszłość. Ukrywanie się.

- No cóż... - westchnął. Zbyt ciężko, jak zły aktor przeceniający swoje możliwości. - Tu jest pies pogrzebany.

Przerwał. Na tym polegał jeden z niewielu nieprzyjemnych nawyków Dextera - zmuszał ją do zadawania pytań, zamiast udzielać odpowiedzi, na które czekała.

- Tak?

- Najszybciej jak się da - oznajmił jakby pod przymusem, jakby bronił się przed krytyką i przed oberwaniem zgniłym pomidorem.

- To znaczy?

- Powinniśmy zamieszkać w Luksemburgu pod koniec miesiąca. A ja będę musiał polecieć tam raz czy dwa nieco wcześniej. Po raz pierwszy już w poniedziałek.

Katherine oniemiała. Ta wiadomość była nie tylko jak grom z jasnego nieba, ale wymagała błyskawicznych działań. Zakręciło się jej w głowie od analizowania, jak zdoła zwolnić się z pracy w tak krótkim czasie. To nie będzie łatwe. Wzbudzi podejrzenia.

- Wiem - powiedział Dexter - że to krótki termin. Ale pieniądze są nie do pogardzenia. A tego rodzaju pieniądze wymagają poświęceń. Zresztą, czy to jest poświęcenie? Jeśli tak, to całkiem przyjemne... szybki transfer do Europy! A teraz spójrz... - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej złożoną kartkę papieru. Rozprostował ją na blacie. Arkusz kalkulacyjny z nagłówkiem: LUKSEMBURG. BUDŻET. - Pora jest bardzo dobra - ciągnął, broniąc się dalej i nie wyjaśniając, skąd ten pośpiech. Katherine dowie się tego znacznie, znacznie później. - Bo są przecież wakacje, a kiedy zadomowimy się w Luksemburgu, dzieci zdążą jeszcze na nowy rok szkolny.

- W jakiej szkole?

- Prywatnej z wykładowym angielskim. - Dexter miał gotową odpowiedź na niemal każde pytanie. Sporządził arkusz kalkulacyjny, żeby mieć się czym pochwalić. Straszny z niego romantyk. - Opłacanej przez klienta.

- Czy to dobra szkoła?

- Zakładam, że w światowej stolicy prywatnej bankowości, leżącej w kraju o największym PKB na świecie, znajdzie się jakaś przyzwoita szkoła. Albo dwie.

- Nie musisz być sarkastyczny. Zadaję tylko mało istotne pytania o wykształcenie naszych dzieci tam, gdzie zamieszkamy. Ale jak wiesz, drobiazgi są ważne.

- Przepraszam.

Katherine pozwoliła mu cierpieć przez kilka sekund, po czym wróciła do rozmowy:

- Jak długo będziemy mieszkać w Luksemburgu?

- Podpisuję roczny kontrakt. Z opcją przedłużenia go na kolejny rok. W zamian za podwyżkę.

Rzuciła okiem na arkusz kalkulacyjny i zatrzymała się na dolnych sumach. Roczne oszczędności rzędu dwustu tysięcy... euro? Dolarów? Nieistotne.

- A potem co? - zapytała, sycąc wzrok sumami na dole. Już dawno temu pogodziła się z myślą, że nigdy nie będzie miała pieniędzy. Okazało się, że może będzie inaczej.

- Kto wie?

- To nie jest dobra odpowiedź.

Przeszedł na drugą stronę chwiejnego kuchennego blatu i objął ją od tyłu, zmieniając

tym samym przebieg rozmowy.

- To jest to, Kat - szepnął. Czują na skórze jego gorący oddech. - Nieco inaczej, niż sobie wyobrażaliśmy, ale to jest to.

W gruncie rzeczy wyobrażali sobie właśnie to: nowe życie z dala od kraju. Oboje mieli wrażenie, że brakuje im ważnych doświadczeń, obojgu przeszkodziły w tym okoliczności związane z niezbyt beztruską młodością. Teraz, przed czterdziestką, ciągle chcieli spełnić tamte marzenia, ciągle wydawało się im, że to możliwe. W każdym razie nigdy nie przyznali się przed sobą, że jest inaczej.

- Damy radę - powiedział cicho wtulony w jej szyję.

Odłożyła nóż. Pożegnanie z bronią. Nie po raz pierwszy.

Rozmawiali o tym poważnie do późna, wypiwszy wino. Na tyle poważnie, na ile było to możliwe o tak późnej porze i po tylu kieliszkach. Doszli do wniosku, że choć nie mają pojęcia o trudnościach związanych z przenosinami do innego kraju, wyjazd z Waszyngtonu będzie łatwy.

- Ale Luksemburg...? - powtarzała.

Obce krainy, o których marzyli, nosiły takie nazwy, jak Prowansja albo Umbria, Londyn albo Paryż, może nawet Praga albo Budapeszt, czy wreszcie Istambuł. Romantyczne miejsca, do których - podobnie jak wszyscy inni - pragnęli pojechać. Luksemburga nie było na tej liście, na tej ani na żadnej innej. Nikt nie marzy o tym, żeby zamieszkać w Luksemburgu.

- Czy wiesz może... - zapytała - ...w jakim języku mówi się w Luksemburgu?

- W luksemburskim. To niemiecki dialekt z francuskimi naleciałościami.

- To nie może być prawda.

Pocałował ją w szyję.

- To jest prawda. Ale Luksemburczycy mówią też po niemiecku i po francusku. No i oczywiście po angielsku. To bardzo kosmopolityczny kraj. Nikt nie będzie się musiał uczyć luksemburskiego.

- Ale ja mówię tylko po hiszpańsku. Miałam przez rok francuski, ale mówię tylko po hiszpańsku.

- Nie martw się. Język nie będzie problemem.

Znów ją pocałował, przesuwał dłoń po jej brzuchu i dalej poniżej talii pod spódnicą, którą zaczął podciągać. Dzieci nie nocowały w domu.

- Zaufaj mi.

Katherine widywała ich wielokrotnie na międzynarodowych lotniskach z dziesiątkami tandetnych walizek. Na ich twarzach malował się strach przemieszany z oszołomieniem i skrajnym wyczerpaniem. Dzieci ślaniały się na nogach, ojcowie ściskali w garści naręcza czerwonych albo zielonych paszportów, odróżniających ich od Amerykanów mających granatowe dokumenty podróży.

Byli to imigrujący imigranci.

Widziała ich wylatujących z Mexico City po podróży autobusem z Morelia lub Puebla albo po przylocie samolotem z Quito czy Guatemala City. Widziała ich w Paryżu, napływających z Dakaru, Kairu i Kinszasy. Widziała ich w Managui i Port-au-Prince, Caracas i Bogocie. Wszędzie, gdzie była, widywała ich na lotniskach, skąd odlatywali.

I widziała, jak przylatują utrudzeni - w Nowym Jorku i Los Angeles, i Atlancie, i Waszyngtonie - kończąc mordercze rejsy, choć ciągle mieli daleko do celu tych heroiczych wojaży.

Teraz była jedną z nich.

Teraz to ona stała jak tobolek na lotnisku we Frankfurcie nad Menem. Za jej plecami piętrzyła się sterta ośmiu wielkich tandetnych walizek. Widziała już takie gigantyczne walizki i myślała wtedy: Kto przy zdrowych zmysłach wybiera się w podróż z takim bagażem? Teraz już знаła odpowiedź: ktoś, kto musi spakować absolutnie wszystko naraz.

Wokół jej ośmiu ohydnych walizek wielkości człowieka walały się cztery ręczne torby, torebka, dwie torby na laptopy, dwa dziecięce plecaczki, a niżej, kurtki, misie i torebka zawierająca batoniki z muesli z owocami, świeżymi i suszonymi, oraz brązowymi M&M'-sami. Popularniejsze kolory zniknęły gdzieś przed Nową Szkocją.

Teraz to ona ściskała w garści granatowe paszporty całej rodziny, różniące się od niemieckich koloru burgunda. Ona też się wyróżniała, choć nie z powodu koloru dokumentów, ale dlatego, że miejscowi nie siedzą na stosach koszmarnych walizek, ściskając w garści paszporty.

Teraz to ona nie rozumiała ani słowa z tego, co się wokół mówiło. Po siedmiogodzinnym locie, podczas którego mogła się zdrzemnąć tylko przez dwie godziny, miała podkrążone oczy, stała zmęczona, zgarbiona, głodna aż do mdłości, zmartwiona i przestraszona.

Teraz to ona była imigrującą imigrantką.

Rozpoczęła od tego, że pogodziła się z myślą, że przyjmie nazwisko Dextera. Przyznała, że nie potrzebuje dłużej panińskiego nazwiska - nazwiska zawodowego. Pomaszerowała do urzędu miejskiego Dystryktu Kolumbii i wypełniła formularze, a potem czek. Zamówiła nowe prawo jazdy i paszport, płacąc więcej, lecz skracając czas oczekiwania na wydanie dokumentów.

Wmawiała sobie, że w katolickim kraju łatwiej będzie pokonać biurokratyczne bariery, jeśli mąż i żona będą nosić to samo nazwisko. Wyrzekała się reszty poprzedniej tożsamości - kłębowiska pozorów i skrywanych, mniej lub bardziej złożonych prawd - a nazwisko to zaledwie wstęp, tłumaczyła sobie, do stworzenia nowej siebie.

Stała się więc kimś, kim nigdy przedtem nie była: Katherine Moore. Miała zamiar przedstawiać się jako Kate. Miła, przyjazna Kate. Zamiast surowej poważnej Katherine. Wszystko razem brzmiało nieźle. Kate Moore to ktoś, kto wie, jak zabawić się w Europie.

Przez kilka dni zastanawiała się nad Katie Moore, ale doszła do wniosku, że Katie Moore brzmi jak imię i nazwisko bohaterki z bajki dla dzieci albo cheerleaderki.

Kate Moore nadzorowała przeprowadzkę. Zamroziła, zlikwidowała lub zmieniła adresy tuzinom kont. Kupiła ohydne walizki. Podzieliła ich ruchomości na trzy wymagane kategorie: bagaż podręczny, bagaż lotniczy i bagaż morski. Wypełniła formularze nadawcze, formularze ubezpieczeniowe i formularze dotyczące innych formalności.

I udało się jej uwolnić od pracy. To nie było łatwe i nie poszło jak z płotka. Ale kiedy zakończyły się zamykające współpracę rozmowy i pokonała biurokratyczne przeszkody, zaproszono ją na pożegnalne drinki u szefa na Capitol Hill. W całym swym dorosłym życiu ani razu nie zwalniała się z pracy, ale była na kilku pożegnaniach. Najpierw poczuła rozczarowanie, że nie żegnają się w jakimś irlandzkim pubie, gdzie wszyscy mogliby się spić bez umiaru przy bilardowym stole wielkości baru - zupełnie jak na filmach. Ale ludzie z jej biura nie mogli, rzecz jasna, spotkać się w pubie i po prostu spić. Sączyli więc piwo z butelek u Joego, na parterze jego ceglanego domu - jak stwierdziła z ulgą, ale i z rozczarowaniem nie był on ani specjalnie większy, ani lepiej utrzymany od tego, w którym mieszkali z Dexterem.

Wzniosła ostatni toast z kolegami z pracy, a dwa dni później opuściła kontynent.

To, mówiła sobie, szansa, bym wymyśliła siebie na nowo. Jako kogoś, kto już nie musi starać się na pół gwizdka wspinać po szczeblach źle wybranej kariery. Jako kogoś, kto już nie musi być niezaangażowanym, przypadkowym rodzicem. Nie musi mieszkać w niewygodnym i zrujnowanym domu w górnianej, pozbawionej miłych sąsiadów okolicy

położonej w złym, zmuszającym do rywalizacji mieście - zresztą, żeby było jasne, sama je wybrała, kiedy przyjechała do niego na studia, a potem już nigdy go nie opuściła. Została w Waszyngtonie, została w pracy, bo jedno prowadziło do drugiego. To nie ona kierowała swoim życiem. To życie kierowało nią.

Niemiecki kierowca podkreślił muzykę - syntezatorowy pop z lat osiemdziesiątych.

- Nowa Fala! - wykrzyknął. - Uwielbiam ją! - Łomotał palcami po kierownicy, walił stopą w sprzęgło, mrugał światłami. Amfetamina? O dziewiątej rano?

Kate odwróciła głowę od tego szaleńca i przyglądała się wiejskiej okolicy za oknem, łagodnym wzgórzom, gęstym lasom i zbitym ciasno tu i ówdzie we wsie kamiennym domom, tulącym się do siebie, jakby było im zimno na wielkich, pełnych krów łąkach.

Zresetuje się. Stworzy siebie na nowo. Stanie się w końcu kobietą, która nie musi ciągle okłamywać męża, kłamać na temat tego, co naprawdę robi i kim naprawdę jest.

- Cześć - powiedziała Kate, wchodząc do gabinetu Joego wczesnym rankiem. To „cześć” było jedynym wstępem. - Przykro mi to mówić, ale będę musiała zrezygnować.

Joe podniósł głowę znad jakiegoś raportu - szarawych kartek pokrytych niewyraźnym drukiem igłowej drukarki, stojącej pewnie na radzieckim metalowym biurku gdzieś w głębi Ameryki Środkowej.

- Mój mąż dostał pracę w Europie. W Luksemburgu.

Joe uniósł brew.

- Pomyślałam, że z nim pojedziemy... - To było wielkie uproszczenie, ale miało tę zaletę, że było prawdziwe. Kate postanowiła, że będzie całkiem szczerą podczas tej procedury. Z wyjątkiem jednej sprawy, jeśli się pojawi. A była pewna, że pojawi się prędzej czy później.

Joe zamknął teczkę - gruba granatowa okładka ozdobiona różnymi pieczęciami, podpisami i inicjałami. Z boku metalowa klamra. Zatrzasnął ją.

- Co to za praca?

- Dexter zajmuje się zabezpieczeniami elektronicznymi dla banków.

Joe kiwnął głową.

- W Luksemburgu jest dużo banków - dodała.

Joe uśmiechnął się lekko.

- Będzie pracował w jednym z nich.

Była zaskoczona żalem, jaki nagle poczuła. Z każdą mijającą sekundą nabierała

przekonania, że podjęła złą decyzję, ale nie miała wyjścia - jeśli chce zachować twarz, musi brnąć dalej.

- Nadeszła już moja pora, Joe. Robię to od... już sama nie pamiętam...

- Od dawna.

Żalowi towarzyszył wstyd, przedziwny wstyd z własnej dumy, która nie pozwalała jej przemyśleć raz jeszcze złej decyzji, jeśli ta została już podjęta.

- Owszem. Od dawna. I mówiąc szczerze, nudzę się. Już od jakiegoś czasu się nudzę.

A dla Dextera to szansa. Dla nas wszystkich. Na przygodę.

- Mało ci przygód?

- Mówię o mojej rodzinie. To szansa na rodzinną przygodę.

Kiwnął zdawkowo głową.

- Ale tu nie chodzi o mnie. W ogóle nie chodzi o mnie. Chodzi o Dextera. O jego pracę, o zarobienie wreszcie jakichś pieniędzy. I o to, że będziemy żyć inaczej.

Joe otworzył lekko usta. Zza gęstych siwych wąsów ukazały się małe szare zęby, jakby przyklepione do popielatej twarzy. Chcąc zachować styl, Joe nosił także szare garnitury.

- Dasz się od tego odwieść?

Przez kilka ostatnich dni, kiedy Dexter gromadził kolejne praktyczne szczegóły, odpowiadałaby pewnie, że tak. Albo przynajmniej, że „może” czy „przypuścmy”. Ale w samym środku poprzedniej nocy Kate o czwartej rano zmusiła się do podjęcia ostatecznej decyzji, usiadła na łóżku i splotła wyprostowane dłonie. Była znękana. Chciała dociec, czego naprawdę chce. Większą część życia - w zasadzie całe życie - poświęciła na rozważanie innego pytania: czego potrzebuje? Zastanawianie się nad tym, czego chce, to zupełnie inna para kaloszy.

Doszła do wniosku, że chce, w tej chwili, zacząć od rzucenia pracy. Chce na zawsze opuścić biuro. Na zawsze rzucić karierę. Rozpocząć całkiem nowy rozdział, całkiem nową książkę opisującą jej życie. W tej nowej książce będzie zupełnie inną postacią. Nie oznacza to przecież, że nie chce innej pracy, innego zawodowego spełnienia. Ale nie chciała już tej pracy i takiego spełnienia jak dotąd.

Zatem tego parnego, pochmurnego sierpniowego poranka odpowiedziała:

- Nie, Joe. Przykro mi.

Joe znów się uśmiechnął - jeszcze słabiej, jeszcze mocniej zaciskając usta. Nie był to w zasadzie uśmiech, ale grymas. Zmienił też podejście. Przestał być biurokratą średniego szczebla, jakim zazwyczaj jawił się postronnym, a stał się bezlitosnym wojownikiem, którym - jak wiedziała - był naprawdę.

- Dobrze. - Odsunął od siebie granatową teczkę, a w jej miejsce postawił laptop. - Wiesz, że czekają cię kolejne rozmowy.

Kiwnęła głową. Choć odejście z pracy nie było czymś, o czym rozmawiano na korytarzach, miała świadomość, że procedura nie będzie łatwa i krótka. Wiedziała też, że już nigdy nie usiądzie w swoim maleńkim biurze, że już nigdy nie wejdzie do tego budynku. Rzeczy osobiste odeślą jej kurierem.

- Zatem zacznijmy bezzwłocznie. - Joe otworzył komputer. Zacisnął szczęki, zmarszczył brwi i uniósł dłoń we władczo lekceważącym geście. - Zamknij drzwi. Proszę.

Wyruszyli z hotelu wąskimi brukowanymi uliczkami śródmieścia, idąc w górę i w dół naturalnych wzniesień średniowiecznego warownego miasta. Minęli pałac monarchy, kawiarnie ze stolikami na chodnikach, duży plac, gdzie był prawdziwy targ produktów rolnych i kwiatowy.

Przez cienkie gumowe podeszwy butów Kate czuła każdy kant i wyrzucenie twardego kamienia pod stopami. Kiedyś często wędrowała po nierównych brukach podejrzanych dzielnic w miastach, których nie znała, kiedyś miała odpowiednie do tego obuwie. Piętnaście lat temu chodziła nawet po tych samych ulicach co teraz. Rozpoznała arkady łączące dwa główne place. Przy ich południowym krańcu zatrzymała się niegdyś, zastanawiając się, czy nie wchodzi w niebezpieczną pułapkę. Śledziła pewnego algierskiego chłopaka; jak się okazało, nie zrobił nic złego. Kupił tylko naleśnik.

To było dawno temu, miała młodsze nogi. Teraz będą jej potrzebne zupełnie nowe buty, razem ze wszystkimi innymi nowościami.

Dzieci maszerowały posłusznie przed rodzicami, pochłonięte typową dla małych chłopców zwariowaną wymianą zdań. O włosach klocków lego. Dexter wziął Kate za rękę, tu, w samym środku miasta, pośród tętniącego życiem europejskiego placu, gdzie ludzie pili i palili, śmiali się i flirtowali. Połaskotał palcem wewnątrz jej dłoni - potajemne zaproszenie, dyskretna obietnica czegoś miłego, kiedy zostaną sami. Kate poczuła, że się czerwieni.

Usiedli przy stoliku w cukierni. Na środku zatłoczonego, zielonego od liści placu grała dziesięcioosobowa orkiestra nastolatków. Grała to za dużo powiedziane - robiła hałas. Scena ta przypomniała Kate o miastach w Meksyku, gdzie kiedyś się włóczyła. Plac otoczony kafejkami i sklepami z pamiątkami, wszystkie pokolenia mieszkańców - od kwilących noworodków po plotkujące, trzymające się za ręce starsze niewiasty - zbierały się wokół estrady, by słuchać, jak amatorzy, najczęściej źle, grają ulubione melodie.

Pamiętka po europejskim kolonializmie.

Kate spędzała dużo czasu na *zócalo* w Oaxaca, prawie kilometr od swojego jednopokojowego mieszkania obok szkoły językowej, w której brała prywatne, zaawansowane, ciągnące się przez pół dnia lekcje miejscowych dialektów. Ubierała się wtedy jak inne podobne do niej dziewczyny w długie bawełniane spódnice i chłopskie koszule, przewiązywała włosy bandaną, a na karku miała wytatuowanego motyla. Był to zmywalny tatuaż. Wtapiała się w tłum, chodziła po kafejkach, piła piwo Negra Modelos i nosiła w sznurkowej siatce warzywa z rynku na placu Dwudziestego Listopada.

Pewnego wieczoru zestawiono kilka stołów. Siedziało przy nich niemieckie małżeństwo, paru Amerykanów oraz najprzystojniejsi meksykańscy chłopcy, którzy zawsze uderzali do przyjezdnych kobiet - najczęściej strzelali po omacku, ale zdarzały się im trafienia prosto do celu. Nagle przy stole pojawił się elegancki, pewny siebie mężczyzna i zapytał, czy może się dosiąść. Kate widziała go wcześniej, wiele razy. Wiedziała, kim jest, wszyscy wiedzieli. Nazywał się Lorenzo Romero.

Z bliska był przystojniejszy niż na fotografiach. Kiedy się okazało, że dosiadł się po to, żeby porozmawiać z Kate, nie potrafiła ukryć podniecenia. Jej oddech przyspieszył i stał się płytszy, pociły się jej dłonie. Nie potrafiła skupić się na żartach i plotkach, błyskotliwej wymianie zdań z Lorenzem, ale to nie miało znaczenia. Wiedziała, co się dzieje. Pozwoliła, by koszula rozpięła się jej niżej, odsłaniając dekolt. Dotknęła jego ramienia, trzymając je zbyt długo.

Dokończyła piwo, uspokoiła napięte nerwy. A potem pochyliła się ku niemu i szepnęła: *Cinco minutos*, wskazując głową katedrę zamykającą plac od północy. Kiwnął porozumiewawczo głową, oblizał wargi, przymknął powieki.

Spacer przez plac trwał całą wieczność. Wszystkie dzieci poszły do domu wraz z rodzicami, zostawali tylko młodzi i starzy, i turyści, a w powietrzu mieszał się dym cygar i marihuany, pijany angielski slang i pokastywanie babć. Pod drzewami, z dala od lamp, bezwstydnie obściskowały się jakieś pary.

Kate nie mogła uwierzyć, że to robi. Czekwała niecierpliwie na Independencia obok katedry, w cieniu. Przyszedł, pochylił się, żeby ją pocałować.

No, pokręciła głową. *No aquí*.

Szli w milczeniu ku El Llano, do parku, gdzie kiedyś było zoo. Został po nim tylko ugór, Kate sama bałaby się tam zapuścić. Ale nie była sama. Uśmiechnęła się do Lorenza i pomaszerowała przed siebie w ciemnościach. On szedł za nią - drapieznik skradający się za ofiarą.

Wzięła głęboki, bardzo głęboki oddech. To tutaj, nareszcie. Skręciła za gruby pień drzewa z ciężkim baldachimem liści i czekała na niego, wsuwając dłoń do wewnętrznej kieszeni luźnej płóciennej torby.

Kiedy wyłonił się w ciemności z za drzewa, przyłożyła mu lufę do brzucha i nacisnęła spust dwa razy, zanim zorientował się, co się dzieje. Upadł bezwładnie na ziemię. Strzeliła raz jeszcze w głowę, dla pewności.

Lorenzo Romero był pierwszym człowiekiem, którego zabiła.

3

- Widziałaś ją? - zapytała Włoszka. - Nową Amerykankę?

Kate upiła łyk latte, zastanawiając się nad dodaniem słodzika.

Nie umiała sobie przypomnieć, czy ta Włoszka ma na imię Sonia czy Sophia, czy może zgoła Marcella. Jedyne imię, jakiego była pewna, należało do eleganckiej Angielki, Claire, która paplała przez piętnaście minut, a potem znikła.

Pytanie zadane prawdopodobnie pod jej adresem było dosyć dziwne, gdyż to ona była nową Amerykanką.

By podkreślić niechęć do udzielenia odpowiedzi, spojrzała uważnie na to, co stało na stole, szukając słodzika. Miała przed sobą małą ceramiczną cukiernicę z kostkami białego cukru, duży szklany dozownik z cukrem brązowym czy raczej brązowawym, gdyż to, co się w nim znajdowało, nie przypominało substancji dodawanej do czekoladowych ciasteczek z orzechami. Kate upiekła je dokładnie dwa razy w życiu, dla chłopców do szkoły. A obok stały szklana karafka z mlekiem i stalowy dzbanuszek spienionego mleka.

Kiedyś doskonale zapamiętywała imiona, kiedyś stosowała z religijnym niemal zapalem pomoce mnemotechniczne. Ale nie praktykowała już tego od lat.

Szkoda, że ludzie nie noszą na co dzień plakietek z imionami.

Na stole zostawiono również pękaty plastikowy pojemnik z kartonowymi podkładkami pod filiżanki. Na podkładkach umieszczono barokowy herb z lwem, chorągwiami oraz wężami, słońcem i półksiężycem, z jakimiś paskami i zamkową wieżą, a także gotyckim liternictwem, którego nie potrafiła odszyfrować, gdyż widziała je do góry nogami, no a litery były bardzo wystylizowane. Nie wiedziała nawet, w jakim języku napisano słowa, bo nie mogła ich odczytać.

Obok stał stalowy stojak ze złożonymi w małe trójkąty serwetkami, jednocześnie cienkimi i wytrzymałymi, co wydaje się niemożliwe, ale tak właśnie jest. Ostatnimi czasy bez przerwy takimi samymi wycierała noskę przeziębionego Bena. Serwetki były dostępne wszędzie, a sklepu z wygodnymi w użyciu chusteczkami higienicznymi, które w Ameryce są praktycznie na każdej stacji benzynowej i w każdym supermarkecie, a także w cukierniach, kioskach z gazetami i aptekach, Kate wciąż nie znalazła. Apteki w Luksemburgu sprzedawały tylko lekarstwa. Gdyby spytała w aptece o chusteczki - jeśli zdołałaby w ogóle o to spytać - surowa aptekarka z pewnością wybuchnęłaby śmiechem. A może nawet gorzej. Każda kobieta stojąca tutaj za jakąkolwiek ladą wydawała się wyjątkowo surowa.

Na stole leżał jeszcze biały iPhone, czarny iPhone i niebieskie BlackBerry. BlueBerry? Kate nie zdążyła jeszcze załatwić sobie tutejszej komórki. Mimo solennych zapewnień bombajskiego biura obsługi klienta jej operatora sieci komórkowej z siedzibą w Kolorado, nie istniał żaden prefiks, nie było żadnej kombinacji cyfr, żadnej zmiany ustawień telefonu, nie było niczego, co zmusiłoby jej zaprojektowaną we Francji, wyprodukowaną na Tajwanie i dostarczoną jej z Wirginii komórkę do odbierania i wykonywania połączeń w Europie.

Kiedyś inni ludzie zajmowali się technicznymi aspektami jej życia, co było znacznie prostsze.

Na stole brakowało tylko jednej rzeczy - syntetycznego słodzika.

Nie umiała powiedzieć „syntetyczny słodzik” *en français*. Układała w głowie francuskie zdanie, będące tłumaczeniem angielskiego pytania: „Czy jest tu coś do kawy, co jest innym cukrem?”. Usiłowała sobie przypomnieć, czy „cukier” po francusku jest rodzaju męskiego czy żeńskiego. Różnica ta miała znaczenie, gdyż zmieniała wymowę słowa „inny”. A może nie? Wszystko zależy od szyku zdania.

Jaki szyk ma to pytanie?

Tyle że, jak się obawiała, pytanie: „Czy jest tu coś do kawy, co jest innym cukrem?” jest tak głupie, że ani szyk, ani wymowa słowa „inny” nic tu nie zmienia.

Aha, na stole stała jeszcze popielniczka.

- Kate? - Włoszka zwróciła się wprost do niej. - Widziałaś ją? Nową *Americana*?

Kate była zdumiona, że pytanie skierowano jednak do niej.

- Nie.

- Przypuszczam, że nowa Amerykanka nie ma dzieci, a przynajmniej nie takie, które chodzą do naszej szkoły, a jeśli nawet ma, to ich nie odprowadza ani nie odbiera - rozpędziła się Włoszka.

- Zgadza się - potwierdziła inna Amerykanka przy stole. Amber, zdaje się. Kelly? Coś w tym rodzaju. - Ale ma przystojnego męża. Mówimy o wysokim, ciemnowłosym, naprawdę przystojnym mężczyźnie, prawda, Devi?

Hinduska zachichotała, zakrywając dłonią usta. I czerwieniąc się!

- Nic nie wiem o jego przystojności czy braku tejże, przysięgam.

Kate była pod wrażeniem jej elokwencji.

Zastanawiała się, co mówiły przed dwoma tygodniami o niej i Dexterze, kiedy pojawili się po raz pierwszy w szkole. Rozejrzała się po dziwnej kawiarni w niskiej piwnicy centrum sportowego. Na górze dzieci uczyły się grać w tenisa, a ich instruktorami byli dwaj

mówiący po angielsku Szwedzi, Nils i Magnus. Jeden był bardzo wysoki, a drugi średniego wzrostu. Obu można było opisać jako wysokich, jasnowłosych, szwedzkich trenerów tenisa. Zdaje się, że wszyscy tutejsi instruktorzy tenisa byli Szwedami. Szwecja leży prawie tysiąc kilometrów na północ stąd.

Robiły to w każdą środę. Czy raczej będą to robić w każdą środę. Albo też, to była druga środa, kiedy to robiły, wiedząc, że będą to robić w środy.

Może popadły już w rutynę, choć jej było do tego daleko.

- Kate, przepraszam, że o to pytam, bo może już pytałam, więc nie wiem, czy to nie zabrzmie niegrzecznie, ale nie potrafię sobie przypomnieć, jak długo planujecie zostać w Luksemburgu?

Kate spojrzała na Hinduskę, a potem na drugą Amerykankę i na Włoszkę.

- Jak długo? - Zadawała sobie to pytanie setki razy. - Nie mam pojęcia.

- Jak długo zostanieie w Luksemburgu? - zapytał Adam.

Kate przypatrywała się swojemu odbiciu w lustrze pokrywającym całą ścianę pokoju przesłuchań, nazywanego oficjalnie salą konferencyjną na szóstym piętrze, choć wszyscy i tak wiedzieli, o co chodzi. Wsunęła niesforny kosmyk kasztanowych włosów za ucho. Zawsze nosiła krótkie włosy - ze względów praktycznych, a nawet z konieczności, gdy dużo podróżowała. Nawet kiedy przestała wyjeżdżać za granicę, była zapracowaną matką, więc krótkie włosy miały sens. Jednak nie mogła chodzić do fryzjera regularnie, więc kiedy włosy robiły się za długie, musiała wsuwać kosmyki za uszy. Jak teraz.

Wiotczały jej policzki. Była wysoka i szczupła - „kościasta”, jak ktoś kiedyś powiedział, niezbyt zresztą miło, ale bez wątplenia słusznie - i nie należała do tych kobiet, które bez przerwy twierdzą, że są grube, albo udają, że tak myślą. Wiotczenie dotyczyło tylko jej policzków i oznaczało, że źle się odżywiła albo za mało ćwiczy, bo z pewnością nie przybrała na wadze więcej niż kilogram.

Dzisiaj miała też sińce pod szarozielonymi jarzącymi się przejrzyście oczami. Źle sypiała - w ogóle nie mogła spać, a ostatnia noc była katastrofalna. Kate wyglądała strasznie.

Westchnęła.

- Tłumaczyłam to dwie godziny temu.

- Nie mnie - powiedział Adam. - Więc wytłumacz, proszę, raz jeszcze.

Skrzyżowała długie nogi, uderzając jedną kostką o drugą. Nogi zawsze były jej dumą. Często żałowała, że nie ma większych piersi i bardziej wciętej talii, ale w ostateczności

przyznawała, że zgrabne nogi są najbardziej praktyczne pośród tych wszystkich dziwnych kobiecych walorów, jakie podobają się mężczyznom. Wielkie cycki są kłopotliwe, a tyłek, jeśli nie jest mały, ma tendencję do opadania, co jest nie do zniesienia u kobiet w jej wieku, jeśli ćwiczą tak nieregularnie jak ona i nie odmawiają sobie kategorycznie lodów.

Nigdy przedtem nie widziała tego Adama, przysadzistego typu, pewnie byłego żołnierza. Ale nie ma w tym niczego zaskakującego. Jej firma zatrudniała dziesiątki tysięcy ludzi na całym globie, a tysiące w samym Waszyngtonie w Bóg wie ilu biurach. Pracuje tu mnóstwo ludzi, których nigdy nie widziała.

- Kontrakt mojego męża opiewa na rok. Z tego, co zrozumiałam, to powszechna praktyka.

- A po roku?

- Mamy nadzieję, że go przedłużą. To też ponoć powszechne.

- A jeśli nie przedłużą kontraktu?

Spojrzała ponad ramieniem Adama w duże lustro fenickie, za którym, jak wiedziała, stoją i patrzą na nią jej przełożeni.

- Nie wiem.

- Chłopcy!

- Ale to Jake! To on...

- Chłopcy...

- Mamusiu, Ben zabrał mi...

- Przestańcie! Natychmiast!

W samochodzie zapadła cisza - spokój poranka po przejściu tornada, które powyrywało wielkie drzewa, połamało gałęzie i zwiało z dachów dachówki. Kate wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić, rozluźniła uścisk dłoni leżących na kierownicy. Nie znosiła sprzeczek.

- Mamusiu, mam nowego najlepszego przyjaciela - oznajmił Ben radosnym i beztroskim głosem bez związku z czymkolwiek. Nie dbał o to, że właśnie na nich krzyknęła, dosłownie przed piętnastoma sekundami. Nie obrażał się na matkę.

- Cudownie. Jak ma na imię?

- Nie wiem.

Jasne. Dzieci wiedzą, że różę można nazwać dowolnym imieniem.

- Na rondzie. Skręć. W. Drugi. Wyjazd. I. Wjedź. Na. Drogę szybkiego. Ruchu. - GPS

mówił do Kate z arystokratycznym angielskim akcentem. Mówił jej, co ma zrobić.

- Wjedź. Na. Drogę szybkiego. Ruchu - przedrzeźniał GPS Jake na tylnym siedzeniu. - Wjedź na drogę szybkiego ruchu - powtórzył normalnie. - Mamusiu, co to jest droga szybkiego ruchu?

Kiedyś Kate posługiwała się mapami. Uwielbiała mapy. Potrafiła trafić wszędzie, wewnętrzny kompas nigdy jej nie zawiódł, doskonale pamiętała trasy i kierunki. Ale mając GPS gadający głosem Julie Andrews, prowadzący ją za rękę przez każdy zakręt i dziurę w drodze, nie musiała używać mózgu, nie musiała się wysilać. GPS był jak kalkulator - szybszy i łatwiejszy w użyciu, ale ogłupiający.

Kate zaproponowała bez przekonania, że mogą żyć bez GPS-u, ale Dexter był niewzruszony. Nigdy nie orientował się za dobrze w terenie.

- Droga szybkiego ruchu to autostrada - odpowiedziała Kate bez zniecierpliwienia, próbując zatrzeć swój wcześniejszy wybuch, zadośćuczynić chłopcom. Byli najukochańsi, a ona ich skrzyczała, od czego pękało jej serce, które w porównaniu z ich serduszkami okazało się nieludzko lodowate. Dzieci sprawiały, że wstydziła się siebie.

Kiedy spojrzała na południowy zachód na ruch na rondzie, oślepiło ją na chwilę nisko wiszące słońce.

- Mamusiu, czy to jest droga szybkiego ruchu?

- Nie. Wjedziemy na nią za rondem.

- A co to jest rondo, mamusiu?

- Rondo - powiedziała - to takie miejsce, gdzie samochody jeżdżą w kółko.

Nienawidziła rond, które wprost zapraszały do tego, by wjechać komuś w bok. Panowała tam anarchia. Dzieci wypadały nieustannie z fotelików, a zakupy z toreb w bagażniku. Łups! - wysypywały się warzywa, toczyły się pomidory, obijały jabłka.

W Ameryce Łacińskiej drogi były fatalne, a zwyczaje kierowców potworne. Ale tam nie miała dzieci na tylnym siedzeniu.

- A co to znaczy, że samochody jeżdżą w kółko, mamusiu?

Ronda były wszędzie, na każdym kroku, niczym drogowa zhora. Tak jak klamki u okien, które wszędzie były takie same, dokądkolwiek poszła. I zamurowane w ścianie zbiorniki do spłukiwania toalet. I szerokie kontakty do zapalania światła, i żeliwne poręcze, i wypolerowane kamienne posadzki... Każde udogodnienie i każdy luksus był zesłany budowniczym z nieba przez jakiś religijny monopol konstrukcyjny.

- To znaczy... - zaczęła, usiłując nie okazywać irytacji pytaniami syna -...że poruszają się ruchem okrężnym, mój mały. Takie miejsce nosi w Luksemburgu nazwę ronda.

Co się robi z dziećmi przez cały czas? W Waszyngtonie zajmowała się dziećmi tylko w weekendy - przedszkole i niania zwolniły ją z obowiązku codziennej opieki. Dlatego wtedy zależało jej, żeby poświęcać chłopcom więcej czasu.

Ale teraz? Teraz była z nimi każdego dnia po szkole, każdego wieczoru i każdej nocy oraz przez cały długi weekend. Jak się nimi zajmować, jak bawić, o ile przez większą część dnia nie chce się leżeć na podłodze wśród klocków lego? Co zrobić, żeby się nie pozabijali, nie bałaganili bez opamiętania i nie doprowadzali człowieka do szaleństwa?

Miała to, czego chciała, ale targały nią wątpliwości. Co w całym tym przedsięwzięciu martwiło ją najbardziej.

- Mamusiu, czy to droga szybkiego ruchu?

- Tak, maleńki. To jest właśnie droga szybkiego ruchu.

Coś zaczęło mrugać na desce rozdzielczej. Pokładowy komputer regularnie nadsyłał jej komunikaty po niemiecku - niesłychanie długie mrugające słowa, które starała się ignorować, póki mogła. Samochód był wypożyczony, jeszcze nie zajęli się kupowaniem nowego auta.

- Mamusiu?

- Tak, kochanie?

- Chce mi się kupkę.

Zerknęła na GPS: jeszcze dwa kilometry.

- Za parę minut będziemy w domu.

Droga szybkiego ruchu szybko się skończyła i teraz jechali ulicą obok bocznic kolejowej z rzędami szybkieźnych pociągów, minęli wieżę z zegarem przy dworcu kolejowym i skręcili do dzielnicy Gare. Teraz już wiedziała, gdzie się znajduje. Wyłączyła GPS, odrzuciła tę kulę inwalidzką. Jedyń sposób, żeby się czegoś nauczyć.

- Twój mąż pracował tam przez cztery lata, zanim przeszedł do banku? - Adam nie podniósł głowy znad notatnika, trzymając długopis w uniesionej dłoni.

- Zgadza się.

- Odszedł rok przed wejściem na giełdę.

- Tak.

- Nie była to chyba zbyt... hm... przemyślana decyzja.

- Dexter nigdy nie był dobrym strategiem finansowym.

- Najwyraźniej. Stamtąd przeszedł do banku. Co tam dokładnie robił?

- Zajmował się systemami bezpieczeństwa. Jego praca polegała na sprawdzaniu, w jaki sposób można włamać się do systemu, i miał zapobiegać takim ewentualnościom.

- Jakiego systemu?

- Kont. Chronił bankowe konta.

- Pieniądze.

- Owszem.

Adam nie wyglądał na zachwyconego. Wiedziała, że ma sporo wątpliwości co do pracy Dextera w Luksemburgu - wszyscy je mieli. Tylko Kate żadnych nie miała. Już dawno odrobiła tę lekcję, a Dexter był poza wszelkimi podejrzeniami. Właśnie dlatego pozwoliła sobie wziąć z nim ślub.

Ale rzecz jasna nie mogli o tym wiedzieć. Musieli, co zrozumiałe, mieć wątpliwości. Może nawet Kate powinna je mieć? Ale już dawno temu obiecała sobie, że mieć ich nie będzie.

- Na ile orientujesz się w tym, co robi twój mąż? - zapytał Adam.

- Praktycznie się nie orientuję.

Adam spojrzał na nią, czekając na dalsze wyjaśnienia. Ale nie chciała niczego wyjaśniać, nie w ten sposób. Nie chciała niczego wyjaśniać nawet sobie, w głębi duszy. Fundamentalna prawda wyglądała tak, że nie chciała wchodzić do świata Dextera, żeby Dexter nie wszedł do jej świata. Coś za coś.

Adam nie przyjmował do wiadomości milczenia.

- Dlaczego?

- Dopóki nie rozmawiamy o jego pracy, nie musimy rozmawiać o mojej.

- Teraz też nie?

Kate przyjrzała się uważniej człowiekowi po drugiej stronie stołu, temu obcemu, który zadawał jej osobiste pytania - takie, jakich nawet nie zadawała sobie sama. Z tej prostej przyczyny, że nie chciała znać odpowiedzi.

- Co „teraz też nie”?

- Skoro od nas odchodzisz, czy teraz też nie będziesz rozmawiać z nim o pracy?

Dziś, 10:54

Kate podchodzi jeden krok bliżej i unosi ręce. Ścisną tę kobietę, ale ostrożnie, mając się na baczności. Z daleka wygląda to tak, że nie chcą pognieść sobie obowiązkowych apaszek i potargać starannie uczesanych fryzur. A może nie?

- Tak się cieszę, że się spotkałyśmy! - mówi kobieta, cicho i z przejęciem, prosto we włosy Kate. - Tak się cieszę!

- Też się cieszę - odpowiada Kate równie cicho, choć z mniejszym przejęciem. - Bardzo.

Koniec uścisku, lecz dłoń kobiety zostaje na ramieniu Kate. Ciepły gest. Choć z drugiej strony gest ten może zapobiec jej odejściu, przytrzymać Kate w miejscu, jeśli tylko wzmocni uchwyt.

Kate nie tylko wyobraża sobie, że jest obserwowana, zaczyna we wszystko wątpić. Absolutnie we wszystko.

- Mieszkasz tutaj? W Paryżu?

- Przez większą część roku - odpowiada Kate.

- W tej okolicy?

Kate przypadkowo patrzy w kierunku domu, w którym mieszkają parę przecznic dalej.

- Niedaleko - mówi.

- A przez resztę roku?

- Ostatnie lato spędziliśmy we Włoszech. W wynajętej willi.

- We Włoszech! Cudownie. W jakiej części Włoch?

- Na południu.

- Wybrzeże Amalfi?

- Mniej więcej. - Kate nie rozwija wątku. - A co u ciebie? Gdzie teraz mieszkasz?

- Och... - Lekkie wzruszenie ramion. - To tu, to tam. Ciągle nie mogę nigdzie osiąść na dobre. - Uśmiecha się. Dostyc złośliwie.

- No tak... - Kate wskazuje dłonią uliczkę, na której stoją; nie jest Polami Elizejskimi ani Boulevard St-Germain. - A co cię sprowadza do tego zakątka Paryża?

- Zakupy. - Kobieta waży w dłoni małą torebkę, a Kate zauważa zaręczynowy pierścionek na jej palcu, skromny diamencik. Nie ma już małżeńskiej obrączki, którą nosiła na palcu wcześniej. Zniknięcie obrączki ma sens. Ale pojawienie się diamenciku jest zdumiewające.

Jeśli cokolwiek sprawia tej kobiecie radość, to rzeczywiście są to zakupy w rodzaju tych, jakie można zrobić na rue Jacob: antyki, tkaniny, meble. Albumy o antykach, tkaninach i meblach. Ale Kate uważała, że to tani greps.

Trudno orzec, co w tej kobiecie jest prawdą - jeśli cokolwiek jest w niej prawdziwe.

- Oczywiście - mówi Kate.

Zerkają na siebie z przyklejonymi do ust uśmiechami.

- Słuchaj, z przyjemnością dowiedziałabym się, co u ciebie słychać. Dexter jest w mieście?

Kate kiwa głową.

- Może umówiłybyśmy się wieczorem na drinka? Albo na obiad?

- Świetny pomysł. Sprawdzę tylko, czy Dexter będzie wieczorem w domu. - Wypowiedziawszy te słowa, zdała sobie sprawę, że kobieta oczekuje, że ona natychmiast do niego zadzwoni, że będzie się tego domagać. - Teraz nie mogę do niego zadzwonić.

Szuka w torebce telefonu, a w głowie racjonalnego uzasadnienia.

- Ćwicz. - Takie uzasadnienie przychodzi jej do głowy. Całkiem dobre, a może nawet prawdziwe. Dexter codziennie ćwiczy albo gra w tenisa. Jego pełnowymiarowa praca polegająca na nadzorowaniu inwestycji jest w zasadzie pracą ćwierćetatową. - Podaj mi swój numer.

- A może... - kobieta przekrzywia głowę -...ty mi podasz swój?

Sięga do torebki i wyjmuje skórzany notes oraz pióro do kompletu. Cenne drobiazgi kupione w tym samym butikiu co zakiet. Ta kobieta pojawiła się w Paryżu i wydała fortunę parę przecznic od domu Kate. Czy to może być przypadek?

- Zapodziałam gdzieś ładowarkę - wyjaśnia - a nie chciałabym, żeby rozładowany telefon pokrzyżował nam szyki.

To stek bzdur i Kate o mało nie wybucha śmiechem. Ale zrewanżowała się jej tym samym. Nie można wściekać się na kogoś za to, że kłamie, jeśli samemu robi się to samo, w dodatku z tej samej przyczyny. Kate podaje jej szybko swój numer, a kobieta pilnie go notuje. Choć - o czym Kate wie doskonale - nie musi zapisywać numerów telefonów, żeby je zapamiętać.

Zdumiewa ją głębokość pokładów obłudy, w jakiej obie tkwią po uszy.

- Zadzwonię do ciebie o piątej, dobrze?

- Świetnie. - Wymieniają kolejny uścisk i kolejne nieszczerze uśmiechy.

Kobieta odchodzi. Kate wpatruje się w jej plecy - szersze niż kiedyś. Ta kobieta była chucherkiem, nie tak znowu dawno temu.

Odwraca się i idzie w przeciwną stronę, oddala się od domu - bez powodu, tylko po to, żeby tamta odeszła na dobre. Zmusza się, żeby nie odwrócić głowy, żeby za nią nie pójść. Wie, że nie powinna. Wie, że nie może.

- Kate, zaczekaj! - Kobieta wraca do niej bez pośpiechu.

- Tak?

- Czy mogłabyś przekazać Dexterowi wiadomość? Ode mnie? - Idzie, zbliżając się do Kate. - Powiedz mu - mówi, zatrzymując się jeden krok od Kate - że Pułkownik nie żyje.

4

- A zatem... - powiedziała Kate, układając kolorowanki przed chłopcami. Siedzą przy stole w kolejnej niezbyt drogiej restauracji, jednej z tych, w których jadają od trzech tygodni, usiłując sprostać wyzwaniom rozpoczynania życia w nowym domu na nowym kontynencie -...ciągle masz dużo pracy.

Dexter uniósł brwi, zaskoczony tą krytyczną uwagą - skargą? - żony.

- Jest mnóstwo rzeczy, którymi muszę się zająć natychmiast.

- Ale z czasem będzie lepiej. - Z pewnością nie, jak podejrzewała. Ale chciała usłyszeć zaprzeczenie z jego ust. Ich relacje układały się dobrze, odkąd się przeprowadzili, ale Dextera ciągle nie było w domu. Liczyła na coś innego.

- Niezupełnie.

- Miałam nadzieję, że będzie ci łatwiej, że będziesz miał więcej czasu i pomożesz nam się zadomowić.

Po trzygodzinnej przejażdżce z agentem z biura nieruchomości wybrali obszerne mieszkanie na starym mieście. Wypożyczone meble pojawiły się trzy dni po podpisaniu umowy najmu. Wtedy wyprowadzili się z hotelu. Kate zaczęła rozpakowywać ohydne gigantyczne walizy oraz wypożyczone garnki i rondle, ręczniki i prześcieradła. Kontener z ich ruchomościami płynął jeszcze przez Atlantyk i nie zjawi się w Luksemburgu wcześniej niż za miesiąc.

Spodziewała się, że Dexter pomoże jej w rozpakowywaniu, ale nie zrobił tego.

- Obiecałeś, Dexter, że nie będę musiała wszystkiego robić sama.

Spojrzał wymownie na dzieci.

- Chcę ci pomóc. Ale muszę pracować.

- Dlaczego akurat teraz? Dlaczego od razu?

- Bo muszę natychmiast stworzyć bezpieczne miejsce pracy. Zainstalować systemy bezpieczeństwa, kupić urządzenia, nająć elektryków i stolarzy, nadzorować ich pracę. To wszystko trzeba zrobić od razu, bo muszę rozpocząć pracę nad czymś bardzo ważnym, niezwłocznie. Teraz.

- Co to takiego? Co się dzieje?

- Trudno mi to wyjaśnić.

- Spróbuj.

Westchnął.

- Dobrze, spróbuję, ale nie dzisiaj, okay?

Kate wpatrywała się w męża, nie udzielając mu natychmiastowej odpowiedzi, bo przecież wiedzieli oboje, co odpowie, a ta chwila milczenia nie była niczym więcej, jak tylko jej niemym protestem. Im dłużej milczała, tym głośniejszy stawał się jej protest.

- Okay - odpowiedziała po kilku sekundach. Protest nie trwał za długo, nie był jeszcze buntem. - Ale chcę przynajmniej wiedzieć, kto jest twoim klientem...

Znów westchnął.

- Katherine, ja...

- Mówiłam ci, żebyś mówił do mnie „Kate”.

Spiorunował ją wzrokiem.

- Kate. Już ci to wyjaśniałem. Wszyscy w tym mieście pracują w bankowości. Nie będzie dobrze... będzie bardzo źle, jeśli konkurencja mojego klienta dowie się, że zatrudnił specjalistę od zabezpieczeń ze Stanów, gościa analizującego procedury.

- Dlaczego?

- Bo to oznaka słabości. Braku bezpieczeństwa. To jest informacja, którą konkurencja może wykorzystać przeciwko nam, żeby odebrać nam klientów, wmawiając im, że nie są u nas bezpieczni. Nawet ludzie pracujący u mojego klienta nie wiedzą, kim jestem i co robię.

- Okay, rozumiem. Ale dlaczego nie możesz powiedzieć tego mnie?!

- Bo nie ma żadnych wyjątków, Kat. Kate. Teraz nazwy tych banków nic dla ciebie nie znaczą, ale prędzej czy później dowiesz się, że mąż twojej najlepszej przyjaciółki pracuje u mojego klienta. A ona zacznie domagać się szczegółów, najpewniej po paru drinkach. „Nie wygłupiaj się, Kate, mnie nie powiesz?”. Znajdziesz się w bardzo niekomfortowej sytuacji. Po co? - Pokręcił głową. - To bez sensu.

- Bez sensu? Być szczerym z żoną?

- Nie, kochanie. Bez sensu jest mówienie o czymś, czego znaczenie sprowadza się do dochowania tajemnicy. Niewyjawiania tego nikomu. To jest bez sensu. I nie przynosi żadnych korzyści.

Tajemnica! Co on wie o tajemnicach?

- Więc co mam mówić ludziom?

- Mów im prawdę: że warunki mojego kontraktu zmuszają mnie do niewyjawiania nazwy mojego klienta.

- Nawet żonie?

- Nikt na to nie zwróci uwagi. Cała tutejsza gospodarka opiera się na dyskrecji.

- Mimo to... - zaczęła -...jest w tym coś... nie wiem... pozamałżeńskiego?

Najbardziej zdumiewało ją to, że nie potrafi oprzeć się pokusie oskarżania Dextera o własne grzechy.

- Będzie dobrze - powiedział. - Zaufaj mi.

Dexter wjechał na teren ambasady wynajętym volvo. Siąpił lekki deszczyk. Objechał budynek szerokim wyboistym łukiem - w zasadzie nie łukiem, ale nierównym wielokątem o pięciu bokach, czymś w rodzaju pięciokąta - rozglądając się za miejscem do parkowania. Znaleźli w końcu wąską szczelinę pod wielkim kasztanowcem, asfalt usłany był liśćmi i łupinami kasztanów. Angole mówią na nie „łupanki”, bo kiedy spadają, łupią człowieka w głowę.

Przed bramką bezpieczeństwa tłoczyło się z pół tuzina ludzi, czekających na wezwanie strażników, po którym wykładali swoje rzeczy na tacę do rentgenowskiej inspekcji. Potem strażnicy prowadzili ich przez ogród do maleńkiej poczekalni w budynku konsulatu, gdzie oczekiwanie na wezwanie trwało pięć, dziesięć, a czasem piętnaście minut.

Kate była kiedyś w tej ambasadzie, wieki temu, i wtedy nie musiała czekać.

Wezwano ich. Weszli do maleńkiego biura. Jedną ścianę zajmowała kuloodporna szyba, za którą siedział mężczyzna w mundurze.

- Dzień dobry - powitał ich. - Poproszę paszporty.

Wsunęli paszporty w szczelinę. Przyjrzał się dokumentom, a potem ekranowi komputera. Przez minutę albo dwie panowała niemal kompletna cisza. Kate słyszała zegar tykający po drugiej stronie. Mężczyzna kliknął myszą, przesunął kursor, wystukał coś na klawiaturze. Parokrotnie przyglądał się Kate i Dexterowi zza grubej szyby.

Nie było powodu, żeby się denerwować, ale Kate czuła napięcie.

- Więc w czym mogę państwu dziś pomóc? Panie Moore? Pani Moore?

- Przeprowadziliśmy się tutaj - powiedział Dexter. - Kilka tygodni temu.

- Rozumiem. - Oficer nie spuszczał wzroku z Dextera.

- Jakiś problem? - Dexter obserwował go przez szybę, próbując się uśmiechnąć, ale na jego ustach pojawił się jedynie grymas, wskazujący, że powinien skorzystać z toalety.

- Czy ktoś z was, panie Moore, pani Moore, pracuje w tym kraju?

- Owszem. Ja.

Kate czuła przyspieszone bicie serca. Łatwo jest się zdenerwować z dala od domu przed człowiekiem w mundurze, trzymającym w ręku paszporty po drugiej stronie kuloodpornej szyby.

Oficer zerknął na Kate, spojrzął jej w oczy. Jeszcze nie minął ten etap, kiedy martwiła się jedynie o własne sekrety. Wtedy nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może podejrzewać o coś jej męża, a nie ją.

Odwrócił głowę do Dextera.

- Ma pan pozwolenie na pracę, panie Moore?

- Owszem - odpowiedział Dexter. - Mam.

- Nie mamy tego w dokumentacji. Pańskiego pozwolenia na pracę. Zazwyczaj administracja Luksemburga przysyła nam kopie nowych pozwoleń na pracę wydanych Amerykanom.

Dexter skrzyżował ręce na piersi. Milczał.

- Kiedy je wydano?

- Słucham?

- Pańskie pozwolenie na pracę, panie Moore. Kiedy je wydano?

- Eee... Nie jestem pewien... Jakoś tak... niedawno.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez szybę.

- Musiała zajść jakaś pomyłka - podpowiedział Dexter.

- Z pewnością.

- Czy potrzebna jest kopia? Tego pozwolenia na pracę?

- Owszem.

Kate wyczuwała napięcie emanujące z Dextera jak pole elektryczne.

- Przywiozę ją - powiedział. - To znaczy kopię. Czy musimy przyjeżdżać tu jeszcze raz oboje?

- Nie, panie Moore. Tylko pan.

- Ostatnia sprawa, Katherine.

Wpatrywała się w blat stołu, wyrzucając z głowy zastrzeżone informacje. Jutro będzie to samo, pojutrze też i kto wie, jak długo jeszcze, ktoś bowiem przegląda jej dokumentację, projekty i listę współpracowników, wracając raz po raz do tych samych szczegółów. Żeby upewnić się, że nie kłamie.

- Czy tytułem wyjaśnienia chciałabyś coś dodać do podjętej przez ciebie przed pięcioma laty decyzji o rezygnacji z pracy w terenie?

Spojrzała na Adama, który wpatrywał się w nią wyzywająco. Opanowała atak paniki - wizję, której nie była w stanie usunąć z głowy poprzedniej nocy. Eskortują ją na parking, tam

czeka pozbawiona okien furgonetka, ma podobno przewieźć ją do innego biura, choć w rzeczywistości jedzie na lotnisko, gdzie stoi mały prywatny odrzutowiec. Dziewięciogodzinny lot, podczas którego towarzyszy jej dwóch osiłków. Odstawiają ją pod bramę więzienia gdzieś w Afryce Północnej, gdzie przez następny miesiąc będzie codziennie bita, aż umrze na wewnątrz krwotok i nie ujrzy już nigdy swych bliskich.

- Nie - odpowiedziała. - Nie sądzę.

Adam zsunął ręce ze stołu i oparł dłonie na udach, przyjmując dokładnie taką pozycję, jaką przyjąłby, gdyby chciał się na nią rzucić.

Kate potrząsnęła parasolem i zostawiła go na wycieracze przed drzwiami, żeby wysechł. Na telefonie mrugała ikona wiadomości głosowej. Ale najpierw trzeba usadzić dzieci przed telewizorem i znaleźć im odpowiedni francuski program. Potem rozpakowywanie zakupów. Przygotowania do obiadu w kuchni z niemieckim wyposażeniem - dziesiątki opcji na pokrętle kuchenki i między innymi takie napisy, jak *Ober-Unterhitze*, *Intensivbacken* czy *Schnellaufheizen*. Podobał się jej wygląd słowa *Intensivbacken*, więc używała tego ustawienia do wszystkiego.

Potem upuściła szklaną butelkę z nektarem brzoskwiniowym. Butelka rozbiła się na kamiennej posadzce. Kawalki, okruchy, odłamki szkła rozprysły się na wszystkie strony, podobnie jak krople gęstego lepkiego soku. Posprzątanie tego bałaganu zajęło jej piętnaście minut, na czworakach z gąbkami i papierowymi ręcznikami i w dłoni, a potem z tandetnym odkurzaczem, który był wśród wynajętych mebli i urządzeń.

Nie da się opisać, jak bardzo nienawidziła tego, co przyszło jej robić.

Minęło pół godziny, nim odebrała wiadomość głosową.

„Cześć, to ja”. Dexter. „Przepraszam, ale nie zdążę dziś wrócić do domu na obiad”. Znowu. Ten nowy zwyczaj zaczynał być męczący. „Mam spotkanie o szóstej, a potem o ósmej. Wrócę dopiero koło wpół do dziesiątej. Mam nadzieję. Powiedz chłopakom, że ich kocham”.

Wymaż.

„Cześć, Kate. Mówi Karen z AWCL”. Co to jest, do cholery, AWCL? „Chciałam tylko pogadać i powiedzieć ci, że do miasta przyjechało inne amerykańskie małżeństwo”. Kogo to obchodzi? „Pomyślałam, że może chcielibyście ich poznać”.

- Jesteś pewna? - zapytał Adam.

Kate starała się oddychać równomiernie.

Chodzi mu pewnie o to, co wydarzyło się na Barbadosie i co nie było do końca uzasadnione. Albo o tę brakującą teczkę w sprawie salvadorskich goryli, z którą w ogóle nie miała do czynienia. Albo też najzwyczajniej o to, że Joe, mówiąc wprost, jej nie ufał.

Ale najbardziej prawdopodobne wydaje się, że chodzi mu o Torresa. Przez ostatnie pięć lat Kate była pewna, że Torres wróci i będzie ją nękał. Żeby się na niej zemścić.

A może to zwykłe protokolarne pytanie?

- Tak - odpowiedziała. - Jestem pewna.

Adam wbił w nią wzrok. Zebrała całą odwagę i nie opuściła oczu. Czy stchórzy za stołem konferencyjnym? Pięć sekund, dziesięć. Pół minuty milczenia.

Mógł czekać przez całą wieczność. Tak zarabiał na życie.

Ona też mogła czekać.

To nie Torres ją prześladował. To kobieta, której nie powinno tam być. Niewinna kobieta.

- Okay - powiedział w końcu. Zerknął na zegarek, napisał coś w notesie. - Przepustka na stół.

Kate zdjęła z szyi smycz, zawahała się, a potem położyła ją przed nim.

Adam wydarł kartkę z notesu. Wstał, obszedł stół i wyciągnął rękę.

- Pojawisz się tam jutro rano o dziewiątej.

Kate spojrzała na kartkę. Nie dotarło do niej jeszcze, że ta faza dobiegła końca. Sprawy zazwyczaj kończą się szybciej, niż się spodziewamy.

Nie dojdzie do konfrontacji. Nie dzisiaj, nie tutaj. A jeśli nie dzisiaj i nie tutaj, to kiedy? I gdzie?

- Zapytasz o Evana.

Kate podniosła wzrok na Adama, usiłując opanować zdumienie, że nie poruszył sprawy Torresa.

- Jak długo to potrwa? - zapytała, żeby coś powiedzieć, żeby zamaskować ogromną ulgę. Ciągle mogła to spieprzyć. Nigdy nie jest za późno.

- Parę dni. Nic więcej nie wiem. Musisz zarezerwować dwa pełne tygodnie, przez które będziesz pobierać normalną pensję. To nie potrwa aż tyle, ale lepiej, żebyś zarezerwowała ten czas. To, rzecz jasna, normalna procedura.

- Rzecz jasna.

- To wszystko. - Adam uśmiechnął się, wyciągnął rękę, tym razem do uścisku. - Nie

jestes już pracownica Centralnej Agencji Wywiadowczej. Powodzenia, Katherine.

5

- Mam na imię Julia - powiedziała kobieta. - Miło mi cię poznać.

- Jestem Katherine. Kate. - Usiadła na wyściełanym trzcina krzeselku kawiarni i spojrzała przez stół na nową Amerykankę, podrzuconą jej przez AWCL, co oznaczało, jak się dowiedziała, American Women's Club of Luxembourg, do którego zresztą wstąpiła. Najwyraźniej, jeśli było się amerykańską kobietą, należało wstąpić do klubu. W Luksemburgu.

- Jak ci idzie z zadomowieniem się w tym kraju? - zapytała.

Zadając to pytanie - stawiane jej nieustannie przez inne kobiety - czuła się jak oszustka. Pytanie zakładało bowiem, że ona jest już zadomowiona i może służyć radą albo nawet pomocą. Kate nie była zadomowiona i nie mogła służyć ani radą, ani pomocą.

- Chyba w porządku - odpowiedziała Julia. - Ale nie mam pojęcia, co się tutaj robi.

Kate przytaknęła.

- Wiesz, jak zabrać się do tego, co trzeba zrobić?

- Nie. - Kate pokręciła głową. - Ale naprawdę wiem, co trzeba zrobić, żeby zmontować te papierowe szafy z Ikei, jestem po prostu specjalistką! Bo tutaj nie mają garderób.

- Rzeczywiście! - wykrzyknęła Julia. - Masz rację. Te stare kamienice zbudowano, zanim wymyślono garderoby.

- Przez ostatni miesiąc nie robiłam nic innego oprócz montowania komód i szaf. Lampy też składałam. Dlaczego elektryczność jest tutaj inna niż w Ameryce? Czy to ma sens?

- W ogóle. Twój mąż ci nie pomagał? W tym montowaniu?

- Niczego nie tknął palcem. Mój mąż tylko pracuje. Przez cały czas.

- Mój też.

Zajrzały obie do kieliszków. Przyszedł kelner i odebrał zamówienie.

- No tak... - Julia zaczęła od nowa. - Jak długo już tu jesteście?

- Cztery tygodnie.

- To niezbyt długo.

- Fakt.

Co za piekło! Kate miała ochotę wstać, przeprosić i odejść, zniknąć. Był to ten aspekt życia na obczyźnie, do którego w ogóle się nie nadawała - prowadzenie pogaduszek z nieznajomymi.

- Słyszałam... - zagaiła Julia -...że jesteś z Waszyngtonu. To takie ekscytujące!

Coś takiego! To zupełnie bez sensu.

Ale chciała spróbować. Potrzebowała nowego życia i przyjaciół, a właśnie tak się ich zdobywa: prowadząc bezsensowne pogaduszki. Tutaj wszyscy byli obcy, równi wobec siebie pod względem obcości. Rzeczy ważne tam, skąd się pochodziło - rodzina, szkoła, doświadczenie - tutaj nie miały znaczenia. Każdy zaczyna od początku i to wszystko. Od siedzenia z nieznajomymi i prowadzenia bezsensownych rozmów.

- W zasadzie nie pochodzę z Waszyngtonu - powiedziała. - Mieszkałam tam przez piętnaście ostatnich lat, a pochodzę z Bridgeport w Connecticut. A ty? Skąd ty pochodzisz?

Na początek kelner przyniósł im sałatki.

- Z Chicago. Byłaś tam?

- Nie - przyznała Kate z lekkim wstydem. Dexter zawsze stroił sobie z tego żarty, jej było w to graj, a jej nieznajomość Chicago stała się ich kolejnym małżeńskim dowcipem. Dexter wpadł na pomysł, że nienawidziła Chicago i postanowiła, że jej noga nigdy tam nie postanie. Że nie ma najmniejszego zamiaru zaprzyjaźnić się z kimkolwiek z Chicago.

- Szkoda - zauważyła Julia, podnosząc głowę znad tostu z kozim serem, który przepoławiała. Ale nie tylko tostu - dzieliła na pół całą *salade composée*! - To ładne miasto.

Kate w gruncie rzeczy nie miała nic przeciwko Chicago. Tak się zwyczajnie złożyło, że nigdy tam nie była.

- Może odwiedzisz mnie, kiedy wrócimy do kraju? - zaproponowała Julia. - Kiedy macie zamiar wrócić?

- Jesteśmy tu bezterminowo.

- My też.

- Co robi twój mąż?

- Coś związanego z finansami, czego nie rozumiem. - Julia wpatrywała się w Kate. - A twój?

- To samo.

- Wszyscy robią tu coś związanego z finansami, prawda?

- Na to wygląda.

Po to istniał Luksemburg: żeby zarabiać pieniądze i nie płacić podatków.

- Wiem z grubsza, co robi mój mąż - przyznała się Julia. - Zajmuje się wymianą walut. Ale co to dokładnie oznacza, za diabła ci nie powiem. A twój?

- Jest specjalistą od systemów bezpieczeństwa. Zajmuje się oprogramowaniem transakcyjnym dla instytucji finansowych. - Te dwa zdania dobrze sobie przyswoiła.

- Uau! To brzmi... eee... groźnie. Ale co to znaczy?

Kate pokręciła głową.

- Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia.

Miała pewne pojęcie, ale tylko najogólniejsze. Praca Dextera polegała na uniemożliwieniu hakerom - a jeśli nie na uniemożliwieniu, to na maksymalnym utrudnieniu - kradzieży pieniędzy podczas transferów elektronicznych. Właśnie w czymś takim wyspecjalizował się jakimś cudem Dexter przez ostatnią dekadę, pracował u dostawcy Internetu w kolejnych bankach, aż w końcu mniej więcej przed rokiem założył własną firmę i został niezależnym konsultantem. W ten sposób znaleźli się w Luksemburgu.

- A gdzie pracuje? - zapytała Julia.

- Ma biuro przy Boulevard Royal, ale jest wolnym strzelcem.

- A kim są jego klienci?

Kate się zaczerwieniła.

- Nie wiem.

Julia zachichotała. Potem roześmiała się Kate, co rozbawiło je obie. Nagle Julia skrzywiła się.

- O mój Boże! - zawołała, machając dłońmi, jakby chciała się wzbić w powietrze. - Z tego śmiechu naleciało mi do nosa wina! Ach...

Kiedy skończyły się śmiać, Julia wróciła do rozmowy.

- A ty? Pracujesz tutaj?

- Nie za pieniądze. Zajmuję się dziećmi i domem. - To było kolejne zdanie, które wypowiedziała już dziesiątki razy. I ciągle nie czuła się z tym dobrze. Odwróciła wzrok, pytając: - A ty?

- Jestem dekoratorką wnętrz. Byłam dekoratorką wnętrz. Nie sądzę, żebym miała tu nadmiar pracy. Ani w ogóle jakąś pracę.

Kate nigdy nie przypuszczała, że będzie chodzić na randki w ciemno z kobietami, które pracowały niegdyś jako dekoratorki wnętrz.

- Dlaczego?

- Trzeba znać wielu ludzi z towarzystwa... To są twoi klienci. Poza tym trzeba znać ludzi z branży, każdego, kto może zrobić to, co zrobić należy, trzeba znać wszystkie sklepy. A ja tutaj nikogo nie znam. Nie mogę być dekoratorką wnętrz w Luksemburgu.

Kate przyjrzała się uważniej tej nowej Amerykance. Jasne włosy do ramion - niemal na pewno farbowane, ale z wielkim wyczuciem - podwinięte i zaczesane do tyłu, potraktowane odżywką i profesjonalnie wysuszone. Ta kobieta bardzo się starała każdego

ranka. Niebieskie oczy, odrobina cienia i tuszu do rzęs, wszystko bardzo subtelne i w małych ilościach. Jest ładna, ale bez przesady. Atrakcyjna w nieonieśmielający sposób. Nieco wyższa od Kate, ma jakieś metr siedemdziesiąt pięć; szczupła i wąska w każdym miejscu. Takie ciała mają kobiety, które nie rodziły. Trzydzieści pięć lat. Co najwyżej.

- Od jak dawna jesteś zamężna, Julio?

- Od czterech lat.

Kate kiwnęła głową.

- Wiem, o czym myślisz - mówiła dalej Julia. - Ma męża od czterech lat, trzydziestkę na karku... więc gdzie są dzieci? Więc żebyśmy od razu pozbyły się niedomówień, powiem ci: nie mogę mieć dzieci.

- Och... - Amerykanki, Kate dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę, są niezwykle szczere, jeśli idzie o ich własne zdolności reprodukcyjne. - Przepraszam...

- Nie ma za co. Mnie też jest przykro. Ale takie jest życie, prawda? Rzuca nam kłody pod nogi.

- Chyba tak.

- Tak czy inaczej, chcemy adoptować dziecko. Ponieważ nasz zegar biologiczny nie odgrywa w tym przypadku żadnej roli, postanowiliśmy poczekać do czterdziestki, może nawet później. Tę dekadę naszego życia chcemy poświęcić na zabawę i zarabianie fortuny przez Billa. Potem gdzieś osiadziemy i będziemy zajmować się dziećmi.

Ta wylewność spowodowała, że Kate poczuła niesmak. Ludzie zbyt otwarcie wzbudzali jej podejrzenia. Zawsze miała wrażenie, że za głośną szczerością kryją się ciche kłamstwa. Im wyraźniejsza zewnętrzna warstwa osobowości, tym - jak przypuszczała - większa pewność, że to maska.

Julia uruchamiała wszystkie dzwonki alarmowe w głowie Kate. Mimo to musiała przyznać, że kobieta da się lubić.

- To niezły plan.

- Prawda? - Julia upiła kolejny łyk wina. - A ty co robiłaś w kraju?

- Byłam analitykiem w administracji rządowej. Pisałam memoranda. O handlu międzynarodowym, rozwoju gospodarczym i takich sprawach.

- To musiało być interesujące.

- Czasem - odpowiedziała Kate. - A czasem chciało się od tego rzygać.

Znów się roześmiały, znów napiły się wina i stwierdziły, że kieliszki są puste.

- *Monsieur!* - zawołała Julia do przechodzącego kelnera. - *Encore du vin, s'il vous plaît.* - Jej francuski był beznadziejny. Nie można było nawet uznać tego za francuski.

Kelner niczego nie zrozumiał, ale się uśmiechał. Kate widziała, że odszyfrowuje w myślach zdanie składające się ze źle wyartykułowanych samogłosek. W końcu pojął.

- *Oui madame.*

Wrócił z butelką rieslinga.

- A ty? - spytała Julia. - Napijesz się jeszcze?

- Nie powinnam. Nie podano jeszcze głównego dania...

Julia zjadła dokładnie połowę sałatki, po czym odłożyła widelec. Kate była pod wrażeniem takiej samodyscypliny na co dzień.

- Nie bądź śmieszna. *Pour elle aussi* - rzuciła w stronę kelnera.

Kiedy kelner odszedł, Kate pochwaliła ją:

- Twój francuski jest znakomity!

- Dzięki, że kłamiesz, ale to nieprawda - odpowiedziała Julia. - Nie jest znakomity. Mam straszny akcent. Przekleństwo mieszkańców Środkowego Zachodu. - Nie mówiła z przesadnie przykrym środkowozachodnim akcentem. Ale w tych czasach wszyscy Amerykanie zaczęli mówić jednakowo. Za dwadzieścia lat nikt nie domyśli się po akcencie, skąd pochodzi nieznajomy. - Ale podciągnęłam się słownikowo. - Julia podniosła kieliszek i uniosła go w stronę Kate. - *A ta santé* - powiedziała i stuknęły się kieliszkami. - *I à nouvelles amies.*

Kate spojrzała na tę kobietę z oczami roziskrzonymi od wina, z zaczerwienionymi policzkami.

- Za nowych przyjaciół - powtórzyła.

Kate zmrużyła oczy przed chylącym się ku zachodowi słońcem. Po zwirowej ścieżce szedł, szurając nogami, jej mąż.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

W ostatnim tygodniu niezbyt często widywała Dextera. A ten, którego widywała, był nieobecny duchem, pogrążony we własnych myślach. Ucieszyła się, widząc go tutaj. Była niemal zachwycona z tak w sumie mało ekscytującego wydarzenia.

- Mam luźniejszy dzień - odpowiedział i pochylił się, żeby cmoknąć ją w usta. Kate od dawna uważała, że cmokanie się w usta na powitanie jest sztuczne, ale nie mogła zmusić się do tego, by powiedzieć Dexterowi wprost, że sobie tego nie życzy. Wiedziała, że nie zdoła wyjaśnić mu należycie swojej niechęci wobec tego gestu, i bała się, że sobie pomyśli, że jest nieczuła, choć według niej to cmokanie w usta było jawną oznaką braku należytej czułości.

Nie odezwała się zatem i oddała pocałunek mężowi.

- Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, co robicie po szkole.

Rozejrzał się wokół placu zabaw, który składał się z wielkiego pirackiego statku i wysokiej obudowanej zjeżdżalni, takiej jak na basenie, tyle że bez wody. Jake był gdzieś we wnętrzu tej budowli. Ben podglądał ich zza pirackiego statku, niemal całkiem widoczny i rozchichotany.

Pół godziny wcześniej doszło do kulminacji kilkudniowych sporów między chłopcami: Jake uderzył Bena, a Ben wyrwał Jake'owi garść włosów. Obaj zaczęli krzyczeć i płakać. Potrzebowali kary, tutaj, w miejscu publicznym. Kate kazała im usiąść pod drzewami, z dala od siebie. Mieli siedzieć wśród liści ze skrzyżowanymi nogami. Wyglądali na przerażonych, a Kate czuła się z tym podle, ale kara poskutkowała. Po jej zakończeniu byli wyraźnie skruszeni.

- To, co zwykle - odpowiedziała Kate. Siedziała przy metalowym kawiarnianym stoliku, na którym stała kawa i butelka wody. Chłopcy - co było nieuniknione - podeszli natychmiast.

- Chce nam się pić - oznajmili. Jej podręcznik gramatyki francuskiej był otwarty zawstydzająco na jednej z pierwszych stron.

Dexter przyglądał się podejrzliwie synom, wykonującym bez słowa tajemnicze ruchy.

- Co oni robią?

Kate starała się nie skrzywić, mamrocząc pod nosem:

- Bawią się w szpiegów. - Nie chciała wyjaśniać, na czym polega zabawa, którą wymyśliła.

- Słucham?

- W szpiegów - powtórzyła głośniej. - Bawią się w szpiegów. Wymyśliłam im tę zabawę.

Dexter dziwnie zeszywniał. A potem zapytał z wymuszonym uśmiechem:

- Na czym ona polega?

- Widzisz te serwetki wystające z ich tylnych kieszeni? - Odkryła kolejne zastosowanie cienkich papierowych trójkątów. Po powrocie do kraju napisze książkę: *101 zastosowań papierowych serwetek*. - Zdobywasz punkt, wykradając serwetkę z kieszeni przeciwnika, ale nie wolno ci go atakować, musisz się do niego podkraść tak, żeby tego nie zauważył. Rzeczą wymaga cierpliwości, ostrożności oraz determinacji.

Dexter rozejrzał się z uśmiechem na twarzy.

- Przyjemnie tu...

Słońce wisiało nisko nad południowym horyzontem, zupełnie jak w zimie, choć dopiero nastał wrzesień. Dzień był stosunkowo ciepły, a dzieci biegały w samych koszulkach. Ale to nisko wiszące słońce zwiastowało coś jeszcze. O zmroku pogoda zmieni się na gorsze, wiedziała o tym doskonale. Zawsze tak było.

Przed odebraniem dzieci ze szkoły zajmowała się codziennymi obowiązkami: praniem, wieszaniem prania na suszarce, zakupami, sprzątaniami łazienki. Wanna i zlew w kuchni zawsze były żółte od minerałów występujących w tutejszej twardej wodzie. Wyglądały jak stare laboratorium chemiczne porzuconej przed laty stacji arktycznej. Musi używać odkamieniaczy albo wybielaczy, albo obu naraz. Poszła więc do *hypermarché* - sklepu znacznie większego od zwykłego supermarketu, zresztą zgodnie z nazwą. Stwierdziła ze złością, że wszystkie nalepki na chemikaliach są po francusku lub po niemiecku, w dodatku takiego słownictwa nie uczyła się na kursie przed rozpoczęciem pracy i nigdy nie będzie się uczyć na lekcjach w szkole językowej Berlitz, na które chodzi dwa razy w tygodniu.

Wróciła do domu po podręczny słownik i zabrała go do sklepu, stojąc po drodze w korku między kilkudziesięcioma blokującymi ulicę traktorami. Traktory należały do producentów mleka, którzy protestowali w takiej czy innej sprawie. Byli wściekli na krowy albo krowy były wściekłe. A może i oni, i krowy byli wściekli na podatki? To prawdopodobne. Wszyscy, zawsze i wszędzie byli wściekli na podatki. Podatkom przydałaby się lepsza reklama.

Zatem wyprawa po środki czystości kosztujące cztery euro zabrała jej, od początku do końca, równe dwie godziny.

Nie potrafiłaby tego wszystkiego wyjaśnić. Nie potrafiłaby się poskarżyć. Nie mogła na nic narzekać. Jeszcze nie. Pewnie nigdy nie będzie mogła. Chciała tego, ba, mówiła mężowi w tajemnicy, że się jej tu podoba. Nie może zacząć się mazać.

- Tak - odpowiedziała. - Przyjemnie...

Kate wydawała się oczywistą kandydatką: postanowiła studiować w Waszyngtonie w takim college'u, w którym nauka predestynowała do pracy w służbie publicznej. Studiowała nie tylko nauki polityczne, ale i hiszpański, a wszystko to w czasach, kiedy główne zagrożenia dla państwa sytuowano w Ameryce Łacińskiej, a najważniejsze dane wywiadowcze pochodziły zza południowej granicy. Jej rodzice nie żyli, nie utrzymywała bliskich kontaktów z pozostałymi członkami rodziny, a w zasadzie z nikim. Potrafiła nawet

obchodzić się z bronią, jej ojciec był myśliwym, a pierwszy strzał z samopowtarzalnego remingtona oddała, mając jedenaście lat.

Idealnie pasowała do wymaganego profilu. Jediną wadą Katherine był brak deklarowanego patriotyzmu. Obwiniła swój kraj o to, że zostawił jej rodziców na łaskę losu, że praktycznie skazał ich na śmierć, ponieważ byli ubodzy. Kapitalizm jest bezduszny. Amerykański system opieki zdrowotnej okazał się żałośnie nieskuteczny, a rezultaty jego działań były nieludzkie, wręcz barbarzyńskie. Po kilkunastu latach hegemonii republikanów społeczeństwo ulegało coraz głębszej stratyfikacji i nic nie wskazywało na to, że sytuacja ta może ulec zmianie. Bill Clinton jeszcze niczego nie osiągnął, poza rzuceniem światu w twarz słowa „nadzieja”.

Ale z łatwością przychodziło jej ukrywanie pretensji do państwa, zawsze bowiem ukrywała wszystko przed innymi. Nigdy nie napisała pełnego złości i jadu listu do senatora, nigdy nie przelała gniewu na papier w pracy semestralnej. Nigdy nie brała udziału w pikietach na znak solidarności ze strajkującymi związkowcami, nie maszerowała w demonstracjach protestacyjnych. Był początek lat dziewięćdziesiątych. Działalność polityczna ograniczała się do minimum, więc łatwo przyszło jej nie dać się w nią wciągnąć zgodnie ze zdrowym rozsądkiem czy zwykłym chłodnym wyrachowaniem.

Wiosną pierwszego roku studiów Kate została zaproszona na kieliszek sherry przez profesora stosunków międzynarodowych, wieloletniego pracownika uczelni, który - jak się później okazało - był także „selekcjonerem”, dorabiał sobie na boku jako osoba wypatrująca studentów nadających się do służby. Tydzień później umówili się na kawę w kampusowej kafeterii, a profesor zaprosił ją na spotkanie do swojego biura. Rządowej placówki rekrutującej, jak twierdził, stażystów. Agenda, z którą współpracował, preferuje studentów starszych lat, ale czasem przyjmuje dobrze wykwalifikowanych pierwszoroczników.

Kate okazała się idealnym materiałem na stażystkę, bez dwóch zdań. Z kolei CIA okazała się idealna dla Kate. W jej życiu nie wydarzyło się nic dyskwalifikującego, poza długimi okresami rozczarowań, w których potrafiła jednak błysnąć swoimi możliwościami. Potrzebowała wielkiej sprawy, by wypełnić ogromną pustkę, by okiełznać swój potencjał i ku czemuś go ukierunkować. Urzekł ją romantyzm służby, możliwości dodawały jej sił.

Praca ją pochłonęła, choć nie bez reszty, a ona chłonęła indokrynację. Przyjęła do wiadomości, że ma do odegrania ważną rolę w kluczowej misji wymierzonej w śmiertelnych wrogów. To prawda, że Ameryka, choć niedoskonała, miała się czym poszczycić w porównaniu z, powiedzmy, Kubą, Nikaraguą czy Chile i nie wycierpiała tak wiele jak zrujnowane pozostałości po Związku Radzieckim czy rosnący w siłę potwór Chin, a nawet

przeżywające okres stagnacji i nieskuteczne pod każdym względem zachodnie demokracje. Stany Zjednoczone pozostały jedynym supermocarstwem, a każdy chce grać w drużynie Yankees. No, prawie każdy.

Powitano ją w wielkiej rodzinie Departamentu Operacyjnego, blisko ze sobą związanej i wszechogarniającej, złożonej z takich ludzi jak ona - błyskotliwych, zmotywowanych młodych ludzi, niechętnych jakiegokolwiek zażyłości. Lubiła swoją pracę, choć niektóre jej aspekty sprawiały, że zrywała się w środku nocy ze snu zlaną zimnym potem. Ale w tajnej służbie rozkwitła.

Potem jakimś cudem znalazła w swoim życiu miejsce dla Dextera. A wkrótce i dla dzieci. Jej czas wypełniły sprawy rodziny - prawdziwej rodziny - a tajemnice stały się problemem, bolesnym dyskomfortem, reumatyzmem psychiki. Musiała zostawić za sobą stare życie, które dla niej wyprodukowano, to, którym rządziły inne sentymenty niż miłość. Coraz mniej potrzebowała Firmy. Coraz bardziej potrzebny był jej mąż. I dzieci.

Powoli traciła starą tożsamość i uczyła się nowej. Przecież prędzej czy później wszyscy chcą nowego życia.

6

- To jak na pierwszym roku studiów, nie sądzisz?

Dexter wypluł pianę z pasty do zębów.

- Jak to?

Kate spojrzała na męża w trójpanelowym lustrze. Każdy panel, ustawiony pod innym kątem, odbijał inne fragmenty rzeczywistości i składał je w całość. Łazienkowy kubizm.

- Spotyka się samych nowych ludzi, próbuje przewidzieć, kto okaże się przyjazny, a kto nie; kto będzie wrogiem, kto przegranym unikany na imprezach. - Szczoteczka do zębów wystawała jej z ust, wyjęła ją. - Człowiek wyobraża sobie, dokąd będzie chodził, gdzie będzie pił kawę, robił cokolwiek. I wszyscy są w zasadzie w takiej samej sytuacji: wszyscy szukają własnych dróg, choć robią to razem.

- Tak, to trochę przypomina college - zgodził się Dexter. - Tyle że moje życie wygląda inaczej. Spędzam je na gapieniu się całymi dniami w ekran. Sam. - Nabrał w dłoń wody, żeby przepłukać usta. Był schludnym i czystym mężczyzną, taktownym współlokatorem. - Nie nawiązuję znajomości.

Kate także wypluła pastę i przepłukała usta.

- Czy wiesz, że dzisiaj - ciągnął Dexter - nie odezwałem się praktycznie do nikogo? Z wyjątkiem tych, u których zamawiałem kanapkę z piekarni. *Un petit pain jambon-fromage, merci.* Tylko tyle dzisiaj powiedziałem. - Powtórzył francuskie zdanie, licząc przy tym na palcach. - Dziesięć sylab. Skierowanych do nieznanego.

Kate również nie miała jeszcze przyjaciół. Znała parę osób po imieniu, ale z pewnością nie nazwałaby ich prawdziwymi przyjaciółmi. Ale ponieważ Dexter wyłożył na stół swoją bolesną i wszechogarniającą samotność, byłoby jej głupio z nim się porównywać.

- Byłam dzisiaj na lunchu z taką jedną kobietą... - powiedziała. - Ma na imię Julia. Umówiono nas ze sobą, to było jak randka w ciemno.

Schowała do szafki tubkę kremu pod oczy, postawiła ją obok kryształowej, wyjątkowo dekoracyjnej, buteleczki. Po raz ostatni perfumowała się chyba w college'u, dostała na walentynki prezent od podrywającego ją chłopaka. W pracy nie pozwalano używać perfum - łatwo się je zauważa, zapamiętuje, identyfikuje i wysledza. A nikt tego sobie nie życzył.

- Teraz najlepsze: wyobraź sobie, że ona jest z Chicago!

Dexter zerknął na nią kątem oka w lustrze.

- Jesteś pewna, że możesz się z nią zaprzyjaźnić, Kat? - Nie mógł podarować sobie

okazji, żeby nie obrócić tego w żart, choć tym razem wcale nie było mu do śmiechu. Dowcip, jak większość jego pocałunków, był nienaturalny.

- Postaram się. - Powąchała perfumy. Te były walentynkowym prezentem od męża. Może zacznie ich używać? Przecież już jej wolno... - A przy okazji, Dexter...

- Uhm?

- Czy mógłbyś przestać nazywać mnie Kat? I Katherine? Chcę być tutaj zwykłą Kate.

- Przepraszam. Bez przerwy zapominam. - Pocałował ją w usta, pachniał świeżą miętą. - Potrzebuję trochę czasu, żeby przyzwycząić się do nowej żony.

Ten pocałunek nie był zdawkowy. Opuścił rękę do jej nadgarstka, a potem skierował ją ku gumce przy majtkach.

- Chicago, co? - Zachichotał i dotknął ustami jej szyi, a dłoń przesunął na udo.

Dopiero znacznie później zdała sobie sprawę, że to Chicago powinno być pierwszą wskazówką.

Dlaczego nigdy nie powiedziała Dexterowi prawdy?

Na początku ich związku mówienie mu czegokolwiek byłoby, rzecz jasna, absurdalne. Nie miałyby najmniejszego sensu, póki się nie pobrali. Ale później?

Spojrzała na niego. Czytał, jak zawsze. Dexter pochłaniał książki, choć nie tylko, także czasopisma techniczne i gazety bankowe. Czytał poważne opracowania i - co zdumiewające - spokojne angielskie powieści detektywistyczne, które Kate zaliczała do literatury kobiecej. Przy łóżku zawsze piętrzył się stos książek, jedyne ustępstwo na rzecz bałaganu w jego schludnym i uporządkowanym świecie.

Co kazało jej nie wyjawiać mu niczego? Już po ślubie czy po urodzeniu dzieci... Czy wreszcie po tym, jak przestała pełnić funkcję oficera operacyjnego.

Nie chodziło wyłącznie o protokół, choć nie da się zlekceważyć jego wymogów. Czy to możliwe, że zwyczajnie wstydziła się przyznać, że okłamywała go przez tyle lat? Im dłużej nie mówiła mu prawdy, tym straszniejsza wydawała się jej rozmowa, w której musiałaby ją wyznać. „Dexter, mam ci coś do powiedzenia...” Chryste, to byłoby potworne!

Poza tym nie chciała mówić mu o tym, co zrobiła, do czego musiała być i do czego wciąż jest zdolna. A jeśli nie mogła mu powiedzieć całej prawdy, jeszcze bardziej gardziłaby sobą za wyjawienie półprawdy. To byłoby znacznie gorsze. A ponieważ najgorszym, co się jej przydarzyło, był tamten poranek w Nowym Jorku, który stał się powodem, że z tym wszystkim skończyła, bez wyjaśnienia wszystkiego jej historia pozostałaby niepełna, nie

miałaby sensu. A bez wyjaśnienia wszystkiego jej historia nie dałaby się obronić.

Musiała też przyznać przed sobą, że jakaś niewielka część jej wymuszonej dyskrecji wynikała z przyrodzonej skrytości, chęci zatrzymania czegoś tylko dla siebie. Dopóki nie wyjawি Dexterowi wszystkiego, ma szansę powrotu do starego życia. Do tajnych operacji. I znów będzie mogła być kimś, kto nie powierza nikomu, nawet własnemu mężowi, swoich największych sekretów. Kimś, kto zawsze dochowuje tajemnicy.

Punktualnie o dziewiątej zameldowała się w pokoju hotelowym w Penn Quarter, tak jak jej polecono. Usiadła. Miała przed sobą żółty notes i długopis Bic oraz sympatycznego z wyglądu mężczyznę, o imieniu Evan. Przez następne osiem godzin zadawał jej niezliczone pytania na temat wszystkich operacji, w których kiedykolwiek uczestniczyła, wszystkich pieniędzy i dóbr, którymi zarządzała, i na temat każdego guzika, którego nie mogła ostatnio dopiąć.

Tak było przez trzy dni, aż w końcu Evan zapytał:

- A co z Sarajewem?

Wcześniej omówili już wszystko, co mogła przypadkowo przeoczyć w raportach z misji: adresy biur, nazwiska dyplomatów, opisy ich przyjaciółek. Potem zajęli się mniej ważnymi sprawami - pierwszymi ćwiczebnymi misjami w Europie, podrzucaniem przesyłek do skrzynki kontaktowej w przebudowanym palazzo przy Piazza Navona, nawiązywaniem pierwszych kontaktów z baskijskimi nacjonalistami w Bilbao, śledzeniem kuriera z pieniędzmi po brukowanych uliczkach i prywatnych instytucjach bankowych w Luksemburgu.

Teraz, bez wątplenia, mieli przejść do tego, co się nie wydarzyło.

- Nigdy nie byłam w Sarajewie - odpowiedziała.

- Ani razu?

- Ani razu.

- Ale twój mąż tam był. Niedawno. - Evan podniósł głowę znad swojego żółtego, wypełnionego bazgrołami i podkreśleniami notesu. Były tam też wielkie ikсы, wykrzykniki i strzałki. - Po co?

Nikt nie chce się przyznać, że nie ma zielonego pojęcia o poczynaniach współmałżonka, o jego nawykach i skłonnościach. Kate nie chciała rozmawiać o zagranicznych podróżach Dextera. Nie dostrzegała związku między nimi a swoją pracą.

- Nie wiem - odpowiedziała, starając się, żeby za wszelką cenę zabrzmiało to

niewinnie. - Praca.

W końcu zaczęła nadchodzić poczta; zmiana adresu i przekierowanie przesyłek wreszcie zadziałało. Kate otworzyła kopertę od rządu Stanów Zjednoczonych - czek będący rekompensatą za niewykorzystany urlop. Będzie musiała odesłać ten kawałek papieru przez ocean na swój dolarowy depozyt. Notarialnie podpisana umowa najmu na dom w Waszyngtonie - wreszcie! Musieli go wynająć niestety za nieco mniejszy czynsz niż wysokość spłacanej hipoteki. Trochę reklam: podmiejski ośrodek fitnessu z Wirginii, zaproszenie do klubu książki... Kluby książki naprawdę istnieją?

W poczcie nie było wyciągów z konta bankowego Dextera. Miała nadzieję, że dowie się z nich, jak nazywa się jego pracodawca. Z drugiej strony pracodawca Dextera przelewał zapewne wynagrodzenie na firmowe konto jej męża. Dexter nie był już pracownikiem etatowym, lecz niezależnym przedsiębiorcą. Miał własne biuro i na jego adres przesyłano firmową korespondencję. Była trochę nieufna - ale kto by nie był? - choć napominała siebie raz po raz, że biorąc ślub, zawarła w kontrakcie małżeńskim tajną klauzulę: nigdy nie śledzę męża.

Bo wcześniej, przed ślubem, sprawdzała go, rzecz jasna, niejednokrotnie. Po raz pierwszy tuż po tym, jak się poznali na targu Dupont Circle. Oboje sięgnęli po to samo jabłko z przeciwnych stron. Był piękny letni poranek, miła pora dnia. Oni oboje na naturalnych endorfinach po porannej porcji wysiłku fizycznego - Dexter biegał, a Kate jeździła regularnie, choć niezbyt długo, na rowerze. Zatem oboje byli w mało charakterystyczny dla siebie sposób otwarci na bliźnich. Wstąpili na kawę do księgarni przy pobliskiej ulicy, każde niosło torbę owoców i warzyw w drodze powrotnej do swoich mieszkań, które - jak się okazało - dzieliło zaledwie kilka przecznic. Wyglądało to na absolutnie przypadkowe spotkanie. Zbyt przypadkowe.

Kate od razu pomyślała, że to pułapka. Usiadła z komputerem na kolanach w oknie wykuszowym kamienicy z żółtej cegły, słyszała dobiegający z dołu stłumiony płacz niemowlęcia. Zalogowała się do bezpiecznego serwera i zaczęła przeglądać przeróżnych amerykańskich Dexterów Moore'ów, aż trafiła na tego, który ją interesował. Szła tropem numeru ubezpieczenia społecznego z jednej bazy danych do drugiej: college i waszyngtoński wydział komunikacji, wydział oświaty w Arkansas; ojciec był notowany - napaść kwalifikowana w Memphis; starszy brat służył w wojsku, zginął w Bośni.

Po upływie godziny była usatysfakcjonowana: ten Dexter Moore był praworządnym

obywatelem. Podniosła telefon i wybrała jego numer, zaprosiła go do kina. Pod koniec tygodnia będzie musiała wyjechać z miasta na cały miesiąc - może dłużej - do Gwatemali, gdzie będzie ją można spotkać głównie w porastającej północną część kraju dżungli.

Dwa lata później zagłębiła się jeszcze bardziej w życie Dextera, w jego billingi telefoniczne i wyciągi z konta. Niezauważenie pobrała od niego komplet odcisków palców i porównała je z bazą danych CIA. Potwierdziła ponownie, że Dexter był tym, za kogo się podawał - idealnie prostolinijnym i niewątpliwie godnym szacunku mężczyzną.

Wcześniej powiedziała już „tak”.

To było sześć lat temu. Wtedy po raz pierwszy potrafiła zawiesić na kołku swoją nieufność wobec innych, wtedy uwierzyła na nowo w ludzką niewinność. Wiarę tę utraciła znacznie wcześniej, jako nastolatka, kiedy na jej rodzinę zaczęły spadać kolejne nieszczęścia.

Więc wtedy uwierzyła - chciała wierzyć, musiała wierzyć - że będzie w stanie odsunąć od siebie cynizm i poślubić tego mężczyznę, prowadzić z nim w miarę normalne życie. Kiedy sprawdziła go dokładnie ku pełnej własnej satysfakcji, obiecała sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobi.

Zdawała sobie sprawę, nawet wtedy, że skazuje się na dobrowolną ignorancję, że sama chce się oszukiwać przez wszystkie kolejne lata.

- Ben! - zawołała, zatrzymując młodszego syna, biegnącego jako karetka pogotowia do nagłego wypadku.

- No?

- Chodź do mnie... - Rozłożyła ręce, a chłopiec rzucił się na nią i objął chudymi rączkami jej uda. - Kocham cię - powiedziała.

- Ja też, mamusiu, ale muszę biec i kocham cię, pa, pa.

Być może sama się oszukiwała. Ale potrzebowała tego i chciała usłyszeć właśnie to.

Nie mogła się opanować. Otworzyła segregator i zaczęła przerzucać szybko wyciągi z kart kredytowych, polisy ubezpieczeniowe, stare rachunki za prąd. Nic. Zmieniła podejście i zaczęła działać wolniej, wyjęła po kolei wszystkie segregatory z dolnej szuflady biurka i przyglądała się uważnie każdemu świstkowi papieru, wytrząsała instrukcje obsługi routerów i napędów zewnętrznych, i wież stereo, które z całą pewnością zostały w Waszyngtonie.

Zaparzyła sobie nową filiżankę kawy i wróciła do dolnej szuflady, zaczynając od końca. Trafiała na starą szarą kopertę, zmiętą, z oderwanym nagłówkiem REFINANSOWANIE HIPOTEKI. W środku między uniwersalnym wnioskiem kredytowym

a oceną zdolności kredytowej znalazła to, czego szukała: podstawową umowę świadczenia usług między Dexterem Moore'em a Kontynentalnym Bankiem Europejskim.

Kate przeczytała dwie strony prawniczego żargonu - dwukrotnie. Nie było w nim absolutnie nic godnego uwagi.

Przez chwilę była zła na Dextera, że ukrył przed nią ten kontrakt. Ale, rzecz jasna, nie miał innego wyjścia, jeśli chciał zachować w tajemnicy nazwę banku.

Więc mu wybaczyła. A na dokładkę zganiła samą siebie za to, że mu nie ufa i że grzebie w jego dokumentach. Ale nade wszystko za to, że zrobiła coś, czego obiecywała sobie nie robić, i za uczucia, których mieć nie chciała.

A potem wybaczyła sobie samej i poszła do szkoły, żeby odebrać dzieci.

- Moi rodzice - powiedziała Kate - nie żyją. Oboje... Razem z siostrą pochowałyśmy ich rok po roku.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Julia. - A gdzie jest teraz twoja siostra?

- W Hartford, jak przypuszczam. Albo w New London. Nie utrzymujemy ze sobą kontaktów.

- Pokłóciłyście się?

- Niezupełnie - odpowiedziała Kate. - Emily jest pijaczką. I ćpunką też... Przeważnie...

- Coś okropnego!

- Kiedy moi rodzice zachorowali, nikt się nimi nie zajął. Brakowało pieniędzy. Oboje byli za młodzi na Medicare[1], a firma, w której pracował mój ojciec, zakłady elektroniczne, przestała istnieć. Później oboje pracowali dorywczo, bez ubezpieczenia, i wtedy zachorowali. To ich załatwiło. To nieludzkie, jak ich potraktowano.

- I dlatego postanowiłaś wyjechać za granicę?

- Nie. To dla nas nowe doświadczenie. Ale nie ukrywam, że czuję jakiś żal. Zresztą nie wiem, czy słowo „żal” jest właściwe. Rozczarowanie? Nie zrozum mnie źle, kocham Amerykę. Ale nie ślepo. A moja siostra... poddała się po tej katastrofie. Sama ściągnęła na siebie zgubę.

Kiedy Emily pogрузzyła się w narkotykach i alkoholu, Kate wzniosła wokół siebie mur odrętwienia, z nikim niezwiązana i niepragnąca związków - stała się samotną pracoholiczką. Właśnie wtedy zaczęła odgrywać jedną z tych ról, które miały zdefiniować jej lata dorosłe - rolę męczennicy. Opiekunki i żywicielki rodziny, i tej, która zajmuje się całym domem. Która się poświęca i cierpi. Nie miała pojęcia - póki to trwało - jak bardzo delektowała się tą pozą.

- W końcu musiałam przestać zajmować się siostrą. Emily nie chciała sobie pomóc.

- Przestałyście ze sobą rozmawiać?

- Emily nigdy nie potrzebowała bliskości. Kiedy nasi rodzice zmarli i przestałyśmy utrzymywać kontakty z dalszą rodziną, w ogóle nie musiałyśmy ze sobą rozmawiać. W żadnej sprawie. Więc było nam łatwo do siebie nie dzwonić.

To nie była prawda. Kate regularnie dzwoniła do niej przez lata po śmierci rodziców, przez całe studia i cały powolny proces staczania się siostry. Ale kiedy rozpoczęła pracę w Firmie, utrzymywanie więzi z Emily stało się nie tylko problemem osobistym, ale i poważnym ryzykiem zawodowym. Obciążeniem, które można było wykorzystać przeciw niej. Wiedziała, że musi pozbyć się współczucia dla siostry, choć je w sobie pielęgnowała, że musi zedrzeć je z siebie jak stare zabłocone ubranie, którego nie da się już uprać ani naprawić, bo nadaje się tylko do śmieci.

Podczas jej pierwszego roku pracy w CIA Emily odzywała się parokrotnie, ale Kate nie odpowiadała. Potem zapadła cisza na pięć lat, po których Emily wylądowała w więzieniu i trzeba było wpłacić kaucję. Ale Kate była wtedy w Salwadorze i nie mogła jej pomóc. A kiedy wróciła do Stanów, pomoc jej już nie chciała.

- Z rodziną Dextera nie było lepiej - ciągnęła Kate. - Jego matka, Louise, nie żyje, a ojciec ożenił się ponownie z jakąś okropną babą. A brat Dextera zginął...

- Zginął? To straszne.

- Miał na imię Daniel. Był dużo starszy od Dextera; kiedy przyszedł na świat, jego rodzice, Andre i Louise, sami byli jeszcze dziećmi. Daniel wstąpił do piechoty morskiej pod koniec lat osiemdziesiątych. Parę lat później został oficjalnie zdemobilizowany i znalazł się nieoficjalnie na Bałkanach, jako jeden z tak zwanych doradców wojskowych, działających na własną rękę. Daniel był zwykłym najemnikiem, jak oni wszyscy.

- Uau.

- Jego ciało znaleziono w jakimś zaułku Dubrownika.

- Mój Boże - szepnęła Julia. Wydawała się zadziwiająco niezaskoczona. A może odwrotnie - była tak wstrząśnięta, że nie potrafiła okazać zdziwienia. Kate nie umiała orzec, która z tych ewentualności jest prawdziwa.

- Tak...Tak to wyglądało... - Zmiana biegów. - Opowiedziałam ci pewnie znacznie więcej, niż chciałaś usłyszeć, zadając mi pytanie, czy tęsknię za rodziną.

Kiedy Kate skończyła rodzinną sagę, Julia opowiedziała jej o swoim spotkaniu z

Billiem. Brała udział w cichej aukcji charytatywnej, na której wystawiła swoje usługi dekoratorskie, usiłując upiec na jednym ogniu nie dwie, ale kilka pieczeni - dobroczynność, nawiązywanie kontaktów, zdobywanie klientów i wchodzenie w kręgi towarzyskie. A Bill robił to, co robią zazwyczaj młodzi finansisci - wydawał nadmiar gotówki, chcąc zdobyć odpowiednią kobietę. To znaczy dwudziestoparoletnią niezamężną pannę z towarzystwa, z gatunku tych pojawiających się na koktajlach, na które wstęp kosztuje pięćset dolarów od lebka, a dochód z przyjęć przeznaczają się na stypendia dla ubogiej młodzieży z podejrzanych dzielnic miasta.

Bill zakładał, że Julia jest taką właśnie kobietą. Kiedy po trzech godzinach pozbawiła go złudzeń, oboje byli już od jakiegoś czasu nadzy. Nie da się ukryć, że to Julia przyspieszyła bieg wypadków, gdyż nie mogła uwierzyć we własne szczęście, gdy stwierdziła, że zainteresował się nią ten niezwykle przystojny mężczyzna.

- Przez lata... - powiedziała Julia -...przekonałam się, że mężczyźni interesują się mną jeszcze bardziej, kiedy się rozbiorę. - To nie był żart, domyśliła się Kate.

Wjeżdżały na pełen aut parking przed gigantycznym sklepem o nazwie Cactus. Wskoczyły z samochodu, w ulewnym deszczu pobiegły w stronę wejścia i dopiero pod dachem złapały oddech.

- Cholera... - Julia grzebała w torebce. - Zostawiłam komórkę w samochodzie. Wrócę po nią...

- Pójdę z tobą - zaproponowała Kate.

- Nie, nie. Nie ma sensu, żebyś niepotrzebnie mokła. Wejdz do środka, ja pobiegnę i zaraz wrócę.

Kate wyjęła kluczyki z torebki.

- Jak chcesz.

- Dzięki.

Kate spojrzała przez parking na drogę, na mokre ponure przedmieście, betonową pustynię wypełnioną sklepami z półkami uginającymi się od różnych górien, których nie potrzebowała i nie miała zamiaru kupować. To wspólne wyjście z Julią było pomyłką. Mogły zaplanować coś innego. Wypić gdzieś kawę, obejrzeć coś w Niemczech albo zjeść lunch we Francji. Zorganizować sobie miniwypad za granicę.

Podróże stawały się powołaniem Kate. Kiedy tylko wrócili z Kopenhagi, do której wybrali się na pierwszy wspólny weekend, zaczęła planować kolejny rodzinny wypad. W najbliższy weekend pojedą do Paryża.

- Dzięki - powiedziała Julia, strzepując wodę z parasola. Oddała kluczyki Kate z

dziwnym, nieprzeniknionym uśmiechem.

Dziś, 11:02

Kate dochodzi do rogu i skręca w rue de Seine, znikając z rue Jacob i z oczu tych, którzy mogą ją obserwować. Dopiero wtedy pozwala sobie na oddech, zatrzymuje się i wypuszcza powietrze, które mimowolnie wstrzymywała, pogrążona coraz głębiej w myślach, w rozważaniu opcji. W panice.

Mieszkali w Paryżu od roku, nie rzucając się w oczy, bez ostentacji, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi czy podejrzeń. Powinni wyjść na prostą.

Skąd więc wzięła się tutaj ta kobieta? Właśnie teraz?

Narastający niepokój każe Kate przystanąć, ukryć się wraz ze swoim rozkojarzeniem pod łukiem olbrzymiej drewnianej bramy, której jedno skrzydło uchyla się nagle, pchnięte przez maleńką zgrzybiałą staruszkę w nienagannym kostiumie bouclé, z laską w rękę. Obrzuca Kate wyzywającym spojrzeniem, które jest wynalazkiem wszystkich francuskich staruszek.

- *Bonjour!* - skrzeczy przeraźliwie, a Kate o mało nie pada trupem.

- *Bonjour* - odpowiada. Za plecami staruszki widać jasne, porośnięte zielenią zadane podwórko, na drugim końcu, na ścianach wiszą skrzynki na listy, przewody elektryczne i luźne druty, a niżej opierają się spięte łańcuchami rowery. W kamienicy Kate jest podobny pasaż, a w całym Paryżu są ich tysiące. I wszystkie współzawodniczą ze sobą w konkursie na najlepsze miejsce do dokonania morderstwa.

Kate rusza dalej, zatopiona w myślach. Przystaje ponownie przed dużą witryną galerii sztuki. Współczesna fotografia. Przygląda się w szybie odbiciom przechodniów, w większości kobiet ubranych podobnie do niej, i idealnie do nich pasujących mężczyzn. Widzi stado niemieckich turystów w sandałach i skarpetkach i tercet młodych wytatuowanych Amerykanów z plecakami.

Wzdłuż krawędzi chodnika po jej stronie ulicy przechadza się mężczyzna, który nie pasuje do obrazu, idzie zbyt wolno, ma źle dopasowany garnitur i zupełnie niepasujące do niego obuwie, wiązane na sznurówki buty trekkingowe na gumowej podeszwie - zbyt nonszalanckie, zbyt ohydne. Przygląda się mu, kiedy ją mija, odprowadza go wzrokiem w górę ulicy, gdzie znika.

Nie odrywa oczu od witryny, lecz teraz patrzy w głąb, a nie na odbicia w szybie. Jakies pół tuzina ludzi szwenda się po dużych przestronnych salach w amfiladzie. Drzwi wejściowe są otwarte, zablokowane plastikową podkładką, wpuszczają do środka świeże

jesienne powietrze. W środku na pewno panuje rozgwar. Na tyle głośny, by mogła odbyć rozmowę telefoniczną, która nie zwróci niczyjej uwagi.

- *Bonjour* - zwraca się do sztywnej dziewczyny w recepcji. Można by ją wymienić na każdą inną ślicznotkę, która stoi za kasą lub odgrywa hostessę w centralnych dzielnicach Paryża, by przykuć uwagę przechadzających się ulicami pieniędzy.

- *Bonjour, madame.*

Kate czuje na sobie jej krytyczne spojrzenie, szacujące wartość obuwia, torebki, biżuterii i fryzury, oceniające wreszcie jej osobę jako całość. Jeśli te młode paryskie sprzedawczynie znają się na czymkolwiek, to z pewnością na szybkiej analizie potencjału klienta, która skutkuje brakiem ich zainteresowania. Kate wie, że przeszła test pomyślnie.

Ogląda wielkoformatowe druki w pierwszej sali, na poły abstrakcyjne krajobrazy: równe skiby zaoranych pól, powtarzające się fasady modernistycznych biur, falujące kręgi na powierzchni wody. Te zdjęcia mogą pochodzić zewsząd, z dowolnej części świata.

Pilnie studiuje każdą fotografię przez kilka obowiązkowych sekund, po czym przechodzi do następnej i do kolejnej sali, w której wiszą widoki plaż. W tej sali są tylko jacyś młodzi Hiszpanie, rozmawiający ze sobą donośnymi głosami z madryckim akcentem.

Kate wyjmuje telefon.

Udawala przed sobą, że już nigdy nie spotka tej kobiety. Ale nie udało się jej przekonać siebie do końca. W gruncie rzeczy zawsze wiedziała gdzieś w głębi duszy, że stanie się inaczej. Że spotka ją dokładnie tak jak dziś.

Czy to przeszłość Dextera w końcu go dopadła?

Naciska guzik szybkiego wybierania.

Czy jej własna?

W Paryżu czas wolny spędzała w dzielnicy Marais. Dexter zgodził się, że każdy ma prawo oglądać niektóre miasta na własną rękę. Podróże nie są zabawne, jeśli nie można obejrzeć tego, co się chce, stają się wówczas pracą i obowiązkiem innego rodzaju w innym miejscu.

W Kopenhadze dwa tygodnie wcześniej Kate spędzała przyznane jej wolne godziny, spacerując po butikach w centrum miasta. Teraz na czterech połączonych ze sobą podwórkach, noszących nazwę Village St-Paul, kupiła zestaw starych filiżanek do herbaty, grawerowane srebrne wiaderko do lodu i emaliowaną solniczkę - domowe, antykwaryczne, bardzo francuskie drobiazgi. Kupiła także parę mocnych płóciennych pantofli na gumowej podeszwie, by chronić stopy przed kamieniami Luksemburga i... Paryża. Wszystkich brukowanych ulic Europy.

Na błękitnym niebie wisały wysokie pierzaste obłoki, babie lato, siedemdziesiąt stopni czy jak kto woli dwadzieścia jeden tutejszych stopni Celsjusza. Tak powinna teraz mówić i myśleć.

Kate ciągle nie mogła się przyzwycząić do myśli, że wolno jej spacerować po obcych miastach, zupełnie nie dbając o to, że ktoś może chcieć - z dowolnego powodu - ją zabić.

Wróciła zakosami ku rzece, by spotkać się z mężem i dziećmi na Île St-Louis. Po czterech samotnych godzinach już tęskniła, nie potrafiła przestać wyobrażać sobie ich roześmianych buzi i oczu, chudych rączek. Sporą część nowego życia zabierało jej marzenie o tym, że chciałaby uciec od dzieci, a pozostała niecierpliwienie się, kiedy znów je ujrzy.

Stała przed *brasserie*, weszła do środka, ale nie zobaczyła chłopców. Usiadła przed cukiernią, mrużąc oczy od słońca. Widziała, jak nadchodzą od strony Île de la Cité, mając za plecami masyw katedry Notre Dame z rzygaczami i łukami przyporowymi. Chłopcy biegli przez most tylko dla pieszych łączący jedną wyspę z drugą. Śmigali między ludźmi, rowerzystami i spuszczoneymi ze smyczy terierami Jack Russell.

Kate wstała, zawołała ich, pomachała ręką. Biegli prosto ku niej, żeby ją uściskać i ucałować.

- Mamusiu, patrz! - Jake podsunął jej pod nos plastikową figurkę Batmana w czarnej pelerynie.

- Ta! - wrzasnął Ben, tak podekscytowany, że nie mógł się opanować. - Patrz! - Ben miał Spider-Mana.

- Trafiliśmy do księgarni z komiksami - przyznał Dexter. - Nie mogliśmy się oprzeć. - Było mu wstyd i wyraźnie ją przepraszał za to, że kupił dzieciom w Paryżu gówniane amerykańskie zabawki produkowane w Azji.

Kate wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru krytykować go za to, jak dawał sobie radę z dziećmi - przeszła już ten etap.

- Ale byliśmy też w normalnej księgarni, prawda, chłopcy?

- No... - potwierdził Jake. - Tata kupił nam *Mikrego Księcia*.

- *Małego*.

- No właśnie. To fajna mała książeczka, mamusiu - stwierdził Jake tonem krytyka literackiego.

- No właśnie - zawtórował Dexter. - Kupiliśmy *Małego Księcia* w księgarni Shakespeare and Company.

- No... - potwierdził Jake. Był w ugodowym nastroju. - Kiedy go przeczytamy? Teraz?

- Nie w tej chwili, mój mały - odpowiedziała. - Może później.

Jake westchnął, dając wyraz wielkiemu chłopięcemu rozczarowaniu, jakie przydarza się dzieciom sto razy dziennie w każdej sprawie, we wszystkich sprawach albo bez powodu.

- *Monsieur?* - Obok Dextera pojawił się kelner, a Dexter zamówił piwo. Kelner cofnął się, by przepuścić dwoje Rosjan w średnim wieku, którzy hałaśliwie i ostentacyjnie wstali od stołu. Kobieta była obładowana torbami z absurdalnie drogich butików przy rue St-Honoré, ulicy położonej jakieś półtora kilometra dalej. Rosjanie zaszli za daleko i trafili do złego miejsca.

- *Et pour les enfants?* - zapytał kelner, nie zwracając uwagi na Rosjan. - *Quelque chose à boire?*

- *Oui. Deux Fanta, orange, s'il vous plaît. Et la carte.*

- *Bien sûr, madame.* - Kelner zabrał z sąsiedniego stołu dwa oprawne w skórę menu, a potem znów się cofnął, by zrobić miejsce innym gościom zajmującym zwolnione miejsca.

Wczorajszy obiad - pominąwszy nawet „wielkie szare babole pływające w smarkach”, jak Jake był łaskaw opisać koktajl z krewetek - nie smakował chłopcom, więc Kate modliła się w duchu, żeby w tej *brasserie* serwowano dania przyjazne dla dzieci. Przeglądała gorączkowo menu.

Mężczyzna przy sąsiednim stole zamówił drinka, a kobieta dodała znanym Kate głosem:

- *La même chose.*

Podniosła głowę. Naprzeciw niej przy sąsiednim stole siedział oszałamiająco

przystojny mężczyzna, a naprzeciw Dextera kobieta w przeciwsłonecznych okularach. Kate również miała ciemne okulary na nosie, zatem z tego powodu oraz z powodu konfiguracji przy stołach i studiów nad jadłospisem - Kate skłaniała się ku duszonej wieprzowej golonce z zawsze smacznym musem jabłkowym - minęła dobra minuta, zanim siedzące przy sąsiednich stołach kobiety zdały sobie sprawę, że doszło do przypadkowego spotkania.

- O mój Boże!

- Julia! - powiedziała Kate. - Co za niespodzianka!

- A więc to tak... - odezwał się z uśmiechem Dexter. - Kobieta z Chicago! - Nie przepuścił okazji, by wbić Kate szpilę.

Kopnęła go pod stołem.

Zamówili drinki i postanowili, że zjedzą wspólnie obiad później. Bill podpowiedział, że w hotelu można prawdopodobnie wynająć opiekunkę do dzieci, i okazało się, że miał rację. Kate przekonała się szybko, że Bill należy do tego gatunku mężczyzn, którzy zawsze mają rację.

Nakarmili dzieci i wrócili do hotelu. W recepcji obiecano im, że opiekunka pojawi się o 22:00. Kate i Dexter położyli chłopców do łóżek, mając nadzieję, że synowie wykażą się dorosłością, gdy zdarzy im się obudzić w nocy na siusiu, picie czy z powodu koszmarów, i zastaną w pokoju obcą dziewczynę, która prawdopodobnie nie mówi po angielsku.

O wpół do jedenastej czwórka lekko podпиты dorosłych wyszła na ulicę, zmierzając do jakiejś modnej restauracji wybranej przez Billa. Restauracja mieściła się przy cichej, pozornie wyludnionej ulicy, lecz w środku była ożywiona atmosfera, panował ścisk, upał i gwar; kolana uderzały o krawędzie stołów, krzesła podsuwano pod ściany, kelnerzy zgrabnie lawirowali między stołami z naręczami talerzy i półmisek, stukały kieliszki, noże i widelce.

Kelner wsadził nos do pękatego kieliszka, zmarszczył brwi i ocenił krytycznie wino, które miał za chwilę nalać. Uniósł brwi, co było widocznym na twarzy odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

- *Pas mal* - orzekł. „Nieźle”. Musiał wsuwać się, tańczyć i obracać wokół stołu, by rozlać wino do kieliszków w odpowiedni sposób; omijał innych gości i kelnerów, nie zwracając uwagi na unoszone kapryśnie ręce jakichś niezadowolonych klientów.

Kate wyjrzała ponad firaneczkami zawieszonymi w połowie okna - nazywano je „zadrostkami”, teraz rozumiała dlaczego - na drugą stronę ulicy, gdzie na pierwszym piętrze kamienicy za ozdobną secesyjną poręczą biegł płytki balkonik przed niesamowicie długimi

oknami, w których migotało światło świec widocznych za rozwiewanymi przez wiatr firanami bez zasłon. W głębi pokoju trwało przyjęcie, przesuwwały się kształty, drgały płomienie, aż w końcu jakaś kobieta rozsunęła firany, by wydmuchnąć papierosowy dym na ulicę przez uchylone francuskie okno. No właśnie, francuskie okno!

Panowie rozmawiali o nartach. Bill raczył Dextera opowieściami o Zermatt, Courchevel i Kitzbühel. Bill znał się na wszystkim, był jednym z tych facetów, którzy mają ulubione uzdrowisko w Alpach, ulubioną karaibską wyspę i ulubiony rocznik bordeaux. Zbadał dogłębnie wiązania do nart i tenisowe naciągi, uwielbiał angielskie rugby i kultowe seriale telewizyjne z lat sześćdziesiątych.

Dexter był nim zachwycony.

Bill podniósł butelkę i rozlał wszystkim po równo to, co w niej zostało - do ostatniej kropli. Potem podniósł mankiet, by zerknąć na zegarek - drogi zegarek bogatego faceta. Z metalowym paskiem. Dexter miał timexa z drugstore'u.

- Prawie północ - oznajmił Bill.

- Wypijemy jeszcze jedną butelkę? - zapytała Julia, rozglądając się po twarzach przyjaciół, szukając na nich sprzeciwu, potwierdzenia albo obojętności.

- No... możemy wypić... - odpowiedział Bill, pochylając się konfidencko ku pozostałym, by dodać szeptem: - Albo też możemy pójść do takiego miejsca, które znam.

- *Nous sommes des amis de Pierre.* - Bill zwrócił się do odźwiernego.

Stali na szerokim chodniku przy cichym bulwarze po drugiej stronie Pont d'Alma.

- *Est-il chez lui ce soir?*

Mężczyzna za aksamitnym sznurem odgradzającym wejście był wielki, czarny i łysy.

- *Votre nom?*

- Bill Maclean. *Je suis Américain.*

Bramkarz uśmiechnął się na tę oczywistość i wskazał głową wiotkie dziewczę w srebrzystej sukni, które stało kilka metrów dalej, paląc papierosa. Sama wyglądała jak papieros. Dziewczyna strzeliła niedopałkiem i weszła do środka.

Kate, Dexter, Julia i Bill czekali wśród tuzina ludzi, którzy również czekali - prawdopodobnie na to samo. Może nawet dokładnie na to samo w wykonaniu dokładnie tej samej osoby. Wszyscy byli domniemanymi przyjaciółmi Pierre'a.

Dexter i Kate nie robili czegoś takiego w Waszyngtonie. Ani nigdzie indziej. Ujął ją za rękę. W rześkim jesiennym powietrzu miał zimne palce. Pogłaskał wnętrze jej dłoni

koniuszkiem palca. Kate zdusiła chichot, gdy mąż zasygnalizował potajemnie, że ma ochotę na seks.

Dziewczyna-papieros wyłoniła się z wnętrza przybytku i kiwnęła głową do bramkarza, a potem zapaliła i ponownie przyjęła znudzoną pozę.

- *Bienvenue, Beel* - odezwał się odźwierny.

Inny wielki czarny mężczyzna z krótkim afro stanął przed, a nie za sznurem, odpiął mosiężną klamrę i podniósł grubą aksamitną plecionkę.

Bill pchnął żonę do przodu ku wyrwie w sznurze. Potem zrobił to samo z Kate, dotykając delikatnie dłonią zakietu; czuła jego palce poprzez jedwab i wełnę. Zachnęła się - dotknął ją w zły sposób. Inaczej niż Julię.

- *Merci beaucoup.* - Bill potrząsnął dłonią bramkarza.

Korytarz był mroczny i czerwony, przytłumione światło odbijało się od lśniących i zarazem matowych ścian. Kate podniosła rękę i przesunęła palcami po aksamitnych liliach na satynowym tle. Korytarz rozszerzył się i otworzył, znaleźli się przy krótkim barze i zamówili butelkę szampana. Bill położył kartę kredytową na lśniącym kontuarze, barman ujął ją i położył przy kasie; mieli otwarty rachunek.

Za barem znajdował się maleńki parkiet otoczony niskimi stoliczkami i pufami. Dwie kobiety tańczyły radośnie wokół jednego mężczyzny, który stał nieruchomo, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Taniec minimalistyczny.

Bill pochylił się ku Kate.

- Jest jeszcze wcześniej - wytłumaczył szeptem. - Przyjdzie więcej ludzi.

- Wcześniej? Już po północy.

- To miejsce otwiera podwoje o jedenastej. Nikt tu nie przychodzi na jedenastą.

Zatrzymali się przy stoliku szczupłego mężczyzny o oliwkowej skórze, cuchnącego papierosami, z mnóstwem kolczyków w uszach, z wytatuowanymi przedramionami, z koszulą rozpiętą niemal do krocza. Bill wymienił z nim markowane pocałunki i przedstawił go jako Pierre'a najpierw Kate, potem Dexterowi, a na końcu *ma femme, Julia*. Pierre wydawał się zaskoczony tym, że Bill ma żonę.

Amerykanie usiedli przy stole obok stołu Pierre'a, siedział tam jeszcze jeden identyczny jak Pierre mężczyzna oraz dwie wyglądające na modelki dziewczyny w dzinsach i obcisłych bluzkach, bez grama zbędnego tłuszczu.

Kate upiła kolejny łyk szampana.

Wokół parkietu było ciemno i głośno, a migoczące na parkiecie światła i dudniąca muzyka przyciągały uwagę obecnych ku sobie i ku wirującym ciałom, ku rytmowi i ku głosom, a wszystkie te dystrakcje, całe to sensualne przeciążenie tworzyło paradoksalnie dosyć intymną atmosferę, tarczę energetyczną, zza której Kate mogła w końcu przyjrzeć się uważniej Billowi, mężowi tej kobiety, która w jednej chwili stała się jej najlepszą przyjaciółką na kontynencie.

Bill oparł rękę o gzyms na ścianie, był bez marynarki, miał rozpiętą na dwa guziki koszulę. Ciemne pofalowane włosy były w lekkim nieładzie, uśmiechał się łagodnie jak ktoś, kto pije od sześciu godzin. Wydawał się tu, w tym *club privé* na prawym brzegu Sekwany, zupełnie w swoim żywiole. Pochylił głowę, by nadstawić ucha do Pierre'a, a potem wybuchł głośnym swobodnym śmiechem. Wyglądał jak projektant mody albo reżyser filmowy. W ogóle nie przypominał kogoś, kto handluje walutą.

Dowcip Pierre'a przeszedł do historii, podobnie jak śmiech Billa, który znów zwrócił się do amerykańskiego towarzystwa przy stole i odnalazłszy wzrokiem oczy Kate, spojrzał w nie wymownie, dłużej niż powinien, choć nic przy tym nie powiedział, o nic nie prosił, tylko patrzył. Zastanawiała się, czego w nich szuka i kim, do cholery, jest.

Osobowość Billa, jego obecność, zdominowała otoczenie, Julia wydawała się przy nim mała i nijaka, nawet jeśli głośno dawała o sobie znać. Byli dziwnie dobrani. Bill grał w zupełnie innej lidze niż ona.

- Hej, chłopaki! - Kate zwróciła się do męża i Billa, wyjmując z kieszeni telefon. - Co powiecie na zdjęcie? - Obaj nie byli zachwyceni, choć nie na tyle, by się sprzeciwić.

Kate miała w swym życiu wielokrotnie do czynienia z Billami - samcami alfa, próbującymi prześcignąć jeden drugiego. Jej praca polegała na stawianiu im czoła. Prywatnie unikała ich jak diabeł święconej wody.

- Julio, przysuń się do chłopaków - poprosiła.

Cała trójka wyszczerzyła zęby, Kate zrobiła im zdjęcie.

Spojrzała na mężczyznę po drugiej stronie niskiego zastawionego stolica, jej własnego mężczyznę i tego drugiego. Tego nowego, który emanował bezmiarem pewności siebie, czerpanym Bóg wie skąd, Bóg wie z jak głęboko ukrytego źródła; może był dobry w jakiejś dyscyplinie sportowej albo miał pamięć fotograficzną, albo imponująco okazałe przyrodzenie? Pewność ta wylewała się z niego na zewnątrz w niezwykle elegancki i płynny sposób, jakby był dobrze naoliwioną maszyną, jakby ciągle oliwił przekładnie, które działały bez zarzutu i najskuteczniej, co można było rozpoznać w jego zdecydowanych ruchach, radosnym śmiechu i zwierzęcej bez wątpienia seksualności. Ten facet nie poprawiał włosów

ani kołnierzyka koszuli, nie rozglądał się po sali rozbieganym wzrokiem, nie gadał bez sensu. W najmniejszym stopniu nie wydawał się czymkolwiek zaniepokojony.

A ten drugi był całkiem pozbawiony pewności siebie. Jej zapasy się wyczerpały, jakby wyschła jakaś studnia, z której teraz sączył się już tylko strumyczek - za mało, by pokryć zdenerwowanie i zagubienie, by zamaskować wyrażającą niepewność mowę ciała. Ten drugi był jej mężem, który nie tylko jej pragnął, ale i potrzebował, i to nie przelotnie, ale rozpaczliwie i na zawsze. Był taki, jakiego chciała - był rezultatem jej własnych ograniczonych pokładów pewności siebie i niskiej samooceny: Kate bardzo potrzebowała, żeby ktoś potrzebował jej. Skłaniała się ku mężczyznom, którzy potrzebowali jej bardziej, niż naprawdę chcieli. Wyszła za męża za takiego, który potrzebował jej najbardziej.

Ten nowy mężczyzna znów się jej przyglądał, a ona jemu. Rzucił jej wyzwanie, wiedząc, że o nim myśli, dając jej do zrozumienia, że i on myśli o niej.

Zastanawiała się, jak by to było z mężczyzną, który absolutnie jej nie potrzebował, a tylko jej pragnął.

Nie zauważyła, żeby ktoś zamawiał, przynosił czy odbierał trzecią butelkę szampana, ale niemożliwe, żeby wciąż pili drugą. Było jej gorąco i czuła pragnienie, upiła jeden łyk, a potem drugi, gdy Julia znów pociągnęła ją w tłum na parkiecie. Wszyscy poruszali się tak samo do tego samego rytmu, wszyscy byli spoceni, omiatały ich stroboskopowe światła i refleksy lustrzanej kuli.

Dextera pochłonęła rozmowa z oszałamiająco urodziwą kobietą, która czytała wiadomości w kanale informacyjnym. Chciała przenieść się do Waszyngtonu i zostać korespondentką polityczną, usiłowała wydobyć z Dextera jakieś informacje, których nie miał. Kate nie przeszkadzał ten ewidentny flirt ani to, że jej mąż pławił się w uwadze, jaką mu poświęcała pozornie nieosiągalna piękna dziewczyna.

Wszyscy byli pijani.

Julia rozpięła kolejny guzik bluzki, a jej dekolt przestał być sexy, a stał się ekshibicjonistyczny. Ale połowa kobiet w klubie była półnaga.

Kate odwróciła wzrok od Julii i poprzez barierę światła i ludzkich kształtów wypatrzyła pod ścianą Billa pochylonego nad atrakcyjną kobietą, która wtulała głowę w jego ramię, liżąc go zapewne po uchu.

Zerknęła na Julię. Przyjaciółka miała półprzymknięte oczy, nie zwracała uwagi na to, co się dzieje wokół.

Kate znów omiotła spojrzeniem niespokojne morze ciał. Teraz Bill zajmował się szyją dziewczyny. Uśmiechała się, kiwała głową. Ujął ją za nadgarstek i wyprowadził.

Julia otworzyła oczy, ale nie patrzyła na męża.

Kate wpatrywała się w Billa, który zniknął z dziewczyną w jakimś korytarzyku wiodącym w ustronne miejsce, zapewne do toalety albo schowka na szczotki czy magazynu, albo ku tylnemu wyjściu w ciemny zaułek. Tam gdzie po północy chadzają zwykle ludzie, żeby się obmacywać i ścisnąć, rozpinać w pośpiechu spodnie i ściągać z siebie majtki w rytm przyspieszonych oddechów.

Przymknęła wolno oczy na długą chwilę, na kilka taktów. Julia odpłynęła od niej, tańczyła z wysokim i niebezpiecznie chudym młodzieńcem, rozchyliwszy usta, w których błysnęły zęby i ukazał się koniuszek języka sunący po dolnej wardze. Dłoń Julii, złożona wcześniej płasko na brzuchu, powędrowała ku piersi, objęła ją, a potem znów opadła, lecz nie na brzuch, a niżej, na biodro i udo. Odrzuciła do tyłu głowę, ukazując lśniąca szyję. Opuściła powieki, lecz nie zamknęła oczu. Zapatrzyła się gdzieś w dal, lecz nie na mężczyznę, z którym tańczyła, ale w drugi koniec sali, i znów nie tam, gdzie zniknął jej mąż, ale gdzie stał - Kate nie musiała odwracać głowy, żeby mieć tę pewność - Dexter.

Było już wpół do czwartej.

Na bulwarze nie było już muskularnych bramkarzy i apetycznych dziewcząt, ani śladu taksówki czy kogokolwiek, gdy nagle, znikąd, pojawiło się tych dwóch w kapturach i workowatych dzinsach, mieli postrzępione brody, a wszędzie kolczyki. Jeden pchnął Dextera na ścianę. Drugi szybkim, doskonale znanym ruchem podenerwowanego młodego człowieka wyciągnął skądś broń.

Kate doskonale zapamiętała kilka następnych sekund, mogłaby je odtwarzać w głowie klatka po klatce w zwolnionym tempie. Spanikowaną twarz Dextera, przerażenie Julii, imponujący i beznamiętny spokój Billa.

- *Je vous en prie* - powiedział. - *Un moment.*

Kate stała z boku, nie brała udziału w konfrontacji. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Mogłaby to skończyć bez trudu. Doskonale wiedziała, jak położyć temu kres: kopnięcie w skroń, cios pięścią w nerki, odebranie broni. Gdyby to zrobiła, zadawano by jej mnóstwo pytań o opanowanie, technikę walki. Nie potrafiłaby na nie odpowiedzieć.

Zaczęła się więc zastanawiać, czego nie powinna oddać napastnikom. Uliczni bandyci nie strzelają do ludzi w samym centrum Paryża, prawda?

Ale wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Bill chwycił torebkę Julii i wyciągnął rękę do tego, który trzymał broń. Tamci nie byli zadowoleni z przebiegu transakcji, kręcili głowami.

- *Tenez* - powiedział Bill. Kate była pewna, że wie, co robi i dlaczego wpycha torebkę tam, gdzie jest broń, dlaczego podchodzi coraz bliżej, zmuszając jednego z nich, by stanął między wylotem lufy a Billem i odebrał łup. Kiedy wyciągnął rękę po torebkę, Bill chwycił za nią i obrócił nieuzbrojonego chłopaka plecami do siebie. Chwycił go za gardło i osłonięty nim jak tarczą, jednym szybkim ruchem wyszarpnął broń z dłoni tego, który nie wiedział, co w tej sytuacji zrobić. Bez wysiłku, bez mrugnięcia powieką.

Wszyscy zamarli, wpatrzeni w pistolet. Potem spoglądali po sobie, oddychając ciężko, zastanawiając się, co będzie dalej.

Napastnicy uciekli, a Bill wyrzucił broń do rynsztoka.

W poniedziałek po południu lało.

Kate stała sama przed szkołą, trzymając parasol tak nisko, że dotykała głową pasków na nylonowej czaszy, a aluminiowe ożebrowanie opierało się jej o ramię. Próbowwała osłonić ten niewielki fragment własnej osoby, który nie był jeszcze przemoczony. Dolna połowa Kate okazała się już nie do uratowania, ociekała i chlupotała wodą.

Z ciemnego zachmurzonego nieba spływały jedna po drugiej tafle ciężkich kropel, dudniąc w cement, miażdżąc trawę, rozpryskując się głośno w głębokich kałużach wypełniających każde zagłębienie, błotnistą depresję, szczelinę i bruzdę.

Grupa matek podzieliła się porządnie według narodowości. W pobliżu stały samowystarczalne, niebieskookie Dunki i jasnowłose Holenderki, dalej Włoszki na wysokich obcasach i superzdrowo wyglądające Szwedki. Anglojęzyczny tłumek zdominowały blade Angielki, obok których znalazły się grubawe Amerykanki, wiecznie uśmiechnięte Australijki i agresywnie przyjazne Nowozelandki. Tu i ówdzie trafiła się jakaś Irlandka i Szkotka. Dalej hiperzaściankowe Hinduski i zupełnie nieprzystępne Japonki. Wędrujące pojedynczo matki z Rosji, Czech i Polski chciały przyłączyć się do Europy Zachodniej, wkraść w jej łaski, podając wszystkim ręce i usiłując dać się zaprosić do Unii Europejskiej, jakby nie wiedziały - umyślnie? - że nikt nigdy nie zmusił nikogo do zaproszenia kogokolwiek na cokolwiek, jeśli zapraszający nie ma na to ochoty.

Było też kilku mężczyzn porozrzucanych tu i ówdzie, milczących, niebratających się ze sobą - każdy na własnej orbicie obcości.

Technicznie rzecz ujmując, Kate nie miała już kaca po sobotniej eskapadzie, ale czuła zmęczenie brakiem snu. Dzieci obudziły się w niedzielę o siódmej rano, nie mając pojęcia, że rodzice niedawno położyli się spać. Kate ciągle czuła się nieszczególnie.

Doznawała również pewnego psychicznego niepokoju, wynikającego po części z tego, czego była świadkiem - zdrady Billa i zupełnie niewłaściwego ekshibicjonizmu Julii, wymierzonego w Dextera; wreszcie heroizmu męża przyjaciółki - przesadnego prawdopodobnie - w obliczu ulicznej napaści. Ale najbardziej niepokoił ją własny rozpaczliwy postępek, bo kiedy wrócili do hotelu, zamknęła drzwi łazienki przed lunatykującymi dziećmi i rzuciła się jak wygłodniała na Dextera, błagając go o więcej i mocniej, gdy w jej głowie roily się jakieś popędliwe obrazy mężczyzn, z których żaden nie był jej mężem, kobiet, które nie były nią, złączonych ze sobą spoconymi ciałami,

rozchylających usta, wysuwających języki...

Lało coraz mocniej. Nie miała pojęcia, że taki deszcz jest w ogóle możliwy.

Nie miała pojęcia, co przydarzyło się całej ich czwórce tamtej nocy w Paryżu i czy to było dobre, czy złe, czy złe i dobre jednocześnie.

- Słuchaj - powiedział Dexter - wrócę dzisiaj późno.

Znowu.

Kate zdjęła z chłopców i siebie przemoczone ubrania i przebrali się w miękkie swetry i kapcie, w ciepłą wełnę. Ale ciągle było jej zimno, bo ostatnio mokła nieustannie.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak. Umówiłem się na tenisa. Z Billem.

Nie wspomnieli ani słowem o Julii i Billu, odkąd przed czterema dniami wsiedli o wpół do piątej nad ranem do dwóch oddzielnych taksówek na avenue George V w Paryżu.

- Ma *abonnement* na kort w klubie, a jego stały partner nie może dziś przyjść.

Wyobraziła sobie Billa bez koszuli w szatni, jak rozpina pasek, ściąga...

Odłożyła telefon obok laptopa, odwracając głowę ku majestatycznemu zazwyczaj widokowi za oknem, który obecnie składał się z chmur, mgły i deszczu, brązowoszarych bezlistnych drzew, dachówek i gontów, beżów i czerwieni kamiennych fortyfikacji, szarości skalistych pagórków i brukowanych ulic.

Wyglądało to okropnie, a ona znów była sama po kolejnym środowym popołudniu spędzonym w pozbawionej okien piwnicy klubu fitnessu Kockelscheuer, gdzie rozmawiała o depilacji woskiem okolic bikini. Kiedyś była osobą, która coś robiła. Nie tylko pracowała i zajmowała się domem, lecz także ryzykowała życiem. Przekraczała nielegalnie granice państw. Ukrywała się przed policją. Wynajmowała, do cholery, płatnych zabójców! Teraz składała pranie. Czy to możliwe, że nic więcej już jej w życiu nie spotka?

- Kiedy wróci tatuś? - zapytał Jake, tuląc do piersi misia. Jego brat stał cicho obok, obaj byli zmarznięci i zmęczeni. Tęsknili do taty. Znowu.

- Chyba późno, maleńki - odpowiedziała. - Chyba dopiero wtedy, kiedy będziecie już spać.

Ben odwrócił się na pięcie i odszedł zagniewany. Ale Jake został.

- Dlaczego? - zapytał. - Dlaczego nie może wrócić wcześniej do domu?

- Bardzo by chciał, chłopczyku. Ale ma dużo pracy. Czasami.

Jake otarł łzę z policzka, Kate przytuliła go do siebie.

- Przykro mi, Jake. Ale obiecuję, że tata da wam buziaka, kiedy wróci do domu.

Okay?

Kiwnął głową, hamując łzy, a potem nadąsany dołączył do brata, który bawił się już lego.

Kate usiadła przed laptopem. Zamknęła strony WYNAJEM MEBLI W LUKSEMBURGU, SZKOŁY W LUKSEMBURGU, MIEJSCA UŻYTECZNOŚCI PUBLICZNEJ W LUKSEMBURGU i czekała, aż komputer zlokalizuje sygnał Wi-Fi. Patrzyła na ekran, zastanawiając się nad tym, co chce zrobić. Co chce znaleźć i czy naprawdę tego chce.

Nie przyszło jej do głowy, że robi to, czego się po niej spodziewano.

Ale zanim zrobiła cokolwiek, znów zadzwonił telefon.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała Julia. - Jestem kompletnie zagubiona bez Internetu.

- Żaden problem. - Kate zamknęła za nią drzwi. - Dokładnie wiem, co to znaczy.

Chłopcy, przywitajcie się z Julią!

- Cześć.

- Cześć.

Pobiegli do kuchni, podniecenie wywołane dzwonkiem do drzwi przygasło. Zajęli się kuchennymi obowiązkami: Ben obierał marchewki, a Jake kroił je na kawałki. Obaj stali na przystawkach przed blatem kuchennym, bardzo skoncentrowani, bardzo ostrożni w obchodzeniu się z ostrym sprzętem.

- Masz podkuchennych! - zawołała Julia.

- No tak... - Chłopcy gotowali *poule au pot*, na ladzie leżała otwarta książka kucharska, a nad nią stało pół tuzina innych zamówionych na Amazonie magazynów z Anglii.

Julia przeszła do salonu.

- Uau! - Podziwiała widok za oknem. - Wspaniałe miejsce!

- Dzięki.

Były w salonie, oddzielone dwoma parami drzwi i jednym zakrętem korytarza od chłopców. Nie mogli podsłuchiwać. Jeśli kiedykolwiek mają wspomnieć o sobotniej nocy, to teraz. Ale nie zrobiły tego.

- Komputer jest tam... - Kate wskazała pokój gościny.

- Jeszcze raz dziękuję. Naprawdę bardzo mi pomogłaś. Nie zajmie to więcej niż dziesięć minut.

- Czuj się jak u siebie. - Kate zostawiła ją samą.

Chłopcy spali, Dexter grał w tenisa z Billem, a Kate siedziała sama w szarej poświacie ekranu, opierając lekko dłonie o gładką klawiaturę z palcami wskazującymi na „J” i „F”. Czuła w sobie ciepło, mrowienie. Musiała czymś się zająć, żeby zabić nudę. Znaleźć obraz, by ubogacić fantazje.

Wpisała: BILL spacja MACLEAN.

Na pierwszej stronie z wynikami znalazł się jeden Maclean podobny do tego, którego szukała, ale to nie był on. Przeglądała kolejne strony... siedem... osiem... dziewięć... dziesiątki linków, ale żaden z Macleanów nie zajmował się handlem walutami, nie przeniósł się z Chicago do Luksemburga i nie miał około czterdziestu lat.

Ani na Facebooku, ani w LinkedIn. Nie było go wśród absolwentów uniwersytetów i szkół średnich. Ani na dostępnych ogólnie zdjęciach, ani w artykułach prasowych.

WILLIAM spacja MACLEAN.

Trochę inny rozrzut linków, ale głównie ci sami. W jakimś drugorzędnym portalu społecznościowym dla profesjonalistów znalazła profil Williama Macleana z Chicago, który z zawodu był finansistą i nic więcej. Ani zdjęcia, ani adresu, ani życiorysu, zupełnie nic.

Spróbowała z inną pisownią: Mclean, McLean, Maclane, Maclaine, ale niczego nie znalazła. To znaczy, żaden z tych, których znalazła, nie był nim.

- A Santibanez? - zapytał Evan.

- Słyszałam, że miał na imię Leo - odpowiedziała Kate.

- Ta, wszyscy to słyszeli. Wiesz o nim coś więcej?

Kate poczuła ulgę, kiedy w końcu doszło do tej rozmowy. Czekala na nią od dawna. Była zaskoczona, że zabierano się do niej tak okrężną drogą, przechodząc przez tyle przesłuchań, egzekucji i morderstw, z którymi nie miała nic wspólnego.

- Nie.

Evan zerknął do notesu.

- Zginął w Veracruz. Dwie w pierś, jedna w głowę. Żadnego porwania, żadnych tortur, żadnego widowiska. - Tak jak ją wyszkolono.

Nadeszła chwila w tej rozmowie - odprawie, przesłuchaniu - kiedy zrozumiała, czemu ma służyć ta niekończąca się litania gwałtu i przemocy. Przypominali Kate, że choć nie

pracuje w terenie od pięciu lat, ciągle nie pozbyła się śladów po swoich brudnych operacjach. Nigdy się ich nie pozbędzie.

- Nie wyglądało to na zemstę narkotykowych rywali. Wyglądało na zabójstwo dokonane przez kogoś z naszych.

Będą o tym wiedzieli. Zawsze.

- Santibanez współpracował kiedyś z Lorenzem Romero, prawda?

Romero był informatorem CIA, który sprzedał kontrolerowi fałszywą informację w zamian za kupę forsy od *narcotraficantes*. Wskutek tego kontroler dostał kulę w łeb, a jego ciało wrzucono do morza w porcie Tampico. Cały wydział meksykański uznał, że nie wolno puścić tego płazem, a Kate, jedyna kobieta w wydziale, nie będzie miała problemu z podejściem do kobieciarza na osobności, w sytuacji intymnej.

- Jak powiedziałam, nic nie wiem o Santibaniezie.

- Okay. - Evan kiwnął głową, zerknął do notesu. - A Eduardo Torres?

Wzięła oddech, ani zbyt głęboki, ani zbyt płytki. W końcu. Wreszcie pojawił się Torres.

W czasie meblowej rozszady Dexter był w Londynie. Pracownicy firmy, która wypożyczyła im wyposażenie, pojawili się o ósmej rano z małym dźwigiem i odebrali, co swoje: sofy, łóżka, pościel, talerze, szczotki do kibli i odkurzacze. Krzesła, komody, biurka i stół z jadalni. Wszystko to powędrowało za okno. Skończyli do dziesiątej. Podpisała dokumenty, zatrzaśnięto klapy wozu meblowego, odjechali na zawsze.

Był kolejny ponury, deszczowy, jesienny dzień. Okno było otwarte przez cały ranek. W pustym mieszkaniu panował chłód i wilgoć. Kate została sama. Znowu.

Została sama i czekała na przyjazd kontenera po trwającej trzy tygodnie odprawie celnej. Tego samego pomarańczowego kontenera, który dwa miesiące temu odjechał sprzed jej krawężnika w Waszyngtonie, gdzie też stała w pustym domu, podpisawszy dokumenty stwierdzające, że wszystko zostało zapakowane, załadowane na przyczepę i podłączone do czarnego ciągnika siodłowego, którego kabina była krzykliwie udekorowana neonowym zarysem niemożliwie biuściastej kobiety. Ładunek zmierzał do portu w Baltimore, gdzie miał trafić pod pokład frachtowca „Osaka” i jedenaście dni płynąć na jego pokładzie przez Atlantyk do portu w Antwerpii; tam kontener przeładowano na inny ciągnik, należący do holenderskiej firmy spedycyjnej, tym razem biały i pozbawiony wszelkich dekoracji. Teraz ten ciągnik stał właśnie za rogiem przed pustym mieszkaniem, w którym ona znów została sama, bo jej mąż pracował, choć już na innym kontynencie, a dzieci były w szkole, ucząc się tego samego; zawartość kontenera też się nie zmieniła, zmieniło się tylko położenie

geograficzne Kate i to, kim była. Nowa Kate w środku Europy.

- Dexter to wspaniały mąż, prawda?

Rozmowy z Julią coraz częściej stawały się bardziej osobiste, niżby sobie tego życzyła. Julia miała wypisaną na czole potrzebę bliskości, praktycznie błagała Kate, by była z nią szczerą. By otwierała się przed nią podczas każdego spotkania. Mimo pozoru wylewnej pewności siebie Julii brakowało poczucia bezpieczeństwa. Miała pecha w miłości, czuła się niepewnie w związkach i bardzo niekomfortowo w sytuacjach intymnych. Była sama przez całe życie, podobnie jak Kate, dopóki nie poznała przypadkowo Billa. Ale nadal żyła tak, jakby była sama, nadal zamartwiała się, że ktoś odbierze jej szczęście przy pierwszej sposobności z niepojętych dla niej powodów.

Kate nie wiedziała, jak jej odpowiedzieć, nie umiałaby udzielić odpowiedzi na to osobiste pytanie nawet sobie. Jej małżeństwo z Dexterem zyskało tuż po przeprowadzce, kiedy Dexter poświęcał jej dużo uwagi, kiedy bardzo się do siebie zbliżyli, może aż za bardzo. Ta zmiana wyszła im na dobre, przeprowadzka wpłynęła pozytywnie na ich małżeństwo. Czego nie można powiedzieć o niej samej, o Kate jako osobie.

Tyle tylko, że Dexter zaraz zniknął i zniknął coraz częściej, podróżując Bóg wie gdzie. Nie miała sił słuchać o jego planowanych wyjazdach. W domu wydawał się coraz bardziej odległy i zdystansowany, a także rozdrażniony.

Kate nie umiała jeszcze odpowiedzieć, czy powinna złamać obietnicę, którą sobie złożyła - że nie będzie podejrzewać męża. A jeśli podda się nakazowi chwili i pozwoli sobie na małe śledztwo, to co odkryje? Zdradę? Kryzys psychiczny? Pracę, która nie okazała się tak satysfakcjonująca, jak przypuszczał? Czy wreszcie złość na nią, nie wiadomo za co?

Nie potrafiła zbliżyć się do przyczyny problemów. Nie miała pewności, czy w ogóle są jakieś problemy. I choć czuła niejasną potrzebę rozmowy na ten temat, coś kazało jej nie dzielić się swoimi przemyśleniami z nikim. Zawsze było jej po drodze z tym, co niewypowiedziane. Żyła tajemnicami.

Spojrzała na Julię, zajrzała jej głęboko w oczy, gdzie krył się kolejny poziom ich znajomości i prowadząca do niego brama. Postanowiła, że przez nią nie przejdzie. Bo tak postępowała przez całe życie.

- Tak - odpowiedziała. - Doskonały.

Życie Kate naznaczone zostało rutyną.

We wtorki i czwartki po odwiezieniu dzieci do szkoły odrabiała pracę domową z francuskiego, a potem szła na lekcje. Nauczycielka Kate, niepokojąco młoda i dobrodusza Somalijka, była zachwycona jej szybkimi postępami i niemal naturalnie brzmiącym akcentem. Francuski nie był dla niej trudny, przez wiele lat mówiła tylko po hiszpańsku, opanowawszy niuanse dialektów - kubańskiego, nikaraguańskiego, północno - i wschodniomeksykańskiego.

Dwa albo trzy razy w tygodniu uprawiała fitness. Zapisła się - po rekomendacji Amber, która ciągle ćwiczyła, lecz nigdy nie wyglądała zdrowo - do dziwnego klubu, podawano tam kanapki z szynką i cappuccino, ale nie było ręczników ani porannych zajęć. Klub otwierał podwoje dopiero o dziewiątej.

Jeździła samochodem, szukając różnych rzeczy. Jechała przez pół godziny do wielkiego sklepu z zabawkami w centrum handlowym w Foetz. Szukała czegoś, czego nie było - plastikowej figurki Robina. Trudno się temu dziwić, bo kto chce Robina zamiast wszędzie dostępnego Batmana. A Ben chciał...

Pojechała do oddalonego o czterdzieści pięć minut drogi Metz, szukając ręcznego blendera.

Jeździła po najważniejszych bocznych trasach Luksemburga - route d'Arlon, route de Thionville, route de Longwy - zaglądając do centrów handlowych, plaz, jedząc lunchy typu gorący bufet albo lunchy w hinduskich restauracjach: łagodne tikka masala i tłusty naan.

Siedziała przy komputerze, szukając miejsc na weekendowe wyjazdy, hoteli i turystycznych atrakcji, lotów i przejazdów, restauracji i ogrodów zoologicznych.

Myła samochód w przeróżnych myjniach. Z jednej nie mogła wyjechać przez pół godziny. Uprzejmy pracownik obsługi w kombinezonie zaglądał do niej co pięć minut. W którymś momencie wspomniał, że może powinna zadzwonić po policję.

Obcięła włosy. W Luksemburgu było mnóstwo źle ostrzyżonych ludzi, a Kate również padła ofiarą marnego fryzjera, bo nie potrafiła dobrze mu wytłumaczyć, że nie chce „z przodu krótko, z tyłu długo”, nie chce „w kancik” i nie chce „na jeża”, w czym akurat on się specjalizował.

Kupiła rolety do okien, chodniki, maty i drobne sprzęty do łazienek.

Zainstalowała dodatkowy wieszak na ręcznik w głównej łazience. Co wymagało kupienia wiertarki. A następnie powrotu do supermarketu budowlanego po wiertła, których nie dołączono do wiertarki. I wreszcie trzeciej wizyty w tym samym sklepie po wiertła udarowe, gdyż nie mogła się przewiercić przez to, co znajdowało się pod tynkiem. Każda z

tych wypraw trwała godzinę.

Spotykała się z innymi paniami na kawę lub lunch. Głównie z Julią, czasem z Amber czy Clair, czy kimkolwiek. Chciała wypróbować je wszystkie - Holenderki i Szwedki, Niemki i Kanadyjki. Była swoją własną panią ambasador.

A także swoją własną opiekunką do dzieci. Leżała na podłodze z chłopcami, wznosiła z nimi różne budowle z lego albo z drewnianych klocków, układała puzzle z trzydziestu sześciu kawałków, czytała na głos książeczkę za książeczką.

Niekiedy spotykała się z mężem w porze posiłków. Ale niezbyt często. Każdego dnia Dexter pracował do późna, miał zajęte niemal wszystkie wieczory.

Czekała na wyznaczony wolny wieczór, najczęściej raz w tygodniu, choć często bywał przekładany lub odwoływany z powodu pracy albo wyjazdu. Wyznaczone wieczory na seks nie były ważne w Waszyngtonie, były opcjonalne. Ale teraz ich potrzebowała - uważała, że są jedyną szansą na podzielenie się niesmakiem wywołanym rolą gospodyni domowej, na wzbudzenie litości, otrzymanie pochwał. Na ocenę.

Bo większość rzeczy, które robiła, wydawała się pozbawiona sensu. Chodziła po mieszkaniu, zbierając zabawki i ubrania, wygładzając sterty bielizny, wypełniając jakieś dokumenty. Myła chłopcom głowy, mydliła im szyje i pachy oraz nadzorowała ich w kunszcie podcierania tyłka, mycia każdego zęba i sikania prosto do muszli, a nie mniej więcej w jej kierunku.

Kupowała wiktuały i nosiła torby. Przygotowywała śniadania i pakowała drugie śniadania, gotowała obiady i zmywała naczynia. Odkurzała, zmywała mopem i ścierała ściereczką. Sortowała pranie, suszyła je, składała i chowała do szuflad, wieszała na wieszakach i haczykach.

Kiedy kończyła jedno, mogła zacząć to samo od początku.

A jej mąż nie miał o tym pojęcia. Żaden mąż nie ma pojęcia o tym, co każdego dnia robi żona podczas sześciu godzin nieobecności dzieci zaprowadzonych do szkoły; nie ma pojęcia nie tylko o obowiązkach, lecz także o sposobie spędzania czasu, lekcjach gotowania i języków obcych, zajęciach z tenisa, a czasem o romansie z instruktorem tenisa. Nie ma pojęcia o chodzeniu ze wszystkimi na kawę przez cały czas. O klubie fitness. O centrum handlowym. O siedzeniu na placu zabaw, moknięciu na dworze. Na jednym placu zabaw znajdowała się altanka, gdzie można się było ukryć przed deszczem.

Dexter nic o tym nie wiedział. Tak jak nie wiedział, co naprawdę robiła Kate w Waszyngtonie, gdzie zajmowała się czymś zupełnie innym, niż mu się wydawało.

Teraz Kate także nie wiedziała, co jej mąż robi całymi dniami.

Dziś, 11:09

- *Bonjour* - odzywa się Dexter. - *Comment ça va?*

Kate rozgląda się po galerii. Zostali tylko młodzi Hiszpanie, dwoje, chłopak ciągle nadaje przyciszonym głosem. Uważa się za konesera.

- *Ça va bien* - odpowiada Kate.

Przeprowadzili się z Luksemburga do Paryża przed dwunastoma miesiącami, na początku nowego roku szkolnego. Nowa szkoła w nowym mieście w nowym kraju. W okolicach Bożego Narodzenia Kate doszła do wniosku, że żadne z nich nie doskonali wystarczająco kompetencji językowych. Przekonała Dextera, żeby we wtorki i czwartki rozmawiali tylko po francusku. Dziś jest czwartek dziewięć miesięcy później. Ale ta rozmowa musi się odbyć po angielsku. Muszą się porozumieć na innym poziomie.

- Właśnie spotkałam starą przyjaciółkę - oznajmia. - Julię.

Dexter milczy przez sekundę. Kate nie naciska. Wie, że zastanawia się nad tym, co oznacza pojawienie się tej kobiety.

- *Quelle surprise* - mówi cicho. - Minęło tyle czasu.

Ani Kate, ani Dexter nie widzieli Julii od czasu jej pospiesznego, acz spodziewanego wyjazdu z Luksemburga nie tej, lecz poprzedniej zimy.

- Możemy się z nią dzisiaj spotkać? Na drinka? Bill też jest w Paryżu.

Dexter znów się zastanawia.

- Okay. Jestem ciekaw, co u nich słychać.

- No tak... - odpowiada Kate. Doskonale wie, że nie chodzi o zaciekawienie. - Siódma w café Carrefour de l'Odéon?

- Świetnie - mówi Dexter. - Doskonale.

Café Carrefour de l'Odéon znajduje się za rogiem tuż obok ich parkingu i pół przecznicy od ruchliwej stacji metra. Są w niej maleńkie łazienki bez okien, nie ma zaplecza ani tylnego wyjścia. Nikt się tam nie może ukryć i zająć kogoś od tyłu. Ze stolików na terrasse doskonale widać całe skrzyżowanie. To idealne miejsce na drinka. I idealne miejsce do szybkiej ewakuacji.

- Zadzwoń do Louisa i zarezerwuję stolik - powiedział Dexter. - Dam ci znać, gdyby był jakiś problem.

Kate wie, że nie będzie żadnego problemu. Ani z Louistem, ani ze stołem. Ale potrafi wyobrazić sobie wiele innych problemów; rozpoczną się od różowego banknotu o nominale

pięćdziesięciu euro i rachunku w kawiarni, które zostawią pod ciężką szklaną popielniczką, by przejść szybkim krokiem na podziemny parking za rogiem i usiąść w miękkich fotelach kombi, zapiąć pasy siedzącym z tyłu dzieciom, pożegnać się z Sylvie, opiekunką, i przejechać szybko przez Sekwanę po Pont Neuf i dalej na drogę szybkiego ruchu pod nabrzeżami, prowadzącą na l'autoroute de l'Est, gdzie będzie raczej pusto aż do szerokiej autostrady A4 prowadzącej na wschód, a potem A31 na północ do innego kraju, po innych drogach, zwężających się pod koniec i wijących po wzgórzach, by wreszcie - po czterech godzinach od wyjazdu z parkingu na lewym brzegu Sekwany - zatrzymać się przed kamienną bramą pomalowaną na biało wiejskiej posiadłości na lesistym płaskowyżu ukrytym głęboko w słabo zaludnionej okolicy Lasu Ardeńskiego.

W łazience na dole małego kamiennego domku, za panelem zasłaniającym niedziałający licznik ogrzewania, schowana jest stalowa kasetka, zamocowana silnymi magnesami.

- Okay. Aha... Dexter? Julia prosiła mnie, żebym przekazała ci wiadomość.

Przećwiczyli szybką ewakuację w Ardeny. Przetestowali przejazd.

- Jaką?

- „Pułkownik nie żyje”.

Dexter nie odpowiedział.

- Dexter?

- Tak? Zrozumiałem.

- Okay. *A bientôt.*

A w kasetce na farmie leżą równe rzędy świeżutkich, nigdzie nieodnotowanych banknotów - milion euro. Pieniądze na nowe życie.

Hiszpanie wychodzą z galerii. Kate zostaje sama, spogląda na fotografie, obrazy wody i piasku, i nieba - woda, piasek i niebo; woda, piasek i niebo. Nieugięte linie równoległe w błękicie i jasnym brązie, w odcieniach szarości i bieli. Hipnotyzujące linie, wyabstrahowane miejsca, które są tak abstrakcyjne, że nie są już miejscami tylko linią i barwą.

Może plaża, myśli Kate. Może odległa plaża jest miejscem, do którego zdążamy. Kiedy już stąd znikniemy.

Dodzwonienie się do kogokolwiek w Ameryce nie było łatwe ze względu na różnicę czasu i plan lekcji chłopców. Poranki miała wolne, była dostępna, ale w porze śniadania na Wschodnim Wybrzeżu wszyscy jeszcze spali. Kiedy w Waszyngtonie dochodziła dziewiąta, ona odbierała dzieci ze szkoły, zajmowała się nimi, jechała do sklepu spożywczego, rzeźnika i piekarni, na plac zabaw i do klubu sportowego, sprzątała i gotowała. Jeździła samochodem. Kiedy wreszcie umyte dzieci leżały w łóżkach, naczynia były pozmywane, a dom ogarnięty, nie miała na nic siły, zamykała się w sobie albo oglądała seriale HBO na iTunes, podłączony laptop do telewizji grubym kablem - linią życia cyfrowych mediów.

W jej strefie czasowej znajdowała się tylko jedna osoba, do której mogła zadzwonić. Wybrała długi numer, telefon odebrano po pierwszym dzwonku.

- Słucham.

- Cześć - powiedziała. - Nudzi mi się. - Nie przedstawiła się, nie zwróciła się do rozmówcy po imieniu. Przez telefon nie używa się imion, nigdy. - Nudzi mi się bardziej niż kiedykolwiek. Bardziej niż przez całe życie.

- Przykro mi - powiedział.

- Robię pranie.

- Słusznie - zauważył. - To bardzo ważne, żeby rodzina chodziła czysto ubrana.

Kate zdała sobie sprawę, że ta rozmowa - nuda, pranie - brzmi dokładnie tak jak wymiana agenta z kontrolującym go oficerem, zakodowana.

- Powiedz mi coś, co mnie rozerwie.

- Rozerwie? Hm... Poczekaj... Żaden amerykański prezydent nie był jedyakiem. Wszyscy mieli rodzeństwo. Jeśli nie biologiczne, to przynajmniej przyrodnie.

Znała Haydena od początku kariery. Po tylu latach łatwo było zapomnieć, jak bardzo rozpoznawalny jest jego zmęczony życiem i światem głos, jego szczękocisk rodem z Locust Valley. W Luksemburgu nikt nie mówił tak jak on. Nawet Anglicy.

- Cztery. Litery.

- Jesteś niesprawiedliwa. Statystycznie rzecz biorąc, dwadzieścia procent amerykańskich dzieci jest jedykami. Ale nie było wśród nich ani jednego prezydenta. Czy to nie dziwne?

- No dobra, piątka - odpowiedziała, nie usiłując powstrzymać uśmiechu. Mimo fatalnego nastroju. Zabawne ciekawostki Haydena zawsze ją rozśmieszały. - Jestem samotna.

- Wiem, że ci ciężko - powiedział. - Ale będzie lepiej, uwierz mi.

Hayden przez całe dorosłe życie mieszkał za granicą. Wiedział, o czym mówi.

- Obiecuję.

- Może tatuś opowie nam, co dzisiaj robił.

Jake i Ben nie podnieśli głów znad brązowych kawałków Böfflamott. *Moja bawarska książka kucharska*, strona 115. Nawet jeśli zdawali sobie sprawę, że jedno z rodziców przeprowadziło właśnie atak, wiedzieli doskonale, że to nie ich sprawa.

Dexter nie odpowiedział.

- A może tatuś uważa, że mamusia jest za głupia, żeby zrozumieć, co robi w pracy.

Przestał jeść.

- A może tatusia nie obchodzi, że mamusia jest zwyczajnie ciekawa.

Jake i Ben wymienili ukradkowe spojrzenia, a potem obaj spojrzeli na ojca.

Kate wiedziała, że postępuje nie fair. Nie powinna tego robić. Ale rozżalenie wzięło górę. Tego popołudnia umyła trzy kible. Mycie kibli było na czele listy obowiązków, których nie znosiła.

Dexter odłożył nóż i widelec.

- Czego chciałabyś się dowiedzieć, Kat?

Skrzywiła się. Wiedziała, że celowo użył jej dawnego imienia.

- Chcę wiedzieć, co robisz. - Kate nigdy nie wsadzała nosa w życie zawodowe Dextera, przynajmniej oficjalnie. Zawsze byli małżeństwem, które zostawiało sobie dużo swobody. Dużo przestrzeni i oddechu. Właśnie to ceniła najbardziej w swoim mężu - to, że dobrowolnie nie chciał wiedzieć. Teraz ona chciała wiedzieć. - Co robiłeś dzisiaj? Czy to za wiele?

Uśmiechnął się. Dla synów.

- Oczywiście że nie. A więc tak, dzisiaj... planowałem jedną z faz testu przenikania, który przeprowadzę za kilka tygodni.

Zabrzmiało to jak opis eksperymentu erotycznego.

- Test przenikania polega na tym, że konsultant, taki jak ja, usiłuje złamać zabezpieczenia systemu. Są trzy główne sposoby przeprowadzenia ataku: pierwszy jest czysto techniczny, szuka się jakiejś dziury w systemie, jakiejś szczeliny, w którą można wejść, którą można poszerzyć i rozpanoszyć się w systemie do woli.

- Jakiej dziury?

- Dziurą może być, na przykład, niechroniony komputer. Maszyna podłączona do systemu i niechroniona hasłem. Albo chroniona zbyt prostym hasłem czy hasłem domyślnym, na przykład nazwą użytkownika „użytkownik” i hasłem „hasło”. Niektóre systemy można przeniknąć w ciągu kilku godzin. Inne wymagają miesięcy pracy. Im dłużej to trwa, tym większe prawdopodobieństwo, że haker się podda i zacznie rozglądać za łatwiejszym celem.

Druga metoda ma czysto fizyczny charakter. Trzeba całkiem dosłownie włamać się do hardware'u. Przebrać się przez ochronę, znaleźć jakieś niezabezpieczone okienko w piwnicy. Można też wykorzystać siłę i przemoc: siłę ludzką i broń. Ale ten obszar nie leży w obrębie moich zainteresowań.

- Tak przypuszczam.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. A trzecia metoda?

- Trzecia metoda jest zazwyczaj najbardziej skuteczna. Nosi nazwę inżynierii społecznej. I polega na manipulowaniu osobą mającą dostęp do systemu, by zdobyć niezbędne dane.

- Jak się to robi?

- Podstawowa zasada jest zawsze taka sama. Trzeba przekonać cel, że gra się w jednej drużynie. Choć gra się w drużynie przeciwnej.

Inżynieria społeczna. Na tym polegała praca Kate.

- Najskuteczniejsze jest połączenie wszystkich trzech metod: inżynieria społeczna pozwala na fizyczne przeniknięcie do miejsca, w którym znajduje się systemowy hardware, gdzie wykorzystuje się umiejętności techniczne. W ten sposób obala się rządy, kradnie kluczowe tajemnice przemysłowe, oszukuje kasyna. Ale nade wszystko, i to interesuje mnie najbardziej, okrada się banki. To najczarniejszy koszmar wszystkich bankierów. - Dexter odkroił sobie kawałek wołowej pieczeni. - I z tej przyczyny tutaj jesteśmy. - Upił łyk wina. - I tym właśnie się zajmuję.

Kate wyglądała przez okno na urwisko, na rzekę Alzette płynącą w jarze setki metrów niżej, na czterystumetrowy nowoczesny stalowy most, na stary most kolejowy, na średniowieczne fortyfikacje i wspaniałe zielone trawniki, na gęsty las i domy o czarnych dachach, na kościelne wieże i płynącą wartko rzekę, i na szklano-stalowe biurowce po drugiej stronie płaskowyżu Kirchberg, a nade wszystko na olbrzymią połąć jasnoblękitnego nieba. Był to wspaniały widok, niczym nieograniczony. Widok, w którym zamykała się Europa.

A potem znów spojrzała na ekran komputera. Strona internetowa projektantki wnętrz Julii Maclean wyglądała bez zarzutu. Profesjonalnie. Grała na niej nastrojowa muzyka, a obrazy przenikały się nawzajem, czcionka była oryginalna, choć wypisano nią banały. Fotografie ukazywały z pół tuzina miłych dla oka, choć niezbyt godnych uwagi wnętrz mieszkalnych. Wedle zamieszczonej na stronie informacji styl ten nosił nazwę „eklektycznego tradycjonalizmu”, co oznaczało zestawianie drogich amerykańskich antyków z murzyńskimi maskami plemiennymi, chińskimi taboretami i meksykańską ceramiką.

Na stronie nie było opinii klientów. Żadnych pochwał od sław. Ani jednego wycinka prasowego czy linków do innych stron. Biografia projektantki brzmiała tak:

Julia Maclean pochodzi z Illinois. Studiowała architekturę i tkaninę, ma dyplom sztuk pięknych ze specjalizacją w projektowaniu wnętrz. Przed rozpoczęciem własnej działalności projektanckiej odbyła kilka prestiżowych staży, a w minionej dekadzie zdobyła wiernych klientów, którym odpowiada jej nieco kapryśny, choć mocno osadzony w tradycji styl urządzania wyrafinowanych wnętrz. Czuje się równie dobrze w modernistycznych wnętrzach Lake Shore Drive, jak i we wnętrzach tradycyjnych North Shore. Jest jedną z najbardziej cenionych projektantek wnętrz w Chicago i jego okolicach. W zakładce „kontakt” podano adres poczty elektronicznej, ale nie było w niej zwykłego adresu pocztowego, numeru telefonu czy faksu, nazwisk pracowników, współpracowników, partnerów czy referencji.

Na całej bardzo atrakcyjnej i miłej dla oka stronie internetowej nie znalazła ani jednego faktu, który dałoby się powiązać z konkretną osobą czy miejscem.

Kate widziała już takie strony. Były legendami. Przykrywką.

- Chłopcy! - wrzasnęła Kate, ignorując przez chwilę męża. Może nie tyle ignorując, ile nie reagując. - Śniadanie!

Postawiła naleśniki na stole - jeden z nutellą, a drugi ze speculoos - oba ciasno zwinięte. W tym kraju nie sprzedawano mrożonych gofrów, nie było tu z całą pewnością Blueberry Eggos. Na szczęście dzieci okazały się elastyczne, jeśli idzie o spożywanie na śniadanie cukru w różnych postaciach.

Nie były jednak elastyczne, jeśli chodzi o widywanie się z ojcem każdego dnia. Kate przekonała się, że nie jest w stanie znieść dłużej ich skarg na jego ciągłą nieobecność, bo te skargi brzmiały jak oskarżenie, że jest złą matką. Bo jeśli tak bardzo go potrzebują, to znaczy, że nie potrzebują jej. Że jej nie kochają. Co jest do udowodnienia.

Wiedziała, całkiem racjonalnie, że to bzdura. Ale do tej sprawy podchodziła bardzo

irracjonalnie i nic nie mogła na to poradzić.

- Nie! - Odwróciła się do Dextera z gniewem, którego nie miała zamiaru ukrywać. - Nie pamiętam, do jasnej cholery, żebyś wspomniał choć słowem, że wyjeżdżasz w tym tygodniu do Sarajewa!

Próbowała się uspokoić, napominała się, że Dexter nic nie może zrobić w sprawie wyjazdów, podobnie jak ona. Że wyjazdy wiązały się z napięciem i nie były odpoczynkiem; że oznaczały pracę, a nie zabawę. Dexter z pewnością nie marzył o wyjeździe do Sarajewa. Czuł niechęć do całej byłej Jugosławii, która zamordowała mu brata.

- No cóż... - powiedział. - Przykro mi. Ale muszę jechać.

Kate nie powinna mieć do niego pretensji, że zostawia ją samą z dziećmi w obcym kraju - samą i samotną. Ale miała.

- Kiedy wracasz?

Chłopcy usiedli przy stole, patrząc w telewizor. W Waszyngtonie nie widzieli ani jednego odcinka kreskówki *SpongeBob*, nie mieli pojęcia, że serial nadawany jest po angielsku. Bo tutaj oglądali *Bob l'Eponge* i uważali, że to francuski wymysł.

- W piątek wieczorem.

- Co tam będziesz robił? W Sarajewie? - Była to druga wyprawa Dextera do tego miasta, nie licząc pojedynczych wyjazdów do Liechtensteinu, Genewy, Londynu i Andory.

- Dbał o bezpieczeństwo jednego z klientów banku.

- Czy bank nie ma do tego innych ludzi? - zapytała. - Na miejscu? W Bośni?

- Oni za to mi płacą. Żebym dbał o klientów. Na tym polega moja praca, Kat.

- KATE.

Wzruszył ramionami. Otworzyła usta, żeby na niego wrzasnąć, ale nie mogła, nie potrafiła przy dzieciach.

Trzasnęła drzwiami do łazienki, oparła się o umywalkę, którą sama umyła, spojrzała w lustro. W jej oczach zbierały łzy. Wytarła jedno oko, a potem drugie. Wszystko na nic. Płakała. Pokonana przez samotność i obcość, o których nie dało się zapomnieć. Nie potrafiła wyobrazić sobie, że kiedykolwiek będzie w stanie funkcjonować jak wszystkie pozostałe kobiety - zadowolone z tutejszego życia, przesiadujące całymi dniami w kawiarniach, śmiejące się z rzeczy tak ważnych jak usuwanie niepożądanego owłosienia. Doskonale się bawiące. Albo przynajmniej stwarzające pozory - przed nią, przed sobą nawzajem i wobec siebie - że wiodą radosne życie.

Kate i Dexter nie wiedli radosnego życia - jeszcze nie. Przedstawili notarialnie potwierdzone kopie paszportów, aktów urodzenia i zawarcia małżeństwa, żeby ubiegać się o

pozwolenie na stały pobyt. Otworzyli konta w banku i wykupili polisy ubezpieczeniowe. Kupili również telefony komórkowe, kilka urządzeń elektrycznych, a w Ikei komody i szwedzkie mrożone klopsiki. Pojechali samochodem do drugiego pod względem wielkości miasta w kraju, Esch-sur-Alzette, żeby kupić używane kombi marki Audi z automatyczną skrzynią biegów i z przebiegiem mniejszym niż pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Znalezienie takiego samochodu kosztowało ich kilka tygodni szukania w Internecie, a przez cały ten czas, aż do ostatniej chwili, nie byli świadomi, że nie szukają „kombi”, ale „breka”. Bo tak nazywa się taki pojazd we Francji.

Odznaczali załatwione sprawy na liście DO ZROBIENIA przymocowanej magnesem na lodówce. Na liście zapisali dziewiętnaście spraw. Wykreślili piętnaście.

Ostatnia była podkreślona: Zacząć żyć.

Może to wszystko jest straszliwą pomyłką?

- Nie wiem nic konkretnego o Torresie - powiedziała Kate.

- A niekonkretnego?

Zmusiła się, żeby nie odwrócić wzroku od Evana. Spodziewała się tych pytań od początku całej procedury. Spodziewała się ich od pięciu lat.

- Torres miał mnóstwo wrogów - stwierdziła.

- Owszem. Ale w chwili śmierci był już mało ważny. Dziwne, że ktoś zadał sobie trud, żeby go wyeliminować.

Kate z ledwością zdołała nie opuścić oczu.

- Urazy - powiedziała - są wieczne.

Evan trzymał długopis w pogotowiu, ale nie miał co zanotować. Postukał nim o notes, cztery razy, wolno, do rytmu.

- To prawda - przyznał. - Są.

- No, no, no! Co za niespodzianka!

Kate szła przez Grand Rue, mając po obu stronach piekarnie, *chocolatiers* i sklepy mięsne, sklepy z bielizną i obuwiem, apteki i jubilerów. W godzinach porannych deptak był otwarty dla samochodów dostawczych. Furgonetki przejeżdżały wolno lub też stały zaparkowane przed sklepami z włączonymi silnikami. Sprzedawczynie podnosiły kraty, otwierały drzwi, wносиły towar, sprawdzały swoje odbicia w szybach, swoje fryzury i

makijaż. Dostawcy zajmowali się hydraulicznymi podnośnikami i wózkami, wnosząc co większe kartony. A przed Kate stał tak zwany Bill Maclean, nieistniejący finansista walutowy z Chicago.

- Z całą pewnością - odpowiedziała. - Wagarujesz od rana?

Chciała powiedzieć Dexterowi o wynikach swoich poszukiwań. Bawiło ją w jakimś sensie odkrycie, że Macleanowie byli w gruncie rzeczy fikcyjni. Dopuszczała też inne scenariusze: mogli ukrywać się przed wierzycielami albo znaleźli się w programie ochrony świadków, jeśli nie byli ukrywającymi się na własną rękę gangsterami. Albo oszustami bankowymi, rabusiami, mordercami czy innymi niebezpiecznymi przestępcami uciekającymi przed policją. A może pracowali po prostu dla CIA.

Pojawiło się jednak kilka przeszkód, które uniemożliwiły jej poinformowanie Dextera o podejrzeniach. Po pierwsze, ten domniemany Bill szybko zaprzyjaźniał się z jej mężem. Stał się jego jedynym przyjacielem. Grali bez przerwy w tenisa i bez przerwy chodzili razem na obiady, a Dexter wracał późno do domu uszczęśliwiony.

Dexter i Kate, jako mąż i żona, byli razem na degustacji win zorganizowanej przez American Women's Club; na spotkaniu integracyjnym w szkole; poszli do kina i teatru. Byli w gościach u jakichś ludzi, których potem zaprosili do siebie. Zнали już parę osób. Choć w gruncie rzeczy to Kate znała parę kobiet, a Dexter ciągnął się razem z nią jako mąż, gawędząc o tym i owym z angielskimi bankierami, holenderskimi prawnikami i szwedzkimi handlowcami. Natomiast Bill Maclean należał tylko do Dextera i Kate nie chciała mu go odbierać. Nie chciała sprawiać wrażenia, że mu go odbiera.

Drugą przeszkodą było to, że nie chciała przyznać, że szperanie w Internecie wynikało z jej dobrze ugruntowanego nawyku nieufania nikomu. Nawyku, którego genezą była świadomość, że jej także nie można ufać.

- O-o! - Bill uśmiechnął się podstępnie. - Chyba mnie przyłapałaś.

- Na czym?

Trzecią przeszkodę stanowiło wreszcie to, że absolutnie nie mogła przystać na to, iż jej pobudki - w maleńkiej, acz dobrze wyczuwalnej części - mają podłoże erotyczne.

- Na wagarach. Nie ma mnie kto pilnować. Żona wyjechała rano do Brukseli.

Pogodziła się z myślą, że niczego nie powie Dexterowi o fantomowej naturze Macleanów. Dopóki - jeśli w ogóle - nie odkryje czegoś bardziej namacalnego. Albo jeśli nie odkryje niczego, co samo w sobie będzie odkryciem.

- Więc wybrałem się na spacer po naszym *ville*. - Bill zbliżył się o krok, potem o jeszcze jeden, a potem szepnął jej do ucha. - By poszukać kobiety, którą mógłbym zaciągnąć

do łóżka na cały dzień.

Kate otworzyła usta.

Bill uśmiechnął się szeroko, a potem zaśmiał głośno.

- Żartowałem - powiedział. Podniósł do góry małą torbę z zakupami. - Potrzebowałem czegoś ze sklepu komputerowego.

Uderzyła go w klapę marynarki, niezbyt mocno.

- Sukinsyn.

Patrzyła mu w oczy, zaintrygowana. Bill spoglądał na nią z rozbawieniem. To mogłoby okazać się zabawne. Może przyniosłoby jakąś korzyść, Kate i Billowi, może nawet im wszystkim, całej czwórce. Nieszkodliwy flircik. Wszyscy to robią.

- Popisałeś się w Paryżu - powiedziała. - Co za odwaga! Co za męskość!

- Phi! - rzucił żartobliwie. - Drobiazg.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Nigdzie się tego nie uczyłem - odpowiedział. - To tylko mój błyskawiczny refleks.

Nieprawda. Ale nie miała zamiaru naciskać.

- Julia rzeczywiście wyjechała do Brukseli?

- Tak. Pojechała spotkać się z przyjaciółką, która bawi przejazdem w tym mieście z jakiejś nieznanej przyczyny. Trudno dociec, po co ludzie jeżdżą do Belgii.

- Przyjaciółką z college'u?

- Nie.

- A gdzie Julia studiowała? - Wbiła w niego wzrok, czekając, aż odwróci oczy. Nie zrobił tego.

- Na stanowym uniwersytecie Illinois.

- A ty? Gdzie kończyłeś studia?

- Uau!

- Uau co?

Bill rozejrzał się po deptaku.

- Nie spodziewałem się, że zechcesz przeprowadzić ze mną rozmowę kwalifikacyjną. Tu na Grand Rue. Jak wiesz, liczyłem tylko na całodzienny skok w bok. - Wyszczерzył zęby.

- Ale skoro już zaczęłaś mnie sprawdzać, muszę zapytać, ile się zarabia na tym stanowisku?

- To zależy - odpowiedziała - od wielu czynników.

- Na przykład jakich?

- Na przykład od uczelni, na której zrobiłeś dyplom.

Dostrzegła w jego oczach zmieszanie, może niepokój. W oczach i na czole. Bo usta

nadal pozostały rozchylone w uśmiechu.

- Chicago.
- Uniwersytet?
- Zgadza się.
- Nieźle. Kierunek?
- Niespecyficzny.

Uniosła brew.

- Studia interdyscyplinarne.
- Hm. A po college'u?
- Nic.
- Rozumiem. Ostatnio zajmowane stanowisko?
- Starszy partner w kantorku obracającym walutami.
- Dlaczego stamtąd odszedłeś?

- Firma przestała istnieć - odpowiedział, jakby chciał zamknąć temat. Ta część gry dobiegła końca. Ale na twarzy Billa wciąż błąkał się uśmieszek, wyraz absolutnej pewności siebie faceta, który zna się na wszystkim, na nartach i tenisie, naprawianiu samochodu i stolarce wykończeniowej, na porozumiewaniu się językami, którymi nie mówi, na dawaniu napiwków odźwiernym i przekupywaniu gliniarzy, na grze wstępnej i seksie oralnym.

- Posłuchaj - powiedział, podchodząc jeszcze bliżej - mówiąc szczerze, mój obecny chlebodawca jest całkiem dobry i dopiero zacząłem pracę. W zasadzie nie szukam nowej. Więc... - Znow się pochylił, za blisko, jego usta znalazły się tuż obok jej głowy, wargi przy jej uchu, od czego stanęły jej włoski na karku - idziemy do łóżka czy nie?

Udawał, że to żart. Ale nie robi się takich żartów bez powodu. Otwiera się nimi drzwi do jakiejś ewentualności. Coś się takim żartem oznajmia, głośno i wyraźnie. Drzwi są otwarte.

- Twój mąż, jak słyszę, też wyjechał z miasta.

Kate nigdy nie zdradziła Dextera, co nie znaczy, że brakowało jej propozycji. Miała ich całkiem sporo. A teraz usłyszała domniemany żart, który był jedną z powszechniejszych form składania tego rodzaju ofert.

W jej pancerzu powstało pęknięcie, mimo że przez całe życie walczyła z takimi mężczyznami jak Bill: śliskimi, manipulującymi, niebezpiecznymi. Przedstawicielami zupełnie innego gatunku mężczyzn niż osobnik, za którego wyszła za mąż, stojący znacznie wyżej na drabinie cywilizacyjnej, którego z własnej woli, kierowana przesłankami intelektualnymi i pragmatycznymi, wybrała.

- Nie - odpowiedziała, kręcąc z uśmiechem głową - nie idziemy do łóżka. - Doskonale wiedziała, że jej odpowiedź zabrzmiała dwuznacznie. Nigdy nie pozwoli sobie na coś takiego, niemniej jednak pozwoliła Billovi się prowadzić.

- Jak chcesz - mruknął.

Wyzbyła się na chwilę czujności i pozwoliła, żeby bałagan chłopców przeniósł się do pokoju gościnnego, do gabinetu, w którym właśnie siedziała. Czekala, aż zwalniające raz po raz połączenie DSL odświeży stronę. Rozglądała się z niesmakiem po pokoju, gdzie wałały się gigantyczne pojazdy - gruby jak ludzka ręka samolot, helikopter, przeróżne pojazdy policyjne oraz wozy strażackie. Wszystko to zajmowało całą podłogę. Czuła przymus, żeby to posprzątać, ale buntowała się. Nie znosiła zbierać zabawek.

Strona znowu ożyła, przestała się ładować. Uniwersytet Stanu Illinois ma trzy kampusy: w Urbana-Champaign jeden rocznik absolwentów liczy siedem tysięcy osób; sześć tysięcy kończy studia w Chicago; pięć tysięcy w Springfield. Szybkie obliczenia dały rezultat pięćdziesięciu tysięcy absolwentek w interesującym ją przedziale czasowym. Ile z nich miało na imię Julia?

A jeśli chodzi o Billa: na Uniwersytecie Chicago studia kończy co roku nieco mniej niż tysiąc pięćset osób. Oczywiście w przypadku Billa nie było problemu z nazwiskiem panieńskim.

Kate wpatrywała się w numer telefonu na ekranie. Trzymała w ręku aparat. Czy naprawdę chce to zrobić? Dlaczego?

Tak, chce. Dlatego, że jest z natury nieufna, a z zawodu podejrzliwa. Dlatego, że się jej nudzi. Dlatego, że nic na to nie może poradzić.

- Słucham - odezwała się kobieta z rektoratu z wyraźnym środkowozachodnim akcentem, którego dziwnym zrzędzeniem losu ani Bill, ani Julia nie wynieśli z domu. A po chwili odpowiedziała: - Tak, studiował u nas William Maclean, rocznik dziewięćdziesiąty drugi. Czy to ten, którego pani szuka?

- Tak przypuszczam. Czy mogłaby mi pani przesłać jego fotografię?

- Nie. Przykro mi. Nie prowadzimy rejestru fotograficznego naszych absolwentów.

- A tableau? - zapytała Kate. - Jego zdjęcie musi być w tableau.

- Nie wszyscy studenci umieszczają swoje zdjęcia w tableau, proszę pani.

- A czy mogłaby to pani sprawdzić? - Kate mówiła najmilej jak się da. - Proszę...?

Bez odbioru. Kate wydawało się, że połączenie zostało przerwane.

- Halo?

- Tak... Sprawdź. Proszę poczekać.

Podczas oczekiwania na wyniki zastanawiała się mimochodem, czy Dexter będzie sprawdzał połączenia na rachunku telefonicznym. A jeśli tak, to czy zapyta ją, po co dzwoniła do Chicago - akurat tam! Wiedział, rzecz jasna, że nie ma znajomych w Chicago. Czy ona wówczas powie mu prawdę... czy może skłamię... że dzwoniła do jakiegoś biura obsługi klienta... w sprawie... no właśnie, czego? Jakie biura obsługi klienta mieszczą się w Chicago?

- Przykro mi, proszę pani, ale okazuje się, że William Maclean, rocznik dziewięćdziesiąty drugi, należał do tej grupy studentów, która nie umieściła swojej fotografii w tableau.

- Wielka szkoda... - I wielka osobliwość. Bo mężczyzna, którego znała Kate, z pewnością nie należał do osób, które wstydziłyby się własnego zdjęcia. Nigdy.

Znów sama. Choć niezupełnie, bo z dziećmi. Ale bez męża.

Zasiadła jak zwykle przed komputerem.

Jaki jest najbardziej logicznie oczywisty powód tworzenia fałszywej tożsamości? Otworzyła przeglądarkę, pogrążona w myślach...

Pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy niemal instynktownie, to chęć ukrycia się przed czymś strasznym. Czymś niewybaczalnym i niedającym o sobie zapomnieć, czymś, co zrobiło jedno z nich. Zbrodnia? Morderstwo? Ona... on... zostali uwolnieni od zarzutów, ale ich życie legło w gruzach. Więc opuścili kraj.

A może nie była to zbrodnia, tylko przestępstwo w białych rękawiczkach: defraudacja, oszustwo, a on był szemranym księgowym? Dyrektorem finansowym prowadzącym podwójną księgowość. Zakapował naczelnego w zamian za bezkarność. Jego reputację trafił szlag, podobnie jak pozycję towarzyską, więc oboje postanowili zacząć od początku.

A może chodziło o nią? Mogła niedawno wyjść z więzienia po dziesięcioletniej odsiadce za... no właśnie, za co? Pedofilię? Zabicie przechodnia na pasach, prowadząc pod wpływem alkoholu? Czekał na nią - ani cierpliwie, ani dochowując wierności - ale czekał. Zwolniono ją z więzienia. Zmienili nazwiska i wyjechali z kraju.

Kate otworzyła arkusz kalkulacyjny, by wpisywać nazwiska, daty i przestępstwa kryminalne. Wróciła do sieci i znalazła chicagowski serwis informacyjny. Zaczęła przeglądać sprawę za sprawą, szukając fotografii oskarżonych, skazanych, uniewinnionych, zwolnionych.

- Z przykrością muszę cię poinformować - powiedział Evan - że nie możesz zdjąć swojej przykrywki.

Spodziewała się tego po tym wszystkim, co zrobiła i widziała. Permanentna przykrywka była w jakimś sensie ulgą, zdejmowała z niej obowiązek podejmowania decyzji, który wypadł z równania. Jeśli nie wolno jej powiedzieć nikomu, nie będzie musiała o tym decydować.

- Rozumiem. Okay.

Evan przyglądał się jej uważnie, próbując prawdopodobnie określić stopień jej rozczarowania, frustracji lub złości, wywołany tą decyzją. Nie była rozczarowana,

sfrustrowana ani zła.

- I to, Kate, tyle.

- Tyle co?

- Skończyliśmy.

Kate spojrzała na zegarek. Było wpół do dwunastej.

- Na dziś?

- Na zawsze.

- Aha. - Nie odsunęła krzesła, nie wstała, w ogóle się nie poruszyła. Nie chciała, żeby ta część dobiegła końca. Bo kiedy ta część dobiegnie końca, będzie już po wszystkim. Po całej jej zawodowej karierze.

- Naprawdę?

Evan wstał.

- Naprawdę. - Wyciągnął rękę. Gorzkie pożegnanie.

Ulica Kate lekko skręcała, a potem gwałtownie się kończyła, jak wiele europejskich ulic. W Stanach ulice są długie i proste, ciągną się całymi kilometrami, daleko jak okiem sięgnąć przez dziesiątki albo nawet setki przecznic. Podstawowa różnica między Europą a Ameryką. Francuzi nie mają nawet słowa na oznaczenie „przecznicy”. *Transversale* to nie jest amerykański *block*.

Przed wjazdem na rue du Rost stał szlaban w czerwono-białe pasy. Długi metalowy drąg oparty na kozłach. Obok napis RUE BARRÉE wymalowany szablonem starannymi wielkimi literami. Obok napisu policjant niezbyt starannie stał na baczność. Gawędzi z kobietą w krótkim fartuszk. Zapewne kelnerka zrobiła sobie przerwę na papierosa.

Kate przeszła mimo bramy pałacu. Gwardziści odnotowali jej obecność, lecz nie wzbudziła ich zainteresowania. Spojrzała jednemu z nich, o rumianej cerze, prosto w bezoprawkowe okulary, usiłowała się uśmiechnąć, ale nie zareagował. Na parking nieopodal stało mnóstwo aut, kręcili się jacyś ludzie, coś się działo.

Przeszła przez ulicę, weszła do bramy i nacisnęła dzwonek.

- Wejdz na górę! - krzyknęła przez domofon Julia.

Winda była maleńka, jak u niej w domu. Dla architektów i inżynierów było to prawdziwe wyzwanie - zmieszczenie szybu windy w ciasnym zabytkowym budynku.

- Witaj! - Julia trzymała otwarte drzwi jedną ręką, a drugą zapraszała ją do środka. To powitanie i ten gest miały w sobie coś niedzisiejszego. Coś, co wskazywało na dobre

wychowanie i było, o dziwo, pozbawione ironii. - Jak to miło, że w końcu mnie odwiedziłaś!

Kate weszła ostrożnie do środka, nie przywykła jeszcze do odwiedzania cudzych domów w środku dnia. W Waszyngtonie za dnia, oprócz własnego biura, widywała tylko gabinety w Departamencie Stanu lub na Capitol Hill. Kiedy spotykała się z kimś wieczorem, to zazwyczaj w restauracji, w kinie. W miejscach publicznych. Teraz, w mieszkaniu Julii w samym środku dnia, czuła się tak, jakby naruszała czyjąś intymność, zostając z Julią sam na sam. Czuła się tak, jakby spotkały się na potajemnej randce.

- Dzięki za zaproszenie. - Przeszła przez korytarz do dużego pokoju, który był salonem i jadalnią w jednym, z rzędem okien na ścianie od zachodu. Z każdego okna widać było *palais*, okna z ciężkimi udrapowanymi zasłonami, balustrady balkonów, kute żeliwne bramy, wieżyczki z wapienia i obcą flagę na szczycie.

Julia zauważyła, że Kate wpatruje się w pałac. Powędrowała za jej wzrokiem na samą górę.

- Flaga na maszcie - powiedziała. - Wielki księżę w domu.

- Naprawdę? - zapytała Kate. - Jest taki zwyczaj?

- Tak. Opuszczają flagę, kiedy nie ma go w pałacu.

- Ale ta flaga... chyba nie jest luksemburska?

- Czyżby? - Julia stanęła obok Kate w oknie. - Faktycznie. To chyba flaga Włoch. Co oznacza, że z Rzymu przyjechał ktoś ważny. Może premier? Albo prezydent? Nie wiem, kogo oni tam mają we Włoszech...

- Obu. - Kate napomniała się, żeby nie udawać eksperta. - Chyba... - dodała.

- No tak... - Julia wzruszyła ramionami. - Więc któryś z nich przyjechał w gości.

- Założę się, że nigdy przedtem nie mieszkałaś po drugiej stronie tej samej ulicy co monarcha.

Julia się roześmiała.

- A gdzie mieszkałaś?

- W różnych częściach Chicago.

- Przez całe życie?

- Niemal. - Odwróciła się. - Pójdę zaparzyć kawę. Dla ciebie cappuccino?

Był to typowy dla Julii dyskretny unik. Nigdy otwarcie nie odmawiała udzielenia odpowiedzi na stawiane jej pytania. Odpowiadała wymijająco lub zbywała pytanie, kierując rozmowę na inne tory, jak najdalej od swojej biografii, starając się nie przywiązywać wagi do przekierowania. I właśnie to zwróciło uwagę Kate i wzbudziło jej podejrzenia.

Czasem zdarzało się, że Julia przeproszała i zwyczajnie wychodziła z pokoju lub

wstawiała od stołu. Znikała.

- Tak, poproszę cappuccino.

Kate spojrzała na pałacowy dziedziniec pokryty brązowym zwirem i osłonięty baldachimem sosen i kasztanów. Stało tam kilkanaście samochodów, większość stanowiły granatowe limuzyny audi. Zamiast tablic rejestracyjnych samochody miały tabliczki z dwoma paskami, niebieskim i pomarańczowym, bez numerów czy liter, czy innych symboli umożliwiających identyfikację. Jedyńm nie audi na dziedzińcu był zaparkowany w pobliżu *porte cochère* zabytkowy rolls-royce, wspaniały i lśniący, i granatowy jak pozostałe auta, a raczej na odwrót - to pozostałe auta były granatowe jak on. Na tablicy rejestracyjnej rolls-royce'a widniała jedynie korona.

Monarcha. Jakże inny od „tylko” bogatych.

Z tyłu dziedzińca kręciło się kilku luksemburskich wojskowych, a obok stała grupka żołnierzy w innych mundurach. To na pewno Włosi. Ochrona w czarnych garniturach trzymała się z boku, była czujniejsza od przedstawicieli sił zbrojnych.

Kate usłyszała chrzęst zwirow pod twardymi podeszwami skórzanych butów należących do wysokiego mężczyzny, który przemierzał dziedziniec w galowym wojskowym fraku z epoletami. Luksemburscy żołnierze stanęli na baczność i zasalutowali przechodzącemu, który minął ich, nie zwalniając kroku i nie odwracając ku nim głowy.

Włoscy wojskowi nie salutowali, ale wyprostowali się jak struny i przerwali rozmowy, odprowadzając mężczyznę wzrokiem aż do *porte cochère*, gdzie jego obcasy zastukały na drewnianej kostce - znacznie cichszej pod końskimi kopytami i obręczami powozów od bruku czy kamienia.

Już miała odwrócić się od okna, gdy coś przykuło jej uwagę: ktoś otwierał długie balkonowe drzwi na drugim piętrze, niemal na jej wysokości. Na wąski balkonik wyszedł elegancki mężczyzna w ciemnym garniturze i spojrzał na dziedziniec. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej paczkę papierosów i wystukał jednego. Zapalił papierosa złotą zapalniczką i oparł się o kamienną ścianę.

Kate była tak blisko, że widziała wzór na jego krawacie, który początkowo wydał się jej jednolicie granatowy, lecz po chwili dostrzegła na nim hinduskie wzory o głębokich fioletowogranatowych barwach. Przepiękny krawat!

Mężczyzna ten znajdował się nie dalej niż trzydzieści metrów od niej w linii prostej.

Byłby - nie mogła się powstrzymać przed tą myślą - niewiarygodnie łatwym celem. Żeby oddać strzał.

Mężczyzna na pałacowym balkoniku zaciągnął się głęboko, a potem wydmuchnął chmurę dymu i trzy idealne kółka. Widziała, jak omiata wzrokiem żwir na dziedzińcu.

Dokładnie tego rodzaju pułapkę Kate zastawiła w Payne's Bay. W niewinnie wyglądającym wakacyjnym bungalowie położonym na idealnie prostej linii strzału. Tam na Barbados od celu dzieliło ją trzysta metrów. Tutaj nie potrzebowałyby nawet lunety.

- To uzależniające, prawda? - zapytała Julia. - Przyglądanie się temu, co się dzieje po drugiej stronie.

- Mhm - mruknęła z roztargnieniem Kate. Do tej pory podejrzewała, że Macleanowie uciekli przed czymś ze Stanów. Teraz nabrała całkiem przeciwnego przekonania: że celowo przyjechali do Luksemburga, żeby coś wykonać. Czy całkiem od rzeczy byłoby przypuszczenie, że chodzi o zamach?

Kate zgasiła światło i odwróciła się do Dextera, posmak czerwonego wina i pasty do zębów, odpowiednie ruchy, łapanie za to i tamto, lizanie tego i owego, podręcznikowy seks, niezbyt satysfakcjonujący, ale i bezproblemowy, kolejny niewart zapamiętania akt z nieprzeliczonej serii podobnych odsłon.

Później, po łyku wody, już w piżamach, uspokojenie oddechu.

- Słuchaj, jutro wieczorem gram z Billem w tenisa - zakomunikował Dexter.

Nie odwróciła się ku niemu w ciemności.

- Dobrze się z nim bawisz, prawda?

- Tak, to fajny chłop.

Wpatrywała się w sufit. Chciała, potrzebowała porozmawiać z kimś o tym wszystkim. Tym kimś był właśnie jej mąż. Choć miała do niego mnóstwo pretensji za to nowe życie, nadal pozostawał jej najlepszym przyjacielem. Ale obawiała się - nie, nie obawiała, bo obawa zakłada niepewność, a ona doskonale wiedziała - że może przekroczyć jakąś granicę małżeńską, zza której nie ma powrotu, bo dalej jest tylko przepaść. W normalnych okolicznościach wiadomo, że są takie granice, których się nie przekracza, o których się nawet nie mówi. Na przykład, fantazje erotyczne. Flirty z innymi ludźmi. Głęboko zakorzeniona nieufność, żal, pretensje. Ucieka się od nich, od tych granic, najdalej, jak się da, udaje się, że ich nie ma. A kiedy w końcu z takiej czy innej przyczyny stanie się nad przepaścią i wyczuje krawędź pod stopami, wszystko, co jest dalej, wydaje się nie tylko wstrząsające, ale i przerażające. To banał. Choć granice i przepaście zawsze były tam, gdzie są teraz, i prędzej

czy później zawsze je trzeba przekroczyć.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytał Dexter. - Coś ci chodzi po głowie?

Gdyby powiedziała teraz: „Posłuchaj, obawiam się, że Bill i Julia nie są tymi, za których się podają”, wpadłby w złość. Przeszedłby do ofensywy. Znalazłby setki możliwych i prawdopodobnych, korzystnych dla nich wyjaśnień.

- Masz coś przeciwko Billowi?

Po pewnym czasie Dexter stanąłby do konfrontacji z Billem w zwykły dla siebie niekonfrontacyjny sposób. Usłyszałby jakąś bajkę, którą by przełknął. Usłyszałby, jak podejrzewała Kate, że Bill i Julia są objęci programem ochrony świadków. Nie mogą podać żadnych szczegółów, nie można zweryfikować i potwierdzić ich historii, nie można jej w żaden sposób udowodnić ani odrzucić. Na miejscu Billa wymyśliłaby właśnie taką bajkę.

Nie była pewna, czego najbardziej chce uniknąć: sporu z Dexterem o sekretach Billa czy ujawnienia Dexterowi - wreszcie! - własnych tajemnic.

Leżała więc z rozłożonymi nogami, gapiąc się w ciemny sufit, próbując znaleźć sposób na dotarcie do męża.

Chwila ta - choć nie jedyna, ale mająca nad innymi tę przewagę, że ją zapamiętała - mogła, jak przypuszczała post factum Kate, zmienić wszystko. Szaleństwo jeszcze się nie zaczęło. Nie zabrała się jeszcze do gromadzenia kolejnych tajemnic, z których każda nakładała się na poprzednią w zaklętym niedającym się ogarnąć kręgu.

Leżała w łóżku, chcąc rozpocząć rozmowę, do czego zmusić się nie mogła, powiedziała więc tylko:

- Nie, oczywiście, że nie. Bill to fajny chłop.

Była to najważniejsza chwila bezczynności w jej życiu.

Dziś, 11:40

Na końcu korytarza jest schowek na bieliznę z równymi rzędami półek i wnękami, w których leżą kwieciste zmiany pościeli i miękkie białe ręczniki. Po drugiej stronie jest schowek, w którym trzymają walizki. Kate przekręca sfatygowaną mosiężną gałkę na ozdobnej mosiężnej podkładce przykręconej do jasnokremowego panelu drzwi.

Większy bagaż leży na podłodze ułożony jeden na drugim: kufer i dwie pełnowymiarowe walizki. Używali go, wyjeżdżając w lecie na Lazurowe Wybrzeże i na kilka tygodni do Umbrii. Teraz nie będzie jej potrzebny. Wyciąga ze schowka dwie średniej wielkości walizki na kółkach i torbę podrózną.

Ciągnie jedną z nich po podłodze do pokoju chłopców. Wkłada do niej zmianę spodni i koszul na trzy dni, dokłada skarpetki i bieliznę. W sąsiadującej z pokojem łazience ściąga z półki nad lustrem kosmetyczkę, do której wrzuca ich szczotki do zębów i pastę. Z kosza pod zlewem wyjmuje apteczkę. Mali chłopcy często się kaleczą, bez względu na to, czym się akurat zajmują, a europejskie place zabaw są bardziej niebezpieczne od amerykańskich. Kate już dawno temu, w Belgii i Niemczech, we Włoszech i Hiszpanii zmęczyła się szukaniem plastrów i środków odkażających. Teraz podróżują z apteczką.

Przechodzi do swojej sypialni, a z niej do garderoby. Rozkłada stojak pod bagaż i stawia na nim torbę, wrzucając do środka wszystko jak leci, myśląc o czymś zupełnie innym niż ubrania. Jak obliczyła niedawno, przez dwa lata pobytu w Europie pakowała bagaże czterdzieści trzy razy. A w starym życiu, zanim urodzili się chłopcy? Setki razy.

Pakuje się na autopilocie. Zanim wyjadą, przypomni sobie o czymś: ładowarka do telefonu, książki czytane przez chłopców, paszporty. Zawsze tak się dzieje, kiedy musi się spakować, mając głowę zaprzątniętą czym innym. Nie zasuwa więc zamków błyskawicznych torby, zostawia ją na stojaku, gotową na przyjęcie ostatnich najpotrzebniejszych rzeczy.

Na ma pojęcia, na jak długo się pakuje. Niewykluczone również, że pakuje się bez potrzeby. Albo na jedną, góra trzy noce, choć równie dobrze może to być tydzień czy miesiąc. Albo też na zawsze.

W każdym razie doszli z Dexterem do wniosku, że jeśli ktoś się pojawi, jeśli będzie im groziło ujawnienie, zapakują się na trzy dni. Trzydniowy bagaż łatwo się przewozi, trzydniowy bagaż nie zwraca niczyjej uwagi, nie świadczy o przeprowadzce, ale o krótkim wypadzie. Jeśli okaże się, że wyjazd jest dłuższy, zawsze mogą kupić to, czego potrzebują. Mają mnóstwo pieniędzy. A pieniądze można wykorzystać do kupienia chwili oddechu w

dowolnym miejscu, później. Jeśli chwila oddechu w Paryżu właśnie dobiegła końca.

Kate wciąga drugą walizkę na kółkach i stawia ją w drugim końcu garderoby na drugim stojaku. Dextera.

Komplet bagażu. Nigdy by nie przypuszczała, że któregoś dnia stanie się właścicielką kompletu bagażu, składającego się z dziesięciu walizek i toreb. To kolejna tożsamość, do jakiej, chcąc, nie chcąc, musi się przyzwyczaić.

Znów stoi w długim eleganckim korytarzu z fotografiami dzieci na pokrytych tapetą ścianach: narty w Alpach, dokazywanie w Morzu Śródziemnym, śmieszne miny nad kanałami w Amsterdamie i Brugii, wizyta w Watykanie, wjazd na wieżę Eiffla, zoo w Barcelonie, Legoland w Danii i plac zabaw w Kensington Gardens. Wszystkie drzwi w korytarzu są otwarte - do pokoiw wspólnych i do pokoiw prywatnych, świecą się wszystkie lampy w różnych miejscach i pod różnym kątem.

Kate wzdycha. Nie chce wyjeżdżać z Paryża. Chce tu zostać, chce tu mieszkać. Chce, żeby jej synowie odpowiadali „Paryż” na pytanie „Skąd pochodzisz?”.

Jedyne, czego jej trzeba, by osiąść tu na dobre, by domknąć własne życie, to pozbyć się tego nieprzyjemnego swędzenia. Nie pozbędzie się go na Bali, Mykonos czy w Tasmanii. Problem zawsze tkwi - i będzie tkwił - w niej samej, w jej odległej już przeszłości. Kiedy podjęła brzemienną w skutki decyzję, by stać się tym, kim się stała... jeszcze...

...jeszcze w college'u.

Coś jej się przypomniało i przemierza korytarz szybkim krokiem.

Kate wpatrywała się w komputer stojący pod oknem, za którym zrobiło się już ciemno i mgliście. Z mgły wyzierały jedynie rozmazane plamki światła. Ciemny posępny impresjonizm. Z elektrycznością.

Jake i Ben byli zajęci zabawą na podłodze, siedząc po turecku. Kate zdjęła dłonie z klawiatury i westchnęła ciężko.

- Mamusiu, co się stało?

Spojrzała na Jake'a - wielkie zatroskane oczy pod niewinnym gładkim czołem.

- Nie znalazłam tego, czego szukałam.

- Aha - odezwał się Ben. - Chcesz się z nami pobawić?

Kate poświęciła cały tydzień pracy na wyszukiwanie w Internecie przestępców o profilu zbliżonym do Billa i Julii. Niczego nie znalazła.

- Tak. - Zamknęła laptop. Przestała być szpiegiem i wróciła do bycia matką. - Tak, chcę.

Suszarka zaczęła piszczeć, kiedy przekroiła pomidor na pół. Z roztargnieniem odłożyła pomidor na papierowy ręcznik. Po dziesięciu minutach składania prania sok z pomidora wsiąknął w ręcznik, rozprzestrzeniając się wzdłuż linii celulozowych włókien ciemnoczerwonymi kosmkami, skupiając na sobie uwagę Kate i przywołując w pamięci hotelowy pokój w Nowym Jorku, na podłodze leżał tam mężczyzna z otwartym kraterem z tyłu głowy, z którego wyciekała na jasną wykładzinę krew, rozlewająca się dokładnie w taki sam sposób jak sok z pomidora na papierowym ręczniku.

A potem nieoczekiwanie pojawiła się tamta kobieta i zamarła z otwartymi ustami.

Wiele lat wcześniej to Hayden tłumaczył jej, co jest nie tak z krwią.

- Szekspir nie był idiotą - powiedział, kiedy przechodzili przez Ponte Umberto I. Zajęcia dobiegły końca, a instruktor zabierał ją na obiad do trattorii za Zamkiem Świętego Anioła. - Tym, co nie dawało spokoju Lady Makbet, była krew Duncana. Tak samo będzie z tobą, jeśli na to pozwolisz. „Precz, przeklęta plamo! Precz! Mówię”[2].

Popatrzyła na niego. Ponad jego ramieniem wyrastała majestatyczna kopuła Bazyliki Świętego Piotra, skąpana w złocistym świetle zachodzącego słońca. Hayden też odwrócił ku niej głowę.

- Niektórych rzeczy, jakie się widziało - ciągnął - nie da się zapomnieć. Jeśli nie chcesz ich widzieć do końca życia, to najlepiej na nie nie patrzeć.

Odwrócili się plecami do Watykanu i ruszyli w kierunku starego więzienia.

- „Jednakże kto by się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!”[3] - znów cytował Szekspira.

Hayden trafił do CIA z Back Bay w Bostonie przez szkołę Groton i Harvard, tak jak jego ojciec i dziadek. Kate podejrzewała, że oni wszyscy cytowali tylko klasyczną literaturę.

- Zapamiętaj, Kate - mówił dalej. - W każdym człowieku płynie zaskakująco dużo krwi.

Piętnaście lat później, wpatrując się w czerwony od pomidora papierowy ręcznik, zrozumiała, dlaczego zaplanowała kolejną rodzinną wycieczkę akurat do Niemiec.

Chłopcy byli na górze, bawili się głośno poprzebierani w kostiumy. Na głowach mieli hełmy gladiatorów, które nazywali „hełmkami gladiatorów”, a Kate ich nie poprawiała. Nie miała serca, pozwalała im na taką dziecięcą paplaninę, mając cichą nadzieję, że dłużej będą młodszy. A ona przy nich też.

Zamknęła drzwi do pokoju gościnnego. Wybrała numer.

- Co masz dla mnie dzisiaj? - zapytała.

- Dzisiaj... hm... pomyślmy... Pewnego razu Charlie Chaplin pojawił się na konkursie sobowtórów Charliego Chaplina i... przegrał! Nie dotarł nawet do finału!

- Ładne. Na siedem. Może osiem.

- No cóż, wielkie dzięki!

- Posłuchaj, chcę się wybrać z rodziną do Bawarii. - Wiedziała, że rozmowa jest nagrywana. Może nawet monitorowana w czasie rzeczywistym przez kogoś w słuchawkach na uszach, kto po minucie dzwoni do szefa, a szef do współpracownika, by po upływie stu sześćdziesięciu sekund zasiąść ze słuchawkami przed elektronicznym panelem i zastanawiać się wraz z pozostałymi, o czym dokładnie jest ta rozmowa. Kolejne niespodziewane połączenie z niezabezpieczonej prywatnej linii w Luksemburgu do biura w Monachium. - Jakież wskazówki?

- Bawaria! Cudownie! Mam mnóstwo wskazówek... - po czym Hayden wyrzucił z siebie spis hoteli i restauracji, atrakcji i widoków.

Kiedy skończył, powiedziała:

- Pomyślałam, że moglibyśmy się spotkać. Ty i ja.

Jeśli Hayden uznał, że to podejrzane, nie dał tego po sobie poznać. Oczywiście nie mógł.

- *Bonjour?* - W domofonie zatrzeszczał niepewny głos.

- Cześć! - Kate wrzasnęła niemal do mikrofonu. - To ja, Kate.

Milczenie.

- Kate?

- Tak!

- Aha... No... Wejdz na górę.

Zabuczały otwierane drzwi wejściowe, słabo, jak zepsuty toster.

Na górze, na ciemnej karłowatej klatce schodowej Julia - w szlafroku - opierała się o framugę drzwi, próbując, bez powodzenia, się uśmiechnąć. Była dziewiąta rano.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale mam straszny poranek.

- Nie ma problemu - odpowiedziała nieco dziwnie Julia. Nie należała do osób, które posługują się takimi rymowankami.

- Bardzo się spieszyłam rano - trajkotała Kate. - I zapomniałam nie tylko telefonu, ale i kluczy od domu. Zostały mi tylko kluczyki do samochodu. Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? Muszę zadzwonić do Dextera.

- Oczywiście.

Julia weszła do gościnnej sypialni, zdjęła telefon stacjonarny z podstawki na biurku i rzuciła słuchawkę Kate.

- Dzięki! Przepraszam jeszcze raz za kłopot. A Bill? Jest w domu?

- Nie. Wyszedł kilka minut temu.

Kate o tym wiedziała.

- Dzięki raz jeszcze.

Wybrała numer biura Dextera. Kiedy to planowała, zastanawiała się, czy nie powinna wybrać jakiegoś nieistniejącego numeru albo numeru swojej komórki, a potem udać, że prowadzi rozmowę. Ale jeśli nie myli się co do Julii i Billa, szybko by ją przyłapali na oszustwie. Mają na to sposoby. Bill mógł w żartach zapytać o to Dextera, a Julia mogła sprawdzić połączenia na rachunku telefonicznym.

Więc nie mogła markować rozmowy. I by nadać jej jak największą wiarygodność - dla Julii, Dextera i nawet dla siebie - wybiegła rano z mieszkania, celowo zostawiając klucze i telefon na kuchennym blacie.

- *Bonjour*, Dexter Moore.

- Cześć - powiedziała. - To ja. Zapomniałam kluczy od domu. Możesz się tam ze mną spotkać?

- Chryste, Kat!

Wiedziała, że będzie wkurzony. Liczyła na to. Wybiegł do pracy o siódmej rano, trudny dzień, Ważny Dzień. Właśnie z tej przyczyny robiła to dzisiaj. Żeby był zły i żeby mogła do niego powiedzieć: - Nie wściekaj się na mnie, Dexter - i przewrócić oczami, żeby widziała to Julia, i pokręcić głową, i przejść do gościnnej sypialni, by kłócić się z mężem przez telefon samotnie.

Rozejrzała się szybko, lecz uważnie po pokoju, zapamiętując każdy szczegół. Łóżko było porządnie, ale nie całkiem idealnie zasłane. Jedna z czterech poduszek nosiła ślady niespokojnych snów tego, kto na niej spał i zapomniał ją wygładzić.

- Zapomniałam kluczy przez pomyłkę - usprawiedliwiła się Kate. - Nie zrobiłam tego celowo, żeby zepsuć ci humor.

Na nocnym stoliczku leżała książka w miękkiej oprawie, z niezbyt ładną okładką przedstawiającą farmę. Książka napisana przez kobietę. Słowo POWIEŚĆ pod długim niejasnym tytułem. Literatura kobieca. Obok szklanka z wodą. Pudełko z chusteczkami. Balsam do ust.

To Julia sypiała na tym łóżku. Sama. W sypialni dla gości.

- Za chwilę wychodzę na spotkanie - powiedział Dexter.

Biurko było małe, posprzątane. Laptop zamknięty. Żadnych walających się papierysk, tylko parę kopert zaadresowanych na ulicę w Limpertsberg na coś, co nazywa się WJM S.A. Skrót ten oznacza *société anonyme*, co oznacza z grubsza to samo, co *société à responsabilité limitée*, czyli to, co gdzie indziej oznacza się skrótem *Ltd.* czyli spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. W tym wypadku anonimowa. W tym wypadku, jak przypuszczała, William J. Maclean S.A.

W biurku była szuflada na segregatory. Ale nie mogła jej otworzyć, nie wolno ryzykować. Za nic w świecie nie zdołałaby tego wyjaśnić, gdyby ją przyłapano.

Urządzenie peryferyjne miało pokaźne rozmiary i było skanerem, kserokopiarką i drukarką w jednym. Na biurku leżał stosik wizytówek. Kate wyjęła chusteczkę z kieszeni dzinsów i przejrzała karty, nie dotykając palcami papieru. Jedna z wizytówek pochodziła z klubu tenisowego. Julia nie grała w tenisa. Kate ujęła ją przez chusteczkę i wsunęła do kieszeni.

- Rozumiem, Dex. Bardzo mi przykro.

Podeszła do nocnego stoliczka. Pod tak ostrym kątem Julia nie mogła jej zobaczyć przez uchylone drzwi. Za pomocą chusteczki podniosła balsam do ust i wrzuciła do kieszeni wraz ze skradzioną wizytówką.

Zastanawiała się, czy małżeństwo Julii i Billa nie jest szczęśliwe, czy Julia lunatykuje albo czy się przeziębiła i nie chciała zarazić męża tej nocy.

Lub też czy chodzi tu o coś daleko bardziej odbiegającego od normy.

- Dexter wróci późno! - zawołała Kate. - Zawsze wraca późno ze spotkań. Wszystko trwa tu dłużej, niż się spodziewał. Więc nie musi się spieszyć do pierwszej.

- Okay! - odkrzyknęła Julia z łazienki, gdzie robiła sobie makijaż. Kate знаła ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie opuszcza domu bez dopracowania każdego szczegółu swego wyglądu.

Podeszła do okien wychodzących na pałac. Na maszcie nie było flagi. Monarcha poszedł na spacer. Na dziedzińcu nie stały samochody. A przy tylnej bramie wartę pełnił tylko jeden gwardzista z bronią na ramieniu. Wyglądał na znudzonego. Z tych okien rozciągał się zaiste wspaniały widok.

Ale zawsze najistotniejsza jest, o czym wiedziała doskonale, możliwość ucieczki. Tak jak podczas napadu na bank czy zdradzania małżonka. Dostanie się do środka to prościzna.

- Idziemy? - Wybierały się do centrum handlowego, żeby jakoś przeżyć przedpołudnie.

- Idziemy. - Kate wcisnęła guziczek na zegarku i odeszła od okna wychodzącego na rue de l'Eau. Wyszła z mieszkania, wsiadła do windy i zjechała sześć poziomów na dół na podziemny parking, gdzie wsiadła do mercedesa Julii, by wysiąść z niego na innej ulicy, rue du St-Esprit, wąskiej wybrukowanej alejce, znajdującej się o kilka mylących zakrętów od *palais*; po przejściu pięćdziesięciu metrów rue St-Esprit skręcała gwałtownie o dziewięćdziesiąt stopni ku stromemu zejściu przed ślepym zaułkiem, prowadzącemu na równie wąską brukowaną alejkę, noszącą nazwę rue Large, która wspinała się stromo pod średniowiecznym łukiem i kończyła przy rue Sigefroi, łączącej się po chwili z Montée du Clausen czy lokalną drogą nr 1, która zaraz daje możliwość rozpędzenia się do stu kilometrów na godzinę we wszystkich kierunkach świata - do Niemiec i do Francji, na lotnisko albo na wieś. Wszędzie.

Kate spojrzała na zegarek. Mniej niż dwie minuty spod okna do niczym nieograniczonej wolności.

Byli obcokrajowcami występującymi pod fałszywym nazwiskiem i mieszkającymi naprzeciw bogatej w potencjalne cele rezydencji, trudno doprawdy o lepszy widok na nią i o lepszą możliwość szybkiej stąd ewakuacji.

To tylko poszlaki. Doskonale o tym wiedziała. Może nawet nie była przekonana, że mają jakieś znaczenie. Może zapędziła się w kozi róg, szukając wymówki, żeby sprawdzić tych ludzi. Żeby mieć coś do roboty. Cokolwiek.

Z trudem przekopywała się przez kolejne warstwy nieprawdopodobieństw różnych scenariuszy, jakie rodziły się w jej niewątpliwie chorej wyobraźni. Z jednej strony wydawało się jej zgoła niemożliwe - wprost oburzająco nieprawdopodobne - żeby zespół zabójców zamieszkał w Luksemburgu, czekając na odpowiedni cel. To zupełnie nie do przyjęcia. Ale z drugiej strony, jak racjonalnie wytłumaczyć fakt, że dwoje ludzi o fałszywej tożsamości wynajmuje mieszkanie stwarzające idealne warunki do wykonania zamachu na dające się wyeliminować cele?

Jeśli nie są zamachowcami, to uciekają. Ale czy ci ludzie wyglądają jak uciekinierzy?

Jest też jeszcze jeden, najgorszy scenariusz. Mogli przyjechać do Luksemburga po Kate.

Tylko jedna nić łączyła jej teraźniejszość z przeszłością, biegnąc przez pięć lat, sięgając przez Atlantyk, by nią szarpnąć, okręcić się wokół jej szyi i zadusić.

Zawsze wiedziała, że Eduardo Torres nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Nie wszystko zostało dopięte, było mnóstwo pytań i były dowody. Poza tym nikt nigdy nie znalazł majątku Torresa, który - jak uważano - wynosił dziesiątki milionów dolarów. Pieniądze - jak zakładano - zostały ukryte w Europie na koncie numerycznym.

A Kate właśnie przeszła na emeryturę przed czterdziestką i wyjechała do światowej stolicy numerycznych kont; wyjechała z mężem, który był niedoścignionym ekspertem w łamaniu takich zabezpieczeń.

Nie wyglądało to dobrze. Wyglądało bardzo źle. Bardzo podejrzanie.

Podobnie zresztą jak Bill i Julia.

Musi kopać głębiej.

Dżdżyło. Tak to się chyba nazywa, kiedy z nieba spadają mikroskopijne drobiny wody, zbyt małe, by dało się je dojrzeć i odczuć jako krople.

Wycieraczki pracowały na najwolniejszym biegu. Trzy sekundy między jednym ruchem pióra a drugim. Podczas tych trzech sekund przednią szybę pokrywała mgiełka wody, zbyt gęsta, by dało się przez nią cokolwiek dostrzec, a potem szuuu... i szyba znów była czysta.

Silnik pracował, światła były włączone, a radio nastawione na France Culture. Kate z trudem nadążała za prowadzoną w radiu rozmową. Ogólny temat dotyczył Baudelaire'a. Rozpoznawała w każdym razie powtarzane bez przerwy nazwisko poety. Niewykluczone jednak, że Francuzi dyskutowali o *beau de l'aire*, uroczym świeżym powietrzu. Które byłoby niejako przeciwieństwem Baudelaire'a.

Na sąsiednim siedzeniu leżała wizytówka ortopedy. Gdyby ktoś ją zapytał, mogłaby powiedzieć, że przyjechała za wcześniej na umówioną wizytę. Z powodu ostrogi na pięcie, która ją boli, choć zaden laik nie dostrzeże ostrogi, o ile nie każe jej zdjąć butów. Siedziała więc w ciepłym suchym aucie, próbując uczyć się francuskiego przez radiową osmozę, słuchając, jak uczeni prowadzą żarliwie tajemniczą, acz bez wątpienia odwieczną dotyczącą Baudelaire'a wojnę, choć nie rozumiała do końca stanowiska stron. O co im w gruncie rzeczy chodzi? Czekala, bo równo za pół godziny rozpocznie się nowa audycja. Dokładnie wtedy, kiedy powinna pójść na umówioną na niby wizytę.

Nie, odpowiedziałyby, gdyby ją pytano, nie miała pojęcia, że biuro Billa mieści się w tym samym budynku. Skąd mogłaby to wiedzieć? Zapamiętała ten adres z koperty na biurku w pokoju gościnnym.

Wysokie kamienice stały równo wzdłuż chodnika, oddzielone od niego czymś, co przypominało frontowe ogródki, a było zaledwie wąskim trawniczkiem z paroma gołymi krzakami. Kamienice były szare, brązowe lub barwy kitu, chodnik wyłożony szarymi betonowymi płytami, a ulica wylana ciemnoszarym asfaltem. Samochody miały srebrny lub szary odcień, czasem czarny, a niebo barwę rozmokłego łupka. Okolica była bezbarwna, obmyta deszczem lub oczekiwaniem nań, jakby ją specjalnie zaprojektowano i wzniesiono na tak paskudną pogodę.

Siedziała w samochodzie prawie od godziny. Miała jeszcze trzy do czasu odbierania dzieci ze szkoły. Trzy godziny, podczas których nikt nie będzie wiedział, co robi, gdzie robi

to, co robi, ani, na miłość boską, dlaczego.

O ile ktoś nie grzebał przy jej aucie, wyposażając je, na przykład, w zasilany baterią nadajnik GPS umieszczony, powiedzmy, w prześwicie pod wygodnym obitym szarą skórą fotelem pasażera.

Bill wyszedł o 11:40. Rozejrzał się w obie strony, nim zszedł po prowadzących na chodnik schodkach. Przebrał się w strój tenisowy: białe szorty i bluzę z czerwono-niebieskimi wyścigowymi paskami na rękawie. W tej jesiennej plusze wyglądał wprost komicznie, jak ze skeczu Monty Pythona.

Podbiegł do czyściutkiego małego bmw - zabaweczki dla chłopców. Ryknął silnikiem, wrzucił agresywnie bieg i ruszył z piskiem opon cichą uliczką, jadąc na kort w Bel-Air zarezerwowany na dwunastą. Potem lunch. Wszystko z Dexterem.

To był pomysł Julii podsunięty Kate. „Czy nie sądzisz, że powinni spotykać się w ciągu dnia? I wracać wieczorem do domu?”. Kate posłusznie podsunęła ten pomysł Dexterowi. „Dobrze ci to robi”, dodała. „Trochę wysiłku fizycznego w godzinach pracy”. W Waszyngtonie Dexter uprawiał sport wieczorami. Teraz wieczorami pracował. A kiedy nie musiał zostawać w pracy, Kate chciała mieć go w domu. Z dziećmi. Przy sobie.

W ten sposób dowiedziała się, że będzie miała dwie ekscytujące godziny, kiedy Billa nie będzie w biurze mieszczącym się w tej kamienicy. Odczekała kolejne pięć minut, żeby się upewnić, że nie zapomniał butelki z wodą czy tuby z piłkami, telefonu czy opaski uciskowej na kolano. Czegokolwiek. Potem dała mu jeszcze pięć minut, żeby mieć absolutną pewność. I odwlec jak najdłużej to, co chciała zrobić.

Przejrzała się w lusterku na osłonie przeciwsłonecznej.

Chwila była podniosła - przejście od hipotetycznego planu do jego praktycznej realizacji, poddanie się czemuś, co mogło się okazać idiotycznym impulsem, który pozbawi ją resztek zdrowego rozsądku. Ale postanowiła, że się podda i że to zrobi. Choć nie postanowiła, że zrobi to na sto procent, bo gdyby tak było, musiałaby się przyznać przed sobą do czegoś o sobie, do czego przyznać się nie chciała. Postanowiła, że to zrobi na dziewięćdziesiąt pięć procent, wystarczająco dużo, by podjąć się tego idiotycznego czynu, lecz rezerwując sobie margines na zdroworozsądkowe uznanie tego, co się wydarzy, za wyglup, żart, a nie jakiś tam przemyślany plan.

Nasunęła mocno na głowę kaptur żółtego gumowanego deszczowca. Jej zwykła peleryna przeciwdeszczowa, kupiona przed miesiącem w Kopenhadze, była jaskrawo wielokolorowa. W Skandynawii produkuje się bardzo atrakcyjnie wyglądającą odzież na każdą najpaskudniejszą pogodę. W Skandynawii, podobnie jak tu, pogoda potrafi być

paskudna. Ale deszczowiec, który miała na sobie, był tanim wynalazkiem kupionym wczoraj w dyskoncie w Gare. Pozbędzie się go pod koniec dnia.

Podniosła kopertę z sąsiedniego fotela i napisała na niej adres kamienicy, w której miesiło się biuro Billa. W środku była oferta ze sklepu rowerowego z dwudziestoprocentową zniżką na każdy rower. Zabrała ulotkę ze sklepu z rowerami wczoraj, kiedy jeszcze zastanawiała się nad wprowadzeniem w życie tego obłąkanego planu.

Wysiadła z samochodu, włożyła skórzane rękawiczki i przeszła przez ulicę.

Z pięciu dzwonek na domofonie, tylko piąty był nieoznaczony. Przy pierwszym widniało jakieś luksemburskie lub niemieckie nazwisko, przy drugim proste nazwisko francuskie, Dupuis, przy trzecim nazwisko (firma?) Underwood. Przy czwartym WJM, S.A.

Napisała „Underwood” na kopercie.

Zadzwoiła do Billa. Gdyby ktoś odpowiedział na dzwonek, powie, że się pomyliła i dzwoni do Underwooda. Ale jedyną osobą, która wychodziła z budynku, jeśli nie liczyć Billa, była zadbana starsza pani, zeszła po schodkach o jedenastej, niosąc złożoną torbę na zakupy. Wróciła pół godziny później z tą samą torbą wypchaną do niemożliwości i tak ciężką, że nieomal ciągnęła starszkę jednym bokiem do ziemi. Kate przyglądała się nieboraczce wspinającej się po stromiznie ulicy, co było nie lada wyczynem. Kobieta poruszała ustami lub zaciskała wargi, wciągając do środka zapadnięte policzki, wykonując ćwiczenia mięśni twarzy właściwe dla osób mówiących po francusku - bez nich nie da się właściwie wymówić tych wszystkich nosowych samogłosek. Musiała to być Mme Dupuis.

Zadzwoiła raz jeszcze. Nad drzwiami ani w ich pobliżu nie zauważyła kamer. Ale w tych czasach kamery mogą być zainstalowane gdziekolwiek. Starła się nie podnosić głowy przesłoniętej kapturem.

Zadzwoiła do Dupuis.

- *Boooooon-jourrrrrrrrr!* - Tak, to był głos starszej pani.

- *Bonjour, madame* - odpowiedziała Kate. - *J'ai une lettre pour Underwood, mais il ne repond pas. La lettre, elle est très importante.*

- *Ouuuuuuuuuu, mademoisellllllle.*

Mme Dupuis otworzyła drzwi. Kate pchnęła przeszkloną framugę, a potem pozwoliła jej się zamknąć. Drzwi zamknęły się łagodnie, nie poleciały szyby.

Wspięła się po schodach, skręciła na podeście schodów. Mme Dupuis czekała w korytarzu.

- *Merçi, madame* - powiedziała Kate.

- *De rien, mademoisellllllle. Au deuxième étagggggge.*

Weszła na drugie piętro, wepchnęła kopertę pod drzwi Underwooda, a potem zbiegła po schodach. Otworzyła drzwi i pozwoliła im się głośno zamknąć. Została w środku. Stała bez ruchu przez minutę. A potem znów wspięła się cicho po schodach.

Kiedy skręcała na drugie piętro, usłyszała głosy. Kobieta i mężczyzna. Cholera, zakłęła w duchu. Rozejrzała się szybko. Nie było gdzie się ukryć. Mogła zbiec do piwnicy, ale jeśli schodzą do podziemnego garażu? Jeśli czegoś naprawdę nie chciała, to tego, żeby ją przyłapano na czymś podejrzanym.

Zagra *va banque* i pójdzie na górę jak gdyby nigdy nic. Skręciła na podeście i wspinała się dalej. Para stała już na klatce schodowej. Kate zerknęła do góry i udając zaskoczenie, wymamrotała:

- *Bonjour.*

- *Bonjour* - odpowiedział jej mężczyzna. Kobieta zawtórowała mu jak echo. Czekali na szczycie wąskich schodów, aż przejdzie.

- *Est-ce que je peux vous aider?* - zapytał mężczyzna.

Kate spojrzała na niego zmieszana, choć wiedziała, o co ją pyta.

- Mogę pomóc? - spróbował po angielsku.

- Och... - uśmiechnęła się do niego. - Nie, dziękuję. Odwiedzam Billa Macleana.

Mężczyzna zacisnął usta z kwaśnym uśmiechem. Kobieta pokiwała znacząco głową.

Kate minęła ich.

- *Merci.*

Przyspieszyło jej serce. To była najłatwiejsza część.

Biuro Billa znajdowało się na najwyższym piętrze. Za jednymi z dwójga drzwi na krótkim, dobrze oświetlonym korytarzu. Pierwsze były nieoznaczone. Nacisnęła klamkę, lecz drzwi okazały się, rzecz jasna, zamknięte. Podeszła do okna na końcu korytarza i przekręciła klamkę, żeby je otworzyć. Wszystkie okna w Luksemburgu działały w ten sam sposób - na bocznych i górnych zawiasach.

Otworzyła szeroko okno, wychyliła się, przyjrzała się pozostałym oknom na piętrze i parapetom, szukając możliwości wejścia. Od sąsiedniego budynku osłaniały ją drzewa.

Cofnęła się wyłożonym kamiennymi płytkami korytarzem. Przed drzwiami Billa leżała wycieraczka, obok dzwonka wisiała mosiężna tabliczka z nazwą firmy. Trzy zamki, jeden mógł być prawdziwym wyzwaniem. Światło w korytarzu pochodziło z dwóch skierowanych do góry lamp z abażurami w kształcie rożków oraz z niezastłoniętego okna. Nic nie wskazywało, że jest tu gdzieś jakaś kamera.

Przykłęknęła przed drzwiami. Sięgnęła do tylnej kieszeni i wyjęła z niej mały portfelik

z mocno wytartej skóry, owinięty grubą gumką. W środku miała zestaw miniaturowych śrubokrętów, ostro zakończonych szczypczyków i szpikulców z gumowanymi uchwytami. Zabrała się z zapalem do pracy, trzymając w palcach maleńkie narzędzia, z twarzą niemal przylepioną do drzwi. Zaczęła od najtrudniejszego zamka, dwa pozostałe były tandetne, tylko na pokaz; otwieranie ich nie miało sensu, jeśli nie upora się z tym potworem.

Na najwyższym piętrze czuła się stosunkowo bezpiecznie, nikt, oprócz Billa, zapewne tu nie wchodził, ale nie mogła marnotrawić czasu w nieskończoność. Nigdy nie była specjalnie dobra w pokonywaniu zamków, włamania nie należały do priorytetów w Ameryce Łacińskiej, gdzie zamiast wstawiać zamki, stawia się ludzi z bronią.

W jej pracy liczyły się mapy, więc była specjalistką od map. I broni, którą potrafiła czyścić, naprawiać i posługiwać się nią jak mało kto. Musiała także opanować różnorodne hiszpańskie dialekty ze specjalnym naciskiem na slang, w tym wszystkie wulgarne słowa opisujące genitalia. Wychowała się w chylącym się ku upadkowi nadmorskim miasteczku w Connecticut, przeżywającym potężny napływ ludności hiszpańskojęzycznej. Miała mnóstwo okazji, by nauczyć się na ulicach rynsztokowej hiszpańszczyzny, a także hiszpańszczyzny poprawnej, we własnym domu, od nisko opłacanej opiekunki, na taką było stać rodziców Kate, kiedy oboje pracowali, a Kate i jej siostra były wciąż małymi niewinnymi dziewczynkami, kończącymi lekcje w pierwszej czy drugiej klasie o bardzo wczesnej porze i odprowadzanymi do domu przez niskie tęgawe kobiety o imionach takich jak Guadelupe czy Rosario.

Kate w pracy musiała czasami pilotować cywilne helikoptery i samoloty śmigłowe. Umiała to robić, ale też niezbyt dobrze. No a poza tym przeszła standardowy, trwający parę miesięcy trening wojskowy na Farmie.

Smakowała, testowała i wciągała do nosa małe ilości kokainy z różnych obszarów geograficznych, paliła również przeróżne gatunki marihuany rosnącej na zachodniej półkuli. Wiedziała, jak to jest po podaniu środków usypiających czy LSD.

Potrafiła zapamiętać dowolną dziesięciocyfrową liczbę, widząc ją lub słysząc tylko raz.

Potrafiła zabić.

Nie potrafiła jednak otworzyć tego zamka, a nie chciała marnować czasu na przegraną sprawę.

Podeszła do drugich drzwi, nieoznaczonych. Taka sama mosiężna klamka jak u Billa, taki sam dzwonek. Brakowało tylko tabliczki i wycieraczki. Dotknęła dłonią listwy przy framudze drzwi i przesunęła palcami po jej górnej części szerokości półtora centymetra.

Miała nadzieję, że leży tam klucz. Okazało się, że płoną.

Stała nieruchomo, nasłuchując.

Cisza.

Zabrała się do pracy przy zamku, wprawnie i spokojnie. Ten był łatwy. Typowy sklepowy produkt otworzył się bezszelestnie po trzydziestu sekundach.

Weszła do dużego, pustego, pokrytego kurzem pokoju z jednym oknem. Otworzyła je i wychyliła się na zewnątrz. Okno biura Billa znajdowało się po sąsiedzku, tak jak się spodziewała. Pod oknami biegł wąski gzyms. To da się zrobić. Robiła już takie rzeczy wcześniej. Wzięła głęboki oddech i wyszła przez okno.

Stała w deszczu na gzymsie o szerokości dwudziestu pięciu centymetrów, trzymając się ściany budynku, trzy piętra nad ziemią.

Teraz mnóstwo rzeczy mogło się nie udać. Po pierwsze, ktoś mógł ją zobaczyć przez gęste iglaste drzewa oddzielające tę kamienicę od sąsiedniej, więc jeśli chciała tego uniknąć, musiała działać szybko.

Po drugie, mogła spaść i się zabić, więc musiała zachować ostrożność.

Posuwała się bokiem, przylepiona do ściany, nie więcej niż o kilkanaście centymetrów za jednym razem. Sztukateria pod jej policzkiem była wilgotna.

Usłyszała jakiś szelest za plecami, poniżej stóp. Zbyt szybko i zbyt nieuważnie obróciła głowę, otarła sobie policzek o ścianę. Szeleściły gałęzie ocierające się o dach furgonetki.

Miała wrażenie, że z policzka cieknie jej krew, ale nie mogła tego sprawdzić. Nie mogła przyłożyć ręki do twarzy, nie tracąc równowagi.

Sunęła dalej, kolejne centymetry, i jeszcze raz. Skupiała się tylko na równowadze. Miarowo, powoli... i znów kilkanaście centymetrów... i była na miejscu. Przy parapecie okna Billa.

Przystanąła, pozwoliła sobie na chwilę oddechu przed kolejnym zadaniem.

Bała się, ale ze strachem było jej po drodze, czuła się z nim tak jak ktoś, kto masuje sobie obolały mięsień, co w gruncie rzeczy w niczym nie pomaga, oprócz tego, że czuje się ból.

To było jej miejsce - tu, na tym parapecie. Tego jej właśnie brakowało w tym nowym życiu.

Z tylnej kieszeni spodni wyjęła mały płaski śrubokręt. Przesunęła nim wzdłuż ramy

okna płynnym, ostrożnym ruchem, aż trafiła na zamek.

Znieruchomiała, a potem wsunęła śrubokręt głębiej i podciągnęła płaski koniec ostrożnie do góry.

Zamek nie odskoczył.

Spróbowała raz jeszcze, z większą uwagą.

I po raz kolejny.

Nic.

Zmusiła się, żeby nie panikować w tej dosyć stresującej sytuacji. Wsunęła płaskie ostrze najgłębiej jak mogła między ramę a framugę okna, najwolniej i najostrożniej.

Ćwiczyła to na swoim oknie. W środku nocy, żeby nikt nie widział. Zajęło jej to dwadzieścia minut stania na parapecie kilkanaście metrów nad wyłożoną brukiem ulicą, ale w końcu rozpracowała otwieranie okna od zewnątrz śrubokrętem wsuniętym pod zamek. Płaską główkę śrubokrętu należało leciutko obrócić, nie tylko po to, żeby zwolnić zamek, ale by okno otworzyło się na pionowych zawiasach, a nie uchyliło od góry na poziomych.

Tutaj mechanizm był taki sam jak u niej w domu. Wszystkie okna otwierały się tak samo.

Ćwiczyła. To musi się udać.

Musi...

Spróbowała raz jeszcze, powoli, powoli, ostrożnie... klik.

Kate przycisnęła łokciem boczną część szyby i okno otworzyło się wolno. Kucnęła na parapecie, opierając się dłońmi o boczne ściany okiennej wnęki. Odczekała sekundę, a potem zanurkowała do środka, łagodząc upadek dłońmi i koziółkując na lśniącej kamiennej posadzce z dużych marmurowych płyt, takiej samej jak wszędzie w Luksemburgu.

Znieruchomiała, łapiąc oddech, uspokajając bijące szybciej serce. Wiedziała, że puls jej przyspieszy, ale nie tak bardzo. Jej serce nie łomotało tak gwałtownie od bardzo, bardzo dawna.

Nie powinna podejmować działań w takim stanie. W panice. Nie chciała popełnić jakiegoś głupiego błędu. Przymknęła oczy i wyciągnęła się na posadzce, zmuszając ciało do odpoczynku.

Potem wstała i rozejrzała się.

W drugim końcu pokoju stał stacjonarny rower treningowy zaparkowany przed małym telewizorem. Obok ławka do podnoszenia ciężarów, a przy niej hantle i sztangi na gumowanej

macie.

Blżej stało biurko z laptopem, wielofunkcyjna drukarka, telefon, notes, parę długopisów. Z notesu wyrwano kilka kartek. Kate szarpnęła delikatnie górny arkusz, złożyła go i schowała do plecaka; przyjrzy się mu później.

Komputer był otwarty, ale zahibernowany. Nacisnęła klawisz, żeby go obudzić. *Podaj nazwę użytkownika i hasło.* Nawet nie ma sensu próbować.

W biurku słowniki językowe, notesy i pióra. Segregatory w szufladzie na segregatory: wyciągi bankowe. Kilka różnych kont, między którymi przepływały pieniądze, w sumie kilkaset tysięcy, kwoty przesuwają się w górę i w dół, w tę i z powrotem, cykl inwestycji i dywidend, wypłat i przelewów.

Konta na nazwisko Billa, adres w tej kamienicy.

Dalej pisma, czasopisma, gazety. Ogólne dla przedsiębiorców i specjalistyczne, technologia i wiadomości. Całe sterty. Kate sięgnęła po jedną i wyciągnęła egzemplarz „The Economist”. Gazeta była gładka, niepognieciona, bez najmniejszej obwódki od kubka z kawą czy odcisku po szklance z wodą. Pewnie nieczytana. A może czytana porządnie, bez rozkładania na biurku i wylewania na nią płynów. Bill wyglądał na schludnego mężczyznę.

Kate usiadła w obrotowym fotelu, rozglądając się bez celu, nie skupiając się na żadnym szczególe, usiłując trafić na coś, czego mogła szukać i co może być ważne.

Obok gabinetu była nieduża sypialnia. Jednoosobowe łóżko źle zaślane. Miękkie prześcieradło. Cztery zwykłe poduszki i jedna duża w dekoracyjnej poszwie. Zapasowe łóżko, niezaślane. Kto tutaj sypia?

W szufladzie nocnego stoliczka kartonik z prezerwatywami. Otwarty i używany. Kiedyś były w nim dwa tuziny gumek, teraz zostało tylko kilka. Kto się tutaj pieprzy?

Kate położyła się na łóżku obok nocnego stoliczka, nieco w poprzek, trzymając stopy z dala od prześcieradeł. Przycisnęła twarz do górnej poduszki. Pachniała kremem do golenia, płynem po goleniu albo wodą kolońską. Pachniała jak Bill.

Wyciągnęła rękę do stoliczka, dotknęła dłonią tylnej części blatu... przesunęła ostrożnie palcami do samego dołu... nic. Wsunęła dłoń pod spód, macając deskę paździerzową z Ikei... nic.

Zgięła rękę w łokciu i sięgnęła pod łóżko, pod drewniane listwy podtrzymujące materac... i coś poczuła. Skóra... przesunęła dłoń o kilkanaście centymetrów.

Szarpnęła, wiedząc dokładnie, co wyciągnie spod łóżka i na co za chwilę spojrzy. Drzwi sypialni wychodziły prosto na drzwi wejściowe, w które - całkiem mimowiednie, całkiem instynktownie - wycelowała glocka 22, którego Bill trzymał w kaburze

przymocowanej pod łóżkiem.

CZĘŚĆ II

Dziś, 12:02

Kate stoi w drzwiach salonu: dywaniki na dywanach, wysoko zawieszony sufit, sztukateria w kształcie weselnego tortu, półki z książkami i miseczkami, wazony z ciętymi kwiatami, ozdobne ramy małych olejnych obrazów, sztucznie postarzone złoczone ramy zwierciadeł.

Ta rzecz niepokoi ją, zakorzeniona od jakiegoś czasu w jej podświadomości, zderza się z faktami i podejrzeniami gdzieś u podstaw jej przekonań na temat własnego życia, życia jej męża oraz ich wspólnych niedawnych dziejów. Wpada na wspomnienia, każąc jej dokonywać ich powtórnej oceny z nowego punktu widzenia, doszukiwać się innych możliwych wyjaśnień każdej sprawy. To coś ma związek z college'em...

Przechodzi przez salon do półki z albumami ściśniętymi razem na dodatkowej bibliotecznej przestrzeni. Wyciąga z niej tableau Dextera. Siada na kanapie, czując ciężar albumu na kolanach.

Przerzuca stronicę zgodnie z alfabetycznym porządkiem, a potem otwiera album na chybił trafił, przekładając strony, aż trafia na znacznie młodszą wersję Dextera Moore'a. Puszyste włosy, cienki krawat, gładkie czoło.

Już wie, że znajdzie tu to, czego szuka.

Ten dwulicowy sukinsyn.

Słyszała to nazwisko tylko raz, blisko dwa lata temu, w Berlinie. Jest niemal pewna, że kończy się na -owski, co pomoże jej potwierdzić tożsamość, kiedy w końcu wypatrzy tę twarz.

Zaczyna od początku portretowych zdjęć, od ostatnich nazwisk na „A”. Przygląda się uważnie każdej fotografii, wszystkim blisko dwudziestoletnim zdjęciom chłopaków i dziewczyn, którzy są teraz mężczyznami i kobietami w jej wieku. Strona za stroną, cierpliwie. Wszystko wydaje się jej teraz takie oczywiste, takie nieuchronne.

Nie musiała długo szukać. Szukała bardzo krótko. Jeśli, rzecz jasna, nie liczyć dwóch minionych lat, kiedy nie wiedziała, że szuka właśnie tego.

Teraz zmienia się cały paradygmat. Fragmenty układanki rozsypują się, obracają, zmieniają położenie. Choć Kate miała wrażenie, że ułożyła ją dawno temu.

Wpatruje się w znaną twarz, która spogląda na nią z optymizmem absolwenta uniwersytetu pozującego do fotografii dla przyszłych pokoleń.

Kate jest bombardowana możliwymi wytłumaczeniami niczym ogniem z karabinu

maszynowego, zbyt gwałtownym, by dało się go uniknąć, niepozostawiającym innego wyboru jak tylko ukryć się i przeczekać, bo dopiero wtedy będzie mogła wystawić głowę i zaczerpnąć tchu.

Kątem oka widzi ruch w salonie i szybko zdaje sobie sprawę, że to jej ruch, a raczej ruch jej włosów odbity w zwierciadle po drugiej stronie pokoju, ukazującym maleńki fragment Kate, oddzielony od jej niewidzialnej części. Wstaje, odnosi ciężki album na nierzucające się w oczy miejsce na półce, stojącej przy ścianie jej rodzinnego pokoju w samym centrum jej rodzinnego życia. Najlepsze kryjówki w ogóle nie są zamaskowane. Znajdują się tam, gdzie się zwyczajnie nie zagląda.

Wchodzi w posiadanie tej nowej informacji, zmuszając tableau do wyjawienia tajemnicy, i widzi siebie w całkiem nowej rzeczywistości, więc czuje się najpotworniej zdradzona. Ale widzi też przed sobą nowe możliwości. Otwierają się nowe drzwi. Nie wie jeszcze, co się za nimi kryje, ale widzi w szparze światło.

To zmienia wszystko.

Dexter bardzo ją irytował. Strasznie długo zastanawiał się nad zmianą ustalonej w tempomacie prędkości z domyślnych 130 kilometrów na godzinę na 160. A i tak połowa samochodów na A8 jechała od nich szybciej, choć wyciągali teraz prawie sto sześćdziesiąt kilometrów.

Irytowały ją dzieci na tylnym siedzeniu, skarżące się na kiepski film na przenośnym odtwarzaczu DVD, na odtwarzaczu, który przewracał się za każdym razem, gdy Dexter gwałtownie hamował, zbyt ostro wchodząc w zakręt, irytowało ją, że chłopcy z tego powodu piszczeli.

Ale przede wszystkim była zła na siebie. Wściekła za popełnione błędy. Odcisk podeszwy zabłoconego buta. Odciski zabłoconych butów w kurzu sąsiedniego apartamentu, odciski mokrych butów na czystej posadzce Billa. Jej włosy i złuszczonego naskórka w jego łóżku, włosy na poduszce! Leżące tam sobie w pełnym świetle, aż proszące się o to, by je podnieść, zbadać, oznaczyć DNA. Jakie jeszcze kretyńskie błędy zdołała popełnić?

Otarła sobie policzek, na którym widniała malinowa rana. Dexter łatwo przełknął kłamstwo - wypadek na parkingu podczas pakowania zakupów - co nie zmienia faktu, że rana na policzku zawsze jest podejrzana. A oprócz tego głupia i nieostrożna.

Zachowała się jak cholerna amatorka.

Poza tym na schodach spotkała sąsiadów i rozmawiała z Mme Dupuis. Świadczenie niemal pod ręką. Ma przechlapane.

Przyglądała się nudnemu niemieckiemu krajobrazowi za oknem. Dolina Saary, w której dominuje przemysł i szklano-stalowe centra biznesowo-biurowe porzucane w gęstych, porastających łagodnie wzgórza lasach. Do autostrady przytulały się klockowate gigantyczne sklepy i salony dilerów aut, kominy, magazyny i drogi dojazdowe zbiegające się na zakorkowanych skrzyżowaniach.

To była najgorsza misja w całej jej karierze. Z tym, że nie było już żadnej kariery, prawda? Przeszła w stan spoczynku przed trzema miesiącami.

Rothenburg ob der Tauber w przenikliwym chłodzie; wszędzie pruski mur, wymalowane fasady, koronkowe firanki, pijalnie piwa, sklepy z kiełbasą; wielki bożonarodzeniowy targ, średniowieczne fortyfikacje, kamienne mury z łukami i wieżami.

Jeszcze jedna wieża ratuszowa, na którą trzeba się wspiąć - to rozrywka dla małych chłopców: wspinanie się na wysokości lub szybka jazda. Schody... ile? Dwieście, trzysta? Wiją się wokół ścian coraz węższej wieży, wydeptane, nierówne, chwiejne. Na szczycie musieli zapłacić, półoficjalnie, facetowi bez oka. Chłopcy mieli frajdę.

Wyszli na ciasny podest w porywistym, przenikliwym wietrze, wysoko nad miejskim rynkiem i ulicami rozchodzącymi się promieniście ku miejskim murom i położonym za nimi wsiom, rzece, wzgórzom i drzewom Bawarii. Dexter opuścił nauszniaki czapki, czerwonej myśliwskiej czapki w kratę, obszytej króliczym futerkiem. Dostał ją na Gwiazdkę od Kate pięć lat temu.

Kate spojrzała w dół na stragany, czubki głów turystów w narciarskich czapkach albo zielonych bawarskich kapelusikach. Łatwo byłoby ich ustrzelić.

Jeśli Macleanowie są zabójcami, co z tego? Czy to jej problem? Nie, to nie jej sprawa i nie jej problem. Nie mają zamiaru zabić jej ani Dextera. Więc jaki ona sama ma w tym interes? Żaden.

Jeśli przyjechali do Luksemburga, żeby kogoś zabić, należałoby się zastanowić kogo?

I kim właściwie byli? Z pewnością nie należeli do mafii. Przynajmniej Julia zupełnie nie wyglądała na przedstawicielkę zorganizowanej przestępczości. Nie byli też islamskimi bojownikami. Musieli być tajnymi współpracownikami jakiejś amerykańskiej instytucji. Może Firmy? Sił specjalnych armii? Tajnych operacji piechoty morskiej? Prywatnymi najemnikami? Czy przyjechali do Europy wykonać brudną robotę, realizując tajną amerykańską politykę zagraniczną? Żeby zamordować w Luksemburgu kogoś, kto przyjechał ukryć nielegalną forszę? Ukraińskiego oligarchę? Somalijskiego watażkę? Serbskiego przemysłowika?

Co ją obchodzi czyjaś brudna forsa?

A może chodzi o osobę, której śmierć ma bardziej bezpośrednie znaczenie dla interesów amerykańskich? Jakiegoś północnokoreańskiego dygnitarza? Południowoamerykańskiego prezydenta o marksistowskich poglądach? Irańskiego wysłannika?

A może byli zwykłymi płatnymi zabójcami wykonującymi prywatną misję? Zemsta? Korporacyjna intryga? Uderzą w prezesa rady nadzorczej? Dyrektora banku? Prywatnego bankiera, który zdefraudował fortunę jakiegoś rozgniewanego obecnie miliardera?

A może było to coś niesłychanie pokrętnego? Może mają zamordować Amerykanina... sekretarza skarbu... stanu? By potem obwinić o to Kubańczyków, Wenezuelczyków czy Palestyńczyków i mieć powód do wrzasku, odwetu, najazdu.

Jest tylu ludzi, których można zabić z miliona powodów.

Tu, na tej ratuszowej wieży kilkaset metrów nad Niemcami, czuła się jak Charles Whitman[4] na wieży obserwacyjnej w Austin, celujący przez lunetę do ludzi.

Choć popełniła mnóstwo niewybaczalnych błędów, czuła się dobrze na tym gzymsie przed oknem Billa. To było jej miejsce. Nie w piwnicy klubu fitness przy rozmowach o programach lojalnościowych sklepów spożywczych. Ale tam, na gzymsie, bez zabezpieczenia.

Coraz częściej nabierała przekonania, że nigdy nie zostanie szczęśliwą, siedzącą w domu mamą. Jeśli w ogóle istnieje taka mama.

- Chodźcie - rzuciła do chłopaków, mając ochotę ruszyć dalej, zachować kontrolę nad tym, nad czym można. Dexter pstrykał zdjęcia drżących od zimna synów, opatulonych po uszy, czerwonych na buziach, z ciekącymi nosami. - Bo zamarzniemy.

- Wrócę do hotelu o szóstej.

- Okay - odpowiedział Dexter, rewanżując się cmoknięciem, lecz prawie na nią nie patrząc. Zacisnął tylko usta, nie zrobił dziubka, więc nie był to nawet zdawkowy pocałunek. Siedział na parapecie okna na parterze muzeum nauki.

Kate miała teraz cztery godziny wolności. Niektóre mamy w Luksemburgu nazywały to „spuszczeniem ze smyczy”, zupełnie tak, jakby były spiętymi do granic wytrzymałości terierami wypuszczanymi kuchennymi drzwiami do ogrodzonego siatką ogródka. Jeździły razem - małymi grupkami po trzy albo cztery, bez mężów i dzieci - do Londynu czy Paryża, czy też Florencji na czterdziestoosmiodzinne wypadki, żeby się opić i objeść, może poznać jakiegoś nieznajomego w barze i - pod przykrywką zmyślonego nazwiska oraz domniemanego upicia - zaciągnąć go do pokoju hotelowego na tyle seksu w najrozmaitszych formach, ile tylko się da, zanim nadejdzie pora, żeby go wyrzucić i zamówić u hotelowej obsługi śniadanie. Full service.

Kate przeciskała się przez spieszące w chłodzie na lunch tłumy w centrum Monachium, mijając sprzedawców kanapek na Viktualmarkt, przechodząc przez rynek Marienplatz z ratuszem z kurantami i główne deptaki handlowe (czy w Europie jest jeszcze jakiegokolwiek miasto bez H&M i Zary?) na elegancką Maximilianstraße odchodzącą od opery jak wszystkie eleganckie kontynentalne ulice, na których sprzedają futra i futrzane czapy, gdzie przy krawężnikach stoją z włączonymi silnikami potężne sedany z szoferami w liberjach za kierownicami i gdzie są butiki z władającymi wieloma językami

sprzedawczyniami, zachwalającymi jedwab i skóry po angielsku, francusku i rosyjsku, i pakującymi zakupy do niewielkich, acz charakterystycznych wypchanych po brzegi toreb.

Kate weszła do foyer pięciogwiazdkowego hotelu i znalazła telefon. Wrzuciła monety i wykręciła numer, który znalazła w biurze Billa. Najpierw kod kraju 352 - doszła do wniosku, że numer musi być w Luksemburgu. Kartka, którą wyrwała z notesu na biurku, była czysta, ale nosiła odcisk tego, co napisano na poprzedniej i co łatwo dało się odczytać po lekkim zamazaniu odcisku ołówkiem.

Nie pomyliła się. Numer był z Luksemburga.

- Słucham - W słuchawce odezwał się kobiecy głos. - Mówi Jane. - Głos z amerykańskim akcentem. Górny Środkowy Zachód. Głos skądś znany, choć Kate nie wiedziała, do kogo należy. - Słucham?

Nie chciała dać jej szansy na rozpoznanie swojego głosu.

- Słucham?

Odwiesiła słuchawkę. Bill dzwonił z Luksemburga do Amerykanki, która miała na imię Jane. Kate przypuszczała, że to erotyczna znajomość. Może dlatego, że sama znajdowała się w seksownym luksusowym hotelu, w którym wystarczy wjechać windą na górę, zapukać do drzwi i...

Wejść do Billa. Tak, pociągał ją teraz bardziej niż przedtem, odkąd się zorientowała, że jest niebezpieczny. Był przestępcą lub gliniarzem, lub też - jak wielu ludzi, których poznała - przestępcą i gliniarzem w jednej osobie. Przystojny, seksowny, czarujący i odważny, i trzymał pistolet pod łóżkiem, na którym sypiał z kobietami, ale nie ze swoją żoną. Takimi jak, być może, Kate.

Wyszła z hotelu i przebiegła przez ulicę na postój taksówek. Wsiadła do pierwszej.

- *Alte Pinakothek, danke* - powiedziała. Wyglądała przez wszystkie szyby we wszystkich kierunkach, nikt jej nie śledził. Mimo to kazała kierowcy stanąć na Ludwigstraße.

- Do muzeum pół kilometra - rzucił.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała, podając mu dziesięć euro. - Chcę się przespacerować.

Przed sobą miała stację metra przy uniwersytecie, kuszącą światłami i ruchem, i barami, i sklepami, i restauracjami, które zwykle powstają jak grzyby po deszczu przy każdej stacji metra. Ale na chodnikach w pobliżu Kate nie było ludzi. Minęła pękaty, groźnie wyglądający kamienny budynek; zza rogów wiał mroźny wiatr, który szczypał ją w uszy i nos.

Była podekscytowana, ale opanowana. Znów czuła się dobrze jak na tym gzymsie, jej

puls przyspieszył, szła pewnym krokiem po nieznannej zagranicznej ulicy, czujna, z wyostrozonymi zmysłami. Spisano ją na straty, kiedy opuściła Departament Operacyjny i została analityczką w Departamencie Wywiadu. Kiedy na własną prośbę przestała pracować w terenie i znalazła się z dala od niebezpieczeństw. Kiedy sama spisała siebie na straty, siadając w wygodnym fotelu za lśniącem biurkiem.

Znów poczuła erotyczny dreszcz, jej libido ożywało wraz z pobudzeniem zmysłów.

Nagle, perwersyjnie, zaczęła obwiniać Dextera o swój pociąg do Billa. Gdyby Dexter był częściej w domu, gdyby zajmował się nią skrupulatniej pod każdym względem... pod jakimkolwiek względem! Gdyby częściej mówił „dziękuję” albo dzwonił choćby raz dziennie, żeby powiedzieć coś innego poza tym, że spóźni się na obiad, gdyby pieprzył ją częściej i namiętniej, i bardziej kreatywnie, albo gdyby chociaż raz złożył cholerne pranie... to może wówczas nie szłaby tą ulicą, fantazjując o pójściu do łóżka, pod którym Bill przymocował pistolet.

To wszystko nie miało sensu i doskonale o tym wiedziała. Dokonywała przeniesienia własnej winy na Bogu ducha winną osobę i szukała wymówki, by złościć się na kogoś innego oprócz siebie. Musi się skupić.

Szła przez omiatany wiatrem plac przed Starą Pinakoteką, w pobliżu nie było żywej duszy. Krzyżujące się ścieżki tworzyły na trawie olbrzymie wielokąty, gigantyczne figury geometryczne rozerwane porozrzucanymi tu i ówdzie metalowymi rzeźbami i zamknięte po obu stronach bezlistnymi drzewami. Kiedy zbliżała się już do imponującej budowli, zrobiło się jeszcze zimniej. W zwieńczonych łukami oknach nie paliły się światła. Miała wrażenie, że stanie za chwilę przed tajemnym sądem, któremu przewodniczy wszechwiedzący sędzia.

Czarnoksiężnik z krainy Oz. Kiedyś - po naleganiach Jake'a - próbowała pokazać ten film chłopcom. Obaj uciekli z pokoju po pierwszych dziesięciu minutach, znudzeni a może przerażeni.

Kupiła bilet i zrezygnowała z przewodnika audio. Nie oddała do szatni płaszcza ani torebki. Wspinała się po schodach - szerokich jasnych połaciach marmuru - stopień po stopniu. Rozpoczęła zwiedzanie od początku, od malarstwa wczesnoniderlandzkiego i wczesnoniemieckiego, które nie wzbudziło jej zainteresowania. Przeszła do wielkich galerii wypełnionych wielkimi płótnami wielkich mistrzów - Rafaela, Botticellego, Leonarda. Jedynymi zwiedzającymi byli, jak wszędzie, Japończycy - mężczyzna i kobieta ze słuchawkami na uszach z aparatami fotograficznymi na szyjach.

Przed *Madonną z goździkiem* Leonarda da Vinci stał samotny mężczyzna z wełnianym płaszczem przerzuconym przez ramię.

Słońce muskało południowe krańce Monachium, jego promienie wpadały do sali przez potężne okna. Zerknęła na zegarek. Była 15:58.

Kate przeszła do galerii w samym środku budynku. Tutaj królował Rubens. *Śmierć Seneki* - obraz, na którym filozof jest zadziwiająco dobrze umięśniony. *Polowanie na lwy* - brutalne, barbarzyńskie. *Wielki sąd ostateczny* - stos nagiej ludzkości sądzonej przez górującego Chrystusa, sądanego z kolei przez górującego nad nim Ojca.

- Niewiarygodne, prawda?

Zerknęła na mężczyznę z sąsiedniej sali, z płaszczem na ramieniu, w sportowej marynarce, krawacie, z chusteczką w kieszonce, flanelowych spodniach i zamszowych butach. Okulary w szylkretowej oprawie, starannie przycięte siwe włosy. Był wysoki i szczupły, mógł mieć od czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu lat.

- Owszem. - Odwróciła wzrok ku wielkiemu płótnu.

- Został zamówiony do ołtarza w Neuburg an der Donau, nad Dunajem, jak mówią jankesi tacy jak my. Neuburg an der Donau leży w górnej Bawarii. Ale wierni, a szczególnie ich pasterz, nie byli zachwyceni nagością... - Gest dłoni w kierunku namalowanych na płótnie ciał. - Więc obraz wisiał w kościele zaledwie kilka dekad, często przykrywany, ukrywany przez wzrokiem. Aż w końcu się go pozbyli.

- Dziękuję - odpowiedziała. - To bardzo interesujące.

Rozejrzała się po sali. Nikogo oprócz nich w niej nie było. Strażnik stał w sąsiedniej galerii, mając na oku małżeństwo z rozdokazywanymi chłopcami. Rozdokazywani chłopcy to prawdziwe zagrożenie dla muzeum, ale przede wszystkich dla *Weltanschauung* niemieckiego muzealnego strażnika.

- Mówiąc szczerze, średnio interesujące. Nie więcej niż na czwórkę. Powiedzmy z plusem.

Mężczyzna się roześmiał.

- Dobrze cię widzieć, moja droga.

- Ciebie też. Dawnośmy się nie widzieli.

- Więc ciągle podoba ci się w Monachium? - zapytała Kate. - Jesteś tu od stworzenia świata, prawda?

Hayden się roześmiał. Rzeczywiście był w Europie od zawsze, przez całą swoją karierę. Na Węgrzech i w Polsce przez większą część późnego okresu zimnej wojny. W Niemczech - w Bonn, Berlinie, Hamburgu - w okresie Reaganowskich zbrojeń, dojścia do władzy Gorbaczowa, upadku Związku Radzieckiego, postsowieckiego przetasowania i zjednoczenia Niemiec. Pracował w Brukseli podczas narodzin Unii Europejskiej, likwidacji granic, wprowadzenia euro. I znów wrócił do Niemiec, kiedy cały kontynent zalała fala muzułmanów, kiedy obudziły się siły reakcyjne i wyłoniły się na nowo nacjonalizmy... Przyjechał do Europy w połowie życia muru berlińskiego i pracował tu już przez dwie dekady.

Kate rozpoczęła karierę w Firmie już po upadku muru. Przyszłością była Ameryka Łacińska, nasza półkula, nasze granice; co prawda sandiniści polegli, a Clinton nagłaśniał normalizację stosunków z Kubą, ale nie miała wówczas wrażenia, że staje się bohaterką ostatniego rozdziału książki. Na szczęście mieli już za sobą przedzieranie się przez szlam afery Iran-Contras i niesprecyzowane zagrożenie komunistyczne. Pozostawały natomiast konkrety, konkretne działania mające znaczenie dla kraju.

Tak było na początku. Ale z każdym mijającym rokiem Kate czuła, że jej obowiązki w wyznaczonej przez departament sferze stają się coraz bardziej bezcelowe, a podejmowane działania coraz bardziej daremne. Wrażenie to pogłębiło się po 11 września, kiedy naprawdę przestało mieć znaczenie, kto zostanie kolejnym burmistrzem Puebla. Choć CIA jako instytucja dokonała całkowitej reorientacji misji już 12 września, Kate jako oficer operacyjny nigdy nie odzyskała poczucia ważności wykonywanej przez siebie pracy. Czy nieważności, jeśli już o tym mowa.

A Hayden przez cały czas był tutaj.

- Kocham Monachium - odpowiedział. - Chodź, pokażę ci mniejsze płótna.

Kate poszła za nim do przytulniejszej sali w północnym skrzydle, wychodzącej na plac przed wejściem, oświetlonej zachodzącym słońcem. Hayden stanął pod oknem. Powędrowała za jego wzrokiem ku mężczyźnie opierającemu się o latarnię na wielkim zimnym placu. Palił papierosa i spoglądał w okna Pinakoteki. Prosto na nich.

- Jak wam się udała podróż po Romantische Straße[5]? Dzieciom z pewnością

podobał się Disneyland w Neuschwanstein. Ile mają lat?

- Pięć i cztery.

- Jak ten czas leci. - Hayden nie miał dzieci, ale zdawał sobie sprawę, że niektórzy ludzie w pewnym momencie życia zaczynają odmierzać czas wiekiem potomstwa.

Wyglądał przez okno, obserwując mężczyznę pod latarnią. Jakaś kobieta zbiegała po schodach wejściowych. Mężczyzna oderwał się od latarni. Kiedy kobieta podeszła, rzucił papierosa, wziął ją pod rękę i odeszli. Kate zastanawiała się, czy Dexter weźmie ją jeszcze kiedykolwiek pod rękę, tak jak wtedy, kiedy zaczęli się spotykać.

Hayden odwrócił się od okna i podszedł do małej, schludnej i ciemnej martwej natury. Małego flamandzkiego arcydzieła światła i cienia.

- Holendrzy... - zaczął -...to najwyżsi ludzie na świecie. Mierzą średnio dwa metry i trzy centymetry.

- Mężczyźni?

- Wszyscy. Mężczyźni i kobiety.

- Hm... Piątka.

- Piątka? Tylko tyle? Jesteś surowa. - Wzruszył ramionami. - No dobrze, w czym ci mogę pomóc.

Kate sięgnęła do kieszeni tweedowego żakietu i podała mu wydruk - zdjęcie, całkiem wierne, z paryskiego nocnego klubu, zrobione, jak się jej wydawało, przed wiekami, choć minęło dopiero półtora miesiąca.

Hayden zerknął tylko na wydruk i schował go do kieszeni. Nie chciał stać w muzeum, oglądając czyjąś fotografię.

- Z tyłu jest numer telefonu.

- Komórka na kartę.

- Owszem - odpowiedziała i zaczerwieniła się na myśl o krytyce pod swoim adresem. Hayden dostrzegł po rumieńcu, że nie musi jej ganić za rozmowy przez domowy telefon. Sprawa została załatwiona.

- Wiesz może, kim oni są? - zapytała.

- A powinienem?

- Myślałam, że może są z nami.

- Nie.

Do sąsiedniej galerii weszła rodzina z małymi dziećmi - Francuzi. W sali za Francuzami, jakieś sześćdziesiąt metrów dalej, stał inny samotny mężczyzna odwrócony plecami do Kate. W płaszczu. Nawet w kapeluszu - zielonym, bawarskim. Choć nie był na

dworze.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie.

Kate nie była przekonana do końca, ale w tej chwili nie mogła nic z tym zrobić.

- Mężczyzna po prawej jest moim mężem. - Mówiła cicho, niemal szeptem, ale mimo wszystko starała się nie szeptać. Szept zwraca uwagę. - Ten po lewej twierdzi, że nazywa się Bill Maclean, pochodzi z Chicago, handluje walutą i obecnie mieszka w Luksemburgu.

Szli spacerem po dobrze oświetlonej południowej galerii, ich kroki odbijały się echem od ścian olbrzymiej dali, czuli na sobie wzrok świętych, męczenników i aniołów.

- A nie?

- Prawdopodobnie.

Hayden podszedł do kolejnego Rubensa. *Strącenie potępionych.*

Kate zerknęła na płótno. Zgroza.

- Kobieta jest prawdopodobnie jego żoną. Nazywa się Julia. Młodsza od Billa. Dekoratorka wnętrz z Chicago.

Hayden przystanął i spojrział na *Ofiarę Abrahama*. Abraham miał zabić Izaaka, jedyne syna, zakrywał mu oczy dłonią, chroniąc go przed tym, co nieuniknione, odchylając mu jednocześnie głowę i odsłaniając gardło. Ale na szczęście pojawił się anioł i chwycił Abrahama za nadgarstek. Nóż wypadł mu z ręki i spadał na ziemię, wciąż niebezpieczny i ostry. Nóż rzeźnika.

- Chcesz podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami? - zapytał Hayden.

Kate nie odrywała wzroku od wielkiego Rembrandta, od emocji malujących się na twarzy starca, od jego przerażenia i żalu, i ulgi.

- Ci ludzie nie są tymi, za których się podają - powiedziała. - To nie są ich prawdziwe nazwiska. Nie zajmują się tym, czym twierdzą, że się zajmują.

Odwróciła oczy od obrazu i spojrzała na Haydena. Kątem oka dostrzegła mężczyznę w kapeluszu przechodzącego przez drzwi, fragment profilu, za mało...

- Zatem? - zapytał Hayden. - Kim są według ciebie? Jak brzmi twoja teoria? Czego szukamy?

- Uważam... - zaczęła, przyciszając głos -...że mają zamiar kogoś zabić.

Hayden uniósł brwi.

- Wiem, jak to brzmi.

- Ale...?

- Ale wynajęli mieszkanie naprzeciw pałacu monarchy z doskonałym widokiem na

mnóstwo niechronionych obszarów. Zresztą cała ochrona obiektu jest godna pożałowania. Pałac ma wszelkie pozory chronionego miejsca, poza samą ochroną. Gdybyś szukał idealnego miejsca, żeby kogoś zabić z daleka, to polecam. Gdybyś szukał miejsca do zlikwidowania bardzo ważnego celu... prezydenta, premiera... nie mógłbyś lepiej trafić.

- Czy to nie może być zbieg okoliczności?

- Może. Ich mieszkanie jest bardzo wygodne i przyjemne. Ale mają broń. Przynajmniej jedną sztukę, o której wiem.

- Skąd wiesz?

- Widziałam. Pistolet.

- Ja też mam pistolet. Ty prawdopodobnie także. To nie dowód, że chcemy kogoś zabić.

Kate spojrzała na niego wymownie.

- Chcemy?

- Wiesz, o czym mówię - mruknęła.

- Wiem - przyznał. - Zgadzam się, że broń wzbudza podejrzenia. Ale są setki powodów, dla których ludzie noszą broń...

- Amerykanin? W Europie?

-...i tylko jednym z nich jest chęć dokonania zabójstwa.

- Owszem. Jednak większość ludzi nie chodzi z bronią w imię szczytnych zasad.

Hayden wzruszył ramionami i skrzywił się w szczególny sposób, więc domyśliła się, że nie chce kontynuować wątku.

- Falszywa tożsamość? - podpowiedziała Kate.

- Proszę... Czy znasz kogoś, kto jej nie ma?

- Owszem. Normalni bankierzy pracujący w Luksemburgu. - Traciła cierpliwość. Wyglądało na to, że Hayden nie dopuszcza do siebie myśli, że ludzie ci są rzeczywiście zabójcami. - Tak się składa, że znałam w swoim czasie paru zabójców.

- Podobnie jak ja.

- Więc wiesz, jak działają i co robią.

Tak działał i tak pracował dla Kate zespół, który miał zlikwidować pewnego salwadorskiego generała. Wynajęli dom przy plaży, na której pojawiał się generał. Nadmorską willę na Barbadosie, należącą do obsługującego generała handlarza bronią. Musieli czekać blisko dwa miesiące; bardzo się opalili, nauczyli się doskonale grać w golfa. Nauczyli się nawet surfować.

Potem któregoś wieczoru w porze koktajlu kobieta uchyliła lufą karabinu okienko w

łazience na drugim piętrze i wymierzyła z trzystu metrów. To nie był trudny strzał, trafiłaby w cel nawet z dwa razy większej odległości, może nawet z trzy razy większej. Celowała ponad dachem wprost do idealnie utrzymanego nadmorskiego ogródka, w którym generał rozłożył się na leżaku z butelką piwa Banks w dłoni i - nagle - z dużą dziurą na środku czoła. Druga połowa zespołu czekała z włączonym silnikiem, z torbami w bagażniku. Na lotnisku na wschodnim krańcu wyspy, pół godziny drogi od miejsca zbrodni w Payne's Bay, stał prywatny odrzutowiec.

Kate dostrzegła kątem oka mężczyznę w kapeluszu w sąsiedniej galerii. Nie spuszczała go teraz z oczu.

- Coś się wydarzyło w Paryżu. Napadnięto na nas w nocy na ulicy. Dał sobie radę w pojedynkę z napastnikami. Zachował się bardzo... nie wiem...

- Bardzo profesjonalnie?

- Tak.

- Okay. Idźmy dalej. Jeśli są zabójcami, kto jest celem?

- Nie wiem. Ale w pałacu zatrzymują się ważne osobistości. Nieustannie.

- To nie zawęża nam pola domysłów, prawda?

Kate pokręciła głową.

- Posłuchaj... Jak by to ująć... Uważam, że to mało prawdopodobne, żeby ktoś wynajmował zespół zabójców składający się z męża i żony na... jak długo to już trwa?

- Jakieś trzy miesiące.

- Na kwartał... tylko po to, by w niedającej się przewidzieć przyszłości zespół ten oddał łatwy strzał do... mówiąc szczerze... każdego. Bez względu na to, jak nieskuteczna jest twoim zdaniem ochrona tego pałacu, wyższy poziom bezpieczeństwa da się wprowadzić wszędzie i o każdej porze przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

Mężczyzna w sąsiedniej galerii znalazł się bliżej.

- Wybacz... - ciągnął Hayden -...ale nawet jeśli zgodzę się z tobą, że ludzie ci wyglądają podejrzanie, mam wrażenie, że błędnie interpretujesz sytuację. Nie są zabójcami.

Kate wiedziała, że Hayden ma rację. Od samego początku. Jak mogła poważnie się na tak lekkomyślną teorię! Napisała scenariusz całkowicie odbiegający od faktów. Jest idiotką.

Tylko po co Macleanowie przyjechali do Luksemburga? Podświadomie zmiotła coś w jakiś ciemny zakamarek pamięci, w jakąś mysią dziurę, do której nie chciała - zresztą bez powodzenia - zaglądać.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Tak?

- Dlaczego się tym zajmujesz?

Nie przyszła jej do głowy żadna inna odpowiedź oprócz tej, która była prawdziwa, i do której nie chciała przyznać się sama przed sobą: bała się, że to ona jest celem, że to ją ścigają z powodu fiaska, jakim okazała się sprawa Torresa.

- Coś ci poradzę: odpuść to sobie - powiedział Hayden.

Spojrzała na niego. Na jego twarzy wyczytała ostrzeżenie.

- Dlaczego?

- Bo to, co znajdziesz, może nie przypaść ci do gustu.

Wypatrywała na jego obliczu czegoś jeszcze, ale nic już nie znalazła. Nie mogła zapytać go o to wprost, nie tłumacząc, dlaczego to robi.

- Nie mogę.

Spojrzał na nią, czekając na dalsze wyjaśnienia. Ale milczała.

- Okay. - Hayden włożył rękę do kieszeni, wyjął fotografię i oddał ją Kate. - Przepraszam, ale nie mogę ci pomóc. Wiesz o tym najlepiej.

Spodziewała się tego. Hayden stał się ważną osobistością w Europie, nie mógł sobie pozwolić na błędzenie po omacku.

Mężczyzna w kapeluszu przeszedł do innej sali i wciąż stał odwrócony plecami. Kate podeszła kawałek dalej, usiłując zajrzeć mu w twarz.

- Jak długo zostaniecie w Monachium?

Szli spacerkiem do sąsiedniej galerii, mijając młodych rodziców i eskortowane przez strażnika dzieci. Hayden przystanął przed Rembrandtem. Kate odwróciła się gwałtownie. Mężczyzna w kapeluszu zniknął. Nie. Znow był w sąsiedniej sali.

- Wyjeżdżamy pojutrze - odpowiedziała. - Wpadniemy do Bambergu na jeden dzień, a potem do domu. Do Luksemburga.

- Piękne miasteczko. Spodoba ci się w Bambergu. Ale...

Spojrzała na niego.

- Tak?

- Zamiast do Bambergu, możecie pojechać do Berlina. Tam ktoś będzie na ciebie czekał.

Mężczyzna w sąsiedniej sali znalazł się bliżej i zajął taką pozycję, która mogła wskazywać, że ma zamiar podsłuchiwać rozmowę.

Kate mrugnęła do Haydena i wskazała lekko głową sąsiednią galerię. Zrozumiał.

Skinął. Powędrował ku ścianie, stąpając lekko i sprężysto po posadzce. Zamarł zwarty w sobie, gotów do akcji. Stojąc nieruchomo w gustownym ubraniu z lekko zmierzwioną fryzurą, wyglądał jak zwykły mężczyzna w średnim wieku. Ale w jego postaci, w sposobie ułożenia ręki, kiedy wskazywał na obraz, było coś jeszcze. Był jak Travolta tańczący w *Pulp Fiction*, emanowała z niego sprężona energia ukryta pod gładką powierzchownością. Ruszył do akcji. Był bardzo żwawy. Przemknął do dużej sąsiedniej galerii, a Kate wpadła do mniejszej.

Nikogo w niej nie było. Rozejrzała się w obie strony długiego korytarza z oknami po jednej i galeriami po drugiej stronie.

Pusto.

Szła szybkim krokiem. W następnej galerii dojrzała Haydena w sąsiadującej z nią wielkiej sali. Szli równoległymi trasami, szukając, przeczesując, przepatrując.

Ale mężczyzna w kapeluszu zniknął.

Kate przyspieszyła kroku, słysząc w pobliżu okrzyki francuskich chłopców, wydało się jej, że widzi połę płaszcza znikającą za drzwiami, a potem ujrzała Japończyków przestraszonych przez przemykającego mimo Haydena, ale płaszcz przepadł, a Kate coraz szybszym krokiem zbliżała się do końca budynku, szczytu schodów, przy których stanęła i spojrzała w dół...

Oto i on, pokonywał ostatnie stopnie szerokiej klatki schodowej, by skrócić za róg, powiewając połami płaszcza.

Kate i Hayden zbiegali schodami, słysząc za sobą okrzyk strażnika *Halt!* Skręcili za róg, zbiegli po kolejnych schodach i skręcili za następny róg. Mieli przed sobą obszerne foyer. Przystanęli, oddychając ciężko.

Foyer - puste, kiedy Kate była w nim po raz pierwszy - teraz roiło się od ludzi. Tłoczyli się w nim pasażerowie kilku wycieczkowych autobusów, setki ludzi w paltach i kapeluszach, kupujący bilety, ustawiający się w kolejce do szatni, siadający na ławkach i stojący.

Kate omiatała wzrokiem tłum, idąc wolno, by zmieniać perspektywę. Hayden szedł w przeciwnym kierunku. Zeszli po schodach na przeciwległych krańcach sali i przeciskali się przez hordy niemieckich emerytów z prowincji w wełnianych paltach w kratę, lodenowych spodniach i szalach z owczej wełny, cuchnących piwem, wybuchających serdecznym śmiechem, rumianych, z rozwianym włosiem.

Kate dostrzegła coś na drugim końcu tłumy i zaczęła się przeciskać niecierpliwie przez stłoczoną ludzkość, mamrocząc: - Przepraszam, *bitte*, przepraszam... - aż stanęła przed szklanymi frontowymi drzwiami i zobaczyła na końcu placu mężczyznę w rozpiętym

płaszczu i bawarskim kapeluszu. Właśnie wsiadał do samochodu, który zatrzymał się tuż przed nim. Usiadł przy kierowcy, odwracając twarz.

Kiedy samochód oderwał się od krawężnika, kierowca przez ułamek sekundy spojrzął na muzeum, nim odwrócił wzrok z powrotem na Theresienstraße. Kierowcą była kobieta w dużych przeciwsłonecznych okularach.

Chociaż od samochodu dzieliło ją jakieś sto metrów i robiło się już ciemno, Kate była niemal pewna, że za kierownicą siedziała Julia.

- Powinniśmy pojechać. - Kate nie dawała za wygraną. - Kiedy następnym razem wybierzemy się na wschód? - Spacerowali przed zmierzchem po Englischer Garten, wszystko miało brunatnoszare barwy, a szczególnie nierozplątywalna kratownica z gałęzi na tle srebrzystego nieba. - Kolejna taka podróż będzie musiała odbyć się samolotem. A bądźmy szczerzy, nie będziemy kupować czterech biletów lotniczych do Berlina.

- Ale Berlina nie było w planie - zauważył całkiem słusznie Dexter.

Zamarznięta trawa chrzęściła pod podeszwami butów. Chłopcy szukali na ziemi żółędzi, które chowali po kieszeniach. Były to, zdaje się, jakieś zawody.

- Bo nie objęłam wzrokiem całych Niemiec.

- W poniedziałek muszę iść do pracy.

- Nic się nie stanie, jeśli popracujesz w Berlinie, prawda?

Dexter zignorował to.

- A chłopcy stracą dwa kolejne dni nauki. Nie podoba mi się to i doskonale o tym wiesz.

Chodzili w tę i z powrotem po błotnistej łące. Kate ślizgała się na mokrych liściach.

- Wiem - odpowiedziała. - I zgadzam się z tobą. Ale nie mówimy o opuszczaniu lekcji w szkole. Mówimy o niepójściu do przedszkola.

- W przypadku Bena. W przypadku Jake'a mówimy o zerówce.

Kate spiorunowała go wzrokiem. Czy Dexter naprawdę uważa, że nie orientuje się, do której klasy chodzi Jake? Starła się nie zwracać uwagi na protekcyjny ton męża. Kłótnia przyniosłaby efekt odwrotny do spodziewanego. Odpowiedziała najspokojniej jak mogła:

- Wiem. - Jej oddech parował na biało w zimnym suchym powietrzu. - Ale podróże były jednym z powodów, dla których chcieliśmy zamieszkać w Europie. Chcieliśmy wszędzie jeździć z dziećmi, wszystko im pokazać. Pokażmy im Berlin. Jake wróci do zerówki w środę.

Wiedziała, że to słabe argumenty, jeśli w ogóle. Jej stanowisko było nie do obrony i

broniła go z niechęcią, udając, że chce to zrobić dla dobra dzieci, choć powody były przecież zupełnie inne. Rzuciła pracę w Firmie, żeby nie czuć się tak okropnie. Poświęciła karierę, żeby nie kłamać w taki sposób.

Zatrzymali się nad wyłożonym głazami brzegiem zamrożonego stawu, długie gałęzie drzewa opadały na szklistą toń.

Dexter objął ją, gdy wpatrywali się w przepelniony spokojem zimowy krajobraz. Masowali się po ramionach dla rozgrzewki.

- Okay - powiedział. - Pojedźmy do Berlina.

Kate zmusiła chłopców do pozowania przy Friedrichstraße przed Checkpoint Charlie przed napisem OPUSZCZASZ SEKTOR AMERYKAŃSKI. W tym samym miejscu w roku 1963 stał Kennedy. Właśnie wtedy w Schönebergu powiedział *Ich bin ein Berliner*. Potem w 1987 przy Bramie Brandenburskiej Reagan wezwał Gorbaczowa do zburzenia muru berlińskiego.

Amerykanie uwielbiają wygłaszać w Berlinie bombastyczne mowy. Kate poszła w ślady rodaków, wygłaszając w tym mieście namiętną wersję swojej objazdowej przemowy, zatytułowanej „Jeśli natychmiast nie przestaniecie...”. Winowajczynią była zapewne czekolada, oznajmiła. Istnieje zatem tylko jedno rozwiązanie: chłopcy już nigdy, przez całe życie, nie zjedzą ani kawałka czekolady.

Byli przerażeni. Ben aż się rozplakał. Kate złagodniała, jak zawsze.

- Ja też tego nie chcę - dodała - więc nie zmuszajcie mnie.

Szybko doszli do siebie, jak zawsze. Wypuściła ich między falujące rzędy monolitów przed Muzeum Pamięci Holocaustu - między tysiące betonowych płyt, wznoszących się i opadających.

- Jeśli wyjdziecie na chodnik - zawołała - zatrzymajcie się.

Chłopcy nie mieli pojęcia, co to za miejsce. Nie było sposobu, żeby im to wytłumaczyć.

Dexter został w hotelu, miał dużo kawy i był podłączony do sieci. Nagle obok Kate stanął jakiś mężczyzna.

- Pani coś dla mnie ma - powiedział po angielsku.

Kate była wstrząśnięta. Mężczyzną tym był rąbnięty szofer, który wiozł ich z lotniska we Frankfurcie pierwszego dnia po przylocie do Europy. Hayden miał ją na oku. Może zawsze? Po zastanowieniu doszła do wniosku, że nie ma w tym niczego wstrząsającego.

Skinęła mu głową na znak, że go poznaje. Odpowiedział tym samym. Sięgnęła do kieszeni i podała mu małą zamykaną na suwak torebkę, w której znajdowała się tubka balsamu do ust oraz wizytówka klubu tenisowego - rzeczy, które zabrała z mieszkania Macleanów.

- Jutro o tej samej porze na północnym krańcu Kollwitzplatz w Prenzlauer Berg.

Ben, oddalony o pięćdziesiąt metrów, krzyknął:

- Cześć, mamusiu!

Spojrzała między rzędy szarych płyt. Ben stał obok kamienia większego od niego o dwa razy. Pomachała mu, wyciągając wysoko rękę.

- Okay - odpowiedziała, odwracając się do mężczyzny, którego już nie było.

Czuła się całkiem dobrze podczas tej misji w Berlinie. Nawet jeśli misja była wyłącznie tworem jej wyobraźni. Może właśnie tego brakowało jej w życiu, może dlatego ciągle czuła się taka znudzona, całkiem bezwartościowa i nieszczęśliwa.

Ale jaka misja była jej potrzebna? Może wcale nie chce takich z bronią, fałszywymi tożsamościami, zakodowanymi rozmowami telefonicznymi i śmiertelnym niebezpieczeństwem. Może rodzina stanie się jej misją? Mogła przecież potraktować dzieci, ich wykształcenie, ich rozrywki, jako pracę, jako problem do rozwiązania. Teraz nic już nie stało na przeszkodzie, by wiodła godne życie, miłe zwykłe życie, pomagając dzieciom przy pracach domowych i zajmując się *Sztuką francuskiej kuchni*, starając się opanować ją po mistrzowsku.

Ale najpierw musi się dowiedzieć, kim naprawdę są Bill i Julia.

Zatrzymała się przy wejściu na plac zabaw na Kollwitzplatz.

- Pójdę na kawę - rzuciła do Dextera. - Przynieść ci?

- Nie, dzięki.

Przeszła przez ulicę, weszła do baru i zajęła miejsce z dala od okna. Z kuchni nadbiegła zaganiana kelnerka z tacą wyładowaną zamówieniami dla hałaśliwego tłumu siedzącego w rogu. Otworzyły się drzwi. Wszedł ten mężczyzna. Usiadł naprzeciw Kate.

Obrzuciła go wzrokiem. Miał trzydzieści parę lat, niechlujny zarost, kowbojską koszulę, dwurzędową marynarkę, dzinsy i trampki na nogach. Był nieodróżnialny od hipsterów mieszkających w Austin czy na Brooklynie, czy w Portlandzie. W Oregonie czy w Maine. Tak wyglądała globalizacja; wszyscy na całym świecie mogliby zamieniać się miejscami. Każdy mógł być każdym i robić cokolwiek. A ten uwielbiający nową falę z lat

osiemdziesiątych, ćpający amfę i przypominający mieszkańca Williamsburga facet był szpiegiem.

- Nie mam zbyt wiele czasu - powiedziała.

- Wiem. Przyszła pani z rodziną.

Kelnerka przemknęła obok, nawet na nich nie patrząc.

- Zatem?

- Ci ludzie to: Craig Malloy i Susan Pognowski.

- Pognowski?

- Tak. To polskie nazwisko. Wychowała się w Buffalo w stanie Nowy Jork. A ten facet Malloy pod Filadelfią w Pensylwanii.

Kelnerka przyniosła menu. Kate zamówiła kawę na wynos. Mężczyzna nic nie chciał.

- Są małżeństwem? - zapytała Kate.

- Hm? Nie. Nie są małżeństwem.

- Więc kim są?

- To interesujące - odpowiedział i pochylił się ponad stołem z tajemniczym uśmiechem.

W tej samej chwili przy dużym stole w rogu ktoś skończył opowiadać kawał i wszyscy ryknęli śmiechem. Ktoś rąbnął kuflem w stół. Mała furgonetka terkocząca na jałowym biegu przed kawiarnią wrzuciła pierwszy bieg i odjechała, przez co w środku słyhać było niemal każdy hałaśliwy dźwięk. W kuchni wrzał olej, wyszła z niej kelnerka z dużym półmiskiem frytek. Z pobliskiego szkolnego boiska dobiegał dziecięcy śmiech i krzyk. Krzyczał również Jake, wspinający się po drugiej stronie ulicy na coś do wspinania.

Kiedy wrzawa na moment ucichła, mężczyzna powiedział:

- Pracują w amerykańskim FBI.

Kate oniemiała. Otworzyła szeroko oczy. Znieruchomiała.

FBI? Usiłowała przetworzyć tę informację, atakując ją pod różnymi kątami, ścigając myślami najrozmaitsze implikacje. Wyjrzała przez okno na dzieci na placu zabaw. Dexter siedział na ławce odwrócony do niej plecami, wystawiał twarz ku zimnemu słońcu na południowym niebie.

- Co więcej, i co jeszcze bardziej interesujące - ciągnął mężczyzna - zostali wypożyczeni.

Kate spojrzała na niego zdumiona.

- Do specjalnej grupy zadaniowej.

Uniosła brwi.

- Przy Interpolu.

Jak w każdą środę maszerowała na targ na placu Guillaume'a, gdzie sprzedawano kwiaty i warzywa, mięso i ryby, pieczywo i pieczone kurczaki prosto z furgonetek. Na jednym z targowych straganów mały żylasty Francuz zachwalał namiętnie alpejskie sery własnej produkcji. Pewien Belg dla odmiany sprzedawał tylko cebulę i czosnek. Był tu także stragan ze świeżo zagniecionym makaronem, leśnymi grzybami oraz oliwkami. Pewna surrealistycznie gadatliwa przekupka sprzedawała specjały z Bretanii, a dwoje rumianych grubasków, kobieta i mężczyzna, wędzone mięso z Tyrolu. Oboje nie mówili słowa po francusku. O angielskim w ogóle nie mieli pojęcia.

Stała, drżąc z zimna, w kolejce do furgonetki z pieczonymi kurczakami. Gubiła się w myślach. Dobra wiadomość - a jak wiadomo, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, o ile wolno jej tak myśleć - brzmiała tak: nie oszalała. Tak zwani Macleanowie ukrywali swą tożsamość agentów federalnych. Ale o co im chodzi? Berliński współpracownik Haydena nic nie wiedział na ten temat, co gorsza nie mógł zdobyć takich informacji, nie wzbudzając podejrzeń, a na to - przyznał otwarcie - nie miał najmniejszej ochoty. Nie mogła z nim dyskutować. To znaczy mogła i nawet to zrobiła, ale bez rezultatu.

Kate, jak większość jej braci i siostr z CIA, żywiła zadawnioną pogardę dla federalnych, meldujących się w Budynku Hoovera. Wrogość panująca między szpiegami a gliniarzami była niemal całkowicie irracjonalna i wzięła się z zapatrywań politycznych ludzi prowadzących niegdyś obie agencje, nieufających sobie, niepotrafiących bawić się wspólnie w piaskownicy i prześcigających się w zabieganiu o uwagę tatusiów mieszkających w domu przy Pennsylvania Avenue.

Ale to nie miało znaczenia, bo bez względu na to, czy Kate szanowała FBI czy nie, dwoje agentów federalnych bawiło obecnie w Luksemburgu. Po co?

To mogło nie mieć z nią nic wspólnego. Mogli ścigać zbiega: mordercę, terrorystę. Człowieka, który posiadał numeryczne konto w Luksemburgu z milionami... miliardami?... euro, które mógł wypłacić tylko osobiście. Więc pokaże się tu prędzej czy później. I właśnie na to czekali Bill i Julia, czekali, by zaaresztować złego człowieka.

Mogli zajmować się śledztwem w sprawie prania brudnych pieniędzy z narkotyków czy sprzedaży broni, forsy oczyszczonej przez anonimową maszynię luksemburskich banków. Monitorowali kurierów przylatujących i odlatujących ze schludnego maleńkiego luksemburskiego lotniska, na którym odprawa celna praktycznie nie istniała. Walizki

wypełnione dolarami, szmuglowanymi z amerykańskich gett, trafiały do centrali karteli narkotykowych w Ameryce Łacińskiej, gdzie przepakowywano je do innych walizek i nadawano na loty Air France czy Lufthansy z Rio czy Buenos Aires do Luksemburga via Paryż lub Frankfurt. Kurierzy opuszczali Europę z czystymi książeczkami czekowymi. Więc agenci FBI liczyli walizki, zbierali dowody w sprawie.

Kate zamówiła *poulet fermier* oraz *petit pot* z ziemniaków pieczonych w tłuszczu skapującym z pieczonym kurczaków.

Czy po to przyjechali do Luksemburga? Czy po to FBI wypożyczyło ich Interpolowi, który wysłał ich do Wielkiego Księstwa?

Lub też... mogło im chodzić o Dextera. Co on mógł przeskrobać? Co robił w Luksemburgu? Mógł zdefraudować kasę któregoś ze swoich klientów. Mógł, dokładnie w tej chwili, włamywać się do korporacyjnej bazy danych, żeby kupować lub sprzedawać akcje na podstawie skradzionych danych.

Lub.

Kate wrzuciła termiczną torbę z kurczakami i ziemniakami do płóciennej torby na zakupy. Od dawna nie używała już foliowych toreb.

Lub też... Interpol z oczywistych względów mógł wreszcie zacząć ścigać Kate. Kiedy stanęła na piętrze, na którym w Waldorfie mieszkał Torres... nie, wcześniej, kiedy stanęła na Union Station w Waszyngtonie i zapłaciła gotówką za bilet kolejowy Amtrak na pociąg do Nowego Jorku, miała przeczucie, że któregoś dnia będzie musiała ponieść konsekwencje. Które pojawią się w najmniej spodziewanej chwili.

Torba Kate była wypełniona po brzegi rezultatami rozpaczliwego kupowania sobie normalności: kwiatami, bagietkami, warzywami, owocami oraz kurczakami i tłustymi ziemniakami. Normalność sporo ważyła.

Będzie unikała Julii, ukryje się w kokonie prywatności. Z tym że to rozwiązanie na krótką metę w gruncie rzeczy może przynieść efekty odwrotne do zamierzonych. Ale w tej chwili nic innego nie wymyśli. Potrzebuje czasu, tak jak kwiatów na stół w jadalni i oczyszczającej czynności gotowania.

Skręciła z targu w jakąś uliczkę, po której mogły jeździć auta. Na chodniku jak spod ziemi wyrósł tabun zakonnic. Więcej niż dwa tuziny i wszystkie stare. Zastanawiała się, gdzie hodują młode, czy chowają je przed światem jak sadzonki w szklarni?

Zeszła z chodnika, oddając go we władanie leciwym siostron. Maszerowała po bruku. Odstępy między kostkami wypełniała woda, wąskie strumyczki tworzące cały system lilipucich kanałów. Holandia w miniaturze.

Zakonnica na przedzie popatrzyła na Kate zza okularów w drucianej oprawie.

- *Merci, madame* - powiedziała cicho.

Mijały ją kolejne siostrzyczki, a każda z nich zerknęła jej w oczy i powtarzała to samo: *Merci, madame*.

Potem zniknęły, a Kate odwróciła się i spojrzała w głąb uliczki. Ani śladu po zakonnicach. Zastanawiała się przez krótką chwilę, czy nie ma halucynacji. Czy w powietrzu naprawdę zawisła resztką ich pobożności, piekąca jak jej wina?

Znów siedziała w piwnicy klubu fitness, nie mogąc skupić się na paplaninie wokół. Zadzwonił telefon, gdzieś prawie pod ziemią, w głębinach czyjejś torby. Nikt nie zabrał się do szukania aparatu. W połowie drugiego dzwonka Kate zdała sobie sprawę, że dzwoni jej jednorazowa komórka. Nigdy wcześniej nie słyszała tego dzwonka.

Wzięła torbę na kolana.

- Przepraszam. - Grzebała we wnętrzu, wstała, wyszła z kafeterii na schody. - Halo?

- Halo.

- Daj mi minutę... Muszę wy... - Była już na szczycie schodów, mijając męską szatnię. -...wyjść w jakieś ustronne miejsce. - Na chłód, na wiatr, w ciemności północnoeuropejskiej jesieni kwadrans po czwartej po południu. - Więc są z FBI - powiedziała.

Chcąc zaspokoić swoją ciekawość, zadzwoniła raz jeszcze do rektoratu University of Chicago, skąd odesłano ją do dziekanatu, gdzie bardzo niechętnie ujawniono jej stary adres rodziców Williama Macleana, których - po kilku kolejnych połączeniach telefonicznych ze Stanami - odnalazła w Vermoncie, by ostatecznie usłyszeć w słuchawce głos Louisy Maclean, a ta wyznała jej zapłakany głos, że dwadzieścia lat temu, tamtego lata po absolutorium, jej syn jechał pożyczoną vespą po zdradliwej nadbrzeżnej drodze w Cinque Terre we Włoszech, stracił panowanie nad pojazdem i wbił się w zamykający drogę od strony pobocza murek. Murek zatrzymał skuter, z którego zostały na poboczu drzazgi, a Bill przeleciał ponad murkiem na drugą stronę i spadł z wysokości sześćdziesięciu metrów na kamienistą plażę.

Bill Maclean zginął w wypadku w lipcu 1991 roku.

- Owszem - odpowiedział Hayden. - Tak słyszałem.

- Muszę wiedzieć, co robią.

- Po co? Skoro już wiesz, że nie są zabójcami, nie musisz się o nikogo martwić. Nie zastrzelą nikogo w pałacu i nie zablokują ruchu w Wielkim Księstwie na czterdzieści osiem godzin. Odpuść to sobie.

Właśnie wtedy przyszło jej do głowy, że zajmuje się Macleanami po to, żeby nie zajmować się własnym mężem. Produkuje wroga zewnętrznego, by nie musieć - każdy polityk to wie - skonfrontować się ze znacznie groźniejszym wrogiem wewnętrznym.

- Nie mogę. To oni wleźli w moje życie.

Na drugim końcu linii zapadła długa znacząca cisza, do której przyłączyła się Kate. Oboje przyznali w ten taktowny sposób, że niektóre sprawy lepiej pominąć w rozmowie. Sprawy, które wyszłyby na jaw, gdyby Hayden zadał jej pytanie: „A masz coś przed nimi do ukrycia?”

- Okay - mruknął. - Jest ktoś, z kim możesz porozmawiać. W Genewie. Kyle.

Genewa. Hayden wyjaśniał szczegóły kontaktu, ale Kate zatrzymała się na poprzednim etapie, zastanawiając się nad scenariuszami, które uprawdopodobnią jej przelot do Szwajcarii na szybkie potajemne spotkanie.

Coś takiego robiła przez całe życie: wpadała do Mexico City albo Santiago, tłumacząc, że leci na konferencję w Atlancie. Ale w tamtych czasach miała całą torbę podróżną kłamstw i wymówek; w tamtych czasach to jej praca, a nie praca Dextera, była wymagająca i nieprzewidywalna. W tamtych czasach mogła swobodnie podróżować, dokąd tylko chciała i wtedy, kiedy było trzeba.

- Ja... - urwała, nie chcąc dzielić się głośno swoimi wnioskami: że prawdopodobnie miną tygodnie, zanim zdoła polecieć do Genewy. Nagle zaczęła żałować tamtej dawnej elastyczności. Choć wtedy myślała o niej inaczej.

- Tak? - zapytał Hayden.

- Wolałabym Paryż. Brukselę. Albo Bonn... - Do tych miast może wybrać się na jeden dzień z dziećmi. Mogłaby powiedzieć Dexterowi, że robi to dla higieny psychicznej.

- Twój człowiek jest w Genewie.

- Ale... - zaczęła -...nie mogę pojechać do Genewy. - Czuła się jak nastolatka, przyznająca się przyjaciółkom, że nie może wyjść z domu, bo musi zajmować się workiem do zaopatrzenia ojcowskiej kolostomii i odleżynami mamy. Czuła wstyd, że nie jest niezależna, że nie może o sobie decydować. - Na zawołanie.

- Nie ingeruję w twój rozkład zajęć.

- Czy... nie dałoby się tego załatwić... cyfrowo?

- Bez dwóch zdań. Gdybyś знаła człowieka, gdyby on ci ufał i gdybyś mogła zagwarantować bezpieczne połączenie. Ponieważ żaden z tych warunków nie został spełniony, odpowiedź brzmi „nie”.

- Okay - mruknęła. - Jeszcze jedno pytanie, dosyć dziwne: czy istnieje możliwość, że

chodzi im o mnie?

- Nie.

Kate czekała, ale Hayden milczał.

- Skąd wiesz?

- Gdyby ktokolwiek chciał cię dopaść, to przede wszystkim my - powiedział. - Przede wszystkim ja.

Rano odwiozła Dextera na lotnisko, gdzie wynajął samochód na jednodniowy wyjazd do Brukseli. Zdążył wrócić do domu na obiad - zdenerwowany, rozkojarzony, bardziej nieobecny duchem niż kiedykolwiek przedtem. W ogóle nie zwracał uwagi na to, co mówili do niego przy stole; może tak bardzo odzwyczyił się od jadań w domu, że zapomniał już, na czym to polega.

Kiedy któryś z chłopców zwrócił się do niego po raz czwarty „tatusiu...”, a Dexter nie zareagował, Kate rzuciła nożem i widelcem i zerwała się od stołu. Doskonale rozumiała, że musi pracować, że musi służbowo wyjeżdżać. Ale po powrocie do domu naprawdę nie musiał być nieobecny, kiedy siadali razem do stołu.

Uspokoila się w kuchni, opanowała irytację. Wbiła wzrok w wycieraczkę pod drzwiami, w ozdobny stolik, na którym leżała poczta i ich telefony komórkowe i stała misa z drobnymi. Na chodniczku pod stolikiem parkowali buty, duże i małe.

Buty Dextera były zabłocone. Bardzo zabłocone wokół krawędzi grubą warstwą blocka, które ochlapało również czubki. To prawda, że przez cały dzień padało, równo, ale Kate nie mogła sobie wyobrazić, by w centrum Brukseli znajdowały się błotniste pola, przez które Dexter przedzierał się do banków.

Wpatrywała się w te ubłocone buty, starając się nie być podejrzliwa. Przecież obiecała sobie, że nie będzie, gdy wyjdzie za niego za mąż.

Wszyscy ludzie mają jakieś tajemnice. Istotą bycia człowiekiem jest po trosze posiadanie sekretów i ciekawość zmuszająca do zgłębiania sekretów innych ludzi. Nieprzyzwoitych fetyszy, ogłupiających fascynacji, wstydlivych porażek, dążenia po trupach do celu, upokarzającego samolubstwa i odrażającego bestialstwa. Tych wszystkich straszliwych rzeczy, o których myślą i które robią ludzie, każdego bezceństwa.

Jak, powiedzmy, wejście do nowojorskiego hotelu i popełnienie morderstwa. Z zimną krwią.

Nie mogła oderwać oczu od butów Dextera. Stwierdziła, że Macleanowie są

umoczeni, ale to nie znaczy, że jej mąż jest czysty.

Przypomniała sobie pewien mroźny i wietrzny dzień przed trzema laty w środku zimy w Waszyngtonie. Pędziła przez I Street na spotkanie w IMF, osłaniając się od wiatru, obrzucając samą siebie inwektywami za to, że nie zamówiła samochodu. Na kolistym podjeździe przed Army and Navy Club Library taksówka pozbywała się pasażera. Kate ruszyła galopem, żeby ją złapać, ale ktoś wyszedł z klubu i wsiadł do środka. Przystanęła i odwróciła się, szukając rozpaczliwie następnej taksówki. Ta fala mrozu była zupełnie niespodziewana.

Zatrzymała wzrok na ławce po drugiej stronie ulicy przy poprzecznej dróżce na Farragut Square. Nie na pierwszej przy chodniku i nie na drugiej. Ta ławka stała jakieś dwadzieścia metrów dalej, w głębi parku. Najpierw poznała czerwoną myśliwską czapkę w kratkę, którą zamówiła pocztą z Arkansas. Na ławce siedział Dexter w czapce na głowie. A obok niego jakiś nieznajomy mężczyzna.

Kiedy Dexter położył się spać, usiadła przed kominkiem i sporządziła listę. Listę prawdopodobnych przyczyn, dla których agenci FBI wypożyczeni Interpolowi mogą przebywać w Luksemburgu i mieszać się do życia byłej agentki CIA. Każdej przyczynie przypisała wartość numeryczną wedle jej prawdopodobieństwa. Najniższe wartości - od jeden do pięciu - przypisała wszystkim przyczynom, które nie miały absolutnie nic wspólnego ani z nią, ani z Dexterem. Nic nie mogła na to poradzić. Przyczyny związane z Dexterem otrzymały wartości od jeden do siedmiu. Większość z nich była nieszkodliwa.

Same ósemki i dziewiątki otrzymały scenariusze obracające się wokół jej osoby, mimo że Hayden zapewnił ją, iż agenci nic do niej nie mają. Było więcej niż prawdopodobne, że mogło dojść do nieporozumienia między agendami; w relacjach między Biurem a Agencją zawsze dominował brak szczerości i przeciwstawne cele. Nie mogła też wykluczyć, że agenci znaleźli się tutaj, żeby ją chronić, wypatrywać kogoś innego, kto miałby ochotę ją dopaść. No a poza tym, jej odejście z CIA było dosyć niespodziewane i mogło wzbudzić czyjeś zainteresowanie, może pojawił się jakiś dowód albo tylko poszlaka, która zwróciła czyjąś uwagę i Kate stała się podejrzana o coś, czego nie zrobiła.

Położyła ostrożnie kartkę z listą na żarzących się w kominku węglach.

Tamtego mroźnego wietrzego dnia w Waszyngtonie, kiedy przesuwane okna z sześcioma szybkami na górze i dole drżały we framugach od wichury, głowiła się, czy - i jak - zapytać Dextera o spotkanie na Farragut Square. Ostatecznie zadała mu tylko pytanie: „Czy

coś się dzisiaj wydarzyło?”. Na które odpowiedział rzecz jasna: „Nie”.

Odłożyła tę sprawę. Zamknęła ją w kopercie i zapieczętowała w pamięci, by wrócić do niej, kiedy - jeśli w ogóle - będzie to konieczne. Nie chciała znać, jeśli nie będzie musiała, sekretów swojego męża.

16

- Cześć - odezwał się Dexter. - Co słychać?

Straszne trzaski na linii. Zawsze tak było, kiedy dzwonił z tych rajów podatkowych, z tych zbójckich jaskiń, do których wyjeżdżał prawdopodobnie po to, by pomagać bandytom ukrywać łupy lub robić inne przekręty, co zmuszało go do okłamywania żony.

Kate westchnęła, poirytowana dziećmi, zła na męża.

- W porządku - rzuciła, odchodząc od chłopców. - Cudownie.

- Naprawdę? Mówisz, jakbyś...

- Jakbym co?

- Nie wiem...

Wyrzała przez okno. Słońce weszło, ale ledwo, ledwo, i znów zaczęło zachodzić. W ogóle nie było dnia.

- Wszystko w porządku?

Nic nie było w porządku, zupełnie nic. Ale co miała mu powiedzieć podczas rozmowy telefonicznej z Zurychem?

- Ta-ak... - rzuciła, staccato, przelamując sylabę, co oznaczało, że sprawa jest zamknięta. - Więc kiedy wracasz?

Milczenie. A potem:

- No tak... O to właśnie chodzi.

- Jasna cholera.

- Wiem, wiem. Jest mi naprawdę przykro.

- Jutro jest Dzień Dziękczynienia, Dexter. Dzień Dziękczynienia.

- No tak... Ale ludzie, dla których pracuję, nie obchodzą Dnia Dziękczynienia. Dla nich jutro jest czwartek.

- Czy to, co masz do zrobienia w czwartek, nie może poczekać? - zapytała. - Czy nie może zrobić tego ktoś inny?

- Posłuchaj, jestem tak samo wściekły jak ty...

- Pierwsze słyszę.

- Co to znaczy?

Dlaczego chce się z nim kłócić?

- Nic.

Cisza.

Wiedziała, dlaczego chce się z nim kłócić: bo była wściekła, bo FBI i Interpol mieszały się z jakiejś przyczyny w jej sprawy, bo podjęła kiedyś niewybaczalną decyzję, która będzie ją prześladowała do śmierci. Lecz przede wszystkim dlatego, że jedyna osoba na świecie, której bezgranicznie ufała, kłamała w żywe oczy.

Może kłamał w dobrej sprawie. Może jego kłamstwa nie miały nic wspólnego z jej złością. To przecież nie Dexter kazał jej podjąć moralnie wątpliwą pracę. Nie zmuszał jej do prowadzenia podwójnego życia. Ani do rodzenia dzieci, zrezygnowania z ambicji i wreszcie do rzucenia pracy. Nie zmuszał jej do wyjazdu za granicę. Do opiekowania się dziećmi, sprzątanania, robienia zakupów, gotowania i prania - w pojedynkę. Nie kazał jej być samą.

- Mogę z nimi porozmawiać?

Przez głowę przemknęły jej różne celne riposty. Ale nie skorzystała z nich. Bo nie wściekała się na Dextera. Była wściekła na siebie. A poza tym Dexter mówił prawdopodobnie prawdę, nigdy jej nie okłamał.

Odłożyła telefon na blat kuchenny i odeszła od niego jak najdalej, jak od spleśniałej brzoskwini.

- Ben! - krzyknęła. - Jake! Dzwoni do was ojciec.

Ben rzucił się jej w ramiona.

- Ale chce mi się kupę! - zawołał spanikowany. - Zdążę zrobić kupę?

Chciała się kłócić z Dexterem, bo był Dzień Dziękczynienia, a ona za nic nie dziękowała.

Kate wyciągnęła się wygodnie na sofie, przerzucając kanały: włoskie teleturnieje, hiszpańska piłka nożna, nudne seriale BBC i setki programów po niemiecku i francusku. Chłopcy w końcu usnęli po frustrującej rozmowie o nieobecności taty: oni rozpaczali, a ona - heroicznie wedle własnej oceny - starała się go nie potępiać i tłumaczyć przekonująco przed dziećmi. Próbowwała wspierać męża i synów, próbowała nie zapomnieć, że w ten sposób wspiera również siebie.

Słyszała śmiech nastolatków wychodzących z baru przecznicę dalej, wysokie piski odbijające się echem od bruku. Wychwyciła jakieś angielskie słowa. Rozrabiali mali ekspaci, szesnasto-, siedemnastoletni, palący marlboro light i pijący wódkę z red bullem, wyrzygiwaną następnie w wejściach do kamieniczek otaczających puby. Portugalskie dozorcynie i sprzątaczkę zaczynały pracę przed wschodem słońca, a pierwszą rzeczą, jaką robiły po rozpoczęciu pracy, było obejście wszystkich okolicznych bram. Ciągnęły za sobą wiadra na

wózkach ze stalowymi kółkami i mopy stojące pionowo w wyzmaczkach. Myły bramy obrzygane przez nastolatków.

Dexter nie był niczemu winien, a z pewnością nie był winien jej złości. Wściekała się na siebie. Wszystkie decyzje, które doprowadziły ją do tego punktu, podejmowała sama. W tym tę, żeby o nic nie podejrzewać męża.

Spojrzała na mrugający ekran, jakiś holenderski kanał, niedubbingowany amerykański film telewizyjny z połowy lat osiemdziesiątych. Fryzury, ubrania, samochody i meble, nawet oświetlenie wyglądało dokładnie tak jak wtedy. Zdumiewające, ile można wyczytać z jednego filmowego kadru.

Nie mogła już dłużej ignorować swoich podejrzeń co do Dextera. Wiedziała, że właśnie to robi - ignoruje je.

Ale nie chciała również stawać z nim do konfrontacji, żądać wyjaśnień. Nie był na tyle głupi, by wyłgać się nieprawdopodobnym i łatwym do obalenia kłamstwem. Zadawanie mu pytań odniesie tylko taki skutek, że stanie się ostrożniejszy i dowie się, że o coś go podejrzewa. A ona nie dowie się niczego, zadając mu pytania. Gdyby chciał powiedzieć jej prawdę, nie ukrywałby jej od samego początku. A robił to.

Wiedziała, co powinna zrobić. Ale najpierw potrzebowała Dextera w domu. A potem potrzebowała, żeby znowu wyjechał.

- Czołem, moi kochani! - wołał Dexter od progu. Trzymał w ręku butelkę szampana.

- Tatusi! - Obaj chłopcy wpadli do korytarza, młóćąc powietrze rękami jak w kreskówce, rzucając się ojcu w ramiona w gwałtownym, akrobatycznym powitaniu. Wcześniej Kate posadziła ich przy przykrytym gazetami stole w jadalni, na którym stały dwa nowe zasobniki z farbami, leżały trzy nowe pędzle, a całość otaczała bateria pojemniczków z wodą. Temat pracy malarskiej brzmiał „Co chcę robić podczas zimowych wakacji”. Kate nadała ton, malując alpejski krajobraz. Rozpoczęła tym samym kampanię PR na rzecz zmiany planów na nadchodzące święta, dając przy okazji dzieciom coś do roboty. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Chłopcy wymalowali własne sceny na śniegu, które przyczepiła magnesami do lodówki. Manipulantka - tak nazwała sama siebie w myślach i było to jak najbardziej stosowne określenie.

- Z jakiej to okazji? - Skierowała kuchenny nóż w kierunku butelki szampana zwieńczonej złotkiem i pokrytej rosą.

- Tatusiu, chodź, zobacz, co namalowałem!

- Jedną sekundkę, Jakie - powiedział do syna, a potem spojrział na Kate. - Świętujemy! Zarobiłem dziś... my zarobiliśmy... dwadzieścia tysięcy euro!

- Co? Jak? Jak cudownie! Ale jak? - Kate już wcześniej zdołała się przekonać, że małpio złośliwa podejrzliwość nie ma dobrych stron. Pozostawała jej tylko megapodejrzliwość.

- Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś o derywatach...

- Nie. Co to znaczy?

Otworzył usta, zamknął je, a potem znów otworzył, żeby powiedzieć:

- Nieważne. Ale tak czy inaczej, zlikwidowałem dziś pakiet instrumentów finansowych z dwudziestotysięcznym zyskiem. - Otwierał szafki, szukał. Ciągłe nie wiedział, gdzie trzymają kieliszki.

- Tam... - Kate znów wskazała kierunek nożem. Dexter znalazł się tak blisko, że wydawało się to co najmniej niestosowne. Odłożyła nóż.

Otworzył szampana i nalał, piana powędrowała wysoko ku krawędzi kieliszków, a potem osiadła powoli.

- Zdrowie.

- Zdrowie - odpowiedziała. - Gratuluję.

- Tatusiu... proszę...

Zaniosła butelkę do jadalni. Dexter usiadł przy stole, próbując odgadnąć temat schnących akwarel. Dzieła utrzymane były w dosyć abstrakcyjnej stylistyce.

Wyglądał na uszczęśliwionego. Nadeszła odpowiednia chwila:

- Pomyślałam sobie - zaczęła - że zamiast jechać na południe Francji na święta, moglibyśmy wybrać się na narty.

- Ojej! - Typowy wyraz dobrego humoru Dextera. - Nie dasz forsie ostygnąć, co nie?

- Nie, nie o to chodzi. Myślałam już o tym wcześniej... sam wiesz. Możemy bez problemu odwołać rezerwację we Francji, a w kurortach narciarskich są jeszcze wolne miejsca.

- Ale południe Francji - zaprotestował - jest w naszej górnej piątce!

Listy przebojów. Miejsc do zamieszkania. Na szczycie niezmiennie królował Paryż, zaraz za nim Londyn, potem Toskania, Costa Brava i niesprecyzowane południe Francji: Riwiera albo Prowansja, może Monako, które co prawda nie należy do Francji, ale to tylko techniczny i zapewne logistyczny szczegół.

Dexter przedstawił Kate swoją wakacyjną listę przebojów w Londynie przed kilkoma tygodniami. Angielska szkoła w Luksemburgu miała wolne z powodu jakiegoś niepojętego

brytyjskiego święta, więc złapali poranny samolot na lotnisko City w Londynie, przed dziesiątą zostawili bagaże w hotelu i wyruszyli do miasta w paskudnej późnojesiennej pogodzie, mijając prywatne place zamknięte żeliwnymi bramami, surowe fasady kamienic i przytulne wiejskie domki na wyłożonych brukiem łąkach. Najpiękniejsze było jednak to, że wszędzie dawało się słyszeć cudowne brzmienie angielszczyzny.

Zatrzymali się przy majestatycznej połaci kamienic z wapienia przy Wilton Crescent - półksiężycy wieńczącego Belgrave Square. Wszędzie kamery. Dexter uparł się, żeby zwiedzić tę okolicę, tę ulicę. Nie rozumiała wówczas dlaczego.

Spoglądała za chłopcami biegnącymi chodnikiem, podekscytowanymi samym kształtem wygiętej łukowato ulicy. Niewiele im było trzeba.

Zabytkowy rolls, nowy bentley lśniły mahoniowo i migotały chromem, stojąc profilem przy krawężniku. Dexter zerknął na numer domu i stanął przed następnym. Oba były takie same.

- Może kiedyś tu zamieszkamy - powiedział.

Zarechotała.

- Nigdy nie będziemy mieli tyle pieniędzy.

- Ale gdyby pieniądze nie stanowiły przeszkody, gdzie chciałabyś zamieszkać? Tutaj?

Odpowiedziała mu obojętnym wzruszeniem ramion. Idiotyczne marzenia.

Przedstawił jej wtedy swoją listę przebojów miejsc do zamieszkania, a Kate dała się w to wciągnąć. Zasugerowała nawet zamianę Costa Brava na Nowy Jork.

- Może kiedyś... - powiedział. - Ale wolałbym nie fantazjować o mieszkaniu w Stanach. Przynajmniej nie teraz. Teraz mieszkamy w Europie i chcemy tu coś wybrać... - uśmiechnął się -...kiedy się wzbogacę.

- Aha - odpowiedziała. - A kiedy dokładnie się wzbogacisz?

- Och, nie wiem... - Udał zawstydzenie. - Ale mam plan.

Nie powiedział nic więcej, a Kate nie przyszło wtedy do głowy, że naprawdę ma plan, żeby się wzbogacić. No bo jak?

- Narty? - zapytał teraz, przygarniając chłopców i podziwiając ich malarską wyobraźnię. - Jak się tam dostaniemy? Chyba nie chcesz skazać nas na dwunastogodzinną podróż autem?

- Istnieje taka ewentualność, owszem.

Zerknął na nią spod oka. Gdyby miał i nosił okulary do czytania, spojrzalby znad okularów. Musiał podpatrzeć to spojrzenie na filmach.

- Lecz zgadzam się, że nie jest to najlepsze wyjście - kontynuowała. - Możemy

polecieć.

- Dokąd?

- Do Genewy - rzuciła niezobowiązująco, jakby Genewa nie była głównym powodem i celem wyjazdu na narty.

Po szampanie przed obiadem wypili jeszcze białego burgunda do cielęciny, a potem Kate wyjęła jeszcze butelkę armaniaku dla Dextera, żeby wysączył kieliszek albo dwa, kiedy będzie kładła dzieci spać. Później rozmawiali o nartach i wakacjach, pijąc brandy. Grała cicha muzyka, na kominku płonął ogień. Grę wstępną odbyli na sofie. Energiczny seks na podłodze. Kładli się spać bardzo późno, mocno wstawieni.

Rano Dexter odsypiał armaniak. Ten trunek tak na niego działał. Kate odwiozła chłopców do szkoły, a kiedy wróciła, był jeszcze w domu - rzecz niezwykła. Pakował się i zbierał do wyjścia. Pożegnali się czule w drzwiach, które za nim zamknęła, przekręcając ciężką zasuwę cichego zamka.

Stała w korytarzu obok ozdobnego stoliczka. W rogu wciąż leżały okruchy suchego błota wepchnięte mopem pod listwę - pozostałości po miejscu, które odwiedził w poprzednim tygodniu, kiedy to miał być w Brukseli.

Trzymała klucze w ręku, nie zdjęła płaszcza. Czekwała, aż ucichnie winda, a potem poszła za nim.

Czuła się poniżona i zde gustowana, że musi uciekać się do czegoś takiego, chcąc się dowiedzieć, gdzie pracuje jej mąż. Szła za nim przez miasto, nawet specjalnie się nie kryjąc. Przez całą dziesięciominutową drogę na Boulevard Royal Dexter ani razu nie odwrócił się, żeby sprawdzić, czy jest śledzony. On też się nie krył ani nikogo nie gonił. Nie miał nic do ukrycia.

Wszedł do ogólnie dostępnego lobby ośmiopiętrowego nierzucającego się w oczy budynku z końca lat sześćdziesiątych - przestarzałego architektonicznie, dosyć ohydny, ale funkcjonalny. Na parterze w widocznych z zewnątrz korytarzach mieściły się jednoosobowe przedsiębiorstwa - pralnie, bufety z kanapkami, *tabac* i *presse*, dalej poważniejsze firmy w rodzaju apteki i włoskiej restauracji. Opalane drewnem piece do pieczenia pizzy były wszędzie w Luksemburgu i w całej Europie, podobnie jak świeża mozzarella. A pizza była na ogół dobra.

Dexter przeszedł przez szklane lobby i nacisnął guzik windy, czekał, a potem wszedł do windy z podobnym do siebie mężczyzną. Pojechali na trzecie i piąte piętro.

Kate obesła przypominającą bunkier budowlę. Wszystkie wejścia były widoczne dla strażników siedzących w recepcji w lobby. Obejrzała z zewnątrz okna - bez parapetów; wszystkie cztery fasady wychodziły na ruchliwe ulice z chodnikami pełnymi ludzi. Na parterach domów były sklepy, przecnicę dalej urząd miejski i główny dworzec autobusowy, wszędzie szwendali się urzędnicy i mundurowi z bronią, wszędzie były kamery, bo przy głównym bulwarze mieściły się duże międzynarodowe banki. Samochody bankierów wjeżdżały do podziemnych garaży, szare audi i bmw prowadzone przez ojców rodzin, ekstrawaganckie lamborghini i ferrari z kawalerami za kierownicą.

Była to ruchliwa oś interesów i administracji. Bezpieczna okolica. Znacznie bezpieczniejsza od tej, w której „pracował” Bill. Tutaj nie da się wejść do kogoś przez okno.

Tutaj będzie musiała dostać się w świetle dnia przez frontowe drzwi.

- Mamusiu! Chodź szybko! - Jake wyrósł jak spod ziemi przy drewnianym stole na placu zabaw. Dyszał przestraszony.

Mgliste chłodne dni miały na sprzątanii kuchni, robieniu zakupów i szorowaniu garnków. Kupowaniu prezentów dla nauczycielek chłopców, pomaganiu im przy malowaniu świątecznych kartek dla kolegów i uczęszczaniu na świąteczne koncerty. Na zamykających rok kawach z mamami, a czasem na lunchach. Na świątecznych zakupach.

Kate miała mnóstwo wymówek, by nie spotykać się z Julią. Z każdym mijającym dniem oddalała się od niej coraz bardziej, chroniąc siebie i bliskich przed eksplozją, która mogła majaczyć gdzieś na odległym horyzoncie. Zaprzyjaźniła się z Angielką Claire i Dunką Cristiną. Z kimkolwiek, byle nie z Julią.

- Co się stało, maleńki? - zapytała Jake'a. - Coś z Benem?

- Nie.

Odetchnęła z ulgą.

- Ale z Colinem.

Zerwała się. Wszystkie pobiegły trawiastym stokiem do pirackiego statku, gdzie grupka małych dzieci otaczała chłopca leżącego na brukowej kostce. Z przecięcia na głowie lała się krew.

- O Boże! - wykrzyknęła Claire, oglądając głowę Colina. Chłopiec był oszołomiony. Claire spojrzała na Kate. - Wolałabym nie zabierać Julesa do szpitala. A Sebastian jest oczywiście w Rzymie! - Ściągnęła z szyi kaszmirowy szal i przyłożyła go parokrotnie do głowy syna, a potem przycisnęła, usiłując zatamować krwawienie. Twarz chłopca była pokryta czerwonymi smugami. - Czy mogłabyś... - mówiła dalej z niezwykłym opanowaniem -...zająć się trochę Julesem? Obawiam się, że w *clinique pediatrique* zejdzie nam parę godzin.

- Oczywiście, Claire.

Claire zerknęła na zegarek.

- Niedługo pora kolacji. Ale Jules zje cokolwiek, prawda, mój drogi?

- Tak, mamusiu.

- Grzeczny chłopiec.

Claire uśmiechnęła się lekko do Kate. Z wdzięcznością. Wzięła młodszego z synów na ręce i ruszyła z nim do samochodu, do szpitala, by przejść przez to wszystko, czego najbardziej obawiała się Kate: sytuacji zagrożenia życia dziecka, działań niecierpiących

zwłoki, w obcym kraju, w którym nikt nie mówi dobrze po angielsku i gdzie jest sama.

Wiedziała, że jest silną kobietą. Ale rzadko kiedy przychodziło jej do głowy, że na świecie jest mnóstwo silnych kobiet, prowadzących zwyczajne życie, niosących broni i niestykających się z desperatami gdzieś na obrzeżach Trzeciego Świata, ale zajmujących się spokojnie dziećmi i wożących je, kiedy trzeba, do szpitala w obcym kraju. Z dala od babć i dziadków, i rodzeństwa, z dala od przyjaciółek ze szkoły i kolegów ze starej pracy. W miejscu, w którym na nikim nie można polegać. Oprócz siebie.

Następnego dnia Kate szła wąską wyłożoną brukiem uliczką, niosąc kolejną świąteczną torbę ze świątecznymi, ozdobionymi kokardkami zakupami. Lecz prezenty nie były na święta, tylko na urodziny czyjegoś dziecka, które wydawało przyjęcie w salce do zabawy w jakimś centrum handlowym na obrzeżach Belgii.

- O mój Boże! - Głos Julii. Stała przed Kate w towarzystwie starszego mężczyzny. - Jak się miewasz? - Pochyliła się, by ucałować Kate w oba policzki.

- Świetnie. Przepraszam, że nie oddzwoniłam, ale...

Julia machnęła ręką.

- Nieważne. Chcę ci przedstawić mojego ojca, Lestera.

- Proszę nazywać mnie Les.

- Tato, to jest Kate. Jedna z moich najbliższych przyjaciółek.

- Miło poznać - powiedział.

Mężczyzna, który kazał nazywać się Les, miał na sobie standardowy strój emerytowanego Amerykanina: spodnie khaki, koszulę do gry w golfa i wygodne buty. Do tego wełniany pulower z napisem THE HIGHLANDS na piersi i wyhaftowanym golfistą w półobrocie - prezent od dawnych kolegów z pracy na przyjęciu pożegnalnym, które odbyło się mniej więcej pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Coś takiego mógłby włożyć emerytowany stróż prawa wyższego szczebla, nie chcąc wyglądać jak emerytowany stróż prawa.

- Przyjechał pan w odwiedziny? - spytała Kate. - Skąd?

- Z domu! Owszem, postanowiłem odwiedzić w końcu to miasteczko koleżanek i kolegów Julii. Bardzo zresztą piękne, nieprawdaż?

Kate mogła tylko podziwiać zimną krew, z jaką ten człowiek nie odpowiedział na jej pytanie.

- Po Dniu Dziękczynienia rzadko kto rusza się z domu - powiedziała. - Rzadko kto odwiedza rodzinę.

Lester się uśmiechnął.

- Cóż mam rzec? Jestem niekonwencjonalny.

- Posłuchaj, Kate. - Julia położyła dłoń na jej ramieniu. - Co robicie dziś wieczorem?

Może zjedlibyśmy razem obiad?

Kate otworzyła szeroko oczy, szukając podświadomie w głowie wymówki, nim się zorientowała, że byłoby to nadzwyczaj niemądre.

- Oczywiście.

- Tatusiu!

- Czołem, Jake! Co słychać?

- Zobacz, co zrobiłem!

Jake trzymał w ręku rozłożony karton - opakowanie po płatkach - przyklejony klejem i taśmą oraz przynitowany zszywkami do przeciętych na pół plastikowych butelek. Kate specjalnie w tym celu zbierała odpady wtórne. Inny projekt wymagał zbierania tekstyliów - pojedynczych skarpet, starych dresów; sama z siebie zbierała także przepisy na przyjazne dzieciom potrawy. Obierała i ścierała jabłka na mus, robiła cielece bitki. Zaczęła traktować zabawy chłopców jako część codziennej aktywności, a nie przeszkodę w tym, czym akurat była zajęta.

- Wspaniałe! - mruknął niepewnie Dexter, przyglądając się dziwnej konstrukcji. - A co to jest?

- Robot! - Jak można tego nie dostrzec.

- Oczywiście! Bardzo fajny - powiedział. - Świetny robot. - Zwrócił się do Kate. - Ojciec Julii przyjechał w odwiedziny? I znalazłaś kogoś do dzieci?

- Opiekunka przyjdzie za kilka minut. Umówiłam się z nimi w restauracji o siódmej. Ale będzie tylko Julia i Lester. Bill coś ma. Albo nie chce przyjść.

- Okay. - Dexter zerknął na zegarek. Drżała mu dłoń. - Co robicie, chłopaki? Tata jest w domu i ma dla was chwilę przed obiadem, więc wymyślcie jakąś zabawę.

- Lego!

Dexter wydawał się zdenerwowany, drażliwy, jakby miał w sobie za dużo nieukierunkowanej energii. Jakby chciał zająć czymś ręce. Czy to możliwe, że coś bierze? Amfetaminę? To doprawdy byłoby zdumiewające.

- Okay. Do lego! Kolego! - Otworzył szafkę i wyciągnął z niej skrzynkę z narzędziami. - Szuflada w komodzie chłopców się nie domyka - rzucił tytułem wyjaśnienia, choć o nic go nie pytała. Nie zauważyła żadnej niedomykającej się szuflady. I była zdziwiona, że nagle zainteresował się domowymi naprawami. - Rozłóżcie klocki, chłopaki, a ja w tym

czasie przykręcę szufladę.

Dexter nigdy niczego nie przykręcał.

- Więc jak się tutaj znaleźliście? W Luksemburgu?

Siedzieli w narożnej łoży *brasserie* przy Place d'Armes. Na placu stały drewniane stragany świątecznego jarmarku. Obwieszane lampkami i wieńcami. Kiedy otwierały się drzwi, do środka, oprócz mroźnego powietrza, wpadał stukot młotków i warkot generatorów. Zimą w Luksemburgu w zasadzie nie zdejmowało się swetrów czy marynarek. Chłód był zaraz za progiem.

- Z powodu mojej pracy - odezwał się Dexter. - Pracuję w bankowości.

- W bankowości? Niemożliwe! W tej miejscinie nie ma żadnych banków! - Rubaszna poczciwość i nieszkodliwy sarkazm Lestera były niemal wyjęte z podręcznika dla ojców znajomych. Przebrał się. Strój golfowy zastąpił granatową marynarką, wyprasowanymi spodniami khaki i zwykłą zapinaną koszulą. Prosto z biura. Krawat zostawił w buicku. Był karykaturą siebie.

- Skąd pochodzisz, Les? - zapytała Kate.

- Och, mieszkaliśmy tu i tam, prawda, Julio? Ale teraz mieszkam pod Santa Fe. Byłaś kiedyś w tamtych stronach?

- W ogóle.

- A ty Dexter?

Pokręcił głową. Maniakalna energia trawiąca go nie tak dawno temu została spożytkowana. Na szufladę? Teraz był cichy, a nawet nieśmiały.

- Piękny kraj - oznajmił Les. - Zwyczajnie piękny.

- Ale mieszkał pan w Chicago? - Kate nie dawała za wygraną.

- Owszem, przez jakiś czas.

- Tam też nigdy nie byłam.

- Ha! Ale założę się, że jeździcie po Europie! Julia mówi mi, że wszyscy tutaj to robią.

Zgadza się?

- Chyba tak.

- Ja zresztą też. Niedługo jadę... dokąd to ja jadę...? Aha, do Amsterdamu, Kopenhagi i Sztokholmu. Macie dla mnie jakieś rady? - Les spoglądał po twarzach Kate i Dextera, ale zatrzymał się na Kate, doszedłszy widocznie do wniosku, że to ona jest rzeczniczką rodziny.

- To zależy, czego pan szuka - odpowiedziała.

- Hoteli, restauracji, widoków. Co tylko przyjdzie wam do głowy. Nigdy nie byłem w tych stronach. I pewnie już nie będę. Postanowiłem obejrzeć Europę przed śmiercią.

Kate się uśmiechnęła.

- Z tych trzech miast znamy tylko Kopenhagę.

Podano jedzenie, duże talerze z brązowo-beżowymi potrawami - golonkami, baraniami udźcami. Kate zamówiła do tego *spaetzle* z masłem oraz ziemniaki z masłem. Jedynym zielonym dodatkiem na stole była siekana pietruszka.

- Gdzie się zatrzymaliście? - zapytał Les. - Dobry hotel?

- Niezły.

- Ile gwiazdek?

- Cztery... może trzy...

- Nie, to nie dla mnie. Obawiam się, że na starość zostały mi tylko pięciogwiazdkowe schroniska.

- W takim razie nie możemy ci pomóc, Les. - Kate zerknęła na Julię, która również milczała i wydawała się dziwnie zawstydzona.

- A restauracje? - pytał dalej Les. - Słyszałem, że dobrze tam jedzą. To prawda?

Uśmiechnęła się.

- Chyba znów cię rozczaruję, Les. Mamy dwójkę dzieci i musimy oszczędzać, więc nie stołujemy się w najdroższych restauracjach.

- Oszczędzać? Myślałem, że wszyscy luksemburscy bankierzy są krezusami! - Spojrzał na Dextera.

- Pewnie są - odpowiedział Dexter. - Ale ja nie jestem bankierem. Pracuję w bankowości, ale zajmuję się czymś innym. Czymś takim jak I.T.

- I.T.? - Les był zdumiony. - A niech mnie...

- Dziwi cię to?

- Nie, nie. W ogóle. Tylko nie spodziewałem się, że luksemburskie banki zatrudniają Amerykanów do czegoś takiego jak I.T.

- Dlaczego? - zapytał Dexter.

- Bo słyszałem, że w czymś takim jak I.T. wyspecjalizowała się reszta świata. Nie?

Dexter spuścił wzrok na jedzenie.

- To, co robię, ma, mówiąc szczerze, więcej wspólnego z bezpieczeństwem. Jestem konsultantem do spraw zabezpieczeń. Pomagam bankom dbać o systemy bezpieczeństwa.

- Jak to się robi?

- Podstawową sprawą jest wcielenie się w potencjalnego hakera. Trzeba przewidzieć,

co chce zrobić i jak chce to zrobić. Sam przeprowadzam ataki na systemy bankowe i wyszukuję słabe punkty, które mógłby wykorzystać haker. Zadaję sobie pytanie, czego szuka napastnik i jak chce to znaleźć.

- Mówisz o słabych punktach sieci komputerowej?

- Tak. Ale również o ludzkich słabościach.

- Co to znaczy?

- To oznacza słabości, które powodują, że ludzie stają się nieostrożni. I zaczynają ufać takim, którym ufać nie powinni.

- Mówisz o manipulowaniu ludźmi.

- Owszem. - Dexter spoglądał prosto w oczy Lestera. - Tak mi się wydaje.

Kate najbardziej chciała rozmawiać z Dexterem, kiedy kończyli się kochać. Teraz mogłaby mu powiedzieć, że Bill i Julia są agentami FBI. Że wie, że Dexter okłamuje ją w jakiejś sprawie i że żąda wyjaśnień.

Ale podczas całej kariery Kate w CIA rozmowy do poduszki nigdy nie odgrywały żadnej roli. Dopiero teraz zrozumiała, jaką bronią dysponowała: mogła uprawiać seks z różnymi ludźmi, by wydobyć z nich informacje. Ciekawe, czy to coś by zmieniło?

Wpatrywała się w sufit sypialni - ponownie! - nie zebrawszy się na rozmowę. A mogłaby ją zacząć od stwierdzenia: „Lester nie jest ojcem Julii”, ale nawet takie otwarcie niewiele by jej pomogło.

Za dwa dni Dexter leci do Londynu. Poczeka.

- Nie musisz tego robić - powiedział Dexter, zbierając rzeczy. - Mogę wziąć taksówkę.
- Zamknął podręczną torbę, zasunął szybko i gniewnie suwak. - Tak bardzo ci się podoba na naszym małym schludnym lotnisku? Czy raczej nie możesz się doczekać, kiedy się mnie pozbędziesz?

- Liczę sekundy - rzuciła, celowo nie patrząc mu w oczy.

Podniósł klucze ze stoliczka przy drzwiach i wrzucił je do torby z komputerem. Nosił klucze na srebrnym breloczku, który dostał od agentki sprzedaży nieruchomości, kiedy podpisali umowę na dom w Waszyngtonie. Kazał wygrawerować na nim swoje inicjały. Kate też dostała taki breloczek, ale już dawno zamknęła go w kasetce z biżuterią. Dwa identyczne zestawy kluczy to proszenie się o kłopoty.

Teraz na breloczku Dextera wisiały klucze do mieszkania w Luksemburgu oraz dwa inne klucze, które - jak zakładała - otwierały jego biuro. Dexter miał jeszcze jeden mały kluczyk do roweru, rzadko, jeśli kiedykolwiek, używany. Do tego pendrive w panczernej obudowie, odporny na włamania i informujący o próbach włamań, zaopatrzony w szyfr, a nawet system autodestrukcji. Czegoś takiego nie kupi się w Eurobureau; był to poważny mały gadżet.

- Lecisz do Londynu? - upewniła się, zamykając za sobą drzwi.

- W rzeczy samej!

W podziemnym garażu Dexter położył torbę z komputerem i mocną plastikową walizkę Samsonite z tyłu kombi na świeżo wypranej czarnej wykładzinie - wypranej profesjonalnie przed kilkoma tygodniami w myjni na parkingu *centre commercial* w Kirchberg, gdzie należało się wcześniej umawiać. Kate robiła wtedy zakupy na górze: wiktuały, DVD i świąteczne ozdoby, oraz dwanaście par nowych majtek dla chłopców, którzy rośli tak szybko, że ubrania wystarczały im zaledwie na kilka miesięcy, a ich stara bielizna stała się nieco zbyt obscenicznie i wstydliwie przyciasna.

Kate otworzyła drzwi od strony kierowcy, ale nie wsiadła, udała, że się zastanawia, czy zdjąć płaszcz. Postanowiła, że go zdejmie i przeszła na tył auta. Zerknęła na męża. Denerwowała się, martwiła o lusterka, choć była pewna, że ich ustawienie - zarówno lusterka wsteczne, jak i lusterek bocznych - nie daje pasażerowi przewagi. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Dexter - o ile nie odwróci głowy - niczego nie zobaczy w lusterku.

Górne lampy w podziemnym garażu wyłączyły się automatycznie. Minął

przewidziany na wsiadanie do auta czas. Teraz jedyne oświetlenie pochodziło z wnętrza samochodu ze słabych żarówek rozrzuconych strategicznie w miejscach, o które można było uderzyć głową lub się potknąć.

Kate wyciągnęła rękę ponad bagażem Dextera i starannie ułożyła płaszcz - grubą fałdę granatowej wełny, jedwabnej podszewki i mosiężnych guzików. Zakasłała, żeby zamaskować odgłos odsuwanej zamka nylonowej torby na komputer. Chwyciła ostrożnie klucze i zamknęła w dłoni, żeby nie dzwoniły. Znow zakasłała, żeby zamknąć torbę, a potem wrzuciła klucze do kieszeni, zatrzaszkując jednocześnie bagażnik. Odwróciła się, by...

Dexter stał obok niej. Wstrzymała oddech. Zamarła. Złapał ją na gorącym uczynku.

Patrzył na nią, a ona na niego przez kilka długich sekund. Przez całą mroczną wieczność.

- Co ty robisz?

Nie odpowiedziała, nie mogła.

- Kate?

Nie widziała w ciemności jego twarzy.

- Kat?

- Co?

- Czy mogłabyś się odsunąć?

Cofnęła się o krok, a Dexter otworzył bagażnik. Chwycił torbę na komputer. Zerknął na Kate. W bagażniku zapaliło się światło i widziała wyraz jego twarzy: zmieszanie, troskę. Była jak sparaliżowana. Co się teraz stanie? Z ich całym życiem?

Dexter otworzył zamek. Włożył rękę do kieszeni torby, szukał. Zerknął na nią pytająco, a potem szukał dalej, marszcząc brwi.

Kate nie mogła się ruszyć.

W końcu wyjął dłoń z torby, patrząc na to, co w niej trzymał: kawałek plastiku owinięty przewodem.

Nie zmieniła pozycji. Nie mogła.

- Myślałem, że zapomniałem zabrać ładowarkę. - Podniósł ją wysoko, żeby się jej przyjrzała: dowód, że niczego nie zapomniał, dla niej i dla niego. Poczuli ulgę z zupełnie różnych przyczyn.

Kate przeszła chwiejnym krokiem na przód auta, opadła na siedzenie kierowcy. Przekręciła zapłon i włączyła przednie światła, nacisnęła guzik otwierający drzwi garażu.

Wrzuciła bieg, gdy Dexter zapinał pasy.

Kate przez całe życie okłamywała różnych ludzi, robiła to nad wyraz często. Nad wyraz często niewiele brakowało, żeby ją na tym przyłapano. Ale okłamywanie męża jest czymś zupełnie innym, tym bardziej, jeśli nie kłamie się tylko na swój temat, jeśli kłamstwo dotyczy bezpośrednio jego. Nie da się traktować tego jako gry. Nie da się udawać, że to nie dzieje się naprawdę.

- Nic ci nie jest? - zapytał Dexter.

Wiedziała, że głos ją zdradzi. Więc tylko pokręciła głową.

Jazda na lotnisko zajęła dziesięć minut. Dexter próbował o czymś z nią rozmawiać, ale odpowiadała monosylabami. Poddał się i pozwolił jej milczeć.

Objechała małe rondo i znalazła się przed sprawnie działającym małym lotniskiem. Przejście z parkingu do odprawy zajmowało minutę. Przy odprawach niemal nigdy nie było kolejek, podobnie zresztą jak przed bramkami prowadzącymi do odlotów. Odległości mierzyło się tutaj krokami, a nie kilometrami, jak na lotnisku Dullesa czy we Frankfurcie. Wyprawa spod drzwi mieszkania do dowolnej bramki w sali odlotów zajmowała nie więcej niż dwadzieścia minut.

- Dzięki - mruknął Dexter. Cmoknął ją z uśmiechem i wysiadł z samochodu. Na całym parkingu czynność tę powtarzali inni mężczyźni wysiadający z prowadzonych przez żony niemieckich samochodów. Wyjmowali bagaże z bagażników, macali się po kieszeniach w poszukiwaniu paszportów, wypowiadali magiczne formuły zupełnie tak jak Dexter:

- Do zobaczenia za kilka dni.

Myśleli już o czymś zupełnie innym.

Kiedy wychodziła z domu, zadzwoniła komórka. Kolejny telefon od Julii Maclean. Nacisnęła guzik „Ignoruj połączenie”. Po raz kolejny.

Wyszła z bramy wprost na zimną grudniową mżawkę. Było o jeden stopień za ciepło, żeby mżawka zamieniła się w śnieg. Ruszyła tymi samymi ulicami, którymi nie tak dawno temu śledziła męża. Tymi samymi ulicami chodziła na francuski, do dobrego rzeźnika i na pocztę. Na nich rozpoczynała codzienne peregrynacje w setkach misji dobrej żony i gospodyni domu. Ale dziś misja była inna.

Przemaszerowała przez lobby, nie patrząc na strażnika, wcisnęła guzik windy i pojechała na trzecie piętro z parą włoskich bankierów jadących na piąte. Nie miała pojęcia, za którymi drzwiami pracuje Dexter, nie wsiadła przecież za nim do windy, kiedy go śledziła,

ale spodziewała się, że będą to drzwi bez nazwy firmy i bez tabliczki z nazwiskiem. Szybko znalazła takie drzwi w końcu oświetlonego jarzeniówkami korytarza. Pierwszy klucz wsunięty do zamka otworzył drzwi - to było łatwe! Pociągnęła je ku sobie.

Znalazła się w ciasnym, słabo oświetlonym przejściu, w którym zmieściłoby się co najwyżej dwoje ludzi, bo przejście to przewidziane było tylko dla jednej osoby. Zamykały je kolejne drzwi.

Naprzeciw Kate na ścianie obok framugi wisiała mała numeryczna klawiatura. Żarzyła się czerwono.

Ile kombinacji wolno jej wypróbować? Po ilu próbach włączy się alarm? Po trzech? Dwóch? Czy wolno jej się pomylić chociaż raz, zanim system się wyłączy i wyśle SMS albo e-mail na komórkę Dextera?

Przez głowę przebiegały jej kombinacje cyfr albo pomysły na nie: data ślubu, urodziny dzieci, jego własne urodziny, jej, jego matki lub ojca, numer telefonu do domu rodziców zapamiętany z dzieciństwa, odwrotność każdej z tych kombinacji, szyfr podstawiania...

Jedyny sposób na złamanie takiego szyfru? Trzeba przyjąć, że Dexter jest kretynem.

Zdążyła wrócić do domu, kiedy zadzwoniła komórka. Nieznany numer, długi ciąg cyfr, zapewne z innego kraju.

- *Bonjour*. - Nie miała pojęcia, dlaczego wita się po francusku.

- To ja.

- O, cześć.

- Zapomniałem kluczy - oznajmił Dexter. - Albo co gorsza, zgubiłem je.

- Och...

- Są mi potrzebne. Potrzebuję czegoś z pendrive'a przy kluczach.

Spojrzała na klucze leżące w ceramicznej misie na stoliczku przy drzwiach, dokładnie tam, gdzie mógł je zostawić, gdyby je zostawił - celowo lub przypadkowo.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytała dosyć obojętnym, pozbawionym emocji i niezaangażowanym tonem. Przecież nie miała pojęcia, że Dexter przeżywa jakiś dramat.

- Jesteś w domu? - zapytał.

- Tak.

- Możesz ich poszukać?

- Gdzie?

- Tam gdzie trzymam.

- Okay. - Przeszła przez korytarz, stanęła nad stolikiem i zajrzała do misy, w której leżały klucze. - Nie ma ich tutaj.

- Możesz sprawdzić w samochodzie? Może wypadły, kiedy szukałem ładowarki...

- Jasne.

Zjechała do podziemnego garażu, otworzyła bagażnik, zajrzała do środka.

- Są!

- Chwała Bogu! - W telefonie ginął zasięg, jak zawsze w garażu.

Nie odpowiedziała, wróciła do windy.

- Posłuchaj... - zaczął, ale urwał.

- Tak?

Zastanawia się, pomyślała. Niech się zastanawia.

- Wyświadczysz mi przysługę?

- Jasne.

- Weź klucze i idź do komputera.

- Chwila... - Przeszła do pokoju gościnnego. Usiadła przed laptopem. - Już.

- Komputer jest włączony? Podłącz do niego pendrive'a.

Wsunęła urządzenie w odpowiedni otwór.

- Już.

- Okay. Kliknij na niego.

Otworło się okno dialogowe.

- Nazwa użytkownika - ciągnął Dexter - AEMSPM217. Hasło MEMCWP718.

Co za...! Zapisała obie sekwencje, zanim wystukała je na klawiaturze. Nie zapamiętałaby ich od razu, były zbyt skomplikowane. Zastanawiała się szybko, skąd wziął akurat takie kombinacje, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Ani litery, ani cyfry nic nie oznaczały, nie wyglądały znajomo.

- Co to za kod?

- Wygenerowany losowo. Zapamiętałem go.

- Jak to?

- To jedyny sposób, żeby nikt nie mógł go złamać. A teraz kliknij na górną ikonę.

Niebieskie „Ja”.

Włączyła się jakaś aplikacja, na ekranie pojawiło się nieznane logo, a potem małe okno z kolejnym ciągiem liter i cyfr. Zupełnie bezsensownym.

- Przeczytaj, co tam masz.

- To też wygenerowane losowo?

Nie odpowiedział.

- Do czego ci to potrzebne?

- Kat. Proszę...

- Jasna cholera, Dexter! Nic mi nie mówisz!

Westchnął.

- Ten program generuje dynamiczne hasła. W ten sposób loguję się do swojego komputera. Mam nowe hasło każdego dnia.

- To jakiś absurd!

- Nie, to moja praca, Kat. Czy moja praca jest absurdalna?

- Nie... nie, przepraszam. Nie chciałam cię urazić.

- Okay. Przeczytaj, proszę, to hasło.

- CMB011999. - Zapisywała je, czytając. Dexter powtarzał kod.

- Dlaczego nie trzymasz tego programu w laptopie?

Znów westchnął, zanim odpowiedział:

- Trzeba dzielić i chronić składniki wielostopniowego systemu zabezpieczeń. Bez względu na to, jak odporny jest ten system, do każdego komputera, mojego również, można się włamać. Każdy komputer może zostać skradziony. Albo zarekwirowany przez wymiar sprawiedliwości. Może eksplodować albo implodować. Można go połączyć naftą i podpalić albo rozwalić w drobny mak pogrzebaczem z kominka. Można go wreszcie wymazać słabym impulsem elektromagnetycznym.

- He?

- Właśnie z tej przyczyny zapamiętuję generowane losowo kody i korzystam z dynamicznych haseł generowanych przez urządzenie zewnętrzne. Czy zaspokoilem twoją ciekawość?

- Tak.

- Świetnie. To wracam do pracy.

Rozłączyli się. Kate wpatrywała się w okno dialogowe i nagle zerwała się z krzesła.

Na dworze bruk był śliski od gęstej chłodnej mgły. Przeszła przez spokojną okolicę, w której mieszkali, przez ponury Place du Théâtre, minęła betonowe zwieńczenie publicznego podziemnego parkingu obok małego teatru i znalazła się na wąskim chodniku za drzewami przy rue Beaumont. Drogie ubranka dla dzieci, droga czekolada, drogie antyki, drogie kobiety

wchodzące i wychodzące w porze lunchu z drogich japońskich i włoskich restauracji. Potem ruchliwe skrzyżowanie z avenue de la Porte Neuve, potem znów na pozbawiony uroku Boulevard Royal. Była zdenerwowana.

Włożyła rękawiczki.

Weszła do betonowego bunkra biurowca. Znów w pustej windzie, długi szary korytarz, a potem wąskie ciemne przejście. Jej palce zawisły na chwilę nad żarzącą się klawiaturą. Czowała elektryczność emanującą z klawiszy, przeskakującą centymetr do opuszków jej palców, krążącą w jej ciele. Dreszcz oczekiwania.

Kod nie mógł być wygenerowanym dzisiaj hasłem dostępu. Dexter nie rozkładał w przejściu laptopa i nie podłączał do niego pendrive'a, żeby się dostać do biura. Kod musiał być czymś, powinien być czymś, co pamiętał. Pozostawał taki sam każdego dnia. Był hasłem, które jej wyjawiał, niechący. Wmawiała to sobie setki razy podczas krótkiego spaceru do biura Dextera. To musi być to samo hasło. To będzie hasło.

Czy może wykluczyć, że podanie złej kombinacji zatrzaśnie wejściowe drzwi i zamknie ją w przejściu do czasu przyjazdu policji? Czy może wykluczać, że nie zostanie zabita prądem?

Nie musiała spoglądać na skrawek papieru, który trzymała w lewej dłoni. Wpisała M, potem E, a potem bardzo szybko MCWP i 718.

Nacisnęła guzik z zieloną strzałką i czekała...

Code bon.

Kliknęła zatrzask zamka. Wpuściła powietrze i pchnęła drzwi.

Kolejne prywatne biuro innego mężczyzny, prywatny gabinet, sanktuarium przed prawdziwymi żonami i żonami udawanymi. Papiery. Zdjęcia w ramkach, Kate i chłopcy razem i osobno. Nawet zdjęcie ślubne, czarno-białe, jakieś nieznanne ujęcie, nawet nie wiedziała, że je mieli, nie mówiąc już o tym, że zostało oprawione w ramki i przetransportowane przez ocean, by zawisnąć na tajemniczej ścianie. Poczwała ulgę, widząc je - było dowodem czegoś dobrego.

Na biurku stacjonarny komputer, telefon, skomplikowany kalkulator, drukarka. Wszystkie normalne rzeczy, długopisy i zszywacz, segregatory i żółte karteczki, i spinacze.

Na półkach kartonowe pudełka na akta, z przodu duże wypisane ręcznie oznaczenia: TECH, BIOMED, MFTG, NIERUCH. DERYW. Stosy gazet: „The Financial Times” i „Institutional Investor”.

Nie rozumiała, co to jest. Inaczej, rozumiała, co to jest, ale nie rozumiała, dlaczego jest tutaj.

Usiadła na obrotowym fotelu, wysokim i ergonomicznym, pokrytym oddychającą tkaniną, z regulowaną wysokością. Spojrzała na ekran komputera, klawiaturę, mysz i głośniki, słuchawki i zewnętrzny napęd, dziwny panel dotykowy.

Nacisnęła przycisk zasilania i słuchała szumu maszyny, przyglądała się ożywającemu ekranowi. Kiedy pojawiło się okno dialogowe, wpisała nazwę użytkownika i hasło, wstrzymując oddech, zastanawiając się, czy laptop i komputer stacjonarny mają ten sam system zabezpieczeń i znów wmawiając sobie, że tak właśnie jest.

Miały.

Ekran rozjaśnił się, napęd zaszumiał intensywniej i pojawiło się kolejne okno dialogowe z czerwonym wykrzyknikiem i poleceniem: OCZEKIWANIE NA ODCISK KCIUKA.

Kate spojrzała na leżący na biurku dotykowy panel i zrozumiała. Znów przegrała.

Wyłączyła komputer.

Stanęła pod półkami i ściągnęła pudła z aktami, wyjmując ich zawartość, przeglądając grube arkusze profesjonalnie wydrukowanych raportów zysków, prospektów emisyjnych, broszur dla inwestorów, protokołów z zebrań udziałowców, dziesiątki lśniących kartek i wielokolorowych wykresów kołowych, historii notowań, osi x i y , wielkich chełpliwych liczb drukowanych w prawym dolnym rogu i wyrażających setki, a nawet tysiące milionów.

Do tego listowe arkusze kalkulacyjne i grafy, opisane i złożone, z zagiętymi rogami i poprawkami. Liczby wzięte w kółko lub zaznaczone strzałkami. Notatki na marginesach.

W tym gabinecie? To nie było biuro specja od systemów bezpieczeństwa. To było biuro inwestora bankowego. Szefa funduszu inwestycyjnego albo doradcy finansowego. Te papiery należały do kogoś, kto robi coś innego niż jej mąż. W tym gabinecie pracował ktoś, kto nie był jej mężem.

Kate rozejrzała się raz jeszcze po pokoju, przebiegła wzrokiem po wiszących równo fotografiach, wyjrzała przez okno wychodzące na zakorkowaną ulicę, biurowiec po drugiej stronie, równie ohydny jak ten, choć z innej epoki i w innym stylu. A potem ujrzała swoje odbicie w szybie, a odbicie to odwróciło jej uwagę od tego, co było za oknem, przesunęła spojrzenie na odbity za jej plecami pokój, gabinet, którego nie widziała naprawdę, przenicowany świat, rogi po przeciwnych stronach, a w jednym z nich, w jednym z rogów było coś, wysoko pod sufitem, gdzie stykały się z nim dwie ściany, odwróciła się spanikowana, przerażona, odwróciła się do złego rogu, a potem znalazła właściwy, a w nim to coś, ku czemu ruszyła niepewnie, stawiając jeden krok, drugi, by mieć pewność - absolutną pewność - że to, na co patrzy i co wisi wysoko w rogu, to coś, to urządzenie, patrzy również

na nią z za szybki wielkości monety okolonej plastikiem.

Kamera.

Czterdzieści minut później siedziała w samochodzie, czekając, aż wybije trzecia. Znowu. Mżawka zamieniła się w niedający się zignorować marznący deszcz.

Przyglądała się innym matkom biegnącym do szkoły z parasolkami w dłoniach, otulającym się ciasniej płaszczami. Woda spływała z nylonu, skóry i gumowanego płótna. Niektóre z nich pchały wózki z niemowlakami i małymi dziećmi w tym marznącym potopie. Okropne.

Z powodu deszczu wszystkie były punktualniejsze, zjawiały się o wyznaczonej godzinie. Przy ładniejszej pogodzie zwykle pojawiały się wcześniej, pierwsze przybywały już o wpół do trzeciej. Przy ładniejszej pogodzie łatwiej było zauważyć, że tworzą stado.

Ta kamera...

Nie była w stanie myśleć o czymś innym dłużej niż minutę. Po upływie minuty przypominała sobie o kamerze. Kiedy Dexter sprawdza nagrania? Czy zapis wideo trafia na serwer monitorowany przez kogoś - kogo? - w sposób regularny? Czy w ogóle jest nagrywany? Czy Dexter może sprawdzić zapis z dowolnego miejsca, na przykład z Londynu? Czy będzie musiał wrócić do biura, do gabinetu, co może zająć mu jeszcze dwa tygodnie, bo wróci do pracy po Nowym Roku...

Czy dokumenty finansowe były jego własnością? A może własnością klienta, kimkolwiek jest? Może kamera była również pomysłem i własnością klienta? Może cała bezsensowna zawartość biura nie należała do Dextera?

Kate wysiadła z auta, nie znajdując odpowiedzi na mnożące się pytania. Szła w deszczu, przyłączyła się do stada, weszła na teren szkoły w chwili, gdy pierwsze dzieci pojawiły się za szklano-stalowymi jak na parkingu drzwiami, przechodziła przez kałuże, wolna, uwolniona od okropieństw pogodowych. Uwolniona od wszystkiego.

Kiedy ją złapią? I kto?

Wracała raz po raz w myślach do frazy „przywilej wątpliwości”. Powinna przyznać go Dexterowi, a on powinien przyznać go jej. Ten przywilej powinien się znajdować w przysiędze małżeńskiej. Jest ważniejszy od bogactwa czy biedy, zdrowia czy choroby, opuszczania i nieopuszczania aż po grób. Przywilej wątpliwości.

Jak się wytłumaczy? Jaki mu poda powód, dla którego śledziła go do biura, ukradła mu klucze, włamała się i przeglądała papiery?

Może uda się podtrzymać farsę z kluczami znalezionymi w bagażniku? Może zdoła wmówić mu, że kiedy podał jej przez telefon hasła, nie była w stanie się powstrzymać?

Pozostaje również obrona przez atak: winę za swoje natrętne wścibstwo może zrzucić na jego przesadną dyskrecję. „Gdybyś mówił mi cokolwiek”, mogłaby zacząć, „obojętne co, może nie czułabym potrzeby wtrącania się w nie swoje sprawy. To twoja wina”, mogłaby go oskarżyć, „to ty do tego doprowadziłeś!”.

Ale jak - jak! - wyjaśni, skąd wiedziała, gdzie mieści się jego biuro?

A odwracając kota ogonem, co Dexter ma na swoją obronę?

Mógł zajmować się tym, czym twierdził, że się zajmuje: był konsultantem do spraw bezpieczeństwa w banku i pracował wyłącznie drogą elektroniczną. Cała jego praca i wszystkie dowody na nią znajdowały się w komputerze, do którego się nie dostała. Na papierze nie było nic, co ma jakikolwiek związek z pracą. Dokumenty finansowe? To jego rozrywka, hobby inwestora amatora.

Albo? Albo co?

Dexter bez wątpienia przelewał regularnie pieniądze na ich konto bankowe, robił to każdego miesiąca i nie wypłacał nic ponad normę. Ktoś mu płacił za to, co robi? Ale kto?

Trudno w tej sytuacji uznać za przypadek, że na scenie pojawiło się dwoje agentów FBI współpracujących z Interpolem, Bill i Julia. Wszystko wskazuje na to, że prowadzą śledztwo albo w jej sprawie, albo w sprawie Dextera. Dlaczego?

Kate bardzo, bardzo długo żyła w przekonaniu, że nikt nie zna prawdy o niej, nikt nie wie, kim jest. Teraz wszystko się odwróciło, a otaczający ją ludzie znaleźli się po drugiej stronie - nieznaney, niepoznawalnej. Wiedziała tylko, że musi przemyśleć na nowo wszystko to, w co chciała wierzyć na temat męża.

Pochyliła się nad chłopcami, zapinając im pasy, twardy zimny metal sprzączek chłodził jej skórę, ostre krawędzie wrzynały się w palce.

Dexter, rzecz jasna, może być całkiem niewinny. Wygląd jego miejsca pracy da się wytłumaczyć tak, jak go sobie tłumaczyła, albo jakoś inaczej, na co jeszcze nie wpadła. To ona okaże się winną. To ona była celem Interpolu. Jej zbrodnią był Torres.

Usiadła za kierownicą.

Nie potrafiła tylko dostrzec związku między tamtą starą sprawą a prowadzonym obecnie śledztwem. Dowody przeciwko niej miały już pięć lat albo w ogóle ich nie było. Nic, co działo się tutaj, w Luksemburgu, nie miało nawet najluźniejszego związku z tym, co

wydarzyło się wtedy w Nowym Jorku, o czym najusilniej starała się zapomnieć. Wskutek czego zrozumiała, że nie może już być oficerem operacyjnym. Co uświadomiło jej, że nie jest już wystarczająco silna i racjonalna, żeby zachować obiektywizm. Oddzielić rodzicielskie troski od obowiązków zawodowych. Nie mogła już sobie ufać, nie dałaby już głowy, że zdoła się zachować odpowiednio w dowolnej sytuacji. A skoro nie mogła ufać sobie, nie zasługiwała na zaufanie. Musiała przejść w stan spoczynku. Przeszła.

Tylko że to nie zmieniło tego, co zrobiła. Przeszłości, której nigdy nie prześcignie.

Ambasador stał z tyłu sali recepcyjnej obok okrągłego stołu z wielkim wazonem najprzeróżniejszych ciętych roślin, gałęzi, gałązek, liści, kwiecica we wszystkich kolorach, kształtach i wielkościach. Był to całkiem dosłownie anarchiczny bukiet. Jeśli to w ogóle był bukiet.

- Witam państwa - powiedział. - Joseph Williams. - Wyciągnął rękę do Dextera. - A to moja żona, Lorraine. Tak się cieszę, że przyjęli państwo zaproszenie na nasze doroczne bożonarodzeniowe przyjęcie.

Wymieniali uściski rąk, dwie pary po dwie ręce, krzyżujące się niezgrabnie przy niezręcznych uśmiechach.

- Oczywiście... - ambasadorowa spojrzała na Kate -...my się znamy! - Puściła do niej oko, jakby miały jakiś wspólny sekret, wspólną przeszłość. Nic z tego - ta kobieta należała zwyczajnie do tych, które puszczają oko.

- Oczywiście - odpowiedziała Kate, przypominając sobie jak przez mgłę jakąś poranną kawę, pewnie w szkole. Było ich już tyle... Kawy, wszędzie kawy, przez cały czas.

- Zatem... Dexter? - ambasador nie był pewien imienia. - Jesteście tu nowi?

- Od czterech miesięcy.

- No tak! W Luksemburgu to wieczność! Prawda? - Zatrząsł się ze śmiechu z własnego dowcipu, który w zasadzie nie był dowcipem i nie był nawet śmieszny. - Lorraine i ja jesteśmy tu już dwa lata, choć mam wrażenie, że upłynęło dwadzieścia, prawda, moja droga? - Ambasador nie czekał na odpowiedź, nie liczył na nią. Położył dłoń na ramieniu Dextera, z troską. - Zadomowiliście się?

Dexter skinął głową wyraźnie zmęczony. Przed godziną przyleciał z Londynu. Nie był jeszcze w biurze, które odwiedziła Kate, w którym dała się przyłapać oku kamery. Nie wróci tam przez najbliższe półtora tygodnia. Jutro rano wylatują do Genewy.

- Świetnie, świetnie - kontynuował ambasador. - No cóż, bardzo się cieszymy, że mogliście dziś do nas przyjść. Mamy tak niewiele okazji, by spotkać się z całą tutejszą społecznością amerykańską. Poczęstujcie się, proszę, czymś do picia. *Crémant* leje się strumieniami! - Znów się roześmiał z kolejnego nieśmiesznego komentarza. Był czerwony na twarzy, miał załzawione oczy. Mógł być pijany albo był idiotą. Zapewne i to, i to.

Kate i Dexter pożegnali się chwilowo z ambasadorostwem, ustępując miejsca innej parze, która wpuściła do środka mroźne powietrze. Gromki głos ambasadora i jego

wymuszona jowialność ścigały ich aż do salonu zastawionego wymyślnymi meblami i drogocennymi drobiazgami, mosiężnymi statuetkami i plakietkami, rżniętym szkłem i intarsjowanym mahoniem, piramidą poduch na wyściełanej pasiastym jedwabiem sofie.

- Witajcie... - Z głębi salonu nadchodziła Amber w towarzystwie innej kobiety, która - o ile Kate dobrze pamiętała - pochodziła z jakiegoś zupełnie nieprawdopodobnego miejsca w Stanach. Z Oklahomy? Opowiadała bez przerwy o kościele. I opisywała wszystko jako „supercośtam”. Była superpodekscytowana, kupiwszy tę superelegancką bluzkę w tym supermodnym butiku.

- *Hello!* - zawołała teraz ta kobieta, chlapiąc z kieliszka winem, ponieważ się potknęła. - Ups!

- Chryste... - szepnął Dexter do ucha Kate. - Od kiedy trwa ta impreza? Od wczoraj?

- Mrrnda - przedstawiła się pani z Oklahomy. - Miło-pznać.

- Miranda? - zapytał Dexter.

-...psze?

- Miło mi cię poznać, Mirando. Jak tam *crémant*?

- Sper-smczny.

Kate przyglądała się w salonie morzu nieznanym w większości twarzy. Przyjęcie było zdominowane przez potężną grupę krążącą wokół salonu i przedstawiającą się jako Amerykanie, grupę ekskluzywistyczną, na co wskazywały amerykańskie flagi wpięte w klapy i przypięte do sukien. Zachowującą się tak, jakby została zesłana do Europy wbrew własnej woli, czemu stawia wciąż mężny opór. Bojownicy o wolność.

Kate przed przyjazdem postanowiła zaprzyjaźnić się z przedstawicielami innych nacji, z przedstawicielami reszty świata, których można spotkać w Europie. Tylko napatoczyła się Julia. Która do tej pory krąży gdzieś po obrzeżach kręgu znajomych. Jakby miała misję do spełnienia.

Nadszedł kelner ze srebrną paterą, na której leżały zwinięte plasterki szynki. Wszyscy kręcili głowami, odmawiając jedzenia wędzonego mięsa.

Zobaczyła Julię w sąsiednim pokoju. Stała pod ścianą, oglądając pamiątkowe fotografie. Kate szukała wzrokiem Billa, to unosząc, to opuszczając oczy na wiele dziesiątków głów otaczających bufet i bar. Stał w odległym rogu obok ładnej kobiety, która prawdopodobnie była na niego wściekła i udzielała mu reprimendy przyciszonym głosem. Wyglądał na lekko skruszonego, udawał, że jest skruszony.

Jane - tak miała na imię ta ładna kobieta. Zwykła Jane, wcale nie taka zwykła w ślicznej zielonej sukni, seksownej, niezakrywającej ramion, z głębokim dekoltem. Jane była

kimś ważnym w Klubie Amerykanek, a jej mąż był drugim po Bogu - albo kimś w tym rodzaju - w ambasadzie. Amerykańska para alfa.

Nagle ją oświeciło! Jane to kobieta, do której dodzwoniła się z Monachium, sprawdzając numer, który znalazła w notesie Billa. Była kiedyś w domu Jane na porannej kawie. To tam poznała ambasadorową.

Ruszyła do sąsiedniego pokoju, do Julii. Ich spotkanie było nieuniknione, więc wołała przejąć inicjatywę i kontrolę.

Julia wyczuła, że się zbliża, albo ujrzała jej odbicie w szybcie chroniącej fotografię. Odwróciła się powoli, choć Kate znajdowała się jeszcze w odległości kilku kroków. Ucałowały się w policzki, prawy i lewy. Kate wyczuła dżin. Trudno byłoby go nie wyczuć.

- Wesołych świąt! - powiedziała Julia.

- Wesołych świąt!

- Gdzie się podziewałaś? Dawno cię nie widziałam. - Julia zostawiła wiadomość w poczcie głosowej, na którą Kate nie odpowiedziała. Nie była w stanie wymyślić sposobu na niezobowiązującą interakcję z Julią po tym, czego się dowiedziała.

- Och, wiesz, jak to jest... Świąta... - Nie rozwijała dalej tego wątku, a Julia nie domagała się wyjaśnień. Miały świadomość, że funkcjonują na różnych poziomach prawdopodobności i że odpowiedź, jakiej udzieliła Kate, nie jest prawdziwa. Stało się coś, co spowodowało, że jedna zaczęła unikać drugiej, nie tłumacząc dlaczego. Stało się coś, co każda ze stron mogłaby zdefiniować jako „nieuczciwość”.

- Cieszę się, że poznałam twojego ojca.

Julia się uśmiechnęła.

- Dzięki. Trochę mnie zaskoczył.

- Aha.

- A jak wasz wyjazd na południe Francji? - zapytała Julia. - To będzie wspaniała wyprawa!

- W zasadzie... - zaczęła Kate -...zmieniliśmy plany.

- Naprawdę? - W tonie Julii i w wymuszonej ciekawości, z jaką zadawała pytania, było coś takiego, co kazało Kate przypuszczać, że przyjaciółka doskonale o tym wie.

- Postanowiliśmy pojechać na narty.

- Na narty! Żartujesz! My też jedziemy na narty!

Kiedy widziały się po raz ostatni, Bill i Julia wyjeżdżali na święta do Stanów. Wracali do domu do Chicago.

- Dokąd się wybieracie? - zapytała, choć znała przecież odpowiedź.

- W Alpy Francuskie. Haute-Savoie.

Jasne.

- My także! - Starła się nie kryć entuzjazmu, choć nie potrafiła wydobyć się z ciężkich duszących oparów paranoi.

- Niesamowite! Musimy się spotkać! Będziemy jeździć razem na nartach! Bill będzie uszczęśliwiony.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Dexter też.

- Dexter też co? - zapytał Dexter, który właśnie podszedł. - Dexter też jest przystojny?

- Pochylił się, żeby ucałować Julię w policzek. - Albo też seksowny?

Julia uderzyła go piąstką w pierś.

- Dexter też się ucieszy, że jedziemy wszyscy razem w Alpy. Na narty!

Dexter spojrzał na żonę. Oskarżycielsko.

- Wiem, co myślisz - zaprotestowała Kate. - Ale to nie jest spisek. O niczym nie wiedziałam, prawda, Julio? Powiedz mu.

- Kate o niczym nie wiedziała - potwierdziła Julia. - Przysięgam. Bill i ja zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili. Przed paroma dniami.

- Kłamiecie obie - stwierdził Dexter po trosze żartobliwie, a po trosze nie. - Otaczają mnie kobiety, które kłamią!

Nikt właściwie nie jadł, goście próbowali, a raczej skubali potrawy, ale nie zasiadali za stołami, do których zresztą nikt ich nie zapraszał. Być może dlatego niewiele widelców poszło w ruch. Wszystkie dania o stałej konsystencji trafiały do ust podnoszone palcami.

Kate nie była pewna, czy wypiła już pięć czy sześć kieliszków wina. Miły dla ucha jazz grany na fortepianie zastąpił miły dla ucha klasyczny rock puszcany niezbyt głośno, zapewne w jakiejś stacji radiowej. Potem ktoś podkręcił głośność tej muzycznej papki. Nadawano akurat *Hotel California*. Nie da się stąd wyjść.

Stała pośrodku saloniku, kołysząc się lekko. Przez alkoholową mgłę docierały do niej strzępy rzeczywistości, prawdopodobnie alternatywnej rzeczywistości, w której nikt z obecnych nie był tym, za kogo się podawał. Podobnie zresztą jak sama Kate, która przez lata nie była tą, za którą ją uważano.

Wyglądało na to, że Dexter również nie był tym, za kogo go brała. Bo co oznaczają te wszystkie papiery w jego biurze? Co on kombinuje?

Rozejrzała się i odnalazła wzrokiem Julię obleganą przez jednego z tatusiów ze szkoły, który - jak powszechnie utrzymywano - był maskującym się gejem. Nigdzie nie

zauważyła Billa. Ani Zwykłej Jane, jeśli już o tym mowa.

Chwyciła kieliszek stojący na barze. Kieliszki przypominały odwrócone kręgle. Celowo snuła się bez celu po obrzeżach saloniku, dotykając palcem wskazującym przyjemnych w dotyku bibelotów, chłodnych i gładkich, szklanych i mosiężnych, i srebrnych. Wychodząc do foyer, wyjęła telefon z torebki i nacisnęła guzik, by włączyć ekran.

- Tak... - powiedziała do wymyślanego rozmówcy. - Czy wszystko w porządku? - Funkcjonariusz w ciemnym garniturze, strzegący drzwi, zerknął na nią przelotnie. Uśmiechnęła się do niego przepraszająco. - Nie, kochanie... - zaprotestowała z udawanym przejściem. - Wcale mi nie przeszkadzasz. Powiedz mi, co się stało...

Chciała, żeby strażnik poczuł, że jest intruzem, stojąc na wyznaczonym posterunku i podsłuchując prywatną rozmowę, zagłębiając się niechcący w zapewne intymny problem, jaki ma „Kochanie”. Ochroniarz zacisnął wargi, odwrócił się i zniknął z foyer - w kuchni, biurze albo jakimś schowku - uprzejmie stwarzając kobiecie pozór prywatności. Nie podejrzewał, że został zmanipulowany.

- Oczywiście! - zawołała Kate, a w jej głosie wyraźnie było słychać troskę i współczucie. „Kochanie” się rozchorowało. Weszła na schody, zniknęła z widoku, całkiem bezszelestnie na miękkim czerwonym dywanie. Korytarz na górze biegł w obu kierunkach. Z jednej strony był pogrążony w półmroku, a z drugiej w całkowitej ciemności. Wybrała ciemność. Wszystkie drzwi były otwarte, ale nie paliło się za nimi żadne światło, do korytarza nie przedostawał się choćby promyk światła. Szła wolno, ostrożnie i skręciła w pierwsze drzwi. Nieduża, niemal pusta sypialnia. Zaciągnięte zasłony, prawie zupełna ciemność. Wyszła.

Na drugim końcu korytarza w części pogrążonej w półmroku otworzyły się jakieś drzwi. Kate dostrzegła kątem oka nogę w pończosze, na szpilkach. Cofnęła się gwałtownie do sypialni.

- Och, przestań pieprzyć... - syknęła kobieta. - Mamy cholerne bożonarodzeniowe przyjęcie, Lou. Powinieneś tu być. - Kontynuowała rozmowę telefoniczną na schodach.

Kate wymknęła się na korytarz, a potem wsunęła do sąsiedniego pokoju, większego, z biurkiem, sofą i stoliczkiem przed nią. Gabinet. Rozsunięte zasłony, światło sączące się z ulicy przez bezlistne gałęzie drzew, rzucające cienie na ścianę, nieruchome jak drzeworyt. Właśnie na tej ścianie były drzwi. Uchylone.

Kate usłyszała oddechy.

Zerknęła przez lekko odsunięte drzwi garderoby, kierując wzrok ku podłodze, gdzie było najwięcej światła. Majtki leżące na butach. Nad nimi wysoko uniesiona łydka w

pończosze, a obok niej między rozłożonymi nogami jakaś ciemna gęstwina, z której wylaniało się coś lekko zagiętego, żylastego i lśniącego, wycofywało się niemal do końca i zagłębiało ponownie, a nad tym podciągnięta do góry spódnica sukni, a nad tym rozchełstany dekolt, sutek, wygięta szyja i otwarte usta, rozszerzone nozdrza, zaciśnięte oczy, zmarszczone powieki.

- Uch... - stęknęła kobieta. Mężczyzna uniósł szybko dłoń do jej ust i przykrył je. Wsunął kciuk między wargi, a kobieta ssła go łapczywie, błyskając zębami.

Kate zamarła. Nie mogła oderwać od tego wzroku, nie mogła przestać słuchać. Czula nawet ich zapach...

Kobieta jęknęła.

Zacisnęła powieki jeszcze mocniej, odrzuciła głowę. Kate nie potrafiła zmusić się do odejścia.

- O, Boże... - Kobieta szczytowała, kołysząc głową na boki. Jej twarz przesunęła się przez smugę słabego światła. Wystarczyło. To była Zwykła Jane. A mężczyzną był, rzecz jasna, Bill.

Kate wycofywała się na paluszkach, tyłem, w kierunku drzwi. Cicho i ostrożnie... już przy nich była... jeszcze jeden stawiany niemal po omacku krok... gdy...

- Kurwa! - zaklął Bill.

Odwróciła się i wybiegła. Usłyszała jeszcze „co?”, pytanie Zwykłej Jane zadane schrypniętym głosem. Potem jeszcze jedno „co?”.

Przebiegła pogrążonym w mroku korytarzem. Zbiegła po dobrze oświetlonych schodach. O mało nie potknęła się na pluszowym dywanie. Strażnik podniósł głowę i otworzył usta, chcąc udzielić jej reprimendy, ale nie wiedział chyba, co powinien powiedzieć. Przemknęła obok niego do foyer. Stamtąd do łazienki, gdzie chciała się ukryć na chwilę. Nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Zajęte.

Na końcu foyer dostrzegła podwójne uchylne drzwi z mosiężnym okuciem pośrodku. Kuchnia. Ruszyła w tamtą stronę, kiedy drzwi się uchylły, a ona zamarła.

Otwarły się szerzej, usłyszała śmiech mężczyzny i chichot kobiety, oba dźwięki, oba głosy znane. Skrzydło drzwi było już szeroko otwarte. Mężczyzna wyszedł pierwszy, a za nim kobieta.

Dexter. A za nim Julia.

- Kate! - wykrzyknęła uradowana Julia. Uradowana z przymusem, jakby zrobiła coś,

czego nie powinna była zrobić.

Dexter zrobił się czerwony jak burak.

Kate chciała wytłumaczyć swoją obecność przed kuchnią i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to oni powinni się wytłumaczyć. Zesztywniała.

- Cześć - powiedział Dexter, krótko i nieprzekonująco, ale bez poczucia winy.

Kate spoglądała to na jedno, to na drugie, na męża i na domniemaną przyjaciółkę, a potem znów na męża. To nie wzięło się znikąd, ale zupełnie się tego nie spodziewała. Nie spodziewała się tego przynajmniej po Dexterze.

Stali w foyer wszyscy troje, a każda mijająca sekunda wydawała się wiecznością. Julia nie powiedziała nic więcej, podobnie jak Dexter. Każda upływająca milisekunda sprawiała, że stawali się coraz bardziej winni.

- Co robiliście? - wykrztusiła w końcu Kate.

Popatrzyli po sobie, Julia i Dexter. Julia znów zachichotała. Wyglądali jak rodzeństwo, jak brat i siostra albo jak znający się jak łyse konie starzy przyjaciele. Nie przypominali przyłapanych na gorącym uczynku cudzołóżników.

- Chodź... - powiedział Dexter, biorąc Kate za rękę.

Kuchnia była duża i urządzona bardzo profesjonalnie. Na środku wielki roboczy blat, obok stosy naczyń, osłon, otwarte szafki i wiszące rondle, kratownice, butelki z końcówkami do nalewania, olbrzymie poobijane patelnie.

Julia stanęła przed szufladą, wyciągnęła ją i coś z niej wyjęła.

- Masz - powiedziała.

Kate poczuła zmieszanie. Spojrzała na przedmiot, a potem znów na Julię.

Dexter podszedł do rogu kuchni, gdzie stało ogromne urządzenie ze stalowymi drzwiami - lodówka lub zamrażarka. Wyjął z niej coś, zamknął drzwi, odwrócił się do Kate.

I znów spojrzała na to, co jej przyniósł, a potem na niego. Na dary od męża. I przyjaciółki. Lody i łyżeczka.

Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że przyłapała ich na czymś niewłaściwym. Na czymś potajemnym. Nie na lodach, to było zbyt oczywiste. Na czymś innym.

Dziś, 12:41

Idzie ulicami St-Germain-des-Prés zagubiona w myślach, próbując rozwikłać znaczenie odkrycia, znaleźć wytłumaczenie dla niezaprzecznego dowodu z tableau. Dowodu na to, że Dexter i kobieta przedstawiająca się obecnie jako Julia nie poznali się przez dwoma laty w Luksemburgu. Spotkali się po raz pierwszy dwie dekady temu, w college'u.

Poranny deszcz ustąpił miejsca wysokim strzępiastym chmurom biegnącym po niebie. Spomiędzy nich błyskało jasne ostre słońce, porywisty wiatr toczył po ulicy zwały liści.

Przechodzi przez *terrasse* Flore, gdzie usiedli całą rodziną po rozmowie w szkole chłopców i gdzie wcześniej dokonywali pospiesznego wyboru mieszkania. Przed rokiem. Słynna kawiarnia z biało-zieloną, łatwo rozpoznawalną zastawą. Przewodnikowy Paryż. Paryż Picassa. Dom Kate.

Nie spodziewała się, że będzie tu mieszkać.

Miniony rok spędzony w Paryżu był znacznie lepszy od wcześniejszego, w Luksemburgu. A nadchodzący rok, jest o tym przekonana, będzie jeszcze lepszy, stopniowo. Lubi nowych przyjaciół, jakich poznali z Dexterem w minionym roku. Polubi ich jeszcze bardziej w roku nadchodzącym. Poza tym pozna nowych ludzi. Uświadamia sobie, że lubi poznawać nowych ludzi.

Skreca w rue Apollinaire przed zawadiackimi paskami Le Bonaparte.

Kate lubi grać w tenisa. Zaczęła grać w tenisa przed rokiem, najpierw w morderczym reżimie trzech lekcji tygodniowo, by poczynić szybkie postępy i móc wystąpić w turnieju mam ze szkoły, rozgrywanym w Jardins du Luxembourg. Pod koniec roku stała się jedną z najlepszych zawodniczek wśród mam. Choć nie jest ani młoda, ani wysoka, ani szybka, i nigdy taka nie będzie, co oznacza również, że nigdy nie będzie błyskotliwą tenisistką. Tylko dobrą. Na tyle dobrą, by móc grać z Dexterem.

Ponieważ Dexter nie musi już tyle pracować i nie musi nigdzie wyjeżdżać, ma mnóstwo czasu - i mnóstwo pieniędzy - na zajmowanie się rzeczami przyjemnymi, razem z Kate, nieustannie. Są w Paryżu permanentnymi turystami. Ich życie jest jak sen, który się spełnił.

Ale nie da się zaprzeczyć, że Kate chce czegoś więcej. Albo czegoś innego. Nigdy nie będzie jedną z tych kobiet, które z nudów otwierają sklep z dziecięcym obuwiem albo butik z wyposażeniem wnętrz, importujący stylowe plastikę ze Sztokholmu i Kopenhagi. Nie ma zamiaru poświęcić się studiom nad Starymi Mistrzami czy egzystencjalistami. Nie będzie

chodzić po ulicach z teczką z brystolem i pastelami albo z laptopem, pisząc bezsensowną powieść. Nie umie sobie wyobrazić, że mogłaby zostać przewodniczką małych zorganizowanych grup emerytów, przemierzających miasto od najlepszej piekarni do najlepszego serowara, odkrywających targi dla wtajemniczonych, ściskających dłonie pozornie przyjaznym kupcom.

Jest mnóstwo rzeczy, których Kate nie chce robić.

Choć, wedle wszelkich standardów, ma udane życie, nie da się zaprzeczyć, że jest znudzona. Znowu. Przechodziła już przez to wcześniej. Ale tym razem jest bardziej siebie świadoma. Co doprowadziło ją do przekonania, że istnieje tylko jedno rozwiązanie tego problemu. A dziś, tego wczesnego popołudnia, jest świadoma, że rozwiązanie to znajduje się w zasięgu ręki dzięki odkryciu, jakiego dokonała w tableau. Pod warunkiem, że zdoła wykorzystać tę nową informację.

Nie dziwi jej to, że była okłamywana przez tajną agentkę. Trudno, żeby było inaczej. Ale mężowska zdrada jest czymś zupełnie innym. Nigdy nie wątpiła, że Dexter ją kocha, że kocha dzieci. Nie martwi się o jego prawdziwą naturę, gdyż Dexter jest z gruntu dobry. Jest dobrym człowiekiem. Jej dobrym mężem. Bez względu na powód niesłychanej dwulicowości Dextera i Julii, nie można nie brać pod uwagę faktu, że Dexter jest dobry, a nie zły.

Przemyślała już z pół tuzina scenariuszy i odrzuciła je jeden po drugim. Zaczyna na nowo od wiadomości przekazanej przez Julię przed dwoma godzinami: „Pułkownik nie żyje”.

Skreca skośnie za róg obok eleganckich drzwi Le Petit Zinc, z których na ulicę wylewa się secesja. Ciepłe popołudniowe słońce rozświetla piaskowe kamienie domów przy rue St-Benoit.

To eleganckie miejsce, elegancki róg. Elegancki zakręt...

Nieruchomieje na ulicy, wbijając martwo wzrok w pustkę przed sobą. Jej myśli zatoczyły koło i wróciły do punktu początkowego. Ma pewność, znalazła potwierdzenie jaśniejsze jak słońce.

Wie już, co się stało.

Naciągnęła mocniej czapkę, chroniąc czoło przed porywem mroźnego wiatru wiejącego od Mont Blanc, góry, której szczyt widać daleko wśród innych alpejskich, zachodzących na siebie wierzchołków. Alpy na Alpach, aż po samą Genewę i brzegi Lac Léman.

Lody były dobrym pomysłem i wiarygodnym wytłumaczeniem. Wypili trochę za dużo, w jadalni nie znaleźli już nic do jedzenia, a nie mieli ochoty na kolejny plasterek szynki. Nikt nie miał już ochoty na szynkę. Bo wszędzie, jak okiem sięgnąć, były tylko kanapki z szynką. W piekarniach i u rzeźnika, w supermarketach i kawiarniach. W kioskach i centrach handlowych, w automatach w biurach i pod szklanymi półkolistymi kloszami w klubach fitness. W samolotach. Cholerne kanapki z szynką. Wszędzie.

Poszli więc do kuchni, rozglądając się za czymś nieszynkowym do jedzenia. Źle ocenili sytuację, decydując się na szwendanie po zakazanych rejonach ambasady. Pijany wygląd. Całkiem wiarygodny.

Szła przez Paquis obok dworca kolejowego, Arabowie i ludzie z Afryki Północnej, restauracje z kuskusem i sklepy z pamiątkami, tęgawe tureckie prostytutki palące papierosy w bramach domów z pustaków, chudzi mężczyźni w workowatych džinsach gdzieś w cieniu. To byłoby dobre miejsce na zakup broni. Właśnie w takiej okolicy kupowała kiedyś broń. Przemknęło jej przez głowę, że powinna mieć pistolet.

Przeszła przez Rodan w Pont du Mont Blanc i dała nura do Jardins Anglais, pustego, pokrytego śniegiem parku, po którym hulał mroźny przejmujący wiatr, od którego łzawiły oczy.

Musiała się napominać, że nie odkryła niczego wyraźnie podejrzanego w biurze Dextera. Wszystkie zgromadzone tam materiały mogły mieć uprawniony związek z jego pracą, której nie rozumiała i nigdy nie zrozumie. Nie miała pojęcia, na czym ona polega.

Tylko że... Jezu Chryste... ta kamera! Jak mu wytłumaczy, że się do niego włamała? Dlaczego?

Na szczęście - albo i na nieszczęście, kto wie... - nie wyglądało na to, że Dexter już wie o włamaniu. Jeśli o nim wiedział, z całą pewnością nie był mężczyzną, za którego wychodziła za mąż.

Minęła jakąś znajomo wyglądającą kobietę na chodniku. Wysoką, ciemnowłosą, z mocno umalowanymi rzęsami. Nie umiała sobie przypomnieć, skąd ją zna, a potem ją

oświeciło: to stewardesa z porannego lotu do Genewy. Stewardesy LuxAir w jasnoniebieskich szalikach nieomal zarzuciły pasażerów kanapkami z szynką, kiedy tylko samolot wzbił się w powietrze. Chciały jak najszybciej rozdysponować przekąski podczas krótkiego lotu. Zresztą linie LuxAir nigdy nie latały daleko.

Wspinała się pod górę rue Verdaine, architektura uległa zmianie i nad Kate górowały średniowieczne kamienie. Ciasne brukowane uliczki, promenada wzdłuż parku, fortyfikacje, łuki, tarasowo ułożone chodniki. Ta część Genewy przypominała jej Luksemburg, Arlon, cokolwiek...

Zaczął padać śnieg, płatki wirowały bezszelestnie nad ulicą z osiemnastowiecznymi *hôtels particuliers*, w których masywne łukowate bramy wiodły na dziedzińce okolone zestawami trzech podobnych, wspartych o siebie, masywnych budowli, przypominających modelki pozujące do homoerotycznego ujęcia, ocierające się skórą o skórę.

Było wielce prawdopodobne, że Dexter i Julia mają romans. Mogli się spotykać u niej, rano w ciągu tygodnia, kiedy Bill przerzucał hantle w swoim dziwnym biurze albo po mistrzowsku pieprzył Jane - mógł też robić obie te rzeczy naraz. Kate chodziła wtedy na kawy z mamami, które siedząc przy jakimś stole, wściekały się na wiecznie nieobecnych mężów. Jej mąż był wtedy za rogiem w łóżku z jej najlepszą przyjaciółką.

A może, napaleni, wpadli na chwilę do kuchni, gdzie tylko się całowali przez pięć minut?

Może to nieszkodliwy flirt, rozrywka, udowodnienie sobie, że się żyje, że się nie umarło i nie zestarzało?

Przy rue Hôtel de Ville niemal wszystkie antykwariaty były zamknięte, a ręcznie wykaligrafowane tabliczki informowały o przerwie świątecznej - *fermé* aż do 2 stycznia. Nie kupi się tu prezentów. W Stanach to niewyobrażalne, żeby jakikolwiek sklep zamknął podwójnie dwa dni przed Bożym Narodzeniem.

A jeśli rzeczywiście mają romans? Co powinna zrobić? Ma to zrozumieć, zignorować, zapomnieć? Czy Dexter ją jeszcze kocha? Czy się nią znudził? A może jest zwyczajnie ciekawy, napalony, samolubny albo przerażony perspektywą śmierci? Czy przeżywa kryzys wieku średniego? Czy robił to już wcześniej? A może jest nieuleczalnym dziwkarczem? Czy zdradzał ją przez te wszystkie lata? Czyżby miało się okazać, że jest zwykłym sukinsynem, a ona o tym nie wiedziała? Przez niemal dziesięć lat!

A może skorzystał z okazji? Albo został podstępnie uwiedziony? Upojony alkoholem, wprawiony w erotyczny nastrój i wreszcie zwiedziony na manowce, czemu nie zdołał się oprzeć.

Na szczycie wzgórza ulica wychodziła na Place du Bourg-de-Four. Kawiarnie i fontanna pośrodku. Nieregularna połać bruku. Kate zerknęła na zegarek - 14:58 - i usiadła na wyściełanym wiklinowym krześle obok propanowego grzejnika, od którego było ciepłe powietrze, co w tych warunkach przypominało plucie do oceanu. Zamówiła *café au lait* u przystojnego, zadowolonego z siebie kelnera.

A może to coś znacznie groźniejszego od seksu?

Po drugiej stronie *terrasse* matka i córka w identycznych futrzanych czapkach paliły identyczne papierosy - długie i cienkie tytoniowe wykałaczkę. Matka głąskała miniaturowego psa, którego trzymała na kolanach jak białą pluszową maskotkę. Córka coś powiedziała. Kate nie usłyszała co. Siedziały za daleko. I dobrze.

Do kawy podano jej ciasteczko owinięte w folię i przyniesione na spodeczku - jak zawsze, jak wszędzie.

Kelner podszedł do matki i córki. Roześmiał się z czegoś, co powiedział, opierając się o krzesło, napinając mięśnie, flirtując. Kate usłyszała za sobą kroki, twarde męskie podeszwy na bruku. Nie odwróciła głowy. Mężczyzna usiadł przy sąsiednim stole, oddzielony od Kate grzejnikiem i jego jarzącą się na czerwono głowicą przypominającą latający spodek.

Kelner wrócił. Mężczyzna zamówił gorącą czekoladę. Otworzył gazetę, starannie składając płachtę „Le Monde”. Miał szare palto, czerwony szalik, obcisłe džinsy, czarne półbuty z ostrym czubkiem i zielone sznurówki. Jego skóra lśniła czystością, był świeżo ogolony i tak dokładnie, że Dexter nigdy mu nie dorówna. Wyglądał jak chłopcy z Dupont Circle, których twarze wprost emanują ich seksualną orientacją.

Kate położyła torbę na stole. Wyjęła z niej przewodnik po Szwajcarii z niestarannie złożonym planem Genewy. Do tego długopis i mały notesik.

Z kieszeni wyjęła aparat fotograficzny, podniosła go do góry i pochyliła się ku sąsiadowi.

- *Excusez-moi* - powiedziała. - *Parlez-vous anglais?*

- Tak, mówię po angielsku.

- Mam prośbę. Czy mógłby pan zrobić mi zdjęcie?

- Oczywiście. - Przysunął krzesło bliżej i wziął od niej aparat.

Kate rozejrzała się za stosownym tłem - fontanna, ładna kamieniczka, śnieg w trawie. Przesunęła nieco swoje krzesło. Odsunęła od siebie leżący na stole przewodnik, żeby nie psuł kadru. Spomiędzy stron przewodnika wystawało zdjęcie.

- Zwiedza pani Genewę w drodze na narty?

- Tak. Jutro wyjeżdżamy. Do Avoriaz. Na tydzień.

Mężczyzna wskazał gestem, by przesunęła się w prawo, i pstryknął drugą fotografię. Pojawił się kelner. Zapytał Kate i mężczyznę, czy sobie czegoś życzą, a potem podszedł do matki i córki. Przychodziły tu prawdopodobnie dla niego.

Fotograf pochylił się przed stołem, oddając Kate aparat. Położył go na przewodniku. Cofając dłoń, wyciągnął zdjęcie pomiędzy stron bedekera i wsunął je do kieszeni palta. Potem podniósł filiżankę i jednym haustem wypił czekoladę.

- Trzy dni - powiedział. - Góra cztery. - Położył na stole gigantyczną monetę.

Niektóre z tych szwajcarskich franków nadawałyby się do rzucania dyskiem. Po co im odrębna waluta? Cholerni Szwajcarzy.

- Znajdę panią.

Śnieg zaczął padać w połowie podjazdu pod górę, gęściejszy, im było wyżej. Ruch zwolnił. Pobocze było usłane rodzinnymi autami, których kierowcy klęczeli w rozjeżdżonej śnieżnej mazi, naciągając na koła łańcuchy. Jeden ostry zakręt za drugim, proste nie dłuższe niż kilkaset metrów, po drugiej stronie droga opadała stromo obok poszarpanych skał, karłowatych sosenek i trzymających się jakimś cudem zbocza drewnianych chat.

Do poniedziałkowego poranka spadł prawie metr śniegu, ale w nocy chmury się przeredziły, a w oknie sypialni wychodzącym na centrum kurortu widać było szaroróżowy świt, Village des Enfants, kawiarnie i sklepy. Kiedy Kate doczłapała do salonu, widok zatkał jej dech w piersi; widok, który przez pierwsze trzydzieści sześć godzin ich pobytu na tej górze był całkowicie spowity chmurami, mgłą i wirującym śniegiem. Teraz miała przed sobą jak na dłoni krystalicznie przejrzyste Alpy, Alpy za Alpami na Alpach, a wszystko pokryte białym jak malowanie śniegiem.

Julia podjechała do niej na nartach. Stały przy krawędzi trasy. Julia jeździła bezbłędnie.

- Mój Boże! - zawołała. - Jak tu pięknie! - Pocałowała Kate w policzek. Bill jechał tuż za nią, uściskał dłoń Dextera, poklepał go po ramieniu.

Śnieg był oślepiająco biały, widzialność niemal nieograniczona w każdą stronę, jakby cały świat znalazł się nagle pod mikroskopem ze świeżo przetartym szkiełkiem. Na północy wyrastały cztery górskie granie, między nimi jezioro zamknięte górami, za którymi piętrzyły się kolejne góry, coraz odleglejsze i mniejsze pod bezmiarem przejrzystego nieba.

- Szusujemy? - zapytał Bill, odpychając się lekko kijkami.

- Szusujemy! - odkrzyknął Dexter bardziej entuzjastycznie niż poprzednio. Z większą werwą. Podczas trudnych zjazdów w gęstym śniegu jeździł niezbyt pewnie, bez przekonania i ze strachem. Wyciąg wysadzał narciarzy pośród białej szadzi prawie trzy tysiące metrów nad poziomem morza, ponad linią drzew, gdzie żaden las nie mitygował żywiołów, gdzie nie było się gdzie schować, gdzie nie można było dojrzeć granic nartostrady, bo widzialność wynosiła trzydzieści metrów, a od najdalszego punktu, jaki się widziało, dzieliła zaledwie jedna sekunda. Po jednej wyprawie w niepogodzie na sam szczyt Dexter odmówił zjeżdżania na nartach z wierzchołków i wycofał się na dolne hale na spokojne szlaki narciarskie wijące się pośród drzew.

- Chcę widzieć, dokąd, do cholery, zmierzam - pomstował.

Jadąc obok niego po łatwym szlaku, Kate zastanawiała się nad tym niezamierzonym aforyzmem. Sama też chciałaby wiedzieć, dokąd, do cholery, zmierza. Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie to jeszcze możliwe.

Ale dziś znów znaleźli się na szczycie, a w pełnym słońcu było to zupełnie inne doświadczenie. Kate podciągnęła gogle na kasku i dopasowała je do oczu, miękka pianka otuliła jej oczodoły, policzki i czoło, zamykając ją w różowawym kokonie. *La vie en rose*. W głowie myśl o krwi na dywanie wokół głowy Torresa. Martwe oczy, płacz dziecka.

Zadrzała, odpędzając to wspomnienie. Podjechała do samej krawędzi nartostrady, ostry skręt na wolnym od śniegu skosie, drobiny lodu sypiące się spod nart.

- Pojadę pierwszy - rzucił Bill i odepchnąwszy się po raz ostatni, puścił się w dół ponad krawędzią. Dexter miał dosyć niepewną minę, ale posłusznie poszedł w jego ślady. Za nim Julia.

Kate została na szczycie, patrząc za całą trójką. Czy czekali, aż pomknie za nimi?

Zatrzymała się przy szerokim łuku na wspaniałej trasie. Minęły trzy dni od spotkania z Kylem w Genewie. Nadeszła pora, żeby Kyle wybrał się, ni z tego, ni z owego, na narty, przystanął przy niej na szlaku i powiedział jej... co?

Że ci agenci FBI prowadzą śledztwo w sprawie, która nie dotyczy ani Kate, ani Dextera. Tego pragnęła najbardziej. W tej chwili. Tej zupełnie niewiarygodnej informacji.

Odczekała jeszcze chwilę, dobre pół minuty, wpatrując się w biały puszysty krajobraz, pokryte śniegiem hale. Nikt nie nadjechał.

Zrezygnowała i pojechała w dół stoku, skręcając cicho w białym puchu. Tyczki

wzdłuż nartostrady wyznaczały trasę na sam dół, gdzie zbiegało się z pół tuzina szlaków, gdzie znajdowały się trzy wyciągi i kawiarnie, gdzie w słońcu stały setki płóciennych leżaków, na których wypoczywali narciarze bez kurtek, paląc papierosy i pijąc piwo o jedenastej przed południem. Dexter siedział z Julią w jednej z tych kawiarni. Rozpięli buty, odpoczywali.

Kate dołączyła do Billa. Przedarli się przez tłum krokiem łyżwowym, przeszli przez bramkę i oparli na kijkach. Czekali na nadjeżdżające krzeselko, klekoczące przed nawrotem. Stalowy pręt przed siodełkiem uderzył ich w tył kolan, wbił się w zgięcie nóg, zmuszając do opadnięcia na krzeselko szybciej i mocniej, niż się spodziewali. Kate szczypały pośladki.

Na wyciągu było pusto. Krzeselko gnało do góry, najpierw nad w miarę równą halą, potem nad stromizną, na której spod śniegu wyłaniały się skały otoczone pajęczyną ciemnych mineralnych żył. Skalne żylaki.

- To coś wspaniałego, prawda? - zwrócił się do niej Bill.

Wyciąg wyrównał nad płytką dolinką, jarem w górskim zboczu z wartko płynącym strumykiem, nad którym rosły zakopane do połowy w śniegu sosny. Strome brzegi i lodowata woda, kamienie na dnie, tysiące, setki tysięcy kamieni, różowo-szarych, biało-czarnych, brązowo-beżowych, dużych, małych i średnich.

- Kiedy się zjeżdża, nie wiadomo, na co się na dole trafi.

Krzeselko minęło jar i wspinało się dalej na skalisty stok, długi i postrzępiony, pokryty lodem i zaspami, olbrzymimi głazami - kulami porzrzucanymi przez olbrzymów. Byli teraz bardzo wysoko nad ziemią w którymś z tych miejsc, w których wspinający się na sześćset metrów wyciąg wisiał wyżej niż normalne sześć metrów nad ziemią. Do ziemi mieli teraz co najmniej piętnaście, a może dwadzieścia metrów.

Krzeselko zwolniło. I stanęło.

Byli wystawieni na mróz i wiatr. Zakołysali się do tyłu zgodnie z trzecim prawem Newtona, wyhamowując po ruchu w przód wysoko nad górą. Kołysali się w tył i w przód. W tył i w przód.

Chrzęściły liny.

Kate poczuła dreszcz na plecach. To był błąd. Nie powinna tu być - sama z Billem.

Wiatr wiał coraz mocniej, wył, rozhuśtując krzeselko coraz bardziej. Zaczep skrzypiał groźnie. Zepsuty wyciąg. Mróz i wiatr. Przystanek Szwajcaria.

Uniosła głowę, spojrzała na zaczep mocujący krzeselko do liny. Wyglądał jak koniec sznurówki.

- Boisz się?

Skuwka. Tak się nazywa koniec sznurówki.

Bill pochylił się i spojrział w dół.

- Myślisz, że przeżylibyśmy upadek?

Przypominające skuwkę urządzenie trzymało się na kablu za pomocą pary olbrzymich szczypic. Kate widziała szparę między końcówkami.

- Niepokoi cię to?

Spojrzała na niego. Przez różowe gogle. Na jego twarzy pojawił się jakiś nowy wyraz, którego wcześniej nie widziała. Jakaś zawziętość.

- Bałaś się kiedyś o życie, Kate?

Eduardo Torres mieszkał w apartamencie w hotelu Waldorf, w którym zatrzymują się prezydenci podczas wizyt w Nowym Jorku, kiedy przyjeżdżają na sesję fotograficzną w sali obrad Narodów Zjednoczonych, w teatrze na Broadwayu, na stadionie Yankees. Torres nie wynajął prezydenckiego apartamentu. Nigdy nie był prezydentem, choć uważał, że powinien nim być. I to nie tylko Meksyku. Torres miał wizję, wielką wizję panamerykańskiego nadpaństwa, gdzie mówiono by po hiszpańsku. El Consejo de las Naciones, Rada Państw, której chciał być przywódcą. W efekcie przywódcą całej zachodniej półkuli i pół miliarda ludzi mieszkających na południe od granicy amerykańskiej.

Najpierw jednak musiał zorganizować triumfalny powrót z nieoficjalnego wygnania. Kiedy przegrał wybory, nie pogodził się z tym z wdziękiem - wściekle protestował. Nawoływał do przemocy, na którą z kolei odpowiadano przemocą. Atmosfera stała się, najogólniej rzecz biorąc, niesprzyjająca dla byłego generała. Uciekł zatem z willi w Polanco na Manhattan, gdzie nie musiał zatrudniać całego pułku gwardii przybocznej, by wyjść do restauracji na obiad. W Ameryce mógł czuć się bezpiecznie z kilkoma ochroniarzami.

Poświęcił rok na budowanie przymierzy politycznych i zbieranie pieniędzy na kolejne wybory lub zamach stanu, czy cokolwiek planował w celu objęcia władzy. Żył urojeniami. Żaden racjonalnie myślący gracz na scenie politycznej nie chciał udzielić mu wsparcia.

Popadał w rozpacz. Rozpacz sprawiała, że stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny, co pociągało za sobą jeszcze głębszą rozpacz. Błędne koło.

Tymczasem Kate wyjechała w podróż na południe Meksyku - z ostatnią, jak się okazało, misją. Odbyla serię niezbyt tajnych spotkań z lokalnymi politykami, usiłując zaprzyjaźnić się - a przynajmniej nie robić sobie wrogów - z kolejnymi możliwymi kandydatami: generałami, przedsiębiorcami, burmistrzami, którzy prędzej czy później chcieli

ubiegać się o prezydenturę. W ogrodach, w których bugenwille pięły się po białych ścianach, sączyła mocną kawę z kolorowych filiżanek przynoszonych na ręcznie kutych srebrnych tackach. Wchłaniała bombastyczną atmosferę.

Potem wróciła do Waszyngtonu do męża i półrocznego pierwszego synka. Szła po G Street, wracając z lunchu do biura, gdy przy krawężniku zatrzymała się limuzyna. Kierowca opuścił szybę.

- Señor Torres byłby zaszczycony, gdyby zechciała pani poświęcić mu kilka minut.

Kate szybko przeanalizowała opcje, możliwe odpowiedzi. Bez względu na to, jak bardzo nieobliczalny stawał się Torres, nie było szans, by poważił się zaatakować pracownicę CIA w Waszyngtonie.

- Jest w hotelu Ritz. Czeka na panią.

Kate wsiadła do limuzyny i po pięciu minutach znalazła się w hotelowym foyer, gdzie czekał na nią ochroniarz, który chciał ją zaprowadzić do apartamentu Torresa.

- Wykluczone - powiedziała. - Możemy spotkać się w barze.

Señor zjechał na dół, zapytał ją o samopoczucie i zamówił butelkę wody. Jego łaskawość trwała równie trzydzieści sekund, po których zaczął nauczać. Słuchała przez pół godziny żalów Torresa i odmalowywanej przez niego wizji Meksyku oraz Ameryki Łacińskiej. Na końcu przedstawił namiętny, acz całkowicie absurdalny apel o poparcie CIA.

Kate - jako jednoosobowa publiczność - starała się dzielić z nim swoimi wątpliwościami i pesymizmem, do niczego się nie zobowiązywała i absolutnie nie dążyła do konfrontacji. Znała Torresa od dekady. Nie chciała go bez potrzeby wkurwiać.

Torres poprosił kelnera o rachunek. Powiedział, że rano wraca do Nowego Jorku, gdzie będzie oczekiwał na kolejne spotkanie w pierwszym dogodnym terminie. Powiedziała, że przedstawi jego stanowisko swoim przełożonym.

Skinął ospale głową i przymknął powieki, jakby chciał okazać jej wdzięczność. Ale nie powiedział „dziękuję”.

Kate wstała.

Wówczas Torres sięgnął do kieszeni marynarki i coś z niej wyjął. Położył to na błyszczącym wiśniowym blacie. Bez słowa.

Kate zerknęła na stół. Pocztówkowa fotografia na lśniącym papierze. Pochyliła się, żeby dobrze się przyjrzeć ostremu zdjęciu wykonanemu bez wątpienia teleobiektywem.

Wyprostowała się powoli, starając się zachować spokój. Przeniosła wzrok z fotografii na mężczyznę po drugiej stronie stołu.

Torres spoglądał w dal, jakby ta ukryta groźba nie miała z nim nic wspólnego. Jakby

był tylko posłańcem, a ta brudna sprawa rozgrywała się między Kate a kimś zupełnie innym.

Bill zjeżdżał przed Kate po stromej, nieubitej ratrakami trasie. Po jednej stronie gęsty las, po drugiej skały oznaczone tyczkami z czarnym końcem. Trasa dla profesjonalistów. Za trudna dla Kate, o wiele za trudna. Bill chciał przeprowadzić ją na wyższy poziom. Mogła odmówić albo spróbować i odnieść porażkę. Tak czy inaczej, było to coś innego.

Pędziła trasą pełną muld. Minęło ją dwoje nieustraszonych nastolatków. Zniknęli w mgnieniu oka. Kate i Bill znów zostali sami w ciszy pokrytej śniegiem góry na francusko-szwajcarskiej granicy.

Przecięła nierówny uskok, za którym góra gwałtownie się kończyła, łącząc się z niebem. Zbliżając się do krawędzi urwiska, widziała to, co poniżej, ale nie mogła dostrzec samego stoku - uskok był tak stromy. Umieszczono na nim fantastycznie przerażający znak - piktogram spadającego narciarza, wymachującego rękami, z jedną nartą na nodze i z wysoko uniesionym kijkiem. Pewna śmierć - ostrzegał znak.

Bill był tuż za nią.

- Świetnie sobie radzisz! - zawołał.

Kate nie była tego pewna. Chciała się zatrzymać, ale nie zrobiła tego, jechała dalej, i znów postanowiła się zatrzymać, i znów się nie zatrzymała, zjeżdżając coraz szybciej i szybciej, denerwując się coraz bardziej. Słyszała narty Billa za sobą, widziała przepaść po lewej stronie, dziesięć metrów w dół na skaliste głązy i kolejne sześć na dno jaru. Lewa narta zaczęła jej uciekać ku krawędzi, coraz bliżej powietrza...

Skręciła gwałtownie na szlak, tnąc śnieg krawędziami nart, odpychając się dolną nartą, zatrzymując się w fontannie śniegu.

Zdała sobie sprawę - zbyt późno - że wykonała manewr bez ostrzeżenia. W tym samym ułamku sekundy usłyszała krzyk...

Jego kij odsuwał ją z drogi.

Jego narta przecięła jej nartę.

Zderzenie. Czowała je w biodrach i tułowiu, w ramionach, a potem poszybowała wysoko ku krawędzi urwiska, ku półce stoku, spadając bokiem na trasę w kierunku głębokiej, śmiertelnie niebezpiecznej przepaści. Nie trzymała już kijków w dłoniach, wisiały na nylonowych paskach na nadgarstkach, obracały się bezużytecznie. Miała tylko jedną nartę i usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek radzono jej - gdziekolwiek: w drużynie skautów, podczas szkolenia na Farmie albo w telewizji ESPN czy nawet publicznej PBS -

jaką zająć pozycję, gdy spada się w piętnastometrową przepaść.

Chciała podnieść głowę, ale nie mogła. Nie mogła ruszyć szyją, ramionami, rękami. Nic nie widziała poza różową poświatą, za którą znajdowała się niemal absolutna ciemność. Leżała twarzą w gęstym ziarnistym śniegu. Mróz przenikał jej skórę. Czuła, jak zamarzają jej mięśnie twarzy, jak sztywnieje od mrozu niczym łoś na przemierzającym północny Pacyfik trawlerze, unieruchomiony, zeszywniały, zapatrzony jednym okiem w wieczność.

Przygniatał ją jakiś ogromny ciężar, była jak sparaliżowana.

Próbowała poruszyć palcami nóg, ale nie miała pojęcia, czy jej się udało; cholerne sztywne buty narciarskie.

Oddychała gwałtownie.

Ciężar na plecach poruszył się albo tak się jej wydawało. Ale po chwili z pewnością się poruszył, początkowo przygniatając ją jeszcze mocniej, potem lżej, by w końcu zniknąć zupełnie.

Usłyszała coś.

Mogła już się ruszyć. Sprawdziła to, obracając się na bok, obracając tułów i ramiona, i szyję, odwracając twarz od śniegu, który pokrywał jeszcze gogle, choć niecałkowicie. Widziała fragment świata na własne oczy i znów coś usłyszała, to samo co przedtem, usłyszała głos, który jak się przekonała i zobaczyła mimo śniegu na goglach, należał do Billa. Stał nad nią i pytał, czy nic się jej nie stało.

Nic się jej nie stało.

W górach szybko robi się ciemno. O trzeciej promienie słońca padały skośnie, światło stało się niebieskawe, nijakie, pozbawione cienia.

Pojawiła się sama na dole łatwej trasy, by odpocząć od agresji Billa. Przeszła przez bramkę szerokiego wyciągu, do którego nikt nie czekał, chciała zjechać sama. Ale obok pojawił się inny narciarz.

Mężczyzna. Kyle. Wreszcie.

Otworzyły się drzwiczki, stanęli na czerwonej linii wymalowanej na gumowej macie, odwrócili się, czekając na krzeselko. Nagle po drugiej stronie Kate stanął jeszcze jeden narciarz, zakłócając przebieg spotkania. Cholera.

Usiedli we troje na szerokim krzeselku z głuchym łomotem. Kyle zapiął

zabezpieczenie.

- *Bonjour* - powiedział ledwo słyszalnie przez chrzęst startującego do góry krzesła.

Kate uniosła gogle. Spojrzała na tego Kyle'a z Genewy, a potem w drugą stronę na intruza, trzeciego narciarza. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Obok niej siedział szczerzący zęby Dexter.

- Kochanie - powiedziała. - Przyłapałeś mnie! - Na tyle głośno, by usłyszał to Kyle.

- Owszem - Dexter ucieszył się jak dziecko. - Co słychać?

- Jest pięknie - odpowiedziała, zastanawiając się, czy Dexter słyszał powitanie Kyle'a.

Dexter pochylił się, patrząc na Kate, a potem na Kyle'a. Cholera i jeszcze raz cholera.

- Znacie się?

Proszę, pomyślała, pomodliła się Kate. Niech Kyle nie okaże się idiotą.

- Nie - odpowiedział Kyle.

- Wydawało mi się, że się witaliście.

- Zwykła uprzejmość.

Kate patrzyła przed siebie, a ci dwaj wymieniali się uwagami ponad jej głową szybującą w przestworzach.

- Dexter Moore, a to moja żona, Kate.

- Kyle. Miło poznać.

- Mieszka tu pan? - zapytał Dexter. - Czy przyjechał pan na narty?

- Przyjechałem na jeden dzień. Z Genewy. Tam mieszkam.

Krzesło zachybotało, przejeżdżając przez wieżę.

- A my jeździmy na nartach z przyjaciółmi z Ameryki - opowiadał Dexter. - A w zasadzie z Luksemburga. Bo tam mieszkamy.

Kyle nie miał pojęcia, co odpowiedzieć ani jak się zachować. Kate nie miała pojęcia, co z tym, do cholery, zrobić. Siedziała, milcząc, pozwalając mówić mężczyznom.

Bill zdjął rękawicę w kształcie któregoś z Muppetów, Kyle zrobił to samo, uścisnęli sobie dłonie, wszyscy przedstawili się wszystkim.

- Znaleźliśmy tego samotnego Amerykanina na górze - oznajmił Dexter. Stali na wietrznej grani. Po jednej stronie stromy muldziasty stok, po drugiej nienadający się do zjazdu uskoki odgradzony żółtym sznurem, który nikogo by nie zatrzymał ani nawet nie zwolnił w pędzie ku przepaści.

Bill przyjrzał się uważnie Kyle'owi.

- Niemożliwe!

Kyle uśmiechnął się dużymi białymi zębami, wyzierającymi spod zaczerwienionych od mrozu policzków.

Dexter spojrział na zegarek.

- Musimy zjeżdżać. Niedługo trzeba odebrać dzieci ze szkółki narciarskiej. - Spojrzął na Kyle'a. - Dołączysz do nas po nartach?

Kyle wahał się, ale niezbyt długo. Tak jak każdy, któremu złożono nieoczekiwaną propozycję towarzyską.

- Jasne - odpowiedział. - Z rozkoszą.

Robiło się ciemno, słońce zniknęło z widoku za poszarpanym szczytem na południowym zachodzie. Pięcioro Amerykanów przecinało stok gęsiego, krawędzie nart szorowały głośno po ubitym śniegu i ciszej po świeżym puchu; szeleścił nylon ocierający się o nylon, kijki uderzały o buty. Kate słyszała za sobą Billa i znów poczuła dreszcze na plecach.

Nikt się nie odzywał.

Zza zakrętu wyłoniło się *centre de la station* - kilka wysokich zabudowań otaczających Village des Enfants, a obok ciągnięte przez konie sanie poruszające się z zadziwiającą chyżością, a wszystko otulone świeżym śniegiem i nakrapiane elektrycznymi lampkami, i stanowiące złożony pierwszy plan prostego tła, które składało się ze stoku, doliny oraz gór, a także olbrzymiej połaci błękitnego nieba.

- Kim jest Kyle? - zapytał nieoczekiwanie Bill, kiedy się w końcu zatrzymali.

Kate wzruszyła obojętnie ramionami.

- Gościem z wyciągu.

- Jasne - parsknął Bill. - Jest takim samym gościem z wyciągu jak ja z klubu tenisowego.

Kate zawrzało w głowie. Nie zrozumiała słów Billa. Otworzyła usta, a potem je zamknęła, a potem znów je otworzyła, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa. Mówiąc coś, musiałyby coś zdradzić. Ale nie mówiąc nic, także coś zdradzała.

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Poryw wiatru dmuchnął śniegowym puchem. Niebo ciemniało coraz bardziej.

- Masz zamiar coś mi wyznać?

Bill wpatrywał się w nią przez sekundę, dwie, a potem odepchnął się kijkami i odjechał bez słowa.

Było tylko jedno wyjaśnienie: wiedział. Wiedział, że ona wie.

Odepchnęła się i pojechała za Billem w dół stoku, skręciła lekko, wjeżdżając na

płaskowyż między tłum ludzi w centrum wioski, rodziców zmierzających po dzieci do narciarskiej ochronki, gdzie wszyscy się ściskali, przybijali sobie piątki, a małe szkraby wybuchały płaczem na widok mam i ojców po nieskończeniu długim i prawdopodobnie przerażającym dniu.

Dexter przejechał na nartach przez bramę szkółki narciarskiej, a Julia i Bill oznajmili, że pójdą do najbliższej restauracji zająć duży stół. Kyle i Kate zostali sami, stali obok siebie na głównym szlaku, otoczeni tysiącem ludzi.

- Nie spodoba ci się to - powiedział.

Kate przyglądała się, jak Dexter pochyla się i ściska chłopców, obejmując ich razem ramionami. Nawet z tej odległości, mimo narciarskich ubrań, kasków i gogli, widziała, że synowie śmieją się szeroko, uradowani z przybycia taty.

- Myślę o prowadzonym przez nich śledztwie - dodał.

Kate spojrzała na niego.

- Tak?

- Chodzi o twojego męża.

Chciałaby, żeby ta wiadomość ją zaskoczyła, ale tak się nie stało. Chciałaby nie czuć ulgi, ale czuła. Niewielką, ale zawsze. Bez względu na to, co zrobił Dexter, jego grzechy miały się nijak do tych, które sama popełniła.

- O co go oskarżają?

Dexter zdejmował chłopcom kanarkowe kamizelki identyfikacyjne - PREMIER SKI - dzięki którym wyglądali jak uczestnicy alpejskiego slalomu.

- Cyberkradzież.

- Czego?

Obok nich stanęła Julia.

- Jesteśmy tam - powiedziała.

Serce Kate kilka razy zabiło nieco szybciej.

- W tym bistro z zieloną markizą - dodała.

Kate ledwo ją słyszała poprzez panujący wokół rozgwar. Julia nie mogła usłyszeć ich rozmowy... A może mogła?

Nadchodzili synowie z nartami na ramionach, a za nimi szeroko uśmiechnięty Dexter. Kate uściskała chłopców, próbując bez powodzenia zająć myśli czymś innym - choćby przez sekundę - niż zagęszczającą się wokół niej i jej najbliższych atmosferą.

Ruszyli truchtem przez śnieg i tłum w kierunku Billa, który siedział samotnie przy olbrzymim piknikowym stole, niczym dyrektor firmy, który popadł w niełaskę rady nadzorczej.

Kate potrzebowała minuty, nawet mniej, sam na sam z Kylem.

Zasiedli przy nieheblowanym stole, przyjęli dostawę gorącej czekolady z bitą śmietaną, gigantycznych kufli spienionego piwa i talerzyków z jabłkową tartą.

- Zatem... - odezwał się Bill. - Kyle, czy tak?

- Owszem, Bill.

- Mieszkasz w Genewie?

- Zgadza się.

- Ciekawe miasto?

- Niezbyt.

- Skądś cię znam... Musieliśmy się spotkać...

Kate o mało nie wybuchła.

- Nie sądzę.

Bill kiwnął głową, choć nie oznaczało to potwierdzenia wątpliwości Kyle'a.

- Czym się zajmujesz, Kyle?

- Jestem prawnikiem. Ale będziesz mi musiał wybaczyć, Bill - powiedział, wstając od stołu - gdyż jestem prawnikiem, który musi skorzystać z łazienki.

Kate czuła na sobie spojrzenie Billa, czuła jego podejrzliwość wobec Kyle'a sączącą się poprzez stół jak śluz, który oblepiał i ją. Udawała, że przygląda się ludziom, narciarzom w kombinezonach, jaskrawych kurtkach i kaskach, dzieciom walczącym na śnieżki, szczekającym psom, kelnerom noszącym tace z kuflami, babciom w futrach i nastolatkom palącym papierosy.

Uniosła się i zeszła z ławy.

- Przepraszam - mruknęła, nie patrząc nikomu w oczy.

Czuła, że Bill i Julia popatrzyli po sobie, wiedziała, że wysyłają do siebie sygnały, odbywając niemą rozmowę, czy należy pójść za Kate do łazienki, które z nich powinno to zrobić i czy jawnie, czy raczej potajemnie.

- Pójdę z tobą - usłyszała głos Julii. Oczywiście.

Kate przeszła między stołami, odczekała, aż przejadą sanie i przebiegną dwie piszczące dziewczyny, z których jedna dostała właśnie śnieżką w twarz, od czego płynęła jej krew z nosa i łzy z oczu. Duża gęsta kropla krwi skapnęła w zamarznięty śnieg, potem jeszcze jedna, potem kilka mniejszych, które rozprysnęły się u stóp dziewczyny. Pojawiła się jej

matka, rugająca zadowolonego z siebie brata dziewczyny. Przyłożyła chusteczkę do zakrwawionego nosa, a krew rozplýwała się w śniegu. Znów ten sam wzór, to samo drobne pismo. Rozplýwająca się krew.

Kate miała ciężką noc po nieprzyjemnym zakończeniu nieplanowanego spotkania z Torresem w hotelu. Bez wątpienia bała się tego człowieka. Przez całą noc załamywała - mówiąc metaforycznie - ręce, knuła i przeciwdziałała knowaniom.

Zasnęła dopiero wtedy, kiedy coś postanowiła, coś przerażająco ostatecznego, o trzeciej nad ranem. Obudziła się po dwóch godzinach, gdy Jake rozpoczął płaczem swój dzień. Nakarmiła go, usiadła i gaworzyła z synkiem, wpatrując się w niebo jaśniejące nad warownym płotem, który dzielił jej kiepsko utrzymany ogródek od porośniętego chaszczami podwórka wynajmowanej lokatorom miejskiej willi za wschodnią granicą.

Jeszcze o tym nie wiedziała, ale znów była w ciąży. Nieplanowo. Ale też nie niechęący.

Po upływie dwudziestu czterech godzin siedziała w wagonie pociągu Amtrak jadącego do Nowego Jorku. Zajmowała nierezzerwowane miejsce, bilet kupiła za gotówkę w kasie na Union Station, mając na nosie duże okulary ze zwykłymi szklami - jej wzrok nie wymagał szkieł korekcyjnych - a na głowie blond perukę. Wsiadła na Penn Station i powędrowała do centrum miasta - trzydziestominutowy spacer przez zatłoczony Manhattan. W małym sklepiku eksplodującym chińszczyzną kupiła czapczkę Yankees. Wcisnęła ją głęboko na czoło, a jasne loki ocierały się niemal o jej rzęsy.

Weszła do hotelu Waldorf-Astoria nie od Park Avenue, ale przez mniej rzucające się w oczy wejście od Czterdziestej Dziewiętej Ulicy. Wsiadła z windy kilka minut po dziewiętej. Było za wcześnie na ogólne sprzątanie numerów - wielu gości wciąż spało o tej porze. Tylko biznesmeni wyszli z pokoiów. Na piętrze dla hotelowych gości panował spokój.

Wiedziała, że Torres działa zgodnie z meksykańskim rozkładem dnia. Często spóźniał się na spotkania, niekiedy nawet o godzinę. A przed dziesiątą rano nie miał w zwyczaju choćby kiwnąć palcem. Do tej pory nie miała pojęcia, jakim cudem w tym kraju zdołano cokolwiek osiągnąć.

O 9:08 Torres musiał być sam w pokoju. Z pewnością sam.

Nie spotkała nikogo w wyłożonym miękkim dywanem holu aż do drzwi Torresa, przy których trwał na posterunku ochroniarz. Przysadzisty gniewny mężczyzna w tandetnym, czarnym, zdecydowanie za mocno opiętym garniturze. Porannej warty nie pełnili chłopcy z

drużyny A - wielcy i muskularni, sadowiący się wieczorami w restauracyjnych barach. Poranną wartę pełnili chłopcy z drużyny B, w najlepszym razie...

Kiedy znalazła się w odległości kilku kroków od wartownika, uśmiechnęła się do niego powściągliwie, nie zwalniając kroku, nie zatrzymując się, idąc dalej w takim samym tempie, jakby szła gdzieś dalej do innego pokoju w głębi holu. Jednocześnie wyjęła rękę z kieszeni, ostrze sprężynowca było już otwarte, kiedy się zamachnęła, i bez problemu, bez najmniejszego odgłosu przecięło krtań wartownika. Oczy wyszły mu na wierzch, gdy zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, ręka podskoczyła i sięgnęła do boku marynarki, ale już za późno, gdyż ciało osuwało się po ścianie. Podtrzymała go pod pachami, chcąc uniknąć niepokojącego postronnych głuchego łomotu głowy uderzającej twardo o podłogę.

Julia powinna znaleźć się przed Kate, brakowało już czasu i miejsca. Kate potknęła się i zaczęła kuleć.

- Wybacz - powiedziała. - Chyba niechcący podwinęłam sobie skarpetę.

Pochyliła się, unikając spojrzenia Julii, które - jak była pewna - wyrażało to samo, co „gówno prawda”. Ale jeśli Bill wiedział wszystko o Kate, Julia także wszystko wiedziała. Oboje domyślali się z grubsza, kim jest Kyle, przynajmniej w najogólniejszych zarysach. I albo chcą doprowadzić teraz do konfrontacji z Kate, albo jeszcze nie...

Sprawdzała ich, wzywała do wyłożenia kart w tym swoim nazbyt przejrzystym przedstawieniu. Oparła się o krzesło w pustej sali jadalnej. Usiadła. Zwlekała. Bardzo wolno rozpiniała klamry narciarskiego buta, czekając, aż Julia sobie pójdzie, zastanawiając się, czy to zrobi. Zrobiła.

- Ciii - syknęła, wskazując głową damską toaletę. - Siedzi tam. - Pociągnęła Kyle'a korytarzem jak najdalej od drzwi. - Raz-dwa!

- Uważają, że ukradł pieniądze.

Kate spojrzała na gogle wiszące na szyi Kyle'a. Pomyślała o ukrytym mikrofonie, choć nie miała pojęcia, co zdołano by uzyskać z podsłuchiwania tej rozmowy.

- Ile?

- Pięćdziesiąt milionów.

- Co! - O mało się nie zatoczyła na ścianę. - Ile?

- Pięćdziesiąt milionów euro.

Spryskała twarz zimną wodą, spojrzała na siebie w lustrze, na spływające po policzkach krople.

Niedopowiedzenia między nią a Dexterem przeszły granice pojmowania. Narastały każdego dnia przez tygodnie, miesiące i lata, przez cały czas, kiedy byli ze sobą. Ale teraz kłamstwa i tajemnice przyspieszyły. Przyrastały wykładniczo.

Czy może nie powiedzieć o tym mężowi?

Ale z drugiej strony, jak ma mu o tym powiedzieć? Jak ma mu wyjaśnić swoje podejrzenia, podjęte przez siebie działania, swoje kontakty! Czy ma mu powiedzieć o włamaniu do biura Billa? Czy ma mu powiedzieć o Haydenie w Monachium i agencie kierowcy z Berlina, o Kyle'u, który siedzi z nimi przy jednym stole? Przy jednym stole z dziećmi... Jak ma mu to wszystko wytłumaczyć, nie przyznając się do pracy w CIA? Bez otwierania bezdennej puszkii Pandory?

Wpadła w pułapkę, sama się w nią schwytała przez własne uporczywe milczenie.

-...co należy zrobić, co ja muszę zrobić, to postawić się na miejscu włamywacza, hakera. Zastanowić się, jak bym postąpił, gdybym chciał włamać się do systemu.

Dexter rozparł się na ławce - nieogolony, ogorzały od słońca i śniegu, z rozwichrzonymi włosami i rozbieganym spojrzeniem. Tłumaczył Kyle'owi - akurat jemu! - na czym polega jego praca.

- Muszę więc spróbować wykryć słabe punkty. W architekturze systemu? W zaporze? W protokołach uaktualniania oprogramowania? A może w fizycznej lokalizacji, w rozplanowaniu biura, w dostępie do serwera, w zamieszaniu, jakie powstaje w każdym biurze w porze lunchu? Warto też przyjrzeć się podatności na manipulację, zabiegi socjotechniczne. No i przede wszystkim temu, czy pracownicy są przeszkoleni w sprawach bezpieczeństwa. Czy istnieją odpowiednie procedury wybierania, zmieniania i ochrony haseł...

Kate spojrzała na synów, którzy nie zwracając na nic uwagi, objadali się, jakby nie jedli przez tydzień; pakowali pełne łyżki gęstej zupy do ust i siorbiąc, zagryzali bagietką i frytkami. Jake przerwał na chwilę, żeby napić się wody i wziąć głęboki oddech, a potem znów rzucił się na zupę.

Chłopcy byli rumiani, mieli spękane wargi. Kelnerka o wydatnych piersiach nosiła kraciastą bluzkę, a szef tego przybytku stanowił ucieleśnienie radosnej korpulentności.

Wszyscy wyglądali, jakby domalowano ich do tego obrazu, który sam z siebie przypominał filmową dekorację ze starymi saniami, drewnianymi kijkami do nart wiszącymi na ścianach, stertą butelek z winem tuż obok i ogniem płonącym na kominku. Stoły wykonano z grubych nieheblowanych desek, a na nich stały garnki z fondue i półmiski z ziemniakami.

Dexter odsunął od siebie resztki *tartiflette*, kolejnej zapiekanki w odcieniach bieli, i napił się piwa z olbrzymiego kufla, po czym wrócił do wykładu:

- Najlepsi hakerzy nie są jedynie ekspertami w technicznych aspektach projektowania i budowy systemów, nie ograniczają się do portów, kodów i luk w oprogramowaniu. Nie... Tym zajmują się dobrzy programiści. Natomiast dobrzy hakerzy są przebiegłymi socjotechnikami, którzy potrafią zidentyfikować i wykorzystać największą bolączkę w każdym systemie i każdej organizacji: ludzkie słabości.

Kyle słuchał jak urzeczony.

- A kiedy dowiem się, w jaki sposób haker zamierza dostać się do systemu, muszę się zastanowić, jak zamierza z niego wyjść, nie zostawiając za sobą śladów.

Julia i Bill wymienili się szybkimi, ledwo zauważalnymi spojrzeniami.

- Istnieje mnóstwo sposobów na to, by dać się przyłapać, wydobywając dowolną rzecz z dowolnego miejsca. Wiedzą o tym najlepiej ludzie odsiadujący trzydziestoletnie wyroki za napad na bank. Dostanie się do środka i zabranie pieniędzy to najprostsza rzecz pod słońcem. Najtrudniejsze jest, w każdych okolicznościach, wydostanie się na zewnątrz. Bez zostawiania za sobą śladów.

Kate wzięła głęboki oddech i zapukała ostrożnie do drzwi. Ciche uprzejme „puk-puk”. Jak kelner z hotelowej obsługi czy taktowna małżonka.

Tego rodzaju operacja nie mogła trwać dłużej niż pół minuty: szybkie wejście i natychmiastowe wyjście. Wszystko sprowadzało się do całkowitego zaskoczenia. Mocne pukanie do drzwi niweczyło element zaskoczenia.

Liczyła sekundy - sześć, siedem - zmuszając się jednocześnie, by nie zapukać po raz drugi, co także zniwelowałoby element zaskoczenia - osiem, dziewięć - lecz w końcu przekręciła się gałka, drzwi uchyliły się odrobinę, a Kate rzuciła się na nie całym ciałem, nacierając bokiem i ramieniem, odpychając Torresa.

Zatoczył się tyłem do pokoju, usiłując nie stracić równowagi i nie upaść na plecy. Jednocześnie z przerażeniem zdał sobie sprawę, jak bardzo się pomylił. Uświadomił sobie nagle, że jakimś cudem ze wszystkich błędów, jakie popełnił w swoim awanturniczym życiu,

trwającym przez długie, mniej lub bardziej satysfakcjonujące, za to pełne wydarzeń pięćdziesiąt siedem lat, i ze wszystkich ludzi - setek, może tysięcy - jakim wyrządził krzywdę, ten błąd i ta *chica* wezmą na nim ostateczną zemstę. Nigdy nie powinien był wynajmować tego fotografa do robienia zdjęć przez okno salonu w Waszyngtonie. Nigdy nie powinien był drukować tych odbitek matki i synka czytających książeczkę na sofie. Nigdy nie powinien był wyklądać tego zdjęcia na stół w hotelowym barze. Nigdy nie powinien był grozić ani tej agentce, ani jej najbliższym.

Otworzył usta, żeby błagać o życie, ale nie zdążył.

Martwy Torres padał na podłogę - z dwoma wystrzelonymi z pistoletu z tłumikiem kulami w piersi i jedną w głowie - kiedy Kate usłyszała płacz dziecka. Podniosła głowę i ujrzała młodą kobietę wchodzącą do salonu z sypialni.

CZĘŚĆ III

Dziś, 12:49

- Cześć, Kate!

Carolina macha ręką z daleka. Kolejna ekspatka na wąskim paryskim chodniku. Uśmiecha się. Ta - dla odmiany - jest holenderską mamą ze szkoły. I ma - jak wszystkie - duży zestaw dobranych kolorystycznie walizek, kupionych gdzieś w odległości półtora kilometra od miejsca, w którym się spotkały przy rue de Verneuil, sto metrów od surowego Pont Royal, który przecina Sekwanę, prowadząc do Luwru i Tuileries.

Carolina podchodzi, zaczyna wylewać z siebie potoki entuzjazmu i wykrzykników. Łatwo się ekscytuje, ma towarzyskie ambicje i jest hiperprzyjazna, niemal patologicznie otwarta, a jednocześnie stanowi źródło niewysychającego strumienia zaproszeń dla całej lewobrzeżnej społeczności ekspatów. Holendrzy, o czym nie tak znów dawno przekonała się Kate, są bardzo bezpośrednim i prostolinijnym narodem.

Niemal nie zwraca uwagi na to, o czym mówi Carolina, wpatruje się w jej usta, ale nie skupia się na monologu, który ma zdaje się jakiś związek z wyremontowaną kawiarnią za rogiem rue du Bac, a także z pierwszym w tym roku szkolnym babskim wieczorem na mieście oraz tą nową Amerykanką z Nowego Jorku, którą Kate chyba poznała.

Stoi, uśmiechając się i kiwając głową do przyjaciółki, do kobiety, którą zna od roku i którą widuje niemal każdego dnia, a czasem nawet dwa albo trzy razy dziennie, w wielkiej zielonej szkolnej bramie przy brukowanej ulicy, a potem w sąsiedniej kawiarni i restauracji nieco dalej, w *tabac* i *presse* oraz na placach zabaw i w parkach, a także w Musée d'Orsay, na korcie tenisowym i przy kawie, w sklepach, gdy kupuje ubrania dla dzieci i czerwone wino, obuwie, torebki, zasłony i świece, kiedy mówi o opiekunkach i gosposiach oraz odległości między fotelami podczas przelotów przez Atlantyk i zestawach dziesięciu dobranych kolorystycznie walizek.

Kate prawdopodobnie już nigdy nie spotka tej kobiety, a ta rozmowa jest ich ostatnią. Takie jest życie ekspatów: nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś, kogo widuje się każdego dnia, zniknie na zawsze, zamieniając się w jednej chwili w upiora. Wkrótce zapomni się jego nazwisko, kolor oczu, klasy, do których chodziły dzieci. Trudno sobie dziś wyobrazić, że jutro można go nie spotkać, trudno sobie wyobrazić, że samemu jest się jednym z tych znikających bez śladu upiorów. Ale tak właśnie wygląda prawda.

- Zobaczymy się jutro? - pyta Carolina. Według niej to pytanie retoryczne.

- Jasne - odpowiada Kate zupełnie bezmyślnie, choć w głębi duszy wie, że zgadza się

na coś całkiem innego, na plan, który chodzi jej po głowie od godziny.

Wie, że nie będzie potrzebowała weekendowych toreb spakowanych po raz czterdziesty czwarty ani zatankowanego do pełna audi. Jej rodzina nigdzie się nie wybiera. Nie dziś ani nie jutro.

Może żyć inaczej, tutaj. A teraz już wie, jak to zrobić.

Pop!

Kate obróciła się gwałtownie, przestraszona wystrzałem kolejnego szampana otwieranego przez Cristinę, która za bardzo się spieszyła albo była zbyt pijana, by wyciągać korek powoli. Szampan strzelał, a ona zbierała musujący płyn w ręcznik, wycierając nim butelkę i rozlewając wino szybko, niezdarnie i najczęściej obok kieliszków. W kuchni musiało walać się mnóstwo pustych butelek.

To było ich pierwsze spotkanie towarzyskie od powrotu z nart i obiadu z tak zwanymi Macleanami przed tygodniem. Do Luksemburga wrócili poprzedniego dnia.

Cristina napełniła kieliszek Kate - ciężki kryształ. Czy ci ludzie naprawdę mają kryształowe zastawy? Ze szkła wartego z tysiąc dolarów albo i więcej? Żeby korzystać z nich tylko raz do roku? W sylwestra...

W sąsiednim pokoju zauważyła Julię. Po raz ostatni rozmawiały ze sobą w śnieżnej zamieci przed restauracją w kurorcie, wymieniły chłodne wymuszone pocałunki, a Kate nie miała dla niej czasu, bo dzieci były zmęczone, bo Kyle okazał się zaskakująco miłym towarzyszem rozmów, ale nade wszystko męczyła ją nowo zdobyta wiedza, że tych dwoje agentów FBI podejrzewa jej męża o kradzież mniej więcej siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów.

Wciąż nie wspomniała o tym ani słowem Dexterowi.

Na tym przyjęciu rozmawiano głównie po angielsku; wszyscy posługiwali się tym językiem. Ponieważ gospodyni była Dunką, za plecami słyszało się jednak melodyjny zaśpiew nieodróżnialny od szwedzkiego czy norweskiego i zupełnie inny od twardego holenderskiego i niemieckiego. Kate dawała sobie radę z językami romańskimi, potrafiła się porozumiewać niemal w każdym z nich, nawet w szeleszczącym portugalskim, w którym są bardzo pokrętne dźwięki. Ale języki północy brzmiały dla niej jak bełkot.

Julia spojrzała na nią z daleka. Kate wzięła głęboki uspokajający oddech.

Dexter miał na sobie džinsy i czarną koszulę, podobnie jak kilku innych obecnych na przyjęciu mężczyzn. Ale Dexter jako jedyny nie wpuścił koszuli w spodnie, natomiast pozostali byli ciasno spięci w pasie szerokimi paskami, które miały sprzączki będące symbolami statusu, zaopatrzone w srebrne czy złote logo, duże szeryfowe „H” czy zamknięte ze wszystkich stron „G”. Chodziło o to, żeby pochwalić się sprzączkami. Dexterowi nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby kupić sobie coś takiego i wpuścić koszulę w spodnie tylko po to,

by pokazać sprzączkę. Jej mąż był inny, znała go, nie był taki jak tamci. Choć przecież nie znała go do końca...

Rozejrzała się, obserwując mężczyzn. Bankierzy z platynowymi zegarkami na nadgarstkach, w półbutach ze skóry aligatora; w dzinsach z dzinsowego stretchu i jedwabno-bawełnianych koszulach z ręcznie obrębianymi dziurkami i opalizującymi perłowymi guzikami. Rozmawiają o smarach do nart i świetnie wyposażonych górskich chatach w Szwajcarii, o willach w Hiszpanii i przelotach pierwszą klasą do Singapuru, przyszłorocznych modelach audi i jaguarach kolejnej generacji. O dolarach przeciwko euro, raportach zysków, krótkoterminowych lokatach. Pieniądze! Jak je zarabiać, jak je wydawać, jak je przejadać, przepijać i jak się z nimi obnosić. Na Gwiazdkę Dexter sprezentował Kate zegarek: złoty, na skórzanym pasku, prosty i elegancki. Cena była w *vitrine* przy rue de la Boucherie, każdy w mieście mógł ją sprawdzić: dwa tysiące sto euro. Wszyscy mężowie wybierali się na zakupy do miasta dwa razy w roku - na święta i na urodziny żon. Oglądali witryny sklepów przy tych samych ulicach, zatem każdy, kogo to obchodziło, wiedział dokładnie, ile kosztuje torebka: ta średniej wielkości dziewięćset dziewięćdziesiąt euro; ta z większymi kieszeniami tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt.

No i te kobiety, te matki... wszystkie te były prawniczki i były nauczycielki, były terapeutki i były specjalistki od PR. Obecne ekspatki. Kucharki i sprzątaczkę, kupujące i chadzające na lunche. Prezentujące metki z cenami - projekcje męzkowskich dochodów oraz męzkowskich dobrych chęci, by wydawać pieniądze na nic. Na małżeńską dobrą wolę.

Czy Dexter stał się jednym z nich za plecami Kate? Jeśli tak, nadal to ukrywał. A Kate wciąż mu na to pozwalała. Bo konfrontacja z nim - kiedy jedynym pewnikiem było to, że jest podejrzanym w śledztwie prowadzonym przez FBI - nie wyszłaby nikomu na dobre. Kate będzie musiała odkryć prawdę. Ma do tego prawo. I umiejętności. Co więcej, ma dostęp do jego komputera, jego rzeczy, planów. Do jego przeszłości. I umysłu.

- Cześć, Kate - przywitała ją Julia.

Kate nie potrafiła rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Nie umiała określić, na jakim poziomie prawdy, lub w jakich głębinach zakłamania, znajdują się - za obopólną zgodą - obecnie, tutaj, na pełnym ludzi przyjęciu. Uczciwość jest obopólnym continuum.

Czy Julia wie, że Kate odkryła, że jest agentką? I zna cel jej misji?

Kate przełknęła dumę czy też niesmak. Własny instynkt opiekuńczy i własną wrogość.

- Cześć, Julio.

Czy to największa samotność? Wśród ludzi, w oceanie fałszu, gdy nie da się z nikim zamienić jednego szczerego słowa. Przelotne znajomości, przypadkowi znajomi i przyjaciele... nawet jej wybrany... towarzysz życia... jedyna osoba na świecie, jej partner, sprzymierzeniec, jej cały świat. Odrzucił głowę do tyłu w beztroskim śmiechu, przekrzywiły mu się okulary, potargany szczyrzył zęby. Tak bardzo go kochała. Nawet kiedy go nienawidziła.

Myślała o mężu, o tajemnicach między nimi, o tworzonym przez to dystansie. O swoich tajemnicach, o swoim sekretnym życiu. O szpiegowaniu, którego się wobec niego dopuściła i które planowała dalej. O potężnej ścianie nieprawdy rosnącej każdego dnia, z każdą rozmową, której nie odbyli, z każdym faktem, do którego się nie przyznała.

Wspięła się po schodach. Po cichu, sama, minęła piętro rodziców i znalazła się na piętrze dzieci w niedostępnej postronnym łazience. Plastikowe gówienia w ostrych kolorach na krawędzi wanny, butelki z szamponem i obrazkami z nieznanymi filmów rysunkowych, produkowanych we Francji, Niemczech, może w Danii. Kilka tubek pasty w różnych stadiach lepkiego, popękanego, obrzydliwego wyciśnięcia - jedna z tych rzeczy, których nigdzie na świecie nie da się uniknąć w dziecięcej łazience.

Usiadła. Po drugiej stronie wyłożonej kafelkami łazienki znajdowało się duże lustro - zaproszenie albo wezwanie do oglądania własnej nagości. Spojrzała na siebie, w ubraniu, w czarnej spódnicy i nylonach, w czarnym sweterku, z rzucającym się w oczy naszyjnikiem i przesadnymi kolczykami, z tym całkiem nowym drogim zegarkiem na rękę. Głupie ozdoby.

Teraz wszystko wydało się jej tak oczywiste. To zrozumiałe, że pociągał ją mężczyzna, który wiódł własne sekretne życie. To zrozumiałe, że podobał jej się ktoś, kto ukrywa coś pod powierzchnią, coś nieprzyzwoitego gdzieś w głębi.

Zmusiła się, by uwierzyć, że zostawia to wszystko za sobą, wybierając Dextera, że zostawia za sobą świat, w którym ludzi definiuje się przez ich dwulicowość. W jej pełnym oszustw życiu to okazało się największe: to, w jaki sposób oszukała siebie.

Dexter powiedział, że najlepiej atakuje się, wykorzystując ludzkie słabości. Kate zawsze wiedziała, że ma słabe punkty. Każdy to wie. Ale do tej pory nie wiedziała gdzie... Teraz już wie.

Czy w ogóle znała swojego męża?

Znów się rozplakała.

Trzasnęły drzwi. Dexter wyszedł. Szedł do pracy po raz pierwszy od świąt. Do biura,

do którego włamała się Kate. Do komputera, do którego nie zdołała się włamać. Do akt, które przeglądała. Do kamery zawieszanej w rogu.

Był dzień po Nowym Roku. Pierwszy dzień powrotu do rutyny, odkąd Kate dowiedziała się, że jej mąż jest przestępcą, takim czy innym. Z powrotem do zakupów, dźwigania toreb, wypakowywania, przechowywania. Ładowania i rozładowywania zmywarki. Sortowania i składania prania sztuka po sztuce. Białe i jasne, ciemne i kolorowe.

Rano wszystko pokryło się cienką warstwą lodu, niewidoczne niebezpieczeństwo czyhało na każdej równej powierzchni, samochody ślizgały się po niej i wpadały na siebie, na wąskich uliczkach i na autostradach, na stromych rampach podjazdów. Kate dziękowała Bogu, że mieszkają w centrum, gdzie auta spieszących się wcześniej do pracy bankierów rozjeździły lód, zanim sama punktualnie o ósmej usiadła w podgrzewanym fotelu auta. Mijała ofiary. Porsche, które zatrzymało się na kamiennym murku. Ferrari odrywane od drzewa. Wszędzie w ciemnoszarej mgle mrugały światła awaryjne.

Dexter był już w biurze. Jeśli na początku sprawdzał nagrania wideo, musiał już wiedzieć.

Setki razy zerknęła na ekran telefonu, obawiając się, że nie zauważyła połączenia, spodziewając się poczty głosowej, w której usłyszy: „Co, do kurwy nędzy, robiłaś w moim biurze?!”. Ale nic takiego nie nastąpiło. Jediną osobą, która zadzwoniła, była Julia. Kate nie odebrała, a Julia się nie nagrała.

Dexter wyszedł do pracy później niż zazwyczaj, a teraz wrócił do domu wcześniej, niż się go spodziewała.

- Rano lecę do Londynu - powiedział. - To będzie moja ostatnia delegacja przez pewien czas. Ostatnia podróż służbowa. Pamiętasz, że wybieramy się do Amsterdamu na weekend?

- Oczywiście - odpowiedziała Kate.

Wyjazd do Amsterdamu przygotował Dexter. W Holandii miał pojawić się przejazdem jego stary kolega, kumpel z początków kariery w firmie dostarczającej usługi internetowe. Odnaleźli się na jakimś portalu społecznościowym. Pomyśleli, że fajnie będzie się spotkać po tylu latach. W Europie.

Był to pierwszy rodzinny wyjazd, którego Kate nie zaplanowała z domu. Z laptopa, z którego Julia korzystała kiedyś przez dziesięć minut, żeby sprawdzić pocztę, kiedy wysiadł jej Internet.

Dexter wstał przed świtem. Kate została w łóżku, bez ruchu; wpatrywała się w ciemną ścianę, kiedy brał szybki prysznic, kiedy się ubierał. Wstała, kiedy usłyszała zamykające się drzwi.

Rozpoczęła śledztwo w ciemnościach przed wschodem słońca. Od komputera. Zalogowała się do całkiem legalnych kont bankowych w Luksemburgu i w Waszyngtonie. Amerykańskie konto osobiste było zabezpieczone w stopniu minimalnym - wystarczyła nazwa użytkownika i hasło. Konto w Luksemburgu było bardziej skomplikowane, logowanie wymagało podania długiego abstrakcyjnego loginu, składającego się z losowo dobranych liter i cyfr. Potem równie arbitralne hasło. Ale to nie koniec, gdyż chcąc wykonać jakąkolwiek czynność na koncie, Kate musiała posłużyć się skomplikowanym kodem dostępu, który wylaniał się na specjalnej karcie kluczu z odpowiedniej, żądanej przez system kombinacji liter i cyfr.

Jeśli takie wymogi stosuje się wobec konta z jedenastoma tysiącami ośmiuset dziewiętnastoma euro, Kate mogła sobie wyobrazić złożoność dostępu do konta z pięćdziesięcioma milionami euro. Pięćdziesięcioma milionami skradzionych euro. Kody dostępu do takiego konta były zbyt skomplikowane, by Dexter - czy ktokolwiek inny - mógł je zapamiętać. Gdzieś zatem musi być zapis cyfrowych kodów i protokołu bezpieczeństwa. Z pewnością nie w biurze Dextera w ogólnie dostępnym budynku w centrum miasta, otoczonym przez instytucje i organizacje strzegące prawa. Do biura można się było włamać, budynek można było zamknąć, przejąć lub wysadzić w powietrze.

Dexter musi przechowywać te informacje w domu.

Kate zaczęła otwierać i zamykać każdy plik na twardym dysku, na dyskach współdzielonych i w chmurze. Szukała plików, które nie były jej plikami, szukała informacji o koncie, które nie należało do niej.

Po upływie godziny obudzili się chłopcy. Głodni. Niczego jeszcze nie znalazła. Spodziewała się tego. Dexter ciągle powtarzał, że żaden komputer nie jest bezpieczny; ale Kate musi być cierpliwa. I dokładna.

To musi być gdzieś tutaj...

Przejrzenie segregatorów z domowego biurka, każdej kartki, każdej koperty i każdej teczki w poszukiwaniu odręcznych notatek zajęło jej dwie godziny. Przebiegała wzrokiem po kartkach formatu A4 - wydrukach z drukarki - po bazgrołach na rachunkach telefonicznych, po wszystkim, na czym Dexter mógł zapisać kody.

Nic.

Zabrała się za książki, które Dexter przywiózł do Europy: kilka powieści, słowniki, przewodniki, poradniki techniczne. Przekonała się - to była jedyna rzecz, jaką odkryła - że Dexter uwielbia kilka fragmentów ze *Sprzysiężenia osłów*[6].

Przejrzała każdy domowy notes, małe notesiki chłopców, notesy średnie i wielkie zeszyty do rysowania i szkicowania. Starala się nie studiować synowskich arcydzieł, szczególnie Bena, który w swej twórczości przechodził okres fascynacji skarpetkami.

Potem amerykańskie książeczki czekowe, dowody wpłaty, paragony kasowe. Albumy fotograficzne. Paszporty dzieci. Szuflady przy łóżku. Apteczki. Kieszenie marynarek. Szuflady w kuchni.

Nic.

Dexter wrócił z Londynu o wpół do jedenastej. Zmęczony. Wyglądał tak, jakby wyjechał z domu przed wiekami, a nie tego ranka. Nie rozmawiali za wiele - lot był całkiem dobry, spotkanie w porządku - bo Dexter niemal od razu powędrował do łóżka z książką w twardej oprawie, coś o rynkach finansowych.

Nadal nie wspomniał o nagraniu z kamery w biurze. Nie mówił o niczym, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

Położyła się obok niego, podniosła jakieś czasopismo, zajrzała do spisu treści, przewertowała kilka stron, usiłowała czytać, choć tylko przesuwiała wzrokiem po słowach i obrazach.

Dexter wkrótce zasnął. Kate nie odrywała wzroku od magazynu, zyskując na czasie, przekładając cicho stronicę, wpatrując się w fotografie, dekonstruując je na składowe piksele, abstrakcyjne kształty i kolory. Było to kolorowe amerykańskie czasopismo sprzed dwóch miesięcy, stare plotki o celebrytach, pozbawiony sensu komentarz kulturalny i długie artykuły polityczne, które - jak się wydawało Kate - mówiły nie tylko o obcym kraju i kontynencie, ale i o zupełnie obcym świecie. O planecie, na której kiedyś mieszkała, a teraz nie mogła jej w ogóle rozpoznać.

Odczekała pięć minut od chwili, w której Dexter zaczął chrapać. Potem wysunęła się z łóżka.

Zeszła po ciemku na dół. Zabrała jego portfel do łazienki, zamknęła się w niej. Wyjęła z portfela wszystko, każdą rzecz jedną po drugiej: karty kredytowe, dowody tożsamości, paragony, banknoty różnych walut.

Przyjrzała się wszystkiemu i nic nie znalazła.

W kuchni zdjęła z haczyka ściereczkę, zaniósła ją do biurka, na którym leżał ładujący się telefon komórkowy Billa. Mrugał czerwonym światełkiem. Owinęła telefon w ściereczkę, by zagłuszyć sygnał odłączania od ładowarki. Poszła z telefonem do łazienki i usiadła na toalecie, przeglądając listę kontaktów, notatki i ostatnie połączenia, każdą aplikację, która umożliwia wpisywanie danych i zachowywanie ciągów liter i cyfr.

Odkryła, że Dexter nigdzie nie dzwonił w Londynie. Przeglądając listę połączeń z minionych sześćdziesięciu dni, przekonała się, że jej mąż nie dzwonił za granicę podczas podróży służbowych. Jedynym wyjątkiem były telefony do niej.

Zamknęła telefon, zastanawiając się nad osobliwością wyjazdów służbowych, podczas których nie wykonuje się ani jednej służbowej rozmowy telefonicznej. Podczas których nie dzwoni się do sekretarek, żeby potwierdzić spotkania, nie aranżuje się żadnej logistyki, nie wynajmuje samochodów i nie rezerwuje stołów w restauracjach. Nie podsumowuje ani nie dokonuje przeglądu spotkań. Nie zapisuje szczegółów do omówienia, nigdy, z nikim?

To wydawało się mało prawdopodobne.

To było niemożliwe.

Więc albo nigdzie nie wyjeżdżał, albo miał inny telefon.

Kiedy Kate wyobrażała sobie kiedyś, czego nie będzie robić, czego robić nie chce i jak nie zamierza szpiegować Dextera, widziała przed oczami właśnie to: chodzenie na paluszkach po domu w środku nocy, przeglądanie prywatnych rzeczy męża, kiedy ten śpi.

Właśnie dlatego obiecała sobie, że kiedy wezmą ślub, będzie mu ufała. Nie chciała go śledzić, nie chciała czuć się szpiegiem.

Ale teraz znów szła do łazienki z jego aktówką i zamykała starannie drzwi. Wsunęła dłoń do wewnętrznych kieszeni, rozpinęła zamki, zatrzaśki, rzepy, nie spodziewając się, że znajdzie cokolwiek. Gdy nagle... co? Jedwabna wstążka na dnie teczki...

Puls Kate przyspieszył. Pociągnęła za ten kwadratowy czarny centymetr jedwabiu, czyżby coś... Uniosła mocny panel i ujrzała... ukrytą przegródkę. A w środku... telefon. Nieznane jej plastikowo-metalowe urządzenie.

Wpatrywała się jak urzeczona w pierwszy prawdziwy dowód jak w wejście do króliczej nory, z której nigdy się nie wyłoni. Zastanawiała się nad schowaniem telefonu na powrót do tajnej przegródki i odniesieniem aktówki do holu. Mogła też pójść na górę, potrząsnąć mężem i zapytać: „Co się, kurwa, dzieje, Dexter?”.

Ale nie zrobiła tego.

Włączyła telefon. Ekran ożył. Wpatrywała się w jasnoniebieską poświatę, ikony aplikacji, wykres zasięgu. Nacisnęła ikonę telefonu i listę ostatnich połączeń. Wpatrywała się w nią, a wejście do króliczej nory zamykało się za nią na wieki...

Marlena, wczoraj o 9:18.

Marlena, przedwczoraj o 19:04.

Londyński numer, kod kraju-miasta 44-20, niezachowany w kontaktach o 16:32.

Dzień wcześniej Marlena i znów Marlena w poniedziałkowy wieczór.

Kate otworzyła listę kontaktów: tylko dwie osoby: Marlena z londyńskim numerem telefonu i Niko z prefiksem, którego nie znała. Zapamiętała oba numery.

Marlena i Niko. Kim byli, do cholery?

Dexter wstał późno. Zjadł śniadanie z Jakiem i Benem i nie poszedł na górę, żeby wziąć prysznic i się ogolić, dopóki nie wyszli do szkoły. Po czterech miesiącach niepoprawnego pracoholizmu stał się nagle leniem?

Ale kiedy Kate wróciła do domu, Dextera nie było. Poszedł sprawdzać nagrania z kamery, która ją, Kate, zarejestrowała. Poszedł gromadzić ulotki dla inwestorów w swym niepojętym biurze. Poszedł dzwonić z tajnego telefonu do dwóch nieznanym osób w sprawie pięćdziesięciu milionów skradzionych euro. Wrócił do swojego drugiego życia.

Kate czuła ucisk w piersi.

Zabrała się do pracy. Zeszła do piwnicy, gdzie zmagazynowali całą amerykańską elektronikę, która tutaj nie działała. Zbadała tył starego telewizora, wnętrza abażurów do lamp, gniazdko tosterka, filtry do kawy. Karton ze starymi naczyniami i pojemnikami Tupperware, kieliszkami nie do pary, chińskimi miseczkami kupowanymi impulsywnie i bez zastanowienia. Letnie opony do auta. Pompkę do roweru. Walizki. Przywieszki do walizek.

Pośród tych nieużywanych i nienadających się do użytku śmieci był karton na ubrania z napisem UBRANIA DO PRACY KATE: ciemne wełniane kostiumy i wykrochmalone białe bluzki z lekko przetartymi kołnierzykami. Jej stare życie ukryte w kartonie i zapomniane w piwnicy.

Poszła do piekarni i zamówiła kanapkę z szynką. Czekaając, zastanawiała się, jak sprawdzić Marlenę i Niko, jeśli nie najprościej - dzwoniąc do nich. Ale połączenie można sprawdzić, mogłaby zostać odkryta.

Jeśli Dexter nie sprawdzał nagrań z kamery w biurze, kto to robił? Czemu służyła ta kamera?

Zajrzała do jego szuflad ze skarpetkami, majtkami i podkoszulkami. Do kieszeni

dżinsów i marynarek, a potem płaszczy. Do wnętrza pasków spodni. Pod podszewkę krawatów. Do środka butów, pod obcasy, pod podbicia.

Odebrała dzieci ze szkoły, kupiła ciasteczka, a potem usadziła chłopców przed telewizorem, przed francuskimi filmami rysunkowymi. *Bob l'Eponge* był, jak się wydaje, nadawany o każdej porze.

Przeglądała wnętrza płyt kompaktowych, duże kieszenie w albumach fotograficznych, tyły zdjęć, siedząc na sofie z chłopcami.

- Mamusiu - powiedział Jake. - Jestem głodny.

Zapomniała nakarmić dzieci.

Nie usłyszała wchodzącego Dextera. Tuż nad jej głową szumiał wyciąg. Podsmażała mięso.

- Cześć.

Podskoczyła. Jej prawa dłoń - przykuta do patelni - szarpnęła do góry, unosząc naczynie, podrzucając kurczaki, zrzucając pokrywkę na jej przedramię, parząc ją, zmuszając patelnię do lotu na kuchenny vitroceramiczny blat. Krzyknęła - krótko i głośno.

- Och...! - zawołał Dexter, wbiegając do kuchni. Szybko oklapł, był bezradny, nie wiedział, jak pomóc.

Kate podbiegła do zlewu, odkręciła wodę, wsunęła przedramię pod chłodny strumień.

- Przepraszam - powiedział. - Bardzo przepraszam.

Na kilka sekund zapomniała o kamerze w biurze, pieniądzech, Marlenie i Niko. Ale po chwili przypomniała sobie o wszystkim.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Przepraszam... - powtórzył i kucając, wyrzucał kawałki kurczaka zebrane z posadzki. Potem zebrał te z blatu i wrzucił je na patelnię.

- Te możemy zjeść, prawda?

Kiwnęła głową.

- Mam przynieść apteczkę?

Bładoczerwona kreska biegła przez pięć centymetrów białej skóry po wewnętrznej stronie przedramienia. Trzymała rękę pod strumieniem zimnej wody.

- Tak. Dzięki.

Spojrzała na męża. Zajrzała mu w oczy, widziała zatroskane czoło. Dexter nigdy nie oparzył się przy gotowaniu. Za mało gotował, by przeżywać tego rodzaju przygody. Nigdy

nie zaciał się w kciuk skrobaczką do warzyw, nie przeciął sobie opuszcza nożem do mięsa, nie poparzył dłoni wrzątkiem czy gorącym olejem.

Jedyne, co potrafił, to ukraść pięćdziesiąt milionów euro.

Zjedli obiad. Dorośli poczytali trochę dzieciom, potem czytali sami, a potem Dexter usnął, nie zająknawszy się o żadnym nagraniu z kamery.

Leżała obok niego. Nie spała.

Marlena i Niko.

- A Dexter? - zapytała Claire. Czekają w szkole, aż wybije trzecia.

- Dexter? - powtórzyła Kate. Była zamyślona, kompletnie pochłonięta własnymi obsesjami. Nie znalazła do tej pory niczego godnego uwagi: żadnych danych konta, żadnych wskazówek co do tożsamości Marleny i Niko, żadnych wiadomości o tym, żeby ktoś ukradł komuś pięćdziesiąt milionów euro - gdziekolwiek na świecie. Poza tym wyjeżdżali wieczorem do Amsterdamu, a Kate nie zdążyła jeszcze spakować rzeczy. Dexter wróci do domu o wpół do piątej gotowy do drogi. Brakowało jej czasu.

- Mówiłam, że Sebastian do niczego się nie nadaje. W domu. A Dexter?

- Nie... - przyznała Kate. - Nie jest pożyteczny. Robię wszystko sama.

- Składałaś te śmieci z Ikei? - spytała Claire. Kate złożyła kiedyś komodę składającą się z trzystu osiemdziesięciu ośmiu części.

- Tak - przytaknęła. Zajęło jej to cztery godziny.

- Sebastian czasem próbuje - powiedziała Claire. - Ale muszę go prosić. Błagać na kolanach.

- Tak samo jest z Paolem - oznajmiła Sophia.

- I z Henrikiem - dodała Cristina, pochylając się lekko i przyciszając głos. - Muszę mu obciągnąć, żeby wymienił żarówkę.

Kate wiedziała, że Cristina żartuje. Ale może to nie był głupi pomysł, bo Dexter nigdy niczego nie naprawiał...

Chwileczkę... Nigdy? Nagle zdała sobie sprawę, że kiedyś zabrał się do jakiejś naprawy... Nieproszony... Jeden jedyny raz!

Wyrzuciła majtki i skarpetki na łóżko, potem koszule i spodnie, swetry i bluzy... nigdy nieskładane.

Natarła elektrycznym śrubokrętem... bzzzz-bzzzz... na jedną śrubę i drugą, wyjmowała panele, obracała płyty wiórowe, płyty z włókna, z plastiku. Rozbierała komodę w pokoju chłopców, jedyny mebel z Ikei, którym zainteresował się Dexter dawno po jego złożeniu pod pretekstem tak zwanej naprawy... kiedy to było...? Przed miesiącem? Dwoma? Naprawa, jak zauważyła już wtedy, nie była konieczna.

Odwróciła ramę komody do góry nogami, pochyliła się nad dnem, prostokątem z przypominających deski płyt, który nadawał meblowi kształt. Odkręciła je, jedną płytę od drugiej, rozsunęła.

Nic. Nie mogła w to uwierzyć. Była pewna... była stuprocentowo pewna... że coś tutaj znajdzie.

Przyjrzała się wcięciom na końcu paneli, zajrzała do dziurek na śruby, które je spajały, do pierwszej i do drugiej.

Westchnęła.

Na końcu jednej z nóg znalazła... znalazła...? Szparę. Szparę, której nie zauważyła, kiedy komoda stała normalnie. Spróbowała wsunąć do niej palec, nie da rady... Mały palec? Też nie... Chwyliła śrubokręt i wepchnęła go do środka, przekrzywiając czubek, pchając i wypychając... wysuwając...

Spadł na dywan. Kawałeczek papieru złożony w maleńki prostokącik.

Leżał na dywanie.

Podniosła go, ten maleńki kawałek papieru, i rozłożyła do wielkości papierka po gumie do żucia. Wpatrywała się w bezsensowny ciąg zapisanych odręcznie liter i cyfr.

Na zegarku Kate - droгим świątecznym prezencie - była 15:51. Rozejrzała się po rozbebeszonym pokoju chłopców: wszędzie wałały się rzeczy, rozłożone elementy komody, narzędzia porozrzucane po podłodze.

Dexter wróci do domu za czterdzieści minut - trzydzieści dziewięć - gotów do wyjazdu do Holandii.

Trzymała w ręku zwitek papieru. Położyła go na podłodze. Wyjęła z kieszeni komórkę, sfotografowała karteczkę, sprawdziła, czy litery i cyfry są widoczne na zdjęciu. A potem złożyła ją i wsunęła w szparę, w której była ukryta.

Sięgnęła po śrubokręt i przywołała w pamięci instrukcję składania komody z Ikei, skręcała panele, wbijała zatyczki, dokręcała śruby, spieszyła się.

O 16:02 w drzwiach stanął Jake.

- Co robisz, mamusiu?

- Nic, kochanie.

- *Bob l'Eponge* się skończył.

Bzzzz-bzzzz.

- Zaraz zacznie się inny film.

- Ale ja go nie lubię.

Bzzzz-bzzzz.

- Nic na to nie poradzę.

- Możesz zmienić kanał.

- Jasna cholera, Jake! - wrzasnęła bez ostrzeżenia. Jake skurczył się w sobie ze strachu. - Muszę to skończyć. Pozwól mi skończyć to, co zaczęłam!

Rozplakał się i odszedł. Czuła się okropnie. Działała w panice.

O 16:13 zrekonstruowała ramę.

Westchnęła z lekką ulgą. Ile czasu potrzebuje na szuflady? Zabrała się do pierwszej, mierząc czas. Szuflada okazała się bardziej skomplikowana, niż się spodziewała, i zajęła jej cztery minuty. Szuflad było sześć.

Spieszyła się. Z drugą było łatwiej - nauka nie poszła w las - ale wciąż miała mnóstwo śrub do przykręcenia. Mniej niż trzy i pół minuty. Ale nie zdąży...

- Mamusiu... - Tym razem Ben.

- Tak... - Nie odwracając głowy do syna.

- Tatuś to naprawiał.

- Wiem - rzuciła. - To prawda. Naprawiał komodę ostatnim razem.

- I źle naprawił? Musisz poprawiać?

Chryste! Jak mu to wytłumaczyć...

- Nie - powiedziała. - Naprawił dobrze, tylko komoda znów się zepsuła.

To jest problem. To jest poważny i zupełnie niespodziewany problem. Wstała i podeszła do syna.

- Ale nie mów o tym tatusiowi, dobrze?

- Dlaczego?

- Bo będzie mu przykro.

- Że ją źle naprawił?

Tak, pomyślała. Bardzo źle.

- Tak, synku.

- Aha.

- Ale zachowajmy to w sekrecie, dobrze?

Prosi dziecko, żeby okłamywało ojca! To już zwykłe kurewstwo...

- Okay! - Ben uśmiechnął się. Uwielbiał sekrety. Wyszedł.

Trzecia szuflada zajęła jej dwie minuty. Tyle samo trwała rozmowa z Benem. Była już 16:27.

Rozejrzała się bezradnie. Dexter się spóźni. Musi się spóźnić. Nigdy nie wracał punktualnie do domu.

Z wyjątkiem dni, w które wyjeżdżali.

Nie da rady tego skończyć. Chwyciła przód szuflady, wepchnęła w niego boki i dno, bez śrub, bez tylnej deski, wsunęła szufladę do komody. Powoli, bardzo powoli... Przód odpadł. Spadł z łomotem na podłogę.

- Tatuś! - Na dole.

Podniosła przód. Wepchnęła go na miejsce, dobiła pięścią. Trzymał się.

- Cześć! - krzyknął Dexter z dołu. W górę schodów.

- Cześć - odkrzyknęła. Powtórzyła operację dobijania z kolejną szufladą. Słyszała rozmowę ojca z synami na dole, ale nie dosłyszała, o czym mówili. Zupełnie jak dorośli w *Fistaszkach*.

Dobiła pięścią następną szufladę.

Usłyszała skórzane podeszwy butów na kamiennych schodach.

Została jej jeszcze jedna. Nie zdąży, nie zdąży nawet zebrać do kupy kawałków.

Podniosła prawą ręką przód szuflady, najniższej. Lewą przyciągnęła do siebie plastikowy kosz z klockami lego. Włożyła przód na miejsce i dopchnęła koszem, przytrzymała.

- Gotowi? - pytał Dexter ze szczytu schodów. Właśnie skręcał za róg.

Rozejrzała się po bałaganie: ubrania - kurwa! - skrzynka z narzędziami! Chwyliła pomarańczową narzutę z łóżka Jake'a i rzuciła ją na skrzynkę dokładnie w tej samej chwili, w której Dexter stanął w progu.

- Gotowi? - zapytał i rozejrzył się po pokoju. - Co tu się dzieje?

Kate odgarnęła kosmyk włosów z czoła, ukryła go za uchem.

- Sortowałam rzeczy chłopców. Z tyłu już wyrosli... Trzeba się ich pozbyć.

Zatrzymał wzrok na komodzie. Nie dosunęła jej dobrze do ściany.

- He?

- Zajęło mi to zbyt dużo czasu. Przepraszam.

Przeszła przez pokój jak najdalej od komody, jak najdalej od miejsca zbrodni. Podniosła turystyczną torbę, którą przyniosła rano do pokoju chłopców - dlaczego rano jej nie spakowała? - postawiła ją na łóżku.

- To zajmie mi minutę - powiedziała. - Jesteś spakowany?

- Tak... - mruknął. - Spakowałem się rano. A ty?

Pokręciła głową.

- Posłuchaj... - powiedział, chwytając torbę -...ja spakuję chłopców, a ty...

Odebrało jej mowę.

- Które z tych rzeczy są za małe? - zapytał niespodziewanie.

- Eee... już je wyrzuciłam.

- Aha... - Uniósł brwi. - Gdzie je wyrzuciłaś? - Podejrzliwie? Czy jest zwyczajnie ciekaw?

- Do tego... no... tam na dole... pojemnika na tekstylia. I takie tam. W piwnicy.

- Można tam wrzucać odzież? Sądziłem, że to pojemnik na stare ręczniki. Pościel. Grubsze rzeczy.

- Na odzież też - powiedziała z naciskiem. - Oni to potem sortują. - Nie miała pojęcia, o czym mówi.

- Aha... Okay... - Położył jej dłoń na ramieniu. - Idź się spakuj.

I co teraz? Jak go stąd odesłać? Jak posłać go na dół do chłopców? Czy uwierzy w zmyślane na poczekaniu kłamstwo, które ma zapobiec zostawieniu go samego w tym pokoju? Nie.

Czy chciał tu zostać sam? Czy zdawał sobie sprawę z tego, co tutaj zaszło?

- Dzięki - powiedziała. - Przepraszam, że nie zdążyłam spakować się wcześniej. - Wyszła, skręciła za róg i przystanęła, nasłuchując. Co robi? Nie usłyszała niczego nadzwyczajnego, szelest, oddech. Żadnego szurania plastikowym koszem z klockami lego, żadnego łomotu wypadającej szuflady.

Zebrała rzeczy najszybciej jak się dało. Wyjeżdżali tylko na dwie doby. Jak do Strasburga, Brugii, Kolonii. Robili to już tyle razy, że wiedziała, że nie trzeba przesadzać z ubraniami, nie trzeba zabierać ich zbyt wiele. Ta podróż nie będzie inna od wyjazdu z domu na cały dzień. Dwa razy.

Zaniosła swoje rzeczy do pokoju chłopców. Praktycznie pobiegła korytarzem, zaniepokojona do granic.

Dexter stał na środku pokoju. Składał pomarańczową narzutę Jake'a.

Otwarta skrzynka z narzędziami. Odkryta. Elektryczny śrubokręt na dywanie obok pomarańczowo-czarnej plastikowej skrzynki.

Dexter spojrzał na nią, nie przerywając składania. Nie odezwał się ani słowem.

Przeszła przez pokój do łóżka Bena, na którym stała turystyczna torba, otwarta, wypełniona do połowy rzeczami chłopców. Włożyła do środka swoje rzeczy, zasunęła zamek.

Widziała, jak Dexter kładzie złożoną narzutę na łóżku, a potem wychodzi. Znów bez słowa. Zerknęła na komodę. Dolna szuflada, nieprzykręcona do ramy, wysunęła się odrobinę. Ciągle opierała się o plastikowy kosz i nie wypadła na podłogę. Ale każdy, kto na nią spojrzał, miał pewność, że na niczym się nie trzyma. Że wypadła wcześniej albo ją wyjęto. Że coś było nie tak.

Czy Dexter spojrzał?

Kanały Amsterdamu migotały w poświacie chłodnego wieczoru, a woda była jak pofałdowana kołderka z punkcików światła - odbijających się w niej latarni, restauracji, barów, domów. Okiennice były otwarte, zasłony rozsunięte, ludzie siedzieli w salonach i jadalniach, czytali gazety lub pili wino, jedli rodzinne obiady lub oglądali telewizję, a wszystko to na oczach sąsiadów, przechodniów i całego świata.

Dexter znalazł miejsce do parkowania w pobliżu hotelu, nad kanałem, do którego podjeżdżał wolniutko i ostrożnie, gdyż między trzymetrową przepaścią kanału a wybrukowaną ulicą nie było żadnej barierki. Za czterdzieści pięć euro kupił w parkomacie bilet parkingowy i położył go w środku przed szybą; bilet był ważny całą dobę. Przed kilkoma miesiącami nie wiedziałby, jak to zrobić. Teraz nie miał z tym najmniejszego

problemu, choć instrukcję obsługi parkomatu napisano w języku, którym się nie posługiwał. Sprawnie wciskał guziki, podawał karty kredytowe i gromadził grube bilety w portfelu, żeby pokazać je maszynie przy wyjeździe, lub też - te cieńsze - położyć przed szybą, żeby spadły z deski rozdzielczej, kiedy tylko otworzy się drzwi i zawieje wiatr.

Był teraz znacznie bardziej kompetentny w wielu dziedzinach życia niż niegdyś. Potrafił zaparkować.

Przeszli przez most. Po obu stronach kanału stały wspaniałe domy z cegły, wielkie połączenie rozświetlonego szkła, lśniące drzwi pomalowane na ten sam ciemnozielony, niemal czarny kolor.

Kate jeszcze raz odbyła w myślach nieuniknioną rozmowę. „Dexter”, zacznie, „Julia i Bill są agentami FBI pracującymi dla Interpolu. Uważają, że ukradłeś pięćdziesiąt milionów euro. Wiem, że masz tajne konto w banku, i przypuszczam, że zrobiłeś to, o co cię podejrzewają. Ale teraz najważniejsze jest to, żeby cię nie złapali”.

„Skąd wiesz o koncie?”, zapyta Dexter.

Kate opowie mu o komodzie, którą rozebrała, o karteczce, którą znalazła.

„Jak to się stało, że mnie szpiegujesz? Skąd to się wzięło? Znikąd?”

W tym momencie rozmowy wyobraźnia ją zawodzi. Nie umie przewidzieć, jak odpowie na te pytania, nie potrafi przemyśleć dogłębnie wyjaśnień, których udzieli. „Niezupełnie”, rzuci, by zyskać na czasie. By odwlec chwilę, kiedy będzie musiała opowiedzieć mu swoją historię zaczynającą się od: „Przez piętnaście lat pracowałam w CIA”.

Odsunęła od siebie ten temat - po raz setny, tysięczny, kto to zliczy? - na amsterdamskiej ulicy. Było jej zimno, była zmęczona i głodna.

- Może tutaj? - Dexter stał przed drzwiami utrzymanej w brązach restauracji: boazeria na ścianach, stoły bez obrusów, wielkie przydymione lustra, rzędy butelek na grubych półkach, drewno bez zdobień, brązowe, co zdaje się miało związek z nazwą tego miejsca.

Wskazano im stół w głównej sali, ostatni wolny, pozostałe zajmowały wesołe pary i grupki gości. Piątkowy wieczór. Wszystko w menu wyglądało smacznie, każda specjalność zakładu opisywana przez kelnerkę wydawała się pyszna. Umierali z głodu. Powinni zjeść po drodze, ale się nie zdecydowali, a potem było już za późno, bo przydrożne bary skończyły się na obrzeżach miasta.

Nakarmili dzieci zdrowymi batonikami. W skrytce w samochodzie mieli pełno batoników.

Kelnerka przyniosła piwo i napoje, brązowe i pomarańczowe, w ciężkich szklankach, które ustawiła na ciemnym blacie. Chłopcy zajęli się kolorowankami, jak zawsze. Dorośli

wiedzieli, jak zaparkować w obcych miastach, a dzieci wiedziały, jak zabić czas w restauracjach daleko od domu. A sam dom był daleko od domu.

- Dlaczego wyjechałaś narzędzia?

Zupełne zaskoczenie. Niespodziewany atak, pięć godzin po fackie.

Kate nie odpowiedziała, myśli przebiegały jej przez głowę.

Dexter nie rozwijał tematu, nie wyjaśniał ani nie powtórzył pytania, nie podał przyczyny zwłoki.

Nie umiała przypomnieć sobie kłamstwa, jakie przygotowała wcześniej, do wcześniejszej wersji rozmowy.

- Eee... okno...

Zauważyła, że Ben bacznie ich obserwuje. Trudno było orzec, czy uznał tę rozmowę za zabawną, czy nie. Czy zdradzi matkę, czy nie. Uśmiechał się tajemniczo.

- Musiałam naprawić roletę w oknie. - Szybka decyzja. - Chłopcy, idziemy umyć ręce!

- Ja ich zaprowadzę - oznajmił Dexter. - Chodźcie...

Wstał, wziął synów za ręce i zaprowadził do łazienki. W połowie drogi Ben odwrócił głowę i uśmiechnął się do mamy porozumiewawczo.

Ponieważ przyjechali do Amsterdamu, żeby spotkać się z przyjacielem Dextera, a wyprawa była jego pomysłem od samego początku, to on wybrał hotel i zrobił rezerwację. Hotel okazał się droższy niż zazwyczaj. Cztery gwiazdki, ale w porywach do pięciu, a nie w dół do trzech.

Dexter meldował ich w recepcji, a Kate i chłopcy czekali w foyer na obitej aksamitem sofce z rzeźbioną drewnianą ramą. Otaczały ich ozdobne kwieciste tapety i grube gipsowe sztukaterie przecinające wysoki prawie na pięć metrów sufit.

- Ben - szepnęła - powiedziałaś tatusiowi, co robiłam?

- Kiedy?

- Na górze. W waszym pokoju.

- Kiedy mu powiedziałam?

- W łazience, w restauracji? Czy, nie wiem, kiedykolwiek. Powiedziałeś mu?

Ben zerknął na starszego brata, jakby czekając na podpowiedź czy wsparcie. Ale Jake przytulił się do misia, ssał kciuk i zasypiał. Mieli go z głowy.

- O tej źle naprawionej komodzie?

- Tak - odpowiedziała Kate. - Pytam, czy powiedziałaś o niej tatusiowi?

Dexter odwrócił głowę, uśmiechnął się do Bena, wrócił do załatwiania meldunku.

- Nie - odpowiedział Ben. Uśmiechnął się.

- Mówisz prawdę? Ben?

- Tak, mamusiu. - Z jeszcze szerszym uśmiechem.

- Więc dlaczego tak się uśmiechasz?

- Nie wiem...

Chłopcy usnęli natychmiast na rozkładanej kanapie, zwróceniu do siebie twarzami, rozdzieleni tylko zadowolonym pluszowym misiem, obszarpanym i chudym, tracącym wagę i zszarzałym.

Kate rozumiała absurdalność swojej decyzji o niepodejrzewaniu o nic Dextera. Zdawała sobie sprawę, dlaczego przystała na ten absurd: kłamca nie przyjmuje do wiadomości, że inni go okłamują, musiałby bowiem przyznać, że mogą go podejrzewać o kłamstwo i prędzej czy później na kłamstwie go przyłapią.

Dexter wyszedł z łazienki w białych bokserkach i białym podkoszulku, bladą skórę na nogach i rękach porastały mu sprężyste włoski. Cały był blady jak każdy biały mężczyzna w samym środku zimy.

Położył się na łóżku, krzyżując ręce na podołku. Nie wziął niczego do czytania, nic nie mówił.

Jake zachrapał jak małe zwierzątko. A potem rozchrapał się na dobre. Dexter leżał bez ruchu - ani drgnął. Kate nie chciała mu się przyglądać, nie chciała widzieć wyrazu jego twarzy, domyślać się, co go gryzie. Nie chciała rozpocząć żadnej rozmowy, zagłębiać się w cokolwiek.

A z drugiej strony chciała. Rozpaczliwie tego pragnęła. Potrzebowała tego - potrzebowała czegokolwiek - by móc się otworzyć. Marzyła tylko o tym, by nie mnożyć więcej sekretów, nie budować piramid z pytań.

Zamknęła przewodnik na kolanach, podjęła decyzję, ogłuszały ją własne myśli. Odwróciła się do Dextera, otworzyła usta, czuła bicie serca w skroniach; zaczęła mówić, wyrzuciła to z siebie, przynajmniej w części, nie była pewna w jakiej, ale otworzy się przed nim.

- Dexter - zaczęła. - Ja...

Zamarła w połowie zdania, w połowie wszystkiego. Usnęła.

Poszli do Muzeum van Gogha i na targ kwiatowy. Niewiele było tu do oglądania w środku zimy. Cebulki na sprzedaż, rydle, paczuszki z nasionami. Zgodzili się, że na Muzeum Anne Frank jest jeszcze za wcześnie, że chłopcy zadawaliby zbyt wiele pytań, na które nie ma dobrych odpowiedzi, nie poszli tam.

W porze przekupywania synów weszli do sklepu z zabawkami. Dali chłopcom carte blanche w wyborze dowolnego zestawu lego. Pod warunkiem że pudełko nie przekroczy średniej wielkości.

- Ja się tym zajmę - powiedział odważnie Dexter, mając bardzo niejasne pojęcie o tym, co go czeka, na jakie dyskusje, negocjacje i szantaże będzie się musiał narazić.

Kate wyszła na Hartenstraat, zatłoczoną w sobotnie popołudnie. Wszyscy byli opatuleni, wszyscy w czapkach, palili i śmiali się, jechali na rowerach lub wędrowali pieszo. Kątem oka dostrzegła znajomą postać na rogu wąskiej przecznicy. Poznała ją po sylwetce i zachowaniu, po wełnianym palcie i czarnym kapeluszu. Kobieta stała przed sklepową witryną, wielką odbijającą ulicę połącią czystego szkła.

Nie spodziewała się, że Kate wyjdzie tak szybko ze sklepu, po zaledwie dziesięciu sekundach. Była zaskoczona. Nie przewidziała tego. Pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi, na margines błędu. I została przyłapana.

Dziś, 13:01

Kate otwiera szufladę biurka i kasetkę. Waży w dłoni berettę, znacznie lżejszą bez magazynka. Gładki czarny metal chłodzi jej dłoń.

Zerka na fotografię na biurku, małe zdjęcie w staroświeckiej skórzanej ramie: roześmiani chłopcy na plaży w St-Tropez. Minął już ponad rok. Byli opaleni, mieli wypłowiałe od słońca włosy, szczyrzyli białe ząbki, złociste promienie słońca migotały na falach morza. Późne popołudnie pod koniec lipca.

Ostatecznie Dexter zgodził się, by podjęła decyzję, gdzie zamieszkają. Twierdził, że wolałby wieś albo małe miasteczko, Toskanię czy Umbrię, Prowansję albo Lazurowe Wybrzeże, a nawet Costa Brava. Ale Kate podejrzewała, że Dexter nigdy nie chciał mieszkać na wsi, chciał natomiast poddać się w dyskusji na ten temat. Chciał, żeby odniosła wrażenie, że dopięła swego, że sama podjęła decyzję - wbrew niemu.

Nie potrafiła wyzbyć się podejrzania, że manipulował nią we wszystkim przez cały czas. Obrót o sto osiemdziesiąt stopni po latach wiary, że jest człowiekiem zupełnie niezdolnym do manipulacji.

Po zbędnej zapewne argumentacji opowiedziała się za Paryżem ze względu na dzieci. Chciała, żeby synowie odebrali odpowiednie wykształcenie, dorastając w kosmopolitycznej atmosferze, by nie chowali się przed światem i nie czuli się rozpieszczani. Nie chciała, żeby umieli tylko grać w tenisa i pływać jachtem. Dorośli zawsze mogą przenieść się do Prowansji, kiedy dzieci pójdą na studia.

Opiera się o krzesło z pistoletem w dłoni, myśląc o tych ludziach: o tej drugiej parze, o obcych, których brała za przyjaciół udających wrogów. O swoim zaskakująco diabolicznym mężu. I o sobie samej, o swoim własnym zachowaniu - wątpliwym, ale i zrozumiałym. I o tym, co ma zamiar zrobić.

Ładuje magazynek beretty. Sięga do torebki, podnosi twardą pokrywą na dnie - bardzo podobną do tej, którą miał Dexter w starej aktówce, gdzie w tajnym schowku leżała tajna komórka. Wrzuca pistolet do schowka, przykrywa go.

Wyciąga rękę ku zastawionej półce, odłącza komórkę od ładowarki. Nie korzystała z tego telefonu od ponad półtora roku, ale zawsze go ładuje. Włącza aparat, wystukuje długi numer. Tego numeru nie ma w żadnym z jej notesów.

Nie poznaje głosu na drugim końcu linii - kobiecego głosu, który powiedział *Bonjour* - ale nie spodziewała się tego.

- *Je suis 602553* - mówi Kate.

- Chwileczkę, madame.

Wygląda przez okno na mansardowe dachy St-Germain, na Sekwanę i Luwr po prawej stronie, szklane kopuły Grand Palais z przodu, wieżę Eiffła po lewej. Słońce wyziera zza chmur za jej plecami, niewidzialne, maluje miasto złocistą barwą, wyzłaca jej liliową perspektywę, niemal nazbyt pięknie.

- Tak, madame. Damska toaleta w Bon Marché. Za kwadrans.

Kate zerka na zegarek.

- *Merci*.

Idzie szybkim krokiem do drzwi, zjeżdża windą na dół, wychodzi z klatki schodowej do bramy, a z niej na ulicę, rue du Bac łączącą się z Boulevard Raspail, przemyka wśród gęstniejącego w porze lunchu tłumu, przepycha się do domu towarowego i na ruchome schody, wyprzedza kobietę idącą spacerem do korytarza przed łazienką, gdzie dzwoni automat telefoniczny.

- Halo - mówi do słuchawki i zamyka za sobą drzwi kabiny.

- Cudownie, że znów cię słyszę - odpowiada Hayden. - Kopę lat!

- Ja też się cieszę - odpowiada Kate. - Musimy porozmawiać. W cztery oczy.

- Jakiś problem?

- Raczej nie. Rozwiązanie.

Hayden milczy.

- Możemy się spotkać o czwartej? - pyta Kate.

- W Paryżu? Obawiam się, że nie. Akurat nie ma mnie w mieście.

- Ale jesteś niedaleko. I o ile się nie mylę, masz do dyspozycji samolot.

Hayden awansował w poprzednim roku, mimo że przez całą karierę pracował w terenie, a nie w administracji. Jest obecnie wicebaronem Europy. Na tym stanowisku lata się odrzutowcem. I ma się swobodę rozporządzania personelem, począwszy od młodszych oficerów operacyjnych w Lizbonie i Katanii po szefów placówek w Londynie i Madrycie. W Paryżu także.

Milczy.

- Pamiętasz pięćdziesiąt milionów euro ukradzione Serbowi? - pyta Kate.

Pauza.

- Rozumiem.

- Czwarta?

- Powiedzmy piąta.

Kate zastanawiała się, jak głęboko i dlaczego schowała głowę w piasek. Dlaczego ignorowała to, co powinna była dostrzec dawno temu. Że Macleanowie od miesiący monitorują każdy ruch Moore'ów.

Jake pomachał do niej zza szyby sklepu z zabawkami. Kate odpowiedziała synowi. Dexter wszedł z chłopcami do innego przybytku - sklepu z czekoladą - a Kate została na zewnątrz. Widziała szeroko otwarte oczy synów, ich palce wskazujące to tu, to tam, błagalne spojrzenia. Dzieci w sklepie ze słodyczami.

Udawała, że nie zauważyła Julii. Na Hartenstraat odwróciła się w drugą stronę, skierowała spojrzenie ku innym ciekawostkom, dając agentce FBI szansę na oddalenie się z podkulonym ogonem, na odrobinę niepewności, czy ją zdemaskowano, czy nie.

Teraz stała na innej ulicy, cofając się pamięcią do - jak zdała sobie sprawę - początków inwigilacji, deszczowego dnia, bardzo deszczowego, bo lało jak z cebra, pod koniec września, ponad trzy miesiące temu, na parkingu centrum handlowego Belle Etoile w Strassen. Julia powiedziała, że zostawiła telefon w samochodzie Kate. Upierała się, że wróci po niego sama, że nie ma sensu, żeby Kate mokła. Poszła sama do samochodu, w którym zainstalowała coś subtelnego i niewykrywalnego. Wróciła z tajemniczym zwycięskim uśmiechem. Mona Lisa.

Od tamtej chwili Bill i Julia wiedzieli, gdzie przebywa Kate.

W następnym piątek ujrzeli, że Kate i Dexter jadą na południe autostradą A3, przekraczają granicę Francji, mijają reaktory jądrowe w Thionville i skręcają w Metz na autostradę A4 do Reims. Prawdopodobnie wtedy, na tym zakręcie, postanowili ruszyć w pościg, wskoczyć do sportowego bmw i dogonić Moore'ów, zbliżając się do nich podczas trzygodzinnej jazdy do Paryża i zwalniając do 140 kilometrów na godzinę tylko wtedy, kiedy GPS ostrzegał ich przed radarami. Albo wcale nie zwalniając. FBI ma w nosie europejskie mandaty za przekraczanie dopuszczalnej prędkości.

Kiedy Moore'owie szukali w Paryżu miejsca do parkowania, Macleanowie wciąż pędzili autostradą przez Szampanię, przez winnice ze stojącymi na nich przez noc ciężarówkami. Pora winobrania. Zlokalizowali stojące w miejscu kombi Kate na obskurnym parkingu. Wpadli do okolicznych hoteli, jednego po drugim, aż znaleźli ten, w którym z dostawką dla dzieci wynajęto pokój Monsieur i Madame Moore'om. Wynajęli pokój w pobliżu i rozstawili sprzęt do inwigilacji.

Moore'owie stanowili łatwy cel do śledzenia. Poruszali się dużą powolną grupą. Jeździli metrem, a nie taksówkami, spacerowali po pełnych ludzi ulicach. Przez cały czas byli na widoku.

Macleanowie prawdopodobnie się zmieniali - dziesięć minut jedno, dziesięć minut drugie, trzymając się wzajemnie na oku, trzymając na oku to, które trzymało na oku rodzinę - szli za nimi, czekając na dobrą sposobność w naturalnych okolicznościach, na jakieś uczęszczane pod koniec dnia przez turystów miejsce przypadkowego spotkania, łatwego ujawnienia się. Zadzwonili wcześniej do hotelu Moore'ów, dowiedzieli się, że można w nim wynająć opiekę dla dzieci, mieli pewność, że są na dobrej drodze, że Kate i Dexter nie odmówią, przyjmą zaproszenie na nocny wypad do miasta, na niezliczone butelki szampana w modnym klubie, co przyspieszy i scementuje przyjaźń, natychmiast zapewni bliskość.

Cała spontaniczna sobotnia noc została starannie zaaranżowana. Ten domniemany napad był przedstawieniem, lipą.

To wszystko zaczęło się przed kwartałem.

Dexter coś ukrywał - czy naprawdę ukradł pięćdziesiąt milionów euro? - a ci agenci FBI deptali mu po piętach. Śledzili jego każdy ruch w Luksemburgu, Belgii i Holandii, a teraz tropili go w Amsterdamie. Zbliżali się do czegoś, nie chcieli, nie mogli stracić go z oczu choćby na jeden dzień, jeden weekend. Dlaczego?

Chłopcy wypadli ze sklepu z czekoladą z triumfalnymi minami, trzymając łupy w wysoko uniesionych rękach.

- Mamusiu, mamusiu, patrz! - Chcieli pochwalić się przed mamą tym, na co pozwalał im ojciec. Niewinni i naiwni.

Kate uśmiechnęła się do dzieci, choć w środku drżała z zimna i przerażenia.

- Pyszności, maleńki, pyszności...

Cokolwiek się dzieje, zbliża się do końca. Miała nadzieję, że koniec nie będzie gwałtowny. Ale i na to musi być gotowa.

Była sama, stała na środku mostu, wpatrując się w osobliwe niebo - granatowy, nadciągający zmrok, płynące po niebie strzępiaste obłoki, warstwy bieli i srebra, i szarości, ułożone jedna nad drugą. W oknach paliły się światła, rowery świeciły lampkami, a wszystko odbijało się w wodzie.

Dexter zabrał chłopców przed obiadem do hotelu na odpłatną sesję telewizyjną. Umówił się z męczącym kumplem Bradem dopiero na ósmą.

Po drugiej stronie mostu urywały się butiki, jak u końca handlowej alejki gdzieś na przedmieściu, ostatnie Sizzlery i Meineke pod latarniami, a potem nic, głucha wieś. Nad dwoma nastolatkami z dreadami na głowach unosiła się woń marihuany.

Kate odszukała bank i weszła do małej sionki z bankomatem. Otworzyła portfel, lecz nie wyjęła z przegródek żadnej z kart używanych na co dzień. Sięgnęła kciukiem do wewnętrznej kieszonki, gdzie leżało z pół tuzina plastikowych prostokątów, których nie musiała zabierać do Europy, ale zabrała. Laminowana karta amerykańskiego ubezpieczenia społecznego, stary identyfikator z biura, karta z siłowni. I karta depozytowa z rachunku osobistego, tylko na jej nazwisko. Dexter nie wiedział o tym koncie.

Wyplaciła cały dzienny limit: tysiąc euro.

Wyplaciła również dzienny limit ze wspólnego konta w Luksemburgu - kolejny tysiąc. Pobrała pieniądze z dwóch kart kredytowych, po tysiącu.

Z powrotem na ulicy, właśnie zapalały się czerwone światła, kobiety duże i mało pociągające, z południowo-wschodniej Azji, paski do pończoch, szpilki i obwisłe piersi wylewające się z koronek.

Znalazła sklep spożywczy. Kupiła paczkę foliowych torebek, taśmę klejącą i butelkę wody. Chciało jej się pić, denerwowała się.

Ulice stawały się coraz węższe, a witryny były coraz bliżej siebie: sześć dziewczyn jedna po drugiej, ładne ciemnowłose Europejki; za rogiem kilka dziewczyn z Afryki, pełne wargi, duże pupy. Działy. Jak w domu towarowym.

Weszła do jasno oświetlonej kawiarni, czystej i bezpiecznej - przynajmniej od zewnątrz. W środku nie było już tak ładnie. Zamówiła colę, zostawiła monety na barze, wypiła wszystko niemal jednym haustem. Przeszła na tyły, znalazła znak toalet, wskazujący podejrzanie kręte schody. Na dole stało paru mężczyzn, ciemne interesy, woń przestępstw.

- Przepraszam - powiedziała, przepychając się obok nich. Zamknęła za sobą drzwi. Z kieszeni płaszcza wyjęła foliowe torebki, urwała jedną na perforacji, a resztę wyrzuciła do kosza. Sięgnęła po zwitek banknotów o dużych nominałach. Odliczyła kilka setek i schowała je w prawej kieszeni. W lewej miała dwudziestki. Resztę z czterech tysięcy euro wsunęła do foliowej torebki. Wycisnęła powietrze, złożyła mocno torebkę i owinęła ją taśmą. Usiadła na sedesie. Zdjęła lewy but. Kiedy krzyżowała nogi, prawą stopę zawsze opierała na lewej. Nie wiedziała, czy będzie musiała skrzyżować nogi, nie miała pojęcia, jak to, do cholery, przebiegnie, jeśli w ogóle. Ale strzeżonego pan Bóg strzeże.

But miał niski obcas, ale jakoś da sobie radę. Na pięcie, na łuku pięty, tam gdzie skóra styka się z gumowym obcasem, było wystarczająco dużo miejsca. Właśnie tam przykleiła

złożoną plastikową torebkę z kasą.

Wyszła z toalety. Na górze, na ulicy mężczyźni szurali nogami, zerkali na dziewczyny w czerwonym miazmatycznym świetle przez połączone oknami aksamitem szyby. Wszędzie pełno hałaśliwych nastolatków w grupkach po trzech i po czterech, prześcigających się w brawurze, rekompensujących nią brak doświadczenia. Tu i ówdzie mężczyźni w garniturach, w średnim wieku, patrzący na dziewczyny bezczelnie lub ukradkowo. Stali bywalcy, zupełnie niedbający o to, co myślą o nich obcy, mający świadomość, że tutaj każdy ma do załatwienia własne sprawy. Czego nie można powiedzieć o wielu innych miejscach.

W coffee shopach było pełno i głośno, śmierdziało. Smród palonej trawki wylewał się przez drzwi i pełzał po chodnikach.

Jakiś chłopak spojrzał jej w oczy, do czegoś ją zapraszał. Przyjrzała się mu i odwróciła wzrok, poszła dalej.

Wzdłuż kanału. Ten był inny od tych, które widziała w bogatym Amsterdamie, po obu stronach sex shopy, nocne kluby i oświetlone na czerwono okna. Odgłos pijackich śmiechów wydobywający się z barów, krzyki po angielsku z australijskim akcentem, chichot zawstydzonych kobiet.

Kolejny facet, który patrzy jej w oczy. Ten był starszy. Twardszy. Skinął do niej głową, odpowiedziała tym samym. Powiedział coś po holendersku, nie zareagowała, ale zwolniła kroku.

- Szuka czegoś? - Akcent z Karaibów. Daleko od domu. Tak samo jak ona.

- Ta.

Błysk złotego zęba.

- Czego?

- Takiego twardego - odpowiedziała. - Ze stali. Z ołowianymi kulkami.

Uśmiezek zniknął z jego twarzy.

- Nie u mnie.

Sięgnęła do kieszeni. Wyjęła dwadzieścia euro.

- U kogo?

- Niech idzie do Dietera. O, tam. - Pokazał głową, machając dredami.

Poszła dalej chodnikiem wzdłuż wąskiego kanału. Czuła jego zapach, słyszała wszystkie odgłosy. Przed klubem z erotycznym show wisiały plakaty niepozostawiające wątpliwości co do natury występów. Mężczyzna w lśniącej czarnej garniturze, w lakierkach z ostrym czubkiem, z wąskim skórzanym krawatem na szyi, przyglądał się uważnie wszystkim wchodzącym i wychodzącym. Spojrzał Kate prosto w oczy.

- *Guten tag.*

- Cześć. Dieter?

Kiwnął głową.

- Znajomy mi ciebie polecił. Potrzebuję czegoś. Ze stali.

Dieter wyglądał na zaskoczonego.

- Gdzie stali?

- Nigdzie. - Pokręciła głową. - Mówię o metalu. - Uniosła rękę i wycelowała w niego palcem wskazującym, unosząc kciuk w powietrze. Zgięła kciuk. Szarpnęła dłonią. Bang.

Zrozumiał. Teraz on pokręcił głową.

- Nie da rady.

Wyjęła z kieszeni dwie niebieski dwudziestki, podała mu. Skrzywił się, nie przyjął pieniędzy, znów pokręcił głową.

Kate sięgnęła do kieszeni, wyjęła kolejny banknot. Setkę.

Dieter zerknął na zielonkawy kawałek papieru, łatwy do odczytania nominał.

- Chodź - powiedział, zamykając dłoń na banknocie. Szedł szybkim krokiem, rozglądając się raz po raz na boki. Nie czuł się dobrze, wykonując misję, która nie miała związku z seksem. Przez mostek, w dół wąskiej zatłoczonej uliczki, atrakcyjne kurwy w każdym oknie, atrakcyjna część dzielnicy, z pierwszej dziesiątki pisma „Billboard”, bez schlebiana jakimkolwiek perwersjom. Skręcił w ciemniejszą i krótszą uliczkę, w zasadzie zaułek z kilkoma czerwonymi latarniami i długim ceglany murem.

Przystanął przy świecącym czerwono oknie, Kate obok niego. Dosyć ładna blondynka siedząca za szybą popatrzyła na Dietera, potem na Kate, a potem podeszła do drzwi i otworzyła je bez słowa. Zapach kadzidełek, papierosów i środka odkażającego. Dieter minął dziewczynę i jej dosyć obskurny pokoik z porządnie zasłanym łóżkiem otoczonym lustrami. Dziewczyna nie patrzyła w oczy Kate.

Szli wąskim korytarzykiem, tanie tapety, żadnych ozdób. Na końcu korytarzyka trzeszczące schody, niski sufit, ciemno.

Kate poczuła zdenerwowanie. Stanęła.

- Chodź. - Machnięcie ręką, niezbyt kojące. - Chodź.

Wspięli się na schody, skręcili na zdradliwy podest, potem znów schody i świeżo wyremontowany korytarz. Tandetne panele podłogowe wibrowały pod ich stopami, Kate wyczuwała drgania hip-hopowej linii basu, usłyszała wokal, niski, schrypnięty, potem syntezator; muzyka stawała się coraz głośniejsza, angielskie słowa coraz wyraźniejsze - wulgarne i brutalne.

Zeszła z wykładziny na posadzkę, szerszy korytarz, wyższe sufity, przeszła ze slumsów do apartamentów ukrytych gdzieś w tej kamienicze. Duże podwójne panelowe drzwi, świeżo malowane. Dieter zerknął na nią przez ramię, a potem pchnął drzwi...

Kate objęła jednym spojrzeniem chaos olbrzymiego pokoju. Sofy, sofki i szezlongi, stoliczki do kawy, perskie dywany, abażury z kutasikami i lampy na alabastrowych podstawach, marmurowe kominki i wielkie okna wychodzące na kanał, pół tuzina dziewcząt w rozmaitych negligach, jedna z nich opierała głowę o uda wytatuowanego, zakolczykowanego i groźnie wyglądającego faceta, który unosił i opuszczał jej głowę, trzymając za uszy. Inna głowa, jasnoruda, pomarańczowa, opuściła się ku stoliczkowi do kawy z lustrzanym blatem. Kiedy się uniosła, jej właściciel rzucił się do tyłu, wciągając nosem biały proszek, ocierając nozdrza. Potrząsnął głową, długie sprężyste włosy uderzyły go po twarzy.

- Aaaaaa...! - wrzasnął. - Jebany raj! - Wytarł nos, spojrzał na Kate i Dietera. - Wtedy co to za pizda?

Dieter wzruszył ramionami.

- Szuka czegoś.

- Znasz ją wtedy?

- Nie.

- To spierdalaj.

Dieter wzruszył ramionami, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi, ciesząc się, że pozbył się Kate i jej wprowadzającego zamęt interesu.

- Angelique, sprawdź ją.

Wywołana dziewczyna wstała, miała z metr osiemdziesiąt, była topless, miała na sobie tylko stringi i szpilki. Rudowłosa mężczyzna spojrzał na nią lubieżnie. Angelique była fantastycznym okazem, miała nie więcej niż siedemnaście lat. Obmacała Kate, a potem odeszła wolnym krokiem, wróciła na szezlong i do przeglądania czasopism. „Vogue”. Goła dziewczyna i pismo o modzie.

- Wtedy co chcesz?

- Giwerę.

Wytatuowany facet kończył, unosił i opuszczał głowę dziewczyny coraz gwałtowniej, dusiła się, dławiała, próbowała nie skomleć.

- Mam giwerę. - Wyszczrzył zęby. - Chcesz zobaczyć? Pokażę ci, wtedy chodź.

Kate uśmiechnęła się szeroko.

- Potrzebuję jebanego gnata, a nie taką szkocką pizdę jak ty.

- Aaaaa... - jęknął wytatuowany.

- Co? Słyszałeś, Colin?

- Aaaaa... - Colin chwycił dziewczynę za włosy. - Wal się, Rudy.

- Gnata, mówisz? Pistolet?

Kate nie odpowiedziała.

- Kto ty jesteś? Jakaś jebana glina? Gdzie masz druty?

- Nie mam.

- Wtedy pokaż.

Kate spojrzała mu w oczy. Nie mrugnęła.

- Albo spierdalaj.

Odczekała jeszcze jedną chwilę, potem drugą, nie spuszczać z niego oczu. Powoli zdjęła płaszcz i rzuciła go na podłogę, nie odrywając od Rudego wzroku.

Ściągnęła sweter przez głowę jednym szybkim ruchem, trzaskały cicho jej naelektryzowane włosy. Sięgnęła za siebie, rozpięła zamek spódnicy, pozwoliła jej opaść na podłogę. Wyszła z niej z rękami na biodrach.

- Amerykanka?

Miała na sobie tylko buty i bieliznę. Nie odpowiedziała.

- Reszta. - Strzelił palcami. - Zdejmuj resztę.

- Pierdol się.

- Po co ci gnat?

Bardzo chciała się ubrać, ale z każdą mijającą sekundą, kiedy stała przed nim rozebrana, triumfowała, czerpiąc siłę z poniżenia.

- Colin? Co wtedy dla niej mamy?

Colin zapinał rozporek czarnych dżinsów. Wstał i podszedł półgoły, cały tułów pokrywały mu wyblakłe nieczytelne już tatuaże. Pochylił się nad lustrzanym blatem i wciągnął kreskę. Przeszedł w drugi koniec pokoju. Otworzył szufladę biurka, zajrzał do środka.

- Beretta - powiedział.

- Ooo... - uśmiechnął się Rudy. - Dobry gnat. Wyłowilem go w zeszłym tygodniu z kanału.

Kate nie była zainteresowana bzdurami. Nie chciała usłyszeć, dlaczego Rudy nie ma nic wspólnego z tą bronią.

- Pokaż.

Colin jednym szybkim ruchem wysunął magazynek z beretty i rzucił lśniący pistolet

do oddalanej o pięć metrów Kate. Idealny rzut. Kate z łatwością chwyciła broń. Przyglądała się jej przez chwilę, po trosze po to, żeby przekonać się, czy jej nie oszukują, a po trosze po to, by pokazać Rudemu, że nie da się wyruchać. Beretta 92FS jest toyotą corollą wśród pistoletów. Ta była w całkiem dobrym stanie.

- Dwa tysiące - powiedziała. Nie miała zamiaru pytać Rudego o cenę, nie miała zamiaru wchodzić z nim w negocjacje. Ostateczna cena była zupełnie arbitralna i nie miała nic wspólnego z rzeczywistą wartością broni. Pistolet mógł kosztować pięćdziesiąt euro albo dwadzieścia tysięcy. Cena stanowiła przecięcie tego, ile była gotowa zapłacić, z tym, ile był gotów przyjąć.

- Spierdalaj. Dziesięć.

Pochyliła się. Podniosła spódnicę. Zapięła zamek.

- Osiem - rzucił. Wiedziała, że wygra. Wciągnęła sweter przez głowę.

- Dwa i pół. - Potrząsnęła włosami nad kołnierzem.

- Spierdalaj, pizdo.

Podniosła płaszcz, włożyła.

- Ani centa mniej od piątki.

- Trzy.

- Wal się.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się na pięcie.

- Cztery - usłyszała za plecami.

- Trzy i pół - uśmiechnęła się, odwracając do niego. - Ostatnie słowo.

Chciał spiorunować ją wzrokiem, ale przekonał się, że to na nic.

- Trzy i pół - mruknął. - Plus lody dla wszystkich.

Parsknęła śmiechem.

- Pierdol się - rzuciła.

Rudy wyszczerzył zęby.

- Czasem to robię - odrzekł - jak przyjdzie mi ochota.

Kate uparła się, że pójdą do Nemo, muzeum nauki na nabrzeżu portu. A po lunchu na przykościelny targ staroci, na którym oglądała każdy drobiazg, targowała się bez opamiętania i kupiła parę niepotrzebnych rzeczy: porcelanową paterę i srebrną łopatkę do tortu. Potem chciała usiąść, napić się kawy i nakarmić chłopców ciastkami.

Nowa beretta leżała na dnie torebki pod stołem. Była ciężka, jeszcze bardziej ciężka

jej na sumieniu.

Dexter przyznał, że jego kumpel, Brad, stał się nieznośnym sukinsynem przez ostatnie dziesięć lat, od kiedy przestali ze sobą pracować. Przeprowadził się do Nowego Jorku, żeby robić coś, co brzmiało superekstraiinteresująco dla wtajemniczonych. Rzucił tytułem „szefa marketingu”, zastanawiał się nad kupieniem strychu, letniego domu w Hamptons i bla-bla-bla. Kate zawsze uważała Brada za niestrawnego gościa i ucieszyła się, że Dexter w końcu przejrzał na oczy i przekonał się, że Brad stał się wrednym zadowolonym z siebie kutasem, na którego zresztą zawsze się zapowiadał. Nowy Jork tylko mu w tym pomógł.

Jeśli Dexter naprawdę ukrył gdzieś pięćdziesiąt milionów euro, świetnie udawał, że jest inny.

Kate zamówiła drugą kawę. Celowo marnotrawiła czas, z pierwszej zrobiła się druga, a z drugiej trzecia. Mogła być już pewna, że wrócą do Luksemburga późno, że chłopcy pójdą prosto do łóżka, nie zdążą nawet zapalić światła w pokoju. Dzięki czemu Dexter nie będzie się mógł przyglądać rozłożonej komodzie, świadczącej o podejrzliwości Kate, stanowiącej dowód, że coś znalazła.

Pędzili autostradą przez płaskie Niderlandy. Zjazdy były co kilka kilometrów, a przy każdym zjeździe miasto. O zachodzie słońca wpadli do jakiegoś baru szybkiej obsługi przy obwodnicy wokół Brukseli, a potem znów pognali przez walońską Belgię, rzadko zaludnioną, mroczną i pokrytą wzgórzami; wąwozy i lasy, i nic, i jeszcze trochę niczego.

Kate obserwowała przez okno ukryte w mroku Ardeny, w których toczono krwawe bitwy światowych wojen. Niemiecka ofensywa w Ardenach była rozpaczliwą próbą odwrócenia biegu II wojny światowej. Sześćdziesiąt parę lat temu. A teraz? Teraz w Ardenach nie było nawet granicy między Niemcami, Francją, Belgią a Luksemburgiem. Przelano tu tyle krwi, walcząc o suwerenność i integralność terytorialną, a teraz nie trzeba nawet pokazywać paszportu, żeby przejechać z państw Osi do aliantów.

George Patton został pochowany w Luksemburgu niedaleko szkoły, do której chodzili chłopcy. Złożono go w grobie razem z pięcioma tysiącami amerykańskich żołnierzy.

Niemiecki samochód mknął z prędkością 150 kilometrów na godzinę, przecinając mgłę snującą się po autostradzie, w górę i w dół ciemnych cichych wzgórz, po których z rzadka jeździły inne auta czy ciężarówki. Podróżowali ciemną nocą przez pustkowia.

Idealne miejsce, żeby zniknąć.

Ósma rano. Pięć po ósmej. Siedem po. Czas - najwyższy czas - wyjść do szkoły, do której są już spóźnieni, ale Dexter wciąż jest w mieszkaniu, dopiero się obudził. Bierze prysznic.

Jeśli Kate wyjdzie teraz z chłopcami, Dexter będzie miał mieszkanie dla siebie. Może zajrzeć wszędzie, zrobić wszystko. Może obejrzeć komodę i stwierdzić, że ją rozebrała. Może włożyć rękę do kosza z brudną bielizną i znaleźć berettę.

- Okay, chłopcy! - zawołała z kuchni. Wyjęła pistolet z kosza i wrzuciła do torebki. - Mamusia jest już gotowa!

Nie może tak żyć.

- Halo?

Zamknęła wejściowe drzwi, cicho. Klik.

- Halo?

Zerknęła do ceramicznej miski w holu, gdzie Dexter trzymał klucze. Pusta.

- Dexter?

Weszła na górę, żeby się upewnić, przeszła korytarzem do sypialni i łazienki. Mijając pokój chłopców, spojrzała na komodę. Bez zmian, nienaprawiona. Zaraz się za to zabierze.

Zeszła na dół, korytarz i salon. Zajrzała do kuchni. Musi być absolutnie pewna. Denerwowała się coraz bardziej, praktycznie trzęsła się z nerwów.

Usiadła przy biurku. Otworzyła laptop. Sprawdziła pocztę, zwlekała. Odpowiedziała na jakiś nieważny e-mail, przeczytała coś nieistotnego. Wyczyściła nawet folder ze spamem.

A potem nie pozostawało już nic innego, jak zrobić to, po co usiadła przy komputerze. Otworzyła aplikację ze zdjęciami w telefonie, wybrała fotografię skrawka papieru z danymi konta Dextera: numerem i hasłem. Brakowało nazwy banku. Ile tu może być banków? Jak długo jej to zajmie? Pół godziny? Godzinę?

Wstała. Poszła do kuchni i zaparzyła filiżankę kawy. Jakby kofeina mogła jej pomóc.

Znow usiadła przed komputerem, złożywszy dłonie na klawiaturze. Myślała. Zaczynij od najłatwiejszego, od banku, w którym mają wspólne konto.

Kliknęła zakładkę u góry przeglądarki internetowej. Znalazła się na stronie banku, który prosił ją o podanie identyfikatora i hasła.

Zerknęła na telefon, zdjęcie, cyfry...

Wprowadziła pierwszą cyfrę. Osiem. Środkowy palec Kate zatrzymał się pod gwiazdką na klawiszu z ósemką... coś sobie przypomniała... ten komputer...

Przypomniała sobie Julię. Dzień, w którym Julia odwiedziła to mieszkanie, twierdząc, że nie ma Internetu. Chciała sprawdzić pocztę. Siedziała na tym fotelu, przed tym komputerem, z dłońmi na klawiaturze.

Kate zrozumiała: Julia nie sprawdzała poczty. Zainstalowała oprogramowanie szpiegowskie, spyware przechwytyjący zrzuty ekranu i uderzenia klawiszy, wysyłający je potajemnie do Julii i Billa, pokazujący im to, co oglądała, każdą stronę, włącznie ze stronami banków, numerami kont i hasłami. Mogli monitorować ruch na kontach i dokonywane inwestycje, śledzić zakupy biletów i rezerwacje hoteli.

Macleanowie wiedzieli o wszystkim, co działo się na tym komputerze. Ale Dexter nie rezerwował hoteli w Amsterdamie z tego komputera.

Oczywiście! Macleanowie nie wiedzieli, dokąd się wybierają Moore'owie ani na jak długo, ani po co. Dexter rezerwował hotel w swoim biurze. W swoim ultrabezpiecznym biurze ze swojego ultrabezpiecznego komputera. Więc FBI nie miało pewności, czy Kate i Dexter nie chcą uciec. Nie wiedziało, czy jadą na wyspę Man, do Hamburga czy Sztokholmu. Czy nie wyprowadzają się na stałe, czy nie zapadną się pod ziemię z fałszywymi paszportami i workami z kasą.

Dlatego FBI nerwowo ich śledziło, chcąc się upewnić, że podejrzani nie znikną.

Kate odsunęła dłonie od zarażonej klawiatury, od zawirusowanego komputera.

- Halo, Claire? Mówi Kate. Kate Moore.

- Kate! Co u ciebie?

- W porządku, dziękuję... - Kate zauważyła znajomą twarz przechodzącą obok kabiny telefonicznej P&T. - Claire, czy wyświadczyłabyś mi przysługę?

- Oczywiście, moja droga. Oczywiście!

- Czy mogłabym do ciebie wpaść i skorzystać z komputera?

Kącik do pracy Claire mieścił się za schodami i wychodził na podjazd; był najmniej eleganckim pokoikiem w dużym podmiejskim domu. Kate widziała przez okno przejeżdżający samochód, zastanawiała się, czy Julia lub Bill śledzili ją aż dotąd, pilnując jej

każdego ruchu na luksemburskich ulicach.

Kliknęła ikonę przeglądarki. Rozpoczęła od największych banków, których nazwy pojawiały się w całym mieście na frontonach i szczytach budynków, na banerach sponsorów przeróżnych tutejszych festiwali czy na strojach sportowych drużyn kolarskich.

Na karteczce Dextera znajdowały się numery dwóch rachunków. Do pierwszego numeru dołączona była nazwa użytkownika i hasło oraz jakieś inne dane; drugi numer nie miał żadnych danych pomocniczych. Kate nie miała zamiaru go sprawdzać. To byłoby bez sensu.

Ale sprawdzenie pierwszego miało sens. Okazało się nawet zbyt łatwe, zbyt szybkie. Po dziesięciu minutach od rozpoczęcia poszukiwań, w piątym banku, do którego weszła, prefiks pierwszego konta pasował do tego, jakiego używał bank.

Wciągnęła głęboko powietrze, wprowadziła nazwę użytkownika i hasło... Okay! Okay!

Potem musiała wybrać obrazek. Właściwy obrazek z chyba trzydziestu ikon, które pojawiły się na stronie. Wybrała ikonę psa. Na karteczce Dextera widniało wyraźnie słowo „pies”. I kolejna weryfikacja: dopasowanie właściwej kolejności liter z ciągu na karteczce Dextera. Otworzył się okno dialogowe:

Proszę czekać.Aktualizuję bazę danych konta.Aktualizuję bazę danych konta.Proszę czekać.Ekran pociemniał.

Kate zamarła, rozejrzała się spłoszona wokół, zastanawiając się, co to może...

Ekran znów zajaśniał, pojawiła się na nim pierwsza sumaryczna strona konta z niewielką ilością informacji. Biegała oczami po ekranie, zapamiętując wszystko, co dało się zapamiętać.

Dane właściciela rachunku: LuxTrade S.A.Adres właściciela rachunku: rue des Pins 141, Bigonville,LuksemburgNa tej stronie nie było żadnych liczb, żadnych kwot, tylko ta mało przekonująca informacja, która na nic nie wskazywała i niczego nie dowodziła. Czują się zawiedziona.

I wtedy zauważyła zakładkę SALDO. Chwyciła myszkę, najechała na zakładkę kursorem i kliknęła. Czekiła przez frustrującą milisekundę, przez którą absolutnie nic się nie działo, a potem przez przerażającą mikrosekundę, kiedy ekran zgasł, nim pojawiła się nowa strona, białoniebieska, z dwoma linijkami tekstu na środku:

Saldo rachunku oszczędnościowego409018,00 EURTo mnóstwo niespodziewanych pieniędzy. Ale z całą pewnością nie pięćdziesiąt milionów. Kate odetchnęła z ulgą, oparła się o fotel i odsunęła od komputera. Cokolwiek robił Dexter, nie mógł ukraść takiej kwoty, o jaką

go oskarżano.

Wpatrywała się w ekran, zagubiona w myślach, kręciło jej się w głowie... Zastanawiała się, co to wszystko znaczy, ta wielka rozbieżność między czterystoma tysiącami a pięćdziesięcioma milionami...

I wtedy zauważyła zakładkę innego konta.

Pędziła przez Luksemburg sportowym autem należącym do męża Claire, na zachód w kierunku północno-zachodnim, drogami dwupasmowymi, a potem kawałek normalną autostradą. Mijała ronda, włączała się do ruchu, przyspieszała i hamowała, wyprzedzała. Radio milczało - żadnej muzyki, żadnej francuskiej kultury. Gubiła się w labiryncie myśli, szukała wyjaśnień, podążała jednym tropem za drugim, a każdy z nich kończył się ślepych zaułkiem.

U Claire przez całą minutę wpatrywała się w ekran komputera z otwartymi ustami.

Bieżące saldo rachunku 25000000,00 EUR Wylogowała się ze strony banku, wyczyściła historię przeglądania, wyczyściła pliki cookies w przeglądarce, wyszła z niej i zrestartowała komputer, planując następne kroki.

Weszła do kuchni z wymuszonym uśmiechem na ustach. Claire była nieco niepokieszona, kiedy poprosiła ją o pożyczanie bmw Sebastiana.

- Mój samochód wydaje jakieś dziwne odgłosy - skłamała Kate. - A dziś nie da się jeździć niesprawnym autem. Boję się, że stanę gdzieś na autostradzie. Jutro zaprowadzę nasze audi do warsztatu.

Zjeżdżała w dół na zachód w dolinę Petrusse, biegnącą przez sam środek kraju. Po drugiej stronie rzeki znów pojawiły się łagodne wzniesienia, długie niezbyt strome podjazdy, płaskowyże i zjazdy na mosty nad rzeczkami i strumieniami, i znowu w górę.

Jest spora różnica między pięćdziesięcioma milionami euro ukradzionymi zdaniem FBI przez Dextera a dwudziestoma pięcioma milionami z okładem na jego kontach. Różnica mniej więcej o połowę. Ale to różnica ilościowa, a nie jakościowa. Bo chodzi o to samo: że Dexter ukradł bardzo dużo pieniędzy. Niemożliwie dużo.

Kate pędziła przez las, drzewa rosły blisko drogi, smukłe pnie o białej korze strzelały ku niebu, ku światłu. Nagle drzewa stały się bielsze, jaśniejsze, a wszystko pokrywał szron, co zdarza się regularnie przy temperaturach tuż poniżej zera, kiedy poranna mgła osiada na każdej płaszczyźnie i każdej powierzchni, wszędzie po bokach, i zamarza, pokrywając wszystko - drzewa i krzaki, gałązki i igły, znaki i latarnie - jaśniejącą oślepiającą warstewką

lodu. Niesamowite.

Musi istnieć jakiś racjonalny powód. Dexter jest dobrym człowiekiem. Jeśli zrobił coś złego, musiał mieć powód dający się uzasadnić, wręcz prawomocny powód.

Przecież i ona robiła rzeczy najgorsze z wyobraźalnych. A jest dobrym człowiekiem. Czyż nie?

Półowa z pięćdziesięciu milionów...

Samochód jechał przez pustą o tej porze roku wiejską okolicę, niziną, jałową. Nawet najmniejsze domy wydawały się tu wieżowcami - stodoły, spichlerze, jednopiętrowe wiejskie domki wznoszone tuż przy drodze, która była średniowiecznym gościńcem, poszerzonym dla wozów w czasach renesansu, a potem w dwudziestym wieku znów poszerzonym i wybrukowanym dla samochodów. W obecnej formie gościniec żył bardzo krótko. Kolejny skrawek europejskiej historii, wijący się jak wąska dróżka.

Gdzie jest druga półowa? Musi być na tym drugim koncie, którego numer widniał na skrawku papieru bez żadnych dodatkowych informacji, bez nazwy użytkownika i hasła. Dlaczego zapisał dane tylko jednego konta? Tylko połowy pieniędzy?

Samochód mknął po mocno zużytych asfalcie, wjeżdżał i wyjeżdżał z lasów, głównie iglastych, porastających wzgórze.

Bo miał współnika? Wspólniczkę? Marlenę? Niko? Obie? Obu?

Kate nie używała GPS-u Sebastiana. Pożyczyła jego samochód z jednego powodu - by nie dało się śledzić jej ruchów. Korzystała z mapy na wijących się, nienumerowanych drogach, których nazwy zmieniały się co parę kilometrów, zaglądała do niej regularnie, gdy drogi łączyły się z innymi, kończyły lub zwracały.

W końcu dojechała do Bigonville na rue des Pins. Straszna droga, bez wydzielonych pasów ruchu, z obu stron drzewa iglaste. Sosny. Ulica sosnowa w samej rzeczy.

Była już pewna - w dziewięćdziesięciu dziewięciu, jeśli nie w stu procentach - że Dexter wszedł nielegalnie w posiadanie wielu milionów euro. Z tych pieniędzy płacili za dom, za jedzenie, za zabawki dla dzieci i za ropę, którą zatankowała wczoraj do baku auta, do pełna, za sześćdziesiąt trzy euro, niemal sto dolarów za paliwo do przechodzonego audi.

Używany samochód. Tu zderzały się ze sobą dwie rzeczywistości - nie do pogodzenia. Co za człowiek kupuje używane auto, mając na koncie w banku dwadzieścia pięć milionów euro?

Kate w Amsterdamie przecierpiała obiad z tym kutasem Bradem. Brad był facetem z

milionem na koncie. I cały wolny czas, całą energię, przeznaczał na wydawanie pieniędzy. Na samochody, domy, wakacje. Tak jak ci bogaci bankierzy w Luksemburgu, którzy żyli z zarabiania pieniędzy, a jedyną namiętnością było dla nich wydawanie kasy.

Jej mąż nie był jednym z nich.

Ta wąska droga wiła się i skręcała, zjeżdżała w dół i wznosiła się pod górę. Tu i ówdzie śnieżne łąty, gęsty las i wijący się wraz z drogą strumień - nie było pieniędzy na zbudowanie mostka, nigdy nie będzie.

To wszystko po prostu nie miało sensu.

Droga oddaliła się od strumienia i wzniosła stromo, wyrównała na szczycie pagórka, gdzie kończył się las i zaczynały fałdy kolejnych wzniesień, jednego za drugim, jak szarobiałe zmarszczki skóry starego psa shar peia. Wzdłuż drogi biegł kamienny murek z dużych głazów zniesionych z uprawnych pól. Murek wyrósł przypadkowo, był produktem ubocznym pracy na roli, miejscem, gdzie składowano kamienie. Pole za murkiem było olbrzymie, porastała je niska trawa, brunatnozielona jak na ugorze.

Kate ujrzała pobielony dom z czarnym łupkowym dachem - takim samym jak wszystkie inne dachy w tym państewku odcięty od morza. Po obu stronach domku rosły gołe teraz dęby, ocieniające ludzką siedzibę latem. Okolicę przecinały niskie kamienne murki, pokruszone, przypominały fundamenty rzymskich ruin wyznaczające wielkie sale, jadalnie i womitoria, i korytarze.

Zwolniła, zerknęła w tylne lusterko, nikt jej nie śledził. Nigdzie wokół nie zauważyła samochodu, furgonetki czy traktora. Drewniane okiennice domku były zamknięte. Ani śladu mieszkańców sadyby, odosobnionej na wielkim polu, chronionej po obu stronach przez tych zrzucających liście ochroniarzy.

Nie można się było zatrzymać przy krawędzi drogi, która opadało stromo do rowu melioracyjnego. Wjazd do domu stanowiła wąska przerwa w kamiennym murze, zagrodzona łańcuchem spiętym kłódką. Na kamiennym słupie przy tej specyficznej bramie ujrzała białą emaliowaną tabliczkę z wypisanym czarnym numerem 141. Był to z całą pewnością adres rue des Pins 141, Bigonville, Luksemburg. Siedziba LuxTrade S.A.

Zatrzymała się na środku drogi. Nie było sensu się tu kręcić, czekać na mieszkańców czy odwiedzających dom. Rozejrzała się w prawo i lewo, do tyłu i do przodu. Nie było się gdzie ukryć przez dobre pół kilometra w każdą stronę. Nie można było podejść niezauważenie do tego domu.

Dosyć osobliwa centrala firmy wartej dwadzieścia pięć milionów euro. Ten dom nie wyglądał na centralę firmy, wyglądał na schowek.

Na wieczorne spotkania mam w mieście przychodziło zwykle kilkanaście kobiet. Siadały na barowych stołkach, nim minęło pół godziny większość była pijana.

To wyjście miało ukoić nerwy Kate, miało pozwolić jej zapomnieć o nieznośnej sytuacji. A poza tym musiała utrzymywać pozór normalnego życia. Tego ją nauczono, kiedy pracowała, na tym polegała między innymi jej praca i jej życie. Bez względu na to, co się dzieje, żyj normalnie. Rób to, co zwykle, spotykaj się z tymi ludźmi co zawsze. Nie dawaj nikomu powodu do zadawania pytań, sprawdzania. Nie pozwól, żeby zdołali udzielić sobie sensownych odpowiedzi na wścibskie pytania, które mogliby sobie zadać, gdybyś zniknęła. Nie daj im cienia wątpliwości, że jesteś tym, kim twierdzisz, że jesteś.

Przy stole wymieniano się plotkami - złośliwymi, nieuzasadnionymi. Mąż jednej bzyka się z sekretarką. Opiekunka do dzieci drugiej puszcza się w szkole. Ci Czesi, którzy mieli tyle pieniędzy? Są bez grosza. Ta głośna i wulgarna kowbojka z Teksasu z trójką dzieci? Leczy się na bezpłodność, żeby mieć czwarte.

Ta i ta była taka i owaka.

Kate nie potrafiła nie myśleć o tym, co wykombinował jej mąż i w jaki sposób wszedł w posiadanie tylu milionów euro, jeśli nie zrobił tego, o co podejrzewało go FBI, czyli jeśli ich nie ukradł.

Kiedy nikt nie zwracał na nią uwagi, położyła dyskretnie dziesięć euro na stole i wymknęła się, niby do łazienki. Ale poszła prosto do drzwi, wyjęła parasolkę ze stojaka i wyszła na zamgloną ulicę. Niewyraźne światła latarni, szum rzeki płynącej nieopodal, zasilanej topiącym się śniegiem.

W Grund wokół mostu było kilka pubów, a każdy miał własny mikroklimat z dymu i hałasu: w jednym w telewizorze oglądano tylko rugby, w drugim stała szafa grająca z europopem, trzeci był pełen spitych nastolatków, choć do pubów nie mogli wchodzić młodzi ludzie poniżej szesnastego roku życia, co sprawiało, że chodzili do nich wszyscy szesnastolatkowie.

Kate przeszła przez most i znalazła się w długim, dobrze oświetlonym tunelu wyciętym w skale, na której wznosiło się *haute ville*. Z grubsza ociosane skalne ściany tunelu obwieszono wtórnymi dziełami sztuki, cuchnęło moczem jak w każdym miejskim tunelu nawet w najlepiej utrzymanym mieście na świecie. Do jej domu na szczycie skały trzeba było się wspinać przez dobre trzydzieści metrów, wspaniałe ćwiczenie, gdy szło się w górę rue Large, ale tego wieczoru Kate nie miała ochoty na fitness. Potrzebowała odpowiedzi, a nie

ćwiczeń kardio. Chciała wrócić do domu, sama, z własnymi myślami. Czekala na nią opiekunka, której musi zapłacić. Mąż gra w tenisa z agentem FBI, który go śledzi. Co za cholerny bałagan.

Z windy wyszła grupka ludzi, para nastolatków, para bankierów i samotna kobieta, która spojrzała życzliwie na Kate.

Kate weszła do kabiny windy, czekała na odjazd. Usłyszała kroki w tunelu - ktoś się bardzo spieszył. Mężczyzna, bo stąpa ciężko i stawia długie kroki. Przyciskała guzik raz za razem, zupełnie irracjonalnie i bezowocnie, ale całkiem zrozumiale.

Drzwi zamknęły się mężczyźnie przed nosem. Chciał wsunąć rękę między stalowe skrzydła, ale spóźnił się o ułamek sekundy.

Winda jeździła wolno, klekotała, skrzypiały napinające się kable. Kate wyszła z niej na płaskowyż St-Esprit, kompleks administracyjny, sądy i agendy rządowe, plac pośród hiperczystych budynków, całość dobrze oświetlona, ale pusta i cicha.

Ruszyła szybkim krokiem po wybrukowanej ulicy. Minęła nocny klub, dudniący w środku muzyką, od zewnątrz pusty. Skręciła za róg, wspięła się na kolejny plac. Bar, fontanna, szykowna restauracja, samotna taksówka. Z restauracji wyszła para w średnim wieku i wsiadła do taksówki.

Zerknęła przez ramię. Nikt za nią nie szedł. Przecięła plac i skręciła w uliczkę. Zerwany chodnik, sprzęt budowlany w głębokim ziemnym rowie. Usłyszała kroki za sobą.

Spieszyła się, szła najszybciej jak mogła. Pobiegnęła przez chwilę, a potem maszerowała szybko, zmieniając chód, żeby się nie zmęczyć. Przeszła przez skrzyżowanie. Z prawej pełna ludzi włoska restauracja, z lewej pałac wielkiego księcia. Zdała sobie sprawę, że przejdzie pod oknami Macleanów.

Ten, który za nią szedł, był z całą pewnością mężczyzną, słyszała męskie obcasy stukające po kamieniach, szedł równie szybko jak ona. Spojrzała za siebie. Długi ciemny płaszcz, kapelusz z rondem. Czy to ten, który chciał wsiąść do windy w tunelu? Nieokreślony wiek i nieokreślona sylwetka. Ukrywa się w ciemności jak wszystko wokół.

Kate spojrzała na włoską restaurację, zastanawiając się, czy się w niej nie schronić. Ale poszła dalej, szybciej, mijając chiński zwykły bar i schodząc stromą alejką, najkrótszą drogą do domu, ale i najgorszą. Puściła się biegiem, było jej niewygodnie i chwiejnie na obcasach uderzających o śliskie kamienie, oparła się o ścianę, żeby się nie przewrócić, obtarła sobie kłykcie o szorstki mur, skręciła w pełnym biegu za róg, opierając się na parasolce, skupiając się na tym, co przed nią, na domu. Biegła niemal sprintem, zajrzała do ciemnego zaułka i zmieniła zdanie.

Wpadła do pasażu, który prowadził do bramy kamienicy podobnej do tej, w której mieszkała, kolejnej średniowiecznej budowli wyremontowanej i odnowionej ponad wszelkie wyobrażenie, sztukateria na kamiennych ścianach, nowe drewno w murze, nowe dwuskrzydłowe okna, nowoczesna instalacja kominowa.

Przywarła do muru, ukryła się i czekała w bezruchu.

Kroki stawały się coraz głośniejsze, łomotały po kamieniach; zgubił krok, poślizgnął się na mokrym bruku, a potem znalazł się tuż przy niej, jeszcze trzy sekundy, dwie, teraz...

Kate oderwała się półobrotem od ściany i wypadła na ulicę, unosząc prawe ramię, rozpęd pozwolił jej obrócić rękę z maksymalną prędkością, dłoń płasko w poziomie, twardy kant. Kiedy trafiła mężczyznę w szyję, nie zapomniała o poprawce, uderzając lewą pięścią od dołu w ciało i kość.

Osunął się na kolana, chwytając rękami za szyję, łapiąc gwałtownie oddech. Chwyliła oburącz parasolkę, obróciła ją, by półokrągłą rączką znalazła się w pionie, i uderzyła go nią w potylicę. Upadł twarzą na bruk, łamiąc sobie prawdopodobnie przy okazji nos.

Przyklęknęła obok niego, sprawdziła, czy żyje. Był nieprzytomny. Zauważyła, że nie miał kapelusza. To nie był człowiek, który śledził ją przed trzydziestoma sekundami.

Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni jego płaszcza, wyjęła portfel i stwierdziła, że właśnie załatwiła szwajcarskiego prawnika, który mieszkał przy jej ulicy.

Dziś, 16:57

Kate od dawna nie nosiła przy sobie broni, przechodząc obok policjantów, mijając kamery, próbując się nie denerwować. Zna to uczucie - rozdrapywanie zagojonej rany.

Zerka na ekran wiszący nad peronem metra. Następny pociąg linii 12 do La Chapelle przyjeżdża za minutę, kolejny za cztery minuty. Poczekaj na ten drugi. Żeby nie spóźnić się na piątą, powinna wsiąść do pierwszej dwunastki.

Rozgląda się po peronie. Bawi się myślą o tym, kto z otaczających ją ludzi jest tym, który ją śledzi. Ale to nie ma sensu. Doskonale rozumie powody, dla których podejmuje się środki ostrożności. Muszą być pewni, że nie jest śledzona przez innych, że sama nie współpracuje z kimś podejrzanym, że w ogóle jest sama. Nie ma zamiaru zniknąć z widoku, kryć się. Więc doprawdy nie ma znaczenia, kto ją śledzi i dlaczego.

Przerzuca strony „Paris Match” z fotografiami tych wszystkich, których należy się spodziewać na stronach „Paris Match”. Kiedyś miała nadzieję, że francuskie plotki o celebrytach są inne od amerykańskich, lepsze. Po rocznym pobycie we Francji przekonała się, że nie są.

Drugi pociąg metra jest bardziej zatłoczony od pierwszego, tłum zgęstniał po wybiciu piątej. Nie ma miejsc siedzących. Opiera się o ścianę wagonu obok drzwi, przestępuje z nogi na nogę, kręci się.

Już nic nie może poradzić - chce wiedzieć, kto ją śledzi. Przygląda się ludziom, których można zazwyczaj spotkać w wagonie metra o piątej. Nikt nie patrzy jej w oczy, przynajmniej nie za długo, nikt też celowo nie unika jej spojrzenia. To może być każda z tych osób. Albo żadna.

Pociąg przystaje na stacji Solférino i niewiele się zmienia. Potem Assemblée Nationale i wciąż nic. Concorde - pociąg zwalnia przed dużą zatłoczoną stacją, peron pełen ludzi, którzy podchodzą do jadących jeszcze wagonów. Kiedy otwierają się drzwi, słyszy za sobą męski głos, niski i poważny:

- Przesiadasz się, jedziesz do Beaubourg, restauracja na górze.

Drzwi są otwarte, wysiada.

Nie zdołała rozpoznać mężczyzny, który udzielił jej instrukcji, nie próbowała nawet. Odwrócił się, wypowiadając ostatnie słowo, które stało się nieledwie szeptem w panującym w metrze rozgwarze.

Kate kieruje się ku *correspondance* schodami w górę i w dół, skręca za róg, długie

tunele łączą się w jeszcze dłuższe, aż w końcu wychodzi na peron, na który wjeżdża właśnie pociąg, jedyńka, zapchana do granic centralna linia, a w niej kończące pracę tłumy poupychane w wagonach, zebrane z każdej wcześniejszej stacji, ludzie spieszą się i rozpychają, przejeżdża pięć niewygodnych przystanków i pozwala, by gęsty tłum, istny ludzki potop, wypchnął ją z wagonu na stacji Hôtel de Ville.

Jest już na ulicy, odchodzi od ludzkiej rzeki i nagle bez ostrzeżenia wyrasta przed nią monstrum Centre Pompidou, lśniący stal i czyste jaskrawe kolory na tle jasnoniebieskiego popołudniowego nieba.

Kupuje bilet, wsiada do windy. Jest w niej sama.

Zna to muzeum. Odwiedza je z Dexterem, przychodzą tu na wystawy, a potem idą na lunch do restauracji na dachu, skąd roztacza się najlepszy widok na prawy brzeg Sekwany.

Wchodzi do restauracji, kiwa głową do kelnerki, wybiera odległy stół w rogu. Na stole stoi butelka wody mineralnej, dwa kieliszki, siedzi przy nim jeden gość.

Kobieta dwa stoły dalej zerka na Kate, a potem opuszcza wzrok na filiżankę z kawą. Towarzyszący jej mężczyzna studiuje własne paznokcie. Wsparcie.

Puls Kate przyspiesza. Przypomina sobie przelotnie o naładowanej broni w schowku na dnie torby, o innych naładowanych pistoletach ukrytych na tej sali, tu na tym wyrafinowanym dachu, w damskich torebkach i w kaburach pod luźnymi sportowymi marynarkami mężczyzn, skrojonymi specjalnie po to, by maskować broń.

Hayden wstaje, żeby ją ucałować, policzek dotyka policzka, drapie ją popołudniowym zarostem, Kate ma wysuszoną skórę po długim słonecznym lecie i z powodu niechęci do tłustych kremów z filtrami. Oddech Haydena pachnie kawą i resztkami miętówki.

- Kolejne muzeum - mówi Kate. - Jesteś wielkim miłośnikiem sztuki, prawda?

- To jeden z powodów, dla których mieszkam w Europie.

- No tak.

- A ty?

- Przygody.

- Ach, oczywiście! Wszyscy uwielbiamy przygody, jak mniemam. - Hayden nalewa jej wodę do kieliszka, bąbelki syczą cichutko. Uśmiecha się lekko i kwaśno, ma zdaje się mnóstwo wariantów kwaśnych uśmieszków.

- A zatem. Wspomniałaś coś o jakichś ukradzionych pieniądzach.

Kate upija łyk wody, uspokaja nerwy, przygotowuje się, by być stanowcza i nieugięta. Nie pozwolić, by nią manipulowano i by ją oszukano.

- Owszem. - Odstawia kieliszek, podnosi wzrok na Haydena. - Ale chcę coś w zamian.

Kiwa głową.

- W zasadzie parę rzeczy.

Na drzwiach wisiała tabliczka REGISTRE DE COMMERCE ET DES SOCIÉTÉS. Budynek był nowy, niski biurowiec przy ulicy, na której Kate nigdy przedtem nie była i nie wiedziała o jej istnieniu. Za biurkiem z komputerem siedziała kobieta w prostokątnych okularach w karmazynowej oprawce.

Kate nauczyła się nowych słówek, zapamiętała odmianę czasowników. Miała nawet przy sobie, oczywiście w kieszeni, kieszonkowy słowniczek. Spodziewała się, że w krajowym rejestrze przedsiębiorstw usłyszy wiele nieznanych zwrotów. Ale po pierwszym pytaniu zadanym przez Kate po francusku kobieta odpowiedziała po angielsku.

- Oczywiście. Jak nazywa się ta firma?

- LuxTrade.

Wystukała nazwę na klawiaturze i z wielką pewnością siebie wcisnęła „Enter”.

- Monsieur le Président-Directeur General - powiedziała - to... pan Dexter Moore.

- Czy może mi pani coś powiedzieć o tej firmie?

- Jest opisana w rejestrze jako inwestor na rynkach finansowych.

- Kiedy została założona?

- Nie wiem, proszę pani.

- Przepraszam, chodziło mi o to, kiedy została zarejestrowana w Luksemburgu?

Kobieta zerknęła na ekran.

- W październiku.

- Dziękuję. Czy jest jeszcze coś, czego mogłabym się dowiedzieć?

- Nie sądzę, proszę pani. To wszystko.

Kate odwróciła się, by odejść, lecz zatrzymała się i spojrzała na urzędniczkę.

- Mówiąc „w październiku”, ma pani na myśli październik przed trzema miesiącami?

- Nie, madame. Firma LuxTrade została zarejestrowana w Luksemburgu przed piętnastoma miesiącami.

Przed piętnastoma miesiącami! Rok przed przeprowadzką do Luksemburga! Dexter zwolnił się wtedy z banku i założył własną firmę. Niewątpliwie wprowadził w życie plan kradzieży mnóstwa pieniędzy i ukrył je tutaj. W Luksemburgu. Przed piętnastoma miesiącami.

Wracała oszołomiona na parking w centrum handlowym przy szerokiej, tętniącej życiem avenue JFK, otoczonej stalowo-szklanymi biurami, zatłoczonej stalowo-szklanymi autami, różniącymi się wielkością i kształtem pojemnikami na ludzkie życie. Szła pieszo po ulicy nieprzeznaczonej dla pieszych, zeszywniała z zimna, obolała od porywistego wiatru.

Przy bulwarze stały banki, mieściły się rozmaite S.A. i SÀRL - odmienne konfiguracje biznesowe ułatwiające ochronę zysków przed fiskusem i pozwami prawników. Wszędzie stały dźwigi i koparki, wznoszono nowe strzeliste biurowce wokół nowego muzeum sztuki, nowej opery, nowego centrum sportowego. Wszystkie te nowe inwestycje finansowano z niewielkich podatków pobieranych z pieniędzy, jakie trafiały do tego państewka każdego dnia, ukrywając się przed państwami potężniejszymi. Z takich pieniędzy jak dwadzieścia pięć milionów euro, które przetransferował tu LuxTrade.

Kate wspięła się po schodach i weszła do stalowo-szklanego centrum handlowego, chciała znaleźć się choćby przez kilka sekund wśród żywych oddychających ludzi, zanim zjechała samotnie szerokimi stalowo-szklanymi ruchomymi schodami. Nigdzie żywego ducha.

Dexter zarejestrował LuxTrade, firmę inwestycyjną - ale czy na pewno? - przed piętnastoma miesiącami. Tutaj, w Luksemburgu. Jak to możliwe?

Słyszała pisk opon, szum silników, trzaskanie drzwiami.

Szła drogą dla pieszych wyznaczoną dwoma wymalowanymi liniami, przestrzegała przepisów, rozglądając się wokół siebie i nasłuchując.

Trzask. Gdzieś daleko. Wózek na zakupy wpychany w rząd innych wózków.

Maszerowała tam, gdzie według niej powinno znajdować się jej auto. Słyszała czyjeś kroki, niezbyt daleko, ale nikogo nie widziała. Zmusiła się, by nie czuć strachu, który paraliżował ją od niedawna, ale po dłuższym namyśle doszła do wniosku, że powinna się bać. Znów się rozejrzała, tym razem uważniej, nasłuchiwała każdego dźwięku, przeważnie normalnych odgłosów takiego miejsca jak podziemny parking, ale też takich, których nie powinno tu być, które przerażały.

Jest na parkingu w samym środku dnia w Luksemburgu. Na tym parkingu jest bezpieczniej niż gdziekolwiek w Waszyngtonie o dowolnej porze dowolnego dnia. Nie mówiąc już o wszystkich innych niebezpiecznych miejscach, w jakich przebywała przez większą część zawodowej kariery.

Trzymała kluczyki w ręku, zerkając to w jedną, to w drugą stronę. Usłyszała kroki i trzask bagażnika, samochód przyspieszający na podjeździe, stukanie wózka z rozklekotanym

kółkiem, a potem ujrzała - chwala Bogu - swoje auto, zachrząściły otwierające się automatycznie drzwi. Serce biło jej jak szalone, kiedy siadała za kierownicą, przekreślała zapłon, wrzucała bieg, zwolniła ręczny hamulec i dodawała gazu, żeby się stąd wydostać, do cholery. Wstyd potęgował jej strach - jak można tak się bać na parkingu w Auchan? - opuściła szybę, by wsunąć do maszyny bilet, szlaban się uniósł, rampa ku słońcu, ku pełni dnia, wyjazd na...

Szelest i ruch za jej plecami, niski chrapliwy głos...

- Skręć w prawo - powiedział.

Kate rozważała ewentualności. Mogła wcisnąć hamulec, otworzyć drzwi, wyskoczyć w samochodu i pobiec środkiem ulicy, wołając o pomoc.

Mogła też się zatrzymać i odmówić dalszej jazdy, czekając na wyjaśnienia.

Albo mogła sięgnąć do torebki leżącej na fotelu obok, wyjąć berettę, odwrócić się i posłać do diabła tego agenta FBI.

Albo mogła go wysłuchać.

- Dokąd jedziemy?

Bill nie odpowiedział. Siedział na środku tylnego siedzenia, wpatrując się w nią we wstecznym lusterku.

Kate skręciła w prawo, tak jak jej polecił, a potem jeszcze raz wokół monstrualnego ronda ze stalową rzeźbą pośrodku. Ktoś mówił, że to dzieło Richarda Serry, ale dla Kate rzeźba i tak była bez sensu. Zatrzymała samochód tam, gdzie jej kazano, kilkaset metrów za rondem obok otwartego parku na długim łagodnym wzniesieniu. Ławki i latarnie, starszy pan spacerujący z psem.

- Wsiadamy. - Bill poprowadził ją ku najbliższej ławce. Znajdowali się na otwartej przestrzeni, na oczach ludzi. Trudno podejrzewać, by coś jej tutaj groziło. I właśnie o to chodziło Billowi. Żeby niczego nie podejrzewała.

Usiadł. Kate przyszło do głowy, żeby wybrać inną ławkę, przypadkową, a nie tę, na której kazał jej siadać. Ale przecież ta ławka została wybrana przypadkowo przez Billa, a może nie? Coraz trudniej przychodziło jej odróżnić decyzje, które podejmowała sama, od tych, które podejmowali za nią inni w jej imieniu.

Przejechał samochód, zaraz za nim następny. Jeden z nich wyglądał jak auto Amber. Kate była na tej ulicy już wcześniej, przechodziła przez park. Wszyscy tu byli i przechodzili tędy.

- Ludzie pomyślą, że mamy romans - powiedziała. Usiadła obok Billa na zimnej desce impregnowanego drewna.

- To byłoby lepsze od prawdy.

Nadjechał dobrze znany samochód. Kate stężała, pobiegła myślami do beretty w torebce. Z auta wysiadła Julia, podeszła do ławki, usiadła po drugiej stronie Billa.

- Cześć, Kate. - Zaciśnięte usta, uśmiezek, jakim witają się ludzie na pogrzebie.

Kate nie odpowiedziała.

- Uważasz, że taka ciota jak Kyle Finley może włamywać się do wspólnych akt FBI i Interpolu i nikt tego nie zauważy? - zapytał Bill. - Nikt nie powiadomi pracujących w terenie agentów?

Kate popatrzyła na Billa, a potem na Julię, a potem znów na Billa. Zrozumiała, dlaczego stają z nią do konfrontacji, być może zdoła czegoś się od nich dowiedzieć. Pod warunkiem że sama nic im nie powie.

- O co ci chodzi?

- Słuchaj - mruknął Bill - nie da się już dłużej owijać tego w bawełnę.

Kate roześmiała się. Naprawdę.

- Zatem już wiesz, jak wygląda prawda, Kate. Wiesz, że twój mąż jest złodziejem.

Była zaskoczona, jak bardzo zaskoczyło ją to wypowiedziane otwarcie oskarżenie; wypowiedziane ustami śledczego. Oświeciło ją, miała już absolutną pewność: ten człowiek faktycznie wierzył w to, co przed chwilą powiedział.

- Chcę usłyszeć, co wiecie.

- Wiemy, że pierwsze przestępstwo popełnił poprzedniego lata, kiedy mieszkaliście jeszcze w Waszyngtonie. Ukradł milion dolarów, przechwytując elektroniczną transakcję.

Nie odpowiedziała.

- Zostawił za sobą ślady - ciągnął Bill - elektroniczne markery. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że pieniądze trafiły do Andory. Ale kradzież przeprowadzono z komputera w Stanach. Zaczęliśmy przeglądać profile Amerykanów, którzy przylatywali na lotnisko w Barcelonie, skąd jest najbliżej do Andory, gdzie nie ma portów.

- Jakich portów? - zapytała, wykorzystując zwłokę w opowieści, by przypomnieć sobie zeszłe lato i podróż Dextera do Barcelony bez żadnej zapowiedzi...

- Portów lotniczych - powiedział Bill. - Andora nie ma lotniska. Cztery dni po przejściu transakcji wartej milion dolarów na lotnisku w Barcelonie wylądował Amerykanin, który jest jednym z czołowych specjalistów... na całym świecie... w dziedzinie elektronicznego bezpieczeństwa.

Kate skrzyżowała ręce na piersi.

- Ten człowiek wynajął samochód i wybrał się z lotniska w trzygodzinną podróż za miasto, dokąd wrócił następnego dnia. Wynajął drogi samochód. Chcesz wiedzieć, dokąd pojechał?

Zerknęła na Julię, która wpatrywała się w nią z napięciem.

- Ten człowiek pojechał wynajętym autem do Andory na jeden dzień, a potem wrócił na lotnisko i odleciał z powrotem do Stanów. Gdzie kupił bilety lotnicze do Frankfurtu. Cztery bilety: dwa dla dorosłych i dwa dla dzieci. Wynajął swój dom w Waszyngtonie. Wystawił samochód na sprzedaż. Przarejestrował auto na kogoś innego. A jego żona? Rzuciła pracę.

Kate spojrzała Billowi prosto w oczy. Wiedział, kim była i co robiła. Kiedyś. Przeniosła wzrok na Julię. Wiedzieli oboje.

- Jak to brzmi, twoim zdaniem? - zapytał Bill.

Odwróciła wzrok, spojrzała na trzy samochody podjeżdżające na wzniesienie. Ruch robił się coraz większy, choć tutaj zawsze panował duży ruch.

- Bo moim zdaniem to ucieczka przestępcy - odpowiedział na postawione przez siebie pytanie. - W biurze powołano zespół prowadzący śledztwo w sprawie przejęcia miliona dolarów, zespół ten skontaktował się z Interpolem, by prowadzić wspólną operację, by móc śledzić podejrzanych w Europie na takich samych zasadach i z takimi samymi uprawnieniami jak w kraju. My...

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego go śledzicie? Twierdzicie, że ukradł... ile? Milion dolarów? Ludzie kradną codziennie po milionie dolarów. Dlaczego on jest wyjątkiem? Warty śledztwa za granicą?

- Ponieważ nie wiemy, jak to zrobił.

Nie zrozumiała tego. Czegoś jej brakowało. Jakiegoś ważnego elementu. Pokręciła głową.

Do rozmowy włączyła się Julia.

- Ponieważ nie wiemy, jak to zrobił, nie mieliśmy pewności, że nie zrobi tego ponownie. Że nie ukradnie dowolnej sumy pieniędzy podczas jakiegokolwiek transferu dokonywanego na świecie.

Ha. To z pewnością było warte zorganizowania skromnej tajnej operacji.

- I tak się niestety stało. - Julia pochyliła się w jej stronę. - W listopadzie, a konkretnie w Dniu Dziękczynienia. Pamiętasz swój ostatni Dzień Dziękczynienia, Kate?

Kate spiorunowała ją wzrokiem. Jędza.

- Założę się, że byłaś wściekła. Twój mąż wyjechał w... - zaznaczyła palcami cudzysłów -...podróż służbową. Powiedział ci, że jedzie sam?

Kate nie miała zamiaru mówić im niczego. Potarła dłonie, były lodowate. Robiło się coraz zimniej.

- No tak... - Julia wzruszyła ramionami. Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej dużą brązową kopertę, coś z niej wyciągnęła, jakieś papiery... - Był w Zurychu - kontynuowała, podając zawartość koperty Kate. - Z inną kobietą.

To nie były papiery, a pocztówkowe fotografie opisane z tyłu długopisem: data, miejsce, nazwiska. Dexter z jakimiś podejrzanymi typami w kawiarni w Sarajewie, Dexter w banku w Andorze i Zurychu. Dexter w nocnym klubie w Londynie z jakąś rewelacyjną dziewczyną. Odwróciła zdjęcia, sprawdziła datę i imię: Marlena.

- Kto to jest? - zapytała, usiłując się opanować, usiłując nie rozpaść się kompletnie, i być może na zawsze, tu i teraz. Nie przypuszczała, że ta Marlena okaże się kimś w rodzaju supermodelki. - Czego to dowodzi?

- Każde z tych zdjęć dowodzi czego innego. A wszystkie razem dowodzą prawdy.

Kate nie mogła oderwać oczu od fotografii zrobionej w czerwcu w Zurychu. Dexter przy ladzie u jubilera, pochyla się nad szklaną gablotą, a obok niego stoi to nieziemskie stworzenie, do którego się uśmiecha. Marlena. Dalej były inne zdjęcia z Zurychu, wejścia i wyjścia z hotelu, wejścia i wyjścia z hotelowej windy. Obiad w sali jadalnej. Śniadanie! A potem Londyn, restauracja, schody domu z pomalowanej na biało cegły.

Kate pokręciła głową.

- Jaką mam gwarancję, że to nie z Photoshopa? - Nie spodziewała się, że będzie aż tak zazdrosna, że aż tak się tym przejmie. - Wystarczy przyzwoita drukarka i można wyprodukować dowolną historię.

Zadzwonił telefon Kate. Claire. Nacisnęła „odrzucić”.

- Możesz zatrzymać te zdjęcia - powiedziała Julia, ignorując wartość zignorowania uwagi Kate. - Możesz porównać daty ze swoim kalendarzem. Z e-mailami, połączeniami telefonicznymi, czymkolwiek. Przekonasz się, że Dextera nie było, bo był tam, gdzie go uwieczniliśmy. Otwierał konta bankowe, jedno po drugim, numeryczne konta w całej Europie. W towarzystwie tej oto damy...

- Mogliście to jakoś zaaranżować, ustawić... - powiedziała. Walczyła ze sobą, by nie uwierzyć, że Dexter faktycznie prowadzi podwójne życie - jako przestępca, z inną kobietą, która mieszka w Zurychu albo Londynie. Nie był to nieunikniony wniosek, ale prawie

nieunikniony.

- Podczas pobytu w Zurychu - mówiła dalej Julia - zrobił to raz jeszcze. Ale tym razem ukradł dwadzieścia pięć milionów euro.

Bill skrzywił się dziwnie, zmarszczył brwi, przymknął powieki.

- Ile? - zapytała Kate. Nie zapomniała odegrać zaskoczenia, przybrać zdumioną minę.

- Dwadzieścia pięć milionów - powtórzyła Julia.

Bill otworzył lekko usta, zerknął na Julię. A potem zamknął usta i znów patrzył na Kate.

- To... dużo pieniędzy - powiedziała. Choć nie tak dużo, jak mówił Kyle. - Komu je ukradł?

- Serbskiemu handlarzowi bronią.

Kate spojrzała na zdjęcia, które ścisnęła w dłoni. Zjawiskowa Marlena. Plus dwadzieścia pięć milionów euro. Trudno z czymś takim wygrać.

Odsunęła od siebie tę myśl.

- Kim jesteście? - zapytała.

- Wiesz, kim jesteśmy.

- FBI i Interpol?

Julia kiwnęła głową.

- Z grupy śledczej ścigającej cyberprzestępców. Śledziliście mojego męża aż do Luksemburga i podejrzewacie go o kradzież dwudziestu pięciu milionów euro w listopadzie oraz o kradzież miliona dolarów latem zeszłego roku.

- Zgadza się.

- I trzeba go przyskrzynić, bo nie macie pojęcia, jak go powstrzymać.

- Owszem.

- Po co mi o tym mówicie?

Żadne nie odpowiedziało. Czekali, aż Kate wyciągnie własne wnioski. Spoglądała to na jedno, to na drugie i przekonała się, że się nie myli. Wiedziała, do czego zmierzają.

Znów zadzwonił telefon Kate. Claire. Coś musiało się stać. Coś ważnego. Ale co teraz nie jest ważne? Odebrała połączenie.

- Cześć.

- Kate? Wszystko u ciebie w porządku?

- Aaa... - Co za pytanie! - Eee...

- Tvoi chłopcy są ostatni. Czekaają. Wszyscy inni już sobie poszli.

Kurwa! Spojrzała na zegarek. Piętnaście minut po czasie.

- Przepraszam - powiedziała, przepraszając nie tych, co trzeba. Wstała. Teraz już wiedziała, skąd ten nagły ruch na drodze. Wszystkie matki jechały z Auchan do szkoły. Odebrać dzieci. - Dzięki, Claire. Przyjadę za pięć minut.

Schowała telefon.

- Muszę odebrać synów.

Julia kiwnęła głową, jakby wyrażała zgodę, co rozdrażniło Kate. Odwróciła się i odeszła, zmierzając do samochodu, którym musi odebrać dzieci. Kręciło się jej w głowie, a wszystkie myśli wirowały wokół nowych założeń. Nowego planu.

Obudziła się o drugiej nad ranem. Przez kilka minut usiłowała zasnąć, ale potem przyznała przed sobą, że już się jej to nie uda i że w dodatku wcale tego nie chce. Poczłapała na dół w szlafroku i kapciach. W mieszkaniu było chłodno i cicho, wszędzie pełno sekretów, zupełnie nie jak w domu. Wyjrzała przez okno na głęboką rozpadlinę jaru, uliczne lampy, przypadkowy samochód jadący za szybko po krętych pokrytych lodem ulicach.

Włączyła komputer i zaczęła otwierać pliki. Znowu. Te same pliki, które otwierała wcześniej, nie dalej jak w poprzednim tygodniu. I znów zaglądała na strony banków. W zeszłym tygodniu niczego nie znalazła. Teraz też nic nie znajdzie. Ale tak właśnie postępuje zdradzana żona, kiedy zdradzający ją mąż zapadnie w głęboki sen. Musiała tak postąpić. Żeby widzieli.

O czwartej zamknęła komputer. Sięgnęła po gruby marker i napisała krótką wiadomość dużymi literami. Zabrała ją na górę. Zajrzała do chłopców, jak zawsze, kiedy przechodziła nocą obok ich pokoju. Przyglądała się im przez minutę, chłonąc ich sen, ich niewinność.

Wróciła do sypialni, zapaliła nocną lampkę. Stała nad łóżkiem, wpatrując się w męża, oddychającego głęboko przez otwarte usta. Spał jak kamień.

Szturchnęła go.

Dexter zamrugał, podniósł się na łokciach zupełnie zdezorientowany i ujrzał przed sobą kartkę, którą trzymała żona.

ANI SŁOWA!ZEJDŹ ZE MNĄ NA DÓŁ. WŁÓŹ PŁASZCZ.WYCHODZIMY NA
BALKON.***

Dziesięć godzin później Kate wspięła się po schodach do wyłożonego kafelkami wejścia. Uniosła trzy palce w stronę maître d'hôtel.

- *Trois, s'il vous plaît.*

- *Je vous en prie* - odpowiedział, wyciągając rękę i wskazując jej drogę przez słabo oświetlony bar ku jaśniejszej sali restauracyjnej.

Właśnie tutaj zjedli obiad, świętując podpisanie umowy na wynajem mieszkania. Uczcili nowe lokum, w hotelu zostawiwszy z opiekunką śpiące dzieci.

Czy to możliwe, że upłynęło już prawie pół roku? Było ciepło, stoły na zewnątrz stały po obu stronach wyłożonej brukiem uliczki, mały plac z osłaniającym go drzewem na

krawędzi urwiska, majestatyczny widok. Kate i Dexter jedli przy stole przykrytym białym obrusem, zapadł zmierzch, po uliczce chodzili młodzi biznesmeni z kieliszkami i papierosami w dłoniach.

Po obiedzie Dexter ujął Kate za rękę i podrapał palcem wnętrze jej dłoni. Oparła się o niego, czując ciepło, małżeńską miłość, obietnicę seksu - niedługo.

To był koniec lata w północnej Europie. Nie zastanawiali się, jak będzie wyglądało to miejsce w samym środku zimy.

Kate usiadła przy oknie, bokiem, profilem do szyby. Zaczynał padać śnieg. Z drugiej strony miała klubowe wnętrze restauracji, eleganckie tapety, abażury, ciemne ciężkie meble. Do sali wpadała skośnie srebrzysta poświata zimowego dnia. Postawiła torebkę na ławeczce na parapecie. Torebka była ciężka od beretty.

Kelnerka przyniosła menu i położyła je na stole ze zwyczajowym luksemburskim *Wann ech gelift*.

Niemal przy wszystkich stołach siedzieli sami mężczyźni, parami i po czterech, w marynarkach i krawatach. Po drugiej stronie sali siedziała jedna samotna kobieta. Poprawiała włosy i rozglądała się wokół, próbując zwrócić na siebie uwagę, a jednocześnie monitorować tych, którzy zwrócili uwagę na nią. Manewr charakterystyczny dla niezbyt pociągających samotnych kobiet.

Wszyscy odgrywali z góry przewidziane role.

Julia i Bill stanęli w wejściu z poważnymi minami.

Kate także musiała odgrywać przewidzianą rolę, nie wolno jej było z niej wyjść.

- Cześć - powitała ją Julia, wieszając płaszcz na wolnym krześle. - Chciałaś się z nami zobaczyć. - Zachowywała się tak, jakby spotkała się z nią w interesach, w których doszło do nieprzewidzianych tarć. Teraz należało je wyjaśnić.

Kelnerka stała niedaleko. Zamówili drinki. Kiedy kelnerka odeszła, Kate powiedziała cicho:

- Mylicie się.

Julia kiwnęła głową, jakby zgadzała się na świetny pomysł Kate, powiedzmy, wyjazdu na wiosenny piknik.

- Problem polega na tym, Kate - pobłażliwy uśmiezek - że nie możemy znaleźć dowodu potwierdzającego zatrudnienie Dextera w jakimkolwiek banku.

Kate była zaskoczona tym administracyjnym szczegółem, jego brakiem związku z sednem sprawy. Tym bardziej że na własne oczy widziała umowę o pracę schowaną w kopercie z zestawieniem refinansowania hipoteki. Ale potem przypomniała sobie

funkcjonariusza ambasady, który twierdził, że władze amerykańskie powinny dostać pozwolenie na pracę Dextera od jego pracodawcy. Zatem nie był to drobny szczegół administracyjny, ale ważny dowód.

- Praca Dextera wymaga poufności - odpowiedziała bezsensownie.

- Nie ma żadnego potwierdzenia - kontynuowała Julia niczym rozpędzający się pociąg towarowy - przelewów jakiegokolwiek pensji. Sprawdziliśmy, rzecz jasna, wasze konto bankowe. To znaczy, wasze oficjalne konto bankowe, to, które otworzyłaś na was oboje, z kartami kredytowymi, kartami bankomatowymi i wyciągami przesyłanymi na wasz adres. Widzimy regularne wpływy na koncie i regularne wydatki, problem w tym, że nie widzimy, skąd się biorą wpływy.

Julia przerwała i spojrzała na Kate, pozwalając jej na przyswojenie sobie informacji przed dalszymi wyjaśnieniami.

- Przelewy przychodzą z konta numerycznego - dodała. - Anonimowego, bez nazwy.

- Zdaje się, że to całkiem normalne w Luksemburgu. Tajemnica bankowa.

- Poznałaś jakichś współpracowników Dextera? - zapytała Julia, nie zwracając uwagi na to, co mówiła Kate. - Widziałas jego umowę o pracę?

To był pierwszy zarzut, który mogła odeprzeć. Bo faktycznie widziała jego umowę - krótki, nierzucający się w oczy dokument, który ukrył w kopercie z hipoteką. Ale milczała.

- Czy widziałaś pasek z jego zarobkami? Jakąkolwiek korespondencję pocztową od pracodawcy? Czy wypełniał jakieś formularze? Na przykład, ubezpieczenia?

Kate wbiła wzrok w podniszczony blat stołu. Umowa, rzecz jasna, mogła być sfalszowana. Była sfalszowana.

- Wizytówkę? Korporacyjną kartę kredytową? Kartę elektroniczną z biura?

Kelnerka przyniosła drinki, postawiła je głośno na gołym blacie, dwie cole bez cukru i piwo.

- Czy widziałaś cokolwiek... jakikolwiek dokument... który dowodziłby... nie, nie dowodził... choćby wskazywał, że twój mąż pracuje dla jakiegokolwiek firmy?

Julia podniosła colę, upiła łyk. Przerwała atak.

- To są same poszlaki - powiedziała Kate.

- Poszlaki mogą nie wystarczyć do uzyskania wyroku skazującego, ale niemal zawsze wystarczają do ujawnienia prawdy, nie sądzisz?

- Poszlaki prowadzą do bezpodstawnych insynuacji.

- Nieuniknionych wniosków, w gruncie rzeczy. - Julia wpatrywała się w Kate z absolutnym przekonaniem, próbując dzielić się nim przez stół.

Kate odwróciła głowę ku oknu, za którym wirowały płatki śniegu.

- Czego chcecie? - zapytała. - Ode mnie?

Zapadła długa cisza, po której Julia udzieliła dokładnie takiej odpowiedzi, jakiej spodziewała się Kate:

- Musisz nam pomóc.

- Dexter.

Podniósł wzrok znad przekąski, czegoś z czymś w jakimś sosie. Była to podobno najlepsza restauracja w całym kraju. Szef kuchni zdobył kiedyś najbardziej prestiżową nagrodę kucharską na świecie. To było dawno temu, ale zawsze.

- Wiem - powiedziała Kate. Czuła dreszcze, dosłownie drżała z niepokoju. To będzie bardzo trudna rozmowa z wieloma niezbędnymi wyjaśnieniami.

- Co wiesz? - Dexter włożył niezidentyfikowany obiekt do ust.

- Wiem, że nie jesteś konsultantem do spraw bezpieczeństwa.

Dexter patrzył na nią, żując wolno gumę.

- Nie jestem pewien, czy wiem, o czym mówisz.

- Wiem o tajnym koncie w banku.

Natychmiast przestał żuć, a potem znów zaczął, zamyślony.

Kate milczała. Teraz jego kolej i miała zamiar poczekać. Przełknął. Podniósł serwetkę z kolan i otarł kąciki ust.

- Co... - zaczął - ...wydaje ci się, że wiesz?

- Nie próbuj zaprzeczać - zabrzmiało to bardziej wrogo, niżli sobie życzyła.

- Co dokładnie ci powiedziano i kto to zrobił?

Między stołami było dużo miejsca, mogli rozmawiać swobodnie między elegancko ubranymi gośćmi, mężczyźni w krawatach i garniturach, kobiety z perłowymi naszyjnikami i pikowanymi torebkami.

- Nikt nie musiał mi niczego mówić - odpowiedziała. - Znalazłam twoje konto z dwudziestoma pięcioma milionami euro, Dexter.

- To nieprawda - stwierdził wolno i spokojnie, z naciskiem. - Ponieważ takie konto nie istnieje. Nie mam konta z dwudziestoma pięcioma milionami euro.

Kate wpatrywała się w kłamiącego męża, a on wpatrywał się w nią.

- Kto z tobą rozmawiał, Kat?

Wymamrotała coś.

- Kto?

- Bill i Julia. Agenci FBI współpracujący z Interpolem.

Dexter zastanawiał się przez chwilę.

- Przyjechali tutaj... do Luksemburga... za tobą, Dexter. To duża operacja w sprawie dużego przestępstwa. A ty jesteś podejrzanym.

Nadeszło dwóch kelnerów z białymi paterami przykrytymi srebrnymi kloszami. Posuwistym ruchem postawili patery na stole, unosząc jednocześnie klosze. Jeden z nich objaśniał potrawę w jakimś języku, prawdopodobnie po angielsku, choć dla Kate mógł to być suahili. Nie słuchała go.

- Ukradłeś te pieniądze, Dexter?

Patrzył na nią.

- Dex?

Spojrzał na talerz, uniósł widelec.

- Kiedy zjemy - powiedział - wyjdziemy razem na chwilę do łazienki.

Zamknął drzwi.

- Udowodnij mi, że nie masz podsłuchu.

Patrzyła na niego bez słowa, nie wykonując najmniejszego ruchu.

- Pokaż!

- Nie zrobisz tego.

- Muszę.

Była zaskoczona jego agresywnością. Ale ktoś taki jak on rzeczywiście musiał robić takie rzeczy. Nie miał wyboru.

Zdjęła bluzkę. Od dawna nikt nie poddawał jej kontroli osobistej. A tu masz, dwie kontrole w ciągu jednego tygodnia. Rozpięła spódnicę, zdjęła ją. Dexter macał podszewkę, zamek. Nie znał się na podsłuchu, nie rozpoznałby pluskwy, nawet gdyby ugryzła go w nos.

Oddał jej rzeczy.

W tych czasach pluskwy mogą być wszędzie, mają dowolny wygląd i kształt. Ta, którą miała na sobie, przypominała małeńki dysk przymocowany do wnętrza jej paska od zegarka. Prezentu od Dextera, który dostała przed kilkoma tygodniami w bożonarodzeniowy poranek w Alpach. Jubiler z rue de la Boucherie pudełeczko w brązową szkocką kratę przewiązał staromodną jedwabną wstążeczką. Zegarek ten wykonano w Szwajcarii, a następnie przewieziono ciężarówką do dystrybutora w Holandii, skąd sprowadzono go

furgonetką do butiku w Luksemburgu, gdzie kupił go Dexter, który przeleciał z nim samolotem z powrotem do Szwajcarii i dał go w prezencie Kate we Francji, pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie go wyprodukowano, a Kate, po rozpakowaniu zegarka i włożeniu go na rękę, przyleciała z nim na powrót do Luksemburga, gdzie w męskim kiblu pewnej restauracji zajął się nim tajny agent FBI, umieszczając pluskwę pod paskiem, urządzenie przeoczone przez domniemanego amerykańskiego przestępcę w innym męskim kiblu, pomalowanym na srebrno.

Kate zapinała bluzkę, zasuwiała zamek spódnicy.

Dexter otworzył torebkę, przerzucał w niej rzeczy, pomadkę, puderniczkę, telefon, długopis, klucze i opakowanie gumy, i cholera wie co, jak stwierdził ten, kto nagrywał lub transmitował to w całości. Tak pobieżny przegląd torebki z pewnością nie gwarantował, że nie było w niej pluskwów, ale Dexter mógł o tym nie wiedzieć.

Beretta została w domu.

- Zaniosę torebkę do samochodu - powiedział. - Spotkamy się przy stole.

Potknęła się, wychodząc z łazienki na korytarz. Oparła się o ścianę, zanim postawiła kolejny krok na miękkim dywanie.

To było znacznie trudniejsze, niż się spodziewała. Była już w takich sytuacjach dziesiątki razy, ale nigdy z mężem, nigdy z kimś bliskim. Z wielu powodów przypuszczała, że będzie jej łatwiej, ale nie...

Starła się opanować. Napiała się wina, potem wody. Otarła usta serwetką i bawiła się widelcem. Pocierała nos.

Dexter wrócił do sali jadalnej.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem tego robić.

Kelnerzy postawili na obrusie tym samym posuwistym ruchem olbrzymie białe wazy. Zupy oczywiście. Parę łyżeczek płynu z czymś, co wyglądało jak mięso homara.

- Czy rozumiesz, że musiałem to zrobić?

Kate wpatrywała się w zupę.

- Po pierwsze - zaczął Dexter - nic nie wiem o żadnych dwudziestu pięciu milionach euro. - Napisali ten monolog poprzedniej nocy na lodowatym balkonie, zgodzili się, że muszą w nim być trzy wielkie kłamstwa. - Nigdy nikomu nic nie ukradłem. - To było kłamstwo numer dwa. - Ale przyznaję, że zarabiam pieniądze... w sposób nie całkiem legalny.

- Więc nie jesteś konsultantem do spraw zabezpieczeń?

- Nie, już nie... Zajmuję się krótkoterminowymi, jednodniowymi inwestycjami w różne instrumenty finansowe. Bawiłem się w to od jakiegoś czasu, traktując jako hobby. Ale półtora roku temu bardzo mi się poszczęściło, zarobiłem dużo pieniędzy... Miałem dosyć pracy, więc... Kate... przepraszam... ale rzuciłem wszystko.

Kelner zabrał talerze, wygładził obrus, wycofał się.

- Dlaczego to, co robisz, jest nielegalne?

- Bo włamuję się do korporacyjnych komputerów, żeby zdobyć korporacyjne informacje. Które potem wykorzystuję z zyskiem. - To było trzecie kłamstwo. Wypowiedziane bez mrugnięcia powieką. Dobrze to zagrał.

Nadszedł kelner, żeby zapytać, czy niczego im nie brakuje. Idiotyczne pytanie.

- Ile na tym zarobiłeś?

- Do tej pory... jakieś... eee... sześćset tysięcy euro.

Kate uśmiechnęła się lekko do Dextera i kiwnęła głową. Dwie ostatnie minuty były najtrudniejszą częścią rozmowy, największym wyzwaniem aktorskim. Dexter nieźle sobie z tym poradził. Reszta będzie łatwiejsza. I znacznie bliższa prawdy.

Kelnerzy ceremonialnie podnieśli kolejne klosze, pod którymi leżały maleńkie piersi jakichś ptaszków, polakierowana skórka, gęsty brązowy sos rozlewający się olśniewająco, maleńkie warzywka - całe ogródkowe przedszkole.

- Kim jest ta Marlena? Pokazano mi twoje fotografie z olśniewająco urodziwą dziewczyną.

- To prostytutka. Dziewczyna na telefon. Współpracuje ze mną. Uwodzi mężczyzn i przegląda ich korporacyjne komputery. Coś na nich instaluje. Coś, dzięki czemu mogę się włamywać do korporacyjnych systemów.

- To obrzydliwe!

Nie bronił się.

- Więc nie masz prawdziwej pracy! Ale znalazłam umowę w kopercie... Podrobiłeś ją? Kiwnął głową.

- A pozwolenie na pracę? Jesteśmy tu nielegalnie?

- Nie! Mam własny interes.

- Ale były jakieś problemy! Kiedy przyjechaliśmy, kiedy wezwano nas do ambasady...

- Problemy wzięły się stąd, że ubiegałem się o pozwolenie na pracę w Luksemburgu znacznie, znacznie wcześniej. A tymczasem...

- To tymczasem trwało przez rok!

- Mniej więcej... Więc przez ten rok władze Luksemburga zmieniły przepisy i zaczęły automatycznie wysyłać kopie pozwoleń na pracę do zagranicznych ambasad. Nie miałem pojęcia o tej zmianie procedury. W normalnych okolicznościach ambasada powinna dostać we wrześnie moje pozwolenie na pracę. Wtedy, kiedy myśleli... kiedy myślałaś... że je dostałem. Tyle że ja dostałem je wcześniej.

- Co z nimi zrobimy? - zapytała Kate.

- Z kim? Z Macleanami?

- Tak.

- Nie mają żadnych dowodów, że ukradłem dwadzieścia pięć milionów euro, bo nie ukradłem dwudziestu pięciu milionów euro. Więc nie ma się czym martwić.

- Ale musimy coś zrobić! - upierała się Kate. - Żeby dali nam spokój. - Wpatrywała się w drugie danie mięsne, dwa maleńkie kotleciki jagnięce, idealnie różowiułkie filetowane kosteczki leżały na brzegu talerza skrzyżowane jak miecze. Nowa porcja wina w kieliszkach wielkości główki niemowlęcia, głębiny czerwonego płynu, jak w horrorze, jak cała glinianka wypełniona krwią.

- Myślę, że niedługo sami to zrobią. - Dexter podjął wątek. - Właśnie dlatego zdecydowali się na konfrontację. Z tobą. Jak długo już tutaj są? Cztery miesiące?

- Na co czekali?

- Na dowody. Na to, że zaczniemy szastać pieniędzmi, kupować drogie auta, jachty, wille na Riwierze. Że zaczniemy wynajmować apartamenty w najdroższych hotelach, latać pierwszą klasą i helikopterem wokół Mont Blanc. Że zaczniemy robić to, co robią ludzie z dwudziestoma pięcioma milionami euro na koncie.

- Powiedz mi, jak to się skończy?

- Nie musimy nic robić - mruknął Dexter. - Choć nie sądzę, żebyśmy musieli dalej utrzymywać stosunki z Billem i Julią.

- Co im powiemy?

- Nic im nie musimy mówić. Sami wiedzą.

- To im nie wystarczy. Musimy im podać jakiś powód.

Dexter wzruszył ramionami. Nie dbał o to. W ogóle nie dbał o znajomych i przyjaciół.

- Bill się do ciebie podwalał? - zasugerował. - Julia chciała mnie uwieść? Co wolisz?

Kate przypomniała sobie świąteczne przyjęcie w ambasadzie, Dextera i Julię

wychodzących z kuchni.

- Julia i ty - powiedziała. - Ważniejsze jest, żeby dała mi spokój. Ty nie musisz spotykać się z Billem.

- Fakt.

Kate spoglądała na wielowarstwową czekoladową ekstrawagancję, jaka wyrosła przed nią na stole.

- Okay, przestajemy z nimi rozmawiać. I co jeszcze?

- Prędzej czy później... prawdopodobnie prędzej... dadzą za wygraną. Nie mają dowodów. Niczego nie znajdą, bo nic nie ma.

Kate przejechała widelcem po polanym czekoladą torciku, po warstwach faktur i kolorów ukrytych pod ciemną twardą polewą. Od zewnątrz torcik wyglądał jak najprostsze ciastko.

- Więc dadzą nam spokój - dodał Dexter, przebijając widelczykiem gładką brązową skorupę, odsłaniając słodkie warstwy na talerzyku. - I już nigdy ich nie spotkamy.

Dziś, 19:03

Kate najpierw zauważa mężczyznę przechodzącego na drugą stronę skrzyżowania z większej, tłoczniejszej i mniej eleganckiej kawiarni - typowego przybytku dla turystów. Na czole ma okulary przeciwsłoneczne, wokół twarzy gęsty zarost, taki jaki noszą obecnie mężczyźni w Nowym Jorku i Los Angeles. Kate widziała podobnie noszących się panów w kolorowych magazynach. Widziała pewnego aktora sfotografowanego przez paparazzi w niedzielny poranek na Beverly Drive, z papierowym kubkiem macchiato w ręku.

Domyśliła się, że ci dwoje siedzieli w kawiarni po przeciwnej stronie; ukryci za okularami, przyglądali się, jak Dexter i Kate wchodzi do środka, czekają. Kate jest pod wrażeniem ich staranności, jest nią nieco onieśmielona. Minęło już tyle czasu, a oni wciąż mają tyle energii.

Dobrze, że ostrożnie zajęła się cukiernicą, kiedy usiadła przy stole. Przezorność popłaca.

- *Bonsoir* - wita ich mężczyzna. Kobieta posyła wszystkim pocałunki.

Kelner pojawia się natychmiast. Jest wyczulony na zachcianki Monsiuer Moore'a i jego gości. Od zawsze. M. Moore od zawsze zostawia mu sute napiwki. W zasadzie zostawia je wszędzie.

- Więc co u was słyhać? - pyta Dexter.

- Nieźle - odpowiada Bill. - Całkiem nieźle.

Wraca kelner. Pokazuje butelkę Dexterowi. Ten kiwa głową. Kelner wyjmie z kieszeni korkociąg i zaczyna zdejmować folię z szyjki butelki.

- Teraz tutaj mieszkanie? - pyta Bill.

Dexter kiwa głową.

Korek wyskakuje z butelki - plop - a kelner nalewa odrobinę wina Dexterowi, który smakuje i znów kiwa głową. Kelner rozlewa wino do czterech kieliszków, do połowy, goście przy stole milczą.

Czworo Amerykanów popatruje po sobie, każde z nich patrzy na pozostałych i nie potrafi rozpocząć rozmowy. Kate bez przerwy zastanawia się, czemu ma służyć to spotkanie i w jaki sposób wykorzystać je dla swoich potrzeb. Ma teraz własny plan gry. Zdaje sobie sprawę, że Julia i Dexter prowadzą zupełnie inną grę - między sobą i pewnie Billem. A może Bill gra na własną rękę? Albo w ogóle wypadł z gry?

- No tak... - mówi Dexter, patrząc na Julię, a potem na Billa. - Dostałem wiadomość.

O Pułkownika.

Julia opiera dłonie na stole, krzyżuje je. Diamencik z zaręczynowego pierścionka lśni w świetle, migocze. Za kogo chce wyjść za mąż? A może to tylko kolejny rekwizyt? Jakiś nowy kamuflaż?

- Tak - odpowiada Bill. Krzyżuje nogi pod stołem, usadawia się wygodniej, rozpoczynając opowieść. - Słyszałeś zapewne, że ktoś ukradł mu fortunę podczas pewnej transakcji.

Kate odnotowuje, że Bill nie mówi o konkretach, o konkretnej kwocie.

- Owszem, słyszałem.

Obaj mężczyźni patrzą sobie w oczy. Grają w pokera, blefują. Albo udają, że blefują.

- Tak... Uczestniczący w transakcji dostawca Pułkownika, niejaki Welten, były rosyjski generał, wpadł w szal, kiedy się zorientował, że na jego szwajcarskim koncie nie pojawiła się olbrzymia uzgodniona kwota.

- Wyobrażam sobie.

- Więc Pułkownik spędził dosyć nieprzyjemny wieczór na londyńskim West Endzie. Choć na pierwszy rzut oka wieczór ten mógł wydać się całkiem przyjemny, gdyż rozpoczął się w trzygwiazdkowej restauracji z rosyjską hostessą o imieniu Marlena. Ale tak czy inaczej, Pułkownik musiał być mocno zaniepokojony.

Bill obraca winem w kieliszku, upija łyk, delektuje się przez chwilę smakiem i połyka.

- Więc... - wydyma wargi -...obudziwszy się rano, Pułkownik rozpoczął upływnianie majątku... samochodów, kamieni szlachetnych, jachtu, zamku... i przekazywanie pieniędzy generałowi. Po kilku tygodniach sprzedał mieszkanie w Londynie, a pieniądze oddał generałowi. Potem...

- Gdzie ono było?

Obaj mężczyźni spoglądają zaskoczeni na Kate, która niespodziewanie wtrąciła się do rozmowy.

- Gdzie co było?

- Mieszkanie w Londynie.

- W Belgravii - odpowiada Bill i odwraca się do Dextera.

- Gdzie w Belgravii?

- Wilton Crescent.

Kate patrzy wymownie na męża, który odpowiada jej wzruszeniem ramion, winny jak w oskarżeniu, gotowy na poniesienie kary, jaką jest posiadanie mnóstwa pieniędzy. Kate rozumie teraz, dlaczego poszli na tę wygiętą łukowato ulicę niedaleko Belgrave Square,

dlaczego stanęli przed pomalowanymi na biało miejskimi posiadłościami, marząc o tym, że kiedyś zamieszkają w jednej z nich, kiedy będą bogaci. Kate nie przyszło wtedy do głowy, że ten londyński adres może mieć jakieś znaczenie. Kolejne milczące kłamstwo Dextera.

- Pułkownik sprzedał też apartament w Nowym Jorku. Jednakże sytuacja na rynku nieruchomości była zła, szczególnie w niszy pied-à-terre dla bogaczy. Ale Pułkownik nie miał czasu, więc przyjął to, co mu oferowano. To mieszkanie - Bill spojrzął znacząco na Kate - znajdowało się przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Niedaleko Piątej Alei.

- Dzięki za uściślenie.

- Bardzo proszę.

- Więc Pułkownik pozbył się kosztowności - stwierdził Dexter, przywołując ich do porządku.

- Owszem. Starał się sfinalizować jeszcze jeden interes... dostawę rakiet ziemia-powietrze... ale wieści o jego kongijskim fiasku szybko się rozeszły. Więc miał sporo problemów. Tymczasem generał okazał się cierpliwszy, niż można było przypuszczać. Bo mijiał już rok od tej, nazwijmy to, „pożyczki”.

- Skąd mu się to wzięło? - zapytał Dexter.

- Bo Welten nie wyłożył żadnych pieniędzy ze swojej kieszeni. Nie płacił za migi, które miał dostarczyć. Kradł je. Więc i tak sporo zarobił na tym interesie. Niemniej jednak, żądał umówionej kwoty, a raczej pozostałej do zapłacenia części. Musiał przecież dbać o dobre imię. W tym czasie Pułkownik sfinalizował drugą umowę. Ale niestety wszystko trafił szlag w ostatniej chwili.

- Jak to?

- Ktoś z Ameryki, z amerykańskich agend rządowych, szepnął dostawcy na ucho, że Pułkownik jest inwigilowany.

- To interesujące - mruknął Dexter. - Co za pech.

- Straszny.

- Przypuszczam, że się ukrył.

- *Absolument*. Ukrył się na Bali albo w Buenos Aires czy gdziekolwiek. Któż to wie, gdzie kryją się handlarze bronią przed wściekłymi morderczymi dostawcami? Tylko że po paru miesiącach Pułkownik dosyć idiotycznie wypłynął w Brighton Beach. Wiesz, gdzie to jest?

- W Nowym Jorku. W rosyjskiej dzielnicy.

- *Exactement*. Więc odwiedził Brighton Beach albo się tam zatrzymał, albo nawet zamieszkał, Bóg jeden wie. Nie znam szczegółów jego sytuacji mieszkaniowej. Wiem

natomiast, że w zeszły piątek około jedenastej wieczorem wyszedł z restauracji z dwoma kompanami, dwoma mężczyznami w średnim tak jak on wieku. To nie była elegancka restauracja, ale zwykła knajpa dla miejscowych.

Bill upija kolejny łyk wina. Kate odnotowuje, że Julia nie tknęła trunku.

- Pułkownik... nigdy nie był specjalnie przystojny. Ale przez większą część życia miał władzę i pieniądze, a zatem to, co przyciąga niektóre kobiety. Czy też, mówiąc inaczej, to, co pozwala je kupić. Teraz niestety nie było go na nie stać. Więc tamtego wieczoru wyszedł wraz z towarzyszącymi na Brighton Beach Avenue i stanął przed restauracją, próbując poderwać dwie dziewczyny, które czekały na taksówkę. Miały jechać na Manhattan, do klubu, gdzie chciały się napić cristalà z pewnym stawiającym szampana menadżerem funduszy hedgingowych, a potem wrócić do domu i pieprzyć się z zawodowymi koszykarzami. Były naprawdę napalone, twierdziły, że mają po dwadzieścia jeden lat, choć w rzeczywistości były siedemnasto-, osiemnastolatkami.

- Pułkownik i jego znajomi stracili fason.

- Zupełnie! Ale byli upartymi kurwiarzami. Właścicielka restauracji przyglądała się tej scenie ze środka knajpy i zastanawiała się, czy nie zawołać paru kelnerów i chłopaków ze zmywaka, żeby coś z tym zrobili. W pewnym momencie sytuacja na chodniku przybrała taki obrót, że wahała się, czy nie zadzwonić po gliny. Ale wtedy nadjechała biała furgonetka. Nie zdążyła się zatrzymać, kiedy odsunięto boczne drzwi. Wyskoczyli z niej dwaj zamaskowani mężczyźni i trach-trach... obaj kumple Pułkownika dostali po kuli w sam środek czoła i padli, bryzgając krwią na dziewczyny. Które, ma się rozumieć, wrzeszczały wniebogłosy. Właścicielka knajpy też zaczęła krzyczeć. Rozpętało się piekło.

- A Pułkownik?

- Dostał cios w twarz i przewrócił się na chodnik, z którego wciągnięto go do furgonetki. Zatrzaśnięto drzwi, zapiszczały opony.

- Domyślam się, że na furgonetce nie było numerów rejestracyjnych.

- *Rien.*

- A potem?

- A potem nic. Przez cały weekend.

- To nie był dobry weekend dla Pułkownika... - podpowiada Dexter.

- *Vraiment.*

- O co ci chodzi z tym francuskim, Bill? - wtrąca się Kate.

- To piękny język.

- No i...? - Dexter się niecierpliwi.

- No i dlatego uczę się mówić po francusku.
- Wiesz, że nie chodzi mi o francuski, ty idioto. Pytam, co się stało z Pułkownikiem.
- Jasne. W poniedziałkowy poranek pewien spuszczonej ze smyczy duży labrador nie chciał wyleżeć spod mola na plaży w Brighton Beach.
- Pułkownik.
- Bill kiwa głową.
- Ręce? - pyta retorycznie. - Obcięte.
- Kate wciąga głośno powietrze. Zaskoczył ją.
- Nogi, nawiasem mówiąc, też.
- Mój Boże...
- Pułkownikowi został tylko tułów. I głowa. Bo oczy...
- Tak?
- ...miał na zawsze otwarte. - Bill upija łyk drogiego wina. - Wiedziecie, co to oznacza?
- Wszyscy wiedzą, ale nikt nie śmie potwierdzić.
- Musiał patrzeć - wyjaśnia Bill. - Musiał patrzeć, jak obcinają mu ręce i nogi.

Dexter spojrział na kartkę, którą trzymała Kate, a potem na budzik. Było sześć po czwartej, świt tego dnia, w którym poszli do restauracji.

Unikała tego, co miało się stać, a jednocześnie czekała na to, spodziewała się tego i bała, ignorowała to już niemal od wieków. Ale choć nie dało się już od tego uciec, ze zdziwieniem stwierdziła, że wciąż gra na zwłokę. Że nie chce kończyć tej części swojego życia, w której ta rozmowa jeszcze się nie odbyła. Nie chce się przekonać, jak będzie wyglądało jej życie po niej.

Zeszła wolno na dół. Przygryzła wargę, bo nagle zachciało się jej płakać. Cały jej monolog wewnętrzny związany z tą rozmową był przepełniony gniewem i strachem. Nie było w nim ani krztyny smutku. Ale smutek wziął górę, kiedy już doszło do tego, do czego miało dojść.

Czy będą jeszcze razem, kiedy ten dzień dobiegnie końca? Czy to już finał, już po wszystkim? Czy będzie musiała spakować walizki, obudzić chłopców, zabrać ich na lotnisko i kupić bilet na pierwszy samolot do... dokąd? Do Waszyngtonu? Kto jej pomoże w Waszyngtonie? Komu się tam wypłacze?

Dexter był jej całym światem. Był wszystkim, co miała przez całe dorosłe życie. Do niego wracała z każdej misji, jak wtedy z Gwatemali, kiedy siedziała w środku zimnego wojskowego transportowca i wpatrując się w pancerz, wiedziała, że istnieje tylko jedna rzecz, jedna osoba, do której pragnie wrócić w Waszyngtonie.

Odwrócona plecami do Dextera, otarła łzy. Włożyli płaszcze i buty, wyszli na mróz, na wiatr, na balkon wiszący nad ciemnym głębokim urwiskiem. Z mieszkania padało słabe światło - wystarczyło, by mogła zobaczyć twarz Dextera. Przekonała się, że mąż dokładnie wie, o czym będzie mowa.

- Dexter... - zaczęła. Wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić, ale bez powodzenia. - Wiem o dwudziestu pięciu milionach... a może pięćdziesięciu... skradzionych euro. Wiem o numerycznych kontach i o LuxTrade, o farmie. Wiem... Dexter, wiem, że nie jesteś żadnym konsultantem do spraw bezpieczeństwa w jakimś tutejszym banku. I wiem, że cokolwiek robisz, robisz to od dawna.

Poryw wiatru dmuchnął prosto w twarz Dextera, który się skrzywił.

- Mogę to wyjaśnić.

- Nie chcę żadnych wyjaśnień. Chcę, żebyś mnie przekonał, że się myłę. Albo że mam

rację.

Kate знаła już prawdę i nie jej domagała się od męża. Chciała natomiast przekonać się, czy będzie zaprzeczał. Czy postanowi dodać kolejne kłamstwa do tych, które ona już zna. Czy nie ma dla niej nadziei.

I przez ułamek sekundy, stojąc piętnaście metrów nad wyłożoną kamieniami ścieżką nad urwiskiem, zastanawiała się - wiedząc, że to całkiem irracjonalne - czy Dexter nie zechce jej zabić. Tu i teraz.

Kate wielokrotnie wyobrażała sobie zupełnie inny przebieg tej rozmowy. Jeśli Dexter powie A, ona powie B, a potem on doda C i tak dalej. Próbowwała przewidzieć najlepszy i najgorszy scenariusz. Szacowała prawdopodobieństwa. Rozważała kilka ewentualności prowadzących do tego, że wychodzi z dziećmi z domu, by już nigdy nie zobaczyć Dextera. Rozważała nawet ewentualność z użyciem nowo nabytej broni. Beretta leżała tuż za balkonowymi drzwiami, ukryta na grzejniku za zasłonami kupionymi w Belle Etoile, wiszącymi na karniszu, który zainstalowała pod sufitem za pomocą diamentowych wiertel kupionych podczas trzeciej wizyty w sklepie z narzędziami, nie tak znowu dawno temu, ale na tyle dawno, żeby myśleć o tym wydarzeniu jako szczęśliwym epizodzie z życia normalnej ekspatki. Zanim wszystko zaczęło się walić. Zanim się dowiedziała, że coś zawalić się może.

Kiedy Dexter otwierał usta, wszystkie możliwe scenariusze rozmowy wirowały w głowie Kate, co w niczym jej nie pomogło, kiedy usłyszała, jak mówi:

- Masz rację.

Nie odpowiedziała, a on nie kontynuował. Stali w mroźnej ciszy, nie patrząc na siebie.

- Dlaczego tu stoimy? - zapytał Dexter, zerkając na coś za plecami Kate.

- Ponieważ Bill i Julia są agentami FBI, pracującymi dla Interpolu. Prowadzą śledztwo w twojej sprawie. Nasz komputer, jestem tego pewna, jest monitorowany. Podobnie jak nasz samochód, w którym Julia zainstalowała gdzieś nadajnik. Nasze telefony są na podsłuchu. Przypuszczam, że mieszkanie aż roi się od pluskiew.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Myślisz, że tutaj nic nie usłyszą?

Wzruszyła ramionami. A potem spojrzała wreszcie w oczy Dextera. Wydawał się zdruzgotany. To dobrze, pomyślała. Gdyby było inaczej, gdyby przyjął to obojętnie, wszystko mogłoby potoczyć się znacznie gorzej.

- Czy teraz mogę ci to wyjaśnić? - zapytał. - Proszę...

Skinęła głową.

- Ta historia nie jest krótka... - Dexter wskazał na balkonowe krzesła i stół, czekał, aż Kate usiądzie, zanim sam usiadł.

- Pamiętasz, że mój brat służył w piechocie morskiej...

Kiedy, do cholery, to się zaczęło?

- Tak - parsknęła z większą złością, niż zamierzała. - Oczywiście - dodała, łagodząc ton.

- Wiesz, że zginął na wojnie w Bośni. Ale nigdy nie mówiłem ci, jak zginął.

- Mówiłeś, że nie służył już w wojsku. Że był „doradcą wojskowym”. - Kate wiedziała wszystko o takich typach. - Że schwytano go i zabito.

- Owszem. Wpadł w ręce serbskiego pułkownika o nazwisku Petrović. Słyszałaś kiedyś o nim?

Kate pokręciła głową.

- Petrović nie był znany poza Europą. Ale na Bałkanach cieszył się ogromną sławą. Słynął z sadyzmu. Z uprawianych rekreacyjnie tortur. Czy wiesz, o czym mówię?

- Mogę się domyślać.

- Torturował ludzi dla zabawy. Podniecał się, wrywając ofiarom paznokcie obcęgami. Obcinając uszy nożem rzeźnickim. Ręce maczetami. Okaleczał ludzi, Kate, zabijając ich powoli i zadając im największy ból, lubił, żeby krew lała się strumieniem. Nie robił tego w jakimś konkretnym celu, nie chciał od nich niczego, nie wydobywał żadnych tajemnic, robił to wyłącznie dlatego, że to lubił. I dlatego, że chciał cieszyć się sławą barbarzyńcy.

Mój brat, Kate, kiedy go znaleziono... nie miał ani jednego palca u rąk. I u nóg. Obcięto mu genitalia. I wargi! Wargi też, Kate. Petrović obciął Danielowi wargi.

Poczuła dreszcze na plecach.

- Petrović zamęczył mojego brata na śmierć dla zabawy, a potem wyrzucił okaleczone ciało, żeby gniło w jakimś ciemnym zaułku, rozwłócone przez szczury, koty i psy.

To było gorsze, niż przypuszczała. Mimo to nie potrafiła jeszcze połączyć tej historii z milionami skradzionych euro. Nie miała pojęcia, dlaczego nie trafiła na te okropności wcześniej, kiedy badała przeszłość Dextera.

- To straszne. Nie chcę okazać się suką bez serca, Dexter, ale jaki to ma, do cholery, związek z pięćdziesięcioma milionami skradzionych euro?

- Dwudziestoma pięcioma.

- Nie wkurwiał mnie, Dexter! Z iloma, kurwa mać, chcesz skradzionymi euro!

- Osobą, której ukradłem te pieniądze... - wziął głęboki oddech -...jest Petrović...

- Okay - powiedziała, chwytając oburącz krawędź krzesła, próbując się uspokoić. -
Wyjaśnij mi to. Skąd wiedziałeś?

- Skąd co wiedziałem? - Dexterowi drżał głos, był bliski łez.

- O tym wszystkim? O bracie i o Petrovicu?

Dexter znów głęboko odetchnął.

- Najpierw zobaczyłem zdjęcia. Ciała Daniela. W raporcie Departamentu Stanu na temat przyczyn jego śmierci.

- Kiedy widziałeś ten raport?

- Pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Ktoś z departamentu skontaktował się z rodzicami. Powiedział im, że odtajniono część dokumentów z wojny, w tym raport o śmierci Daniela.

- Widziałeś ten raport.

Kiwnął gwałtownie głową w górę i w dół.

- Fotokopię. Raport kończył się stwierdzeniem, że Petrović żyje i ma się dobrze, i że zbił olbrzymi majątek na handlu bronią, którą sprzedaje najgorszym ludziom na tej planecie: meksykańskim dilerom narkotykowym, sudańskim ludobójcom, talibom.

- To wszystko wyczytałeś w raporcie o śmierci Daniela?

- Niezupełnie. Usłyszałem to od tego kogoś z departamentu, kto się z nami skontaktował. Spotkaliśmy się po kilku latach. Facet wiedział niewiele więcej. Ale skontaktował mnie z chorwackim emigrantem, niejakim Smolecem, który znał wielu wojskowych. Ten Smolec wiedział wszystko o Pułkowniku. Przed rozpadem Jugosławii służyli razem w wojsku, a później Smolec śledził jego poczynania.

To była najbardziej nedorzeczna historia, jaką Kate kiedykolwiek słyszała.

- Płaciłem temu Smolecowi - mówił dalej Dexter. - Żeby informował mnie na bieżąco o Pułkowniku. O jego ruchach, o kupowanych przez niego nieruchomościach, o interesach.

- Czyj to był pomysł? Żeby Smolec śledził Pułkownika? Twój czy jego?

Kate zauważyła uśmiezek majaczący na twarzy Dextera, lekką ulgę. Wiedziała, o czym myśli: jeśli Kate zadaje mu takie pytania, stara się zrozumieć. Stara się wybaczyć. Nie mylił się.

- Nie pamiętam - odpowiedział. - Może dał mi do zrozumienia, że to nie byłoby trudne, a ja poprosiłem go, żeby spróbował? To było dawno temu.

- Gdzie się spotykałeś z tym Smolecem?

- W parku. Na Farragut Square.

Oczywiście! Przecież widziała go na własne oczy poprzedniej zimy w czerwonej czapce po drugiej stronie I Street.

- Po co to robiłeś?

- Dobre pytanie. Mówiąc szczerze, sam nie wiedziałem po co. Nie miałem żadnego planu, jeśli się nad tym zastanawiasz. Ale dostawałem wiarygodne informacje i przyszło mi do głowy, że mógłbym z nich skorzystać.

- Okay - mruknęła Kate, zawieszając na chwilę wątpliwości co do tego nieprawdopodobnego scenariusza. - Smolec śledził dla ciebie Pułkownika. Co jestem w stanie jakoś zrozumieć. Ale nie jestem w stanie w ogóle zrozumieć jednej rzeczy, Dexter: dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś, wiedząc, że pracuję dla departamentu?

Przyszło jej do głowy - mimo całej tej sytuacji - że ma kolejną okazję, żeby się ujawnić. Wystarczyło prawdziwie rozwinąć to ostatnie stwierdzenie, by ruszyła lawina. Ale w tej chwili tym złym, tym najgorszym, był Dexter.

- To wszystko zaczęło się, zanim cię poznałem - powiedział. - A moje poczynania były zupełnie bezsensowne. Więc zwyczajnie wstydziłem się tego, co robię. Nie chciałem, żebyś o tym wiedziała.

To było głupie, ale uczciwe.

- Okay. I co dalej?

- Parę lat temu... to zupełnie niezwiązane z tym, o czym mówię... wydarzyło się coś w pracy. Testowałem pewien protokół bezpieczeństwa i znalazłem furtkę pozwalającą na kradzież pieniędzy podczas elektronicznego transferu.

- Znalazłeś ot tak?

- No niezupełnie... to nie był przypadek... Specjalnie w tym celu śledziłem elektroniczne transfery na eBayu. Ale to należało do moich obowiązków. To była moja praca. Tym się zajmowałem. Szukałem luk w systemie zabezpieczeń i łatałem je.

- Fakt.

- Właśnie wtedy dowiedziałem się, że Pułkownik prowadzi biznes online, że dokonuje elektronicznych transferów. Że regularnie przelewa przez Internet miliony, czasem dziesiątki milionów w różnych walutach na różne numeryczne konta. Że handluje bronią przez komputer, nie wychodząc z domu.

- I postanowiłeś uderzyć? Zadać mu śmiertelny cios?

- Tak. Ale nie chciałem tylko opróżnić jego kont, nie chciałem zadowolić się

kradzieżą. - Głos Dextera już nie drżał, mówił głośniejszym, pewniejszym i szybciej. Jakby poczuł ulgę, że w końcu może to komuś wyjaśnić - najlepszej przyjaciółce, żonie. - Chciałem trafić go w najczulszy punkt, w taki, kiedy będzie miał mnóstwo pieniędzy, które do niego nie należą, w samym środku transakcji. Kiedy przez jego konto przepływają pieniądze od kupującego dla dostawcy.

- Chciałeś, żeby ktoś się na niego zdenerwował.

- Właśnie.

- Więc nie chodziło tylko o zemstę finansową?

- Nie... - Dexter pokręcił głową. - Chciałem, żeby ktoś go zabił.

Ta szczerość, to przyznanie się do pragnienia zemsty, zaskoczyło Kate.

- Właśnie o to mi chodziło, Kate, o sprawiedliwość. - Zmusił się do uśmiechu, odbudował wiarę w siebie i słuszność swoich racji. - Nie ukradłem tych pieniędzy dlatego, że jestem chciwy. Ukradłem je po to, żeby ukarać najgorszego z ludzi na tym świecie.

Kate przyjęła do wiadomości tę zbawienną intencję.

- Można tak na to patrzeć.

- A jak jeszcze?

- Zwyczajnie. Jak na kradzież.

- Nie. Wymierzyłem temu człowiekowi sprawiedliwą karę.

- Okay, więc nie jesteś zwykłym złodziejem, ale rozbójnikiem.

- Świat będzie lepszym miejscem bez pułkownika Petrovicia.

- Prawdopodobnie. Choć nie na tym polega sprawiedliwość, jak ją rozumiemy.

- Jak kto ją rozumie?

- My, Amerykanie. To nie jest amerykańska sprawiedliwość.

- Amerykańska sprawiedliwość? Masz na myśli aresztowanie, oskarżenie, proces, wyrok, apelację i więzienie?

Kate kiwnęła głową.

- Okay, jak chcesz ją zastosować wobec mieszkającego w Londynie obywatela Serbii?

- zapytał Dexter.

- Można go postawić przed międzynarodowym trybunałem sprawiedliwości.

- Żeby go sądzono w Hadze? Haska sprawiedliwość jest trochę inna od amerykańskiej.

- Ale jako Amerykanie przestrzegamy prawa międzynarodowego, nie?

Parsknął.

- Taaa... Tyle że prawo międzynarodowe nie zapewniłoby nam dwudziestu pięciu milionów euro.

Po moście nad wąwozem toczył się z łoskotem pociąg towarowy. Towary jechały na północ, a pociąg był długi, niski i wolny.

- Więc co zrobiłeś najpierw? I kiedy? - Kate zaczęła się dystansować od własnego poczucia zdrady, od własnej złości, od zachowania Dextera. Powoli przechodziła na jego stronę. A przynajmniej starała się spojrzeć na to wszystko jego oczami.

- Jakież półtora roku temu zarejestrowałem tutaj firmę inwestycyjną, *société anonyme*. I założyłem dla niej konto numeryczne. Zacząłem także monitorować osobiście poczynania Pułkownika, jego konta, przechodzące przez nie transfery. Czekałem na okazję i zastanawiałem się, jak ją wykorzystać.

- Jak to zorganizowałeś?

- Podczas którejś z podróży w interesach, do Mediolanu, Pułkownik skorzystał z niezabezpieczonego hotelowego punktu dostępu, żeby dokonać jakiejś pilnej transakcji. To otwarte połączenie pozwoliło mi zainstalować i ukryć na jego twardym dysku pewien program, który rejestrował co kilka sekund zrzuty z jego ekranu. Każdej nocy, punktualnie o 4:00 GMT, program ten wysyłał do mnie e-mailem, o ile rzecz jasna komputer był włączony, wszystkie zrzuty z poprzedniej doby. To oczywiście nie zapewniało mi haseł do jego kont ani nic w tym rodzaju, ale mogłem śledzić na bieżąco to, co robił. Pozwalało mi ustawić go do strzału.

A potem na początku sierpnia, pół roku temu, byłem już gotów. Wszystko znalazło się na miejscu. Niemal wszystko. Ale najpierw musiałem się przekonać, że zdołam to zrobić naprawdę...

- Jak?

- Przeprowadzając test. Regularnie włamywałem się do banków, pokonując ich zapory. Jednym z takich banków była pewna instytucja finansowa w Andorze. Tak się składa, że znajdowało się w niej konto jednej z kancelarii adwokackich, na którym gromadzono fundusze przed wypłatą odszkodowań dla klientów. Kancelaria ta reprezentowała głównie interesy firmy ubezpieczeniowej, zapewniającej ubezpieczenia medyczne. Kilka lat temu, wskutek karygodnej pomyłki wymiaru sprawiedliwości, kancelaria nie tylko obroniła ubezpieczyciela przed wypłatą roszczeń, ale obciążyla powoda kosztami procesowymi w wysokości półtora miliona dolarów, z czego jedna trzecia przypadła kancelarii, która przelała całość na konto w Andorze. Dwie trzecie należały się pozwanemu, czyli firmie ubezpieczeniowej. Kancelaria chciała przelać pieniądze klientowi, ale jej się nie udało...

- Ukradłeś im milion dolarów?

- Zgadza się. Czy wiesz, jaka to była firma?

To pytanie zaskoczyło ją jako nieistotne, ale po chwili zdała sobie sprawę, że było inaczej. Dawno nie klęła na żadną firmę ubezpieczeniową, a na tę konkretną nie klęła od dwóch dekad.

- American Health...? - zapytała cicho. Przed laty jednym z głównych zajęć Kate było prowadzenie korespondencji z American Health. Spieranie się z nimi, wypełnianie ich formularzy, umawianie się na spotkania, proszenie, błaganie, by zechcieli sfinansować zgodnie z polisą leczenie ojca, mimo tego, co napisali drobnym drukiem na końcu. - Rąbnałeś milion dolarów American Health?

- Milion brudnych dolarów. Które sprawiedliwie należały się komuś takiemu jak twój ojciec. Albo tobie... Bo powodem w tej sprawie była córka, która domagała się odszkodowania z polisy po śmierci ojca.

- Na tym polegał twój test?

- Doszedłem do wniosku, że mój królik doświadczalny nie może być nieskazitelny. I udało się. Byłem gotów do strzału w Pułkownika.

- I wtedy przeprowadziliśmy się tutaj?

- Tak.

- Okay... - mruknęła, pochylając się lekko. Wszystko zaczynało nabierać sensu. - Wy tłumacz mi, jak się to odbyło.

Dexter nie był człowiekiem, za którego brała go Kate. Ale nie był też, co powoli stawało się jasne, tak niepasujący do jej wyobrażeń, jak się obawiała.

- Najpierw - zaczął - musiałem zdobyć lepszy dostęp do komputera Pułkownika. Wynająłem więc kogoś do pomocy, dziewczynę z Londynu.

Poczuła ogromną ulgę.

- Jak się nazywa?

- Marlana.

Jedna z dwóch osób na liście kontaktów tajnej komórki Dextera. Drugą była Niko.

- Jak ma na imię Smolec?

Zaskoczyła Dextera, ale odpowiedział jej bez namysłu:

- Niko.

Wszystko się zgadza. Dwa tajne kontakty. Uzyskała potwierdzenie.

- A ta Marlana... - spytała -...czym się zajmowała?

- Pomagała mi zdobyć dostęp do komputera.

- Jak?

- Spała z nim - odpowiedział Dexter.

- Więc jest prostytutką!

- Owszem.

- Pieprzyłeś się z nią?

Roześmiał się. Naprawdę się roześmiał!

- Wypraszam sobie! Nie masz prawa wyśmiewać się z moich pytań! Będziesz musiał sporo się natrudzić, zanim odzyskasz moje zaufanie.

- Przepraszam.

- Więc? Pieprzyłeś się z nią?

Opanował się.

- Wiesz, jak wygląda Marlana?

- Widziałam zdjęcia, wiem.

- Zdaję sobie sprawę, że jestem niesamowicie przystojnym mężczyzną. Oboje o tym wiemy. Czy naprawdę uważasz, że kobieta pokroju Marleny poszłaby do łóżka z kimś takim jak ja?

- Ale ty jej płaciłeś! Za seks!

Dexter spojrzał na nią błagalnie.

- Okay - ustąpiła. - Mów dalej.

- Marlena jest dwudziestojednoletnią Rosjanką. Pułkownik bardzo... hm... lubi tego typu dziewczyny. Zaaranżowałem spotkanie... w hotelowym barze, gdzie przebywają takie panie.

- Więc on wiedział, że dziewczyna jest prostytutką?

- Tak.

- A ona zwyczajnie poszła z nim do domu i włamała mu się do komputera?

- Nie... Chodziło mi o dłuższy układ. Więc kiedy się spotkali, Marlena dała mu numer do agencji. Zadzwoił... ona jest dziewczyną na telefon... i poszła do niego. Pierwszej nocy dała popisowy spektakl...

- Czyli?

- Zwyczajnie przesadzała w reakcjach. A poza tym odbyła z nim w łóżku czułą rozmowę, podczas której wyznała mu, że choć uprawia seks niemal każdego wieczoru, nigdy przedtem nie osiągnęła takiej... hm... satysfakcji z klientem. Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że jest dla niej wyjątkowy pod względem fizycznym. Powiedziała, że byłaby wniebowzięta, gdyby został jej stałym klientem.

- Dał się nabrać?

- A kto by się nie dał?

Kate nigdy nie była w stanie ogarnąć niezmiernie głupoty mężczyzn.

- Dopiero podczas piątego spotkania Pułkownik zostawił ją samą na tyle długo, by mogła mieć swobodny dostęp do komputera. Zainstalowała na nim program, który nazywa się sniffer i rejestruje nazwy użytkownika i hasła. Zanim odwiedziła go po raz kolejny, a spotykali się co tydzień, napisałem program, który również mu zainstalowała i który obejmował rejestrator uderzeń w klawisze i program pocztowy wysyłający mi dane co minutę.

Potem przez setki godzin łamałem algorytm jego dynamicznego systemu haseł, żeby dostać się na jego konto w banku w taki sposób, żeby o tym nie wiedział. To prawdziwy znój. Przez kilka następnych tygodni tworzyłem fałszywą stronę jego banku.

- Po co?

- Bo kiedy ludzie przelewają miliony dolarów, nie wystarczy im wciśnięcie na stronie klawisza „Wyślij przelew. Enter”. Dzwonią do banku, żeby potwierdzić transakcję. Albo zapisują transakcję na stronie i dzwonią do banku, żeby bank wcisnęła „Enter”. W niektórych bankach zapobiega się w ten sposób oszustwom.

- Jak to obszedłeś?

- Kiedy Pułkownik logował się do swojego banku, nie był w Internecie, wchodził do programu zainstalowanego na jego komputerze, a nie w sieci. To, co wpisywał na klawiaturze, obrazy, jakie widział na ekranie, nie miało nic wspólnego z tym, co działo się na jego koncie, nad którym przejąłem zdalnie kontrolę, monitorując je i dokonując na nim niezbędnych czynności.

- Więc kiedy myślał, że jest w sieci, nie był w sieci, a kiedy przelewał pieniądze, wcale ich nie przelewał. A kiedy dzwonił do banku, żeby potwierdzić transakcję, ty dokonywałeś transferu...

- Dokładnie.

- To genialne!

Dexter wrócił na balkon w czapce narciarskiej. Kate także przyniósł czapkę, wciągnęła ją na przemarzniałe uszy. Siedzieli opatuleni ciepłą wełną.

- Pułkownik bez przerwy prowadził jakieś interesy, nieustannie handlował bronią na ogromną skalę - kontynuował Dexter. - Ale interes, na który czekałem, był wyjątkowo duży, a kupującymi okazali się jacyś bardzo, bardzo źli afrykańscy watażkowie. To była idealna transakcja, bardzo skomplikowana, taka, na jaką liczyłem. Pułkownik kupował eskadrę migów od byłego sowieckiego generała i sprzedawał samoloty siłom zbrojnym kongijskich buntowników. Słyszałaś o wojnie w Kongu?

Rzecz w Trzecim Świecie były niegdyś pasją Kate. Miała szczęście, że to przeszłość. Ale to nie znaczy, że ludzie przestali się mordować, a ona interesować konfliktami. Była uzależniona. Od wiadomości politycznych ze świata.

- To najokrutniejszy konflikt od czasów drugiej wojny światowej - powiedziała. - Ponad pięć milionów ofiar.

- Niestety... Ale do rzeczy, ten interes wymagał zaufania, jakim Pułkownik cieszył się w oczach sowieckiego generała, Iwana Weltena, z którym współpracował przez dwie dekady. Wymagał też dokonania kilku przelewów niemal jednocześnie, w dniu, w którym dostarczono migi. To był akurat Dzień Dziękczynienia...

Kate skinęła głową, przyjmując do wiadomości wyjaśnienie nieobecności męża w domu w dniu narodowego święta.

- Rano w dniu transakcji Kongijczycy przelali Pułkownikowi pieniądze z góry, a on przelał połowę należności Weltenowi. Połowa odrzutowców wylądowała na lotnisku przy

granicy z Angolą. Przyleciały nocą z Zambii, gdzie generał przechowywał samoloty skradzione z bazy lotniczej w Kazachstanie. W tym momencie Pułkownik powinien przelać generałowi drugą połowę należności. Dokonał transferu i pieniądze wyszły z jego konta, ale nie pojawiły się niestety na koncie generała.

- Bo przelałeś je na swoje konto.

- Tak. Pułkownik był zatem winien generałowi dwadzieścia pięć milionów, których nie miał, i zaczął się zastanawiać, co się stało. Zadzwoił do banku, gdzie powiedziano mu, że mają nagrania jego zleceń telefonicznych, w tym ostatniego zlecenia na przelew na inne konto w tym samym banku. Pułkownik i generał mieli konta w SwissGeneral. Przelewy z konta na konto w jednym banku dokonywane są niemal natychmiast, bo bank weryfikuje od razu transferowane kwoty. Tak się składa, że ja też miałem konto w SwissGeneral.

- Więc bank wiedział, dokąd trafiły pieniądze! Na czyje konto. Mógł to prześledzić w swoim własnym systemie.

- Dokładnie. I na pewno tak zrobił. I znalazł puste konto otwarte przez jakiegoś faceta, który otworzył je w moim imieniu przed rokiem. Zapłaciłem mu za to. Nie znał mojego nazwiska i nie widział mojej twarzy. A konto, które założył, było puste, bo przelałem stamtąd pieniądze na konta zewnętrzne.

- Ale przecież mogli prześledzić i te transakcje...

- Tak, teoretycznie. W normalnych okolicznościach. Ale tego dnia ktoś złamał zabezpieczenia w ich centrali w Zurychu. Znacznie wcześniej... przed wieloma miesiącami... założyłem w tym banku skrytkę depozytową. Z samego rana w dniu transakcji Pułkownika poszedłem zajrzeć do skrytki. Zaprowadzono mnie do sali, w której spokojnie przegląda się zawartość skrytek. Wyjąłem z niej małe bezprzewodowe urządzenie działające jak router... z wyglądu przypominało kabel komputerowy... i zostawiłem je pod stołem. Wyszedłem z banku. Mój router podłączył się do sieci bankowej i wysłał sygnał poza bank, gdzie mogłem go odebrać.

- Dlaczego nie wszedłeś do sieci z tej sali, gdzie przeglądałeś depozyt?

- Gdybym tak zrobił, w dodatku za pomocą kabla, administrator systemu natychmiast by mnie namierzył i dowiedział się, gdzie jestem. Gdybym został z kablem w środku, złapaliby mnie, bo po każdym naruszeniu zabezpieczeń zamykają budynek.

- Zamknęli go?

- Tak, tylko że ja zdążyłem już wyjść i siedziałem w hotelu po drugiej stronie ulicy z oknami na bank. Miałem antenę kierunkową, którą odbierałem sygnał z routera.

- Skąd wiedziałeś, że to zadziała... technicznie?

- Sprawdziłem to podczas wcześniejszego pobytu w Zurychu. Przetestowałem aspekty techniczne i przechwyciłem hasła do bankowej zapory. Przeanalizowałem logikę i architekturę systemu, protokoły i zabezpieczenia używane przez administratorów. Wtedy nie mogłem jeszcze nic zrobić, ale wiedziałem, że będę mógł, kiedy nadejdzie pora.

- I nadeszła...

- Tak. Przekierowałem do siebie przelew do generała, a potem opróżniłem konto w SwissGeneral, przelewając pieniądze do banku w Andorze. Sporo czasu zajęło mi wejście do tej części systemu, która rejestruje dokonywane w danym dniu transakcje.

- Wyczyściłeś te rejestry?

- Oczywiście. I właśnie wtedy administrator systemu zorientował się, że działa w nim intruz. Zamknął system, zamknął budynek. Ale wtedy pieniądze powędrowały już z Andory na dziesiątki kont na całej kuli ziemskiej w mniejszych lub większych kwotach. A z tych kont rozsianych po świecie wróciły na jedno konto. Tutaj w Luksemburgu.

- A co robiłeś w pracy? Siedziałeś w tym swoim biurze do późna, w weekendy! Co cię tam trzymało?

- Najczęściej analizowałem systemy... komputer Pułkownika, sieć SwissGeneral. Włamania do systemów są bardzo czasochłonne. Nie masz pojęcia, ile trzeba się nachodzić, by przyswoić to wszystko w teorii.

- Ale musiałeś chodzić do późna w nocy?

- Wieczorami i nocami robiłem coś innego: monitorowałem Pułkownika, jego pocztę i połączenia telefoniczne, musiałem wiedzieć wszystko o jego interesach. Czasem czekałem na czyjąś odpowiedź po rozmowie, która kończyła się stwierdzeniem „oddzwonię za parę godzin”. Więc czekałem i czekałem...

- Tylko czekałeś?

- Tak, choć nie marnowałem czasu, robiłem inne rzeczy. Miałem swoje hobby: analizowałem dosyć skomplikowane instrumenty finansowe.

- Po co?

- Doszedłem do wniosku, że jeśli stworzono je w taki sposób, żeby zwykły zjadacz chleba się w nich nie połapał, to bankierzy ukrywają coś niezwykle dochodowego. Kryjąca się za tym wszystkim logika błędnego koła, którą, jestem pewien, stworzono po to, żeby coś ukryć, stanowiła jawne wyzwanie dla mojej inżynierskiej dociekliwości. To coś takiego jak hazard na giełdzie. Choć nie całkiem zależny od losu, bo przez kilka ostatnich miesięcy

zarobiliśmy ćwierć miliona euro na tych inwestycjach. Zarabiam w ten sposób na życie.

- Myślałam, że zarabiasz na życie jako złodziej.

- Nie - odparł. - Złodziejem jestem dla zabawy.

Kate postawiła na stole dwa kubki. Znad gorącej kawy w mroźnym porannym powietrzu unosiły się białe kłęby pary. Usiadła, otuliwszy się szarym pasiastym kocem.

- Jak cię złapią?

Ciągle zastanawiała się nad logistyką oszustwa Dextera. Odsunęła od siebie nieistotne w tej chwili zawile kwestie moralności, uczciwości, małżeństwa, kary i skoncentrowała się na kwestiach praktycznych - na dziś, na teraz.

- Nie złapią.

- Nie? Uważasz, że to niemożliwe?

Była zdumiona oburzającą pewnością siebie męża, która - co tu ukrywać - imponowała jej. Skąd mu się to wzięło?

- A jeśli FBI znajdzie pieniądze?

- To bez znaczenia. Nie są w stanie prześledzić każdej transakcji od końca do początku na każdym z moich kont. W bankach komercyjnych i prywatnych, w rajach bankowych i podatkowych. Nie przebrną przez tajemnice bankowe w Andorze i Szwajcarii, na wyspie Man i na Kajmanach, nie wspominając już o Luksemburgu. A poza tym, Kate, konta, o których mówię, już nie istnieją. Ślady po dokonywanych na nich transakcjach zostały zatarte. Nie ma sposobu, żeby powiązać to wszystko ze mną.

- Żadnego?

- Absolutnie żadnego.

- No, ale jeśli zwyczajnie znajdą pieniądze? Jak ja? Jak im wytłumaczysz posiadanie takiej fortuny?

- Nie muszę. Dlatego pieniądze są tutaj. W Luksemburgu. W kraju szanującym tajemnicę bankową.

- I dlatego tu przyjechaliśmy?

- W zasadzie tak.

- A skoro już o tym mowa: czy będziemy mogli wrócić do domu? Do Ameryki?

- Oczywiście.

- Ale...?

- Ale nie powinniśmy trzymać dużych oszczędności w żadnym amerykańskim banku.

I nie powinniśmy przelewać więcej niż dziesięć tysięcy z jednego konta na drugie. Nie powinniśmy również kupować nieruchomości w Stanach. Ani wydawać tam znacznych kwot pieniędzy. Nie powinniśmy tam także uzyskiwać nadmiernych przychodów, więc nie możemy sprzedać domu w Waszyngtonie. Lepiej go zwyczajnie wynajmować. Słowem, nie wolno nam robić niczego, co zwróciłoby uwagę urzędu skarbowego.

To było całkiem jasne. Muszą zniknąć z oczu IRS, dzięki czemu znikną z oczu federalnych.

- A ten facet, któremu ukradłeś pieniądze, ten Pułkownik... - zaczęła -...czy on nie może cię znaleźć?

- Nie, przede wszystkim dlatego, że mnie nie szuka. Wrobiłem kogoś. Podsunąłem mu trop wskazujący na kogoś innego, innego łotra z serbskiej armii.

- Co się z nim stało? Z tym łotrem?

- Dostał to, na co zasłużył.

O czym jeszcze powinna wiedzieć?

- To konto z dwudziestoma pięcioma milionami... nic się na nim nie dzieje. Nie jest oprocentowane?

- Nie.

- Nie chcesz zgłaszać przychodów... nawet tutaj.

- Właśnie. Bo i tutaj, i tam musimy składać zeznania podatkowe.

- I tak będzie zawsze?

- Zawsze. Dopóki jesteśmy obywatelami amerykańskimi, musimy płacić amerykańskie podatki.

- I co z tym zrobimy?

- Ograniczymy przychody do tego, co zarabiam legalnie na inwestycjach. Co nie znaczy, że musimy ograniczać wydatki.

- Czy twój plan obejmuje wydawanie skradzionych pieniędzy? A może ukradłeś je tylko po to, żeby odebrać coś komuś, kogo nienawidzisz?

- Mój plan zakłada wydawanie pieniędzy.

Kate się zawahała. Obracała kolejne pytanie w ustach jak łyk czerwonego wina.

- Kiedy?

- Kiedy będzie bezpiecznie. Kiedy już FBI da nam spokój.

Ta wiadomość wydała się Kate sensowna w natłoku informacji, jakie przyniosła zaskakująca opowieść Dextera. Upłynęło dużo czasu, nim zdała sobie sprawę, co naprawdę oznaczała. A oznaczała, że Dexter nie wydawał pieniędzy, gdyż wiedział, że FBI jest na jego

tropie. Wiedział, zanim mu powiedziała.

- Opowiedz mi o farmie.

- To tylko adres pocztowy, dla banku. Na odludziu. Trudny do monitorowania.

Idealny na kryjówkę, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale Dexter myślał w kategoriach adresów składanych w urzędzie skarbowym, a nie o kryjówkach. Kryjówki były specjalnością Kate.

- Wynająłeś samochód, żeby tam pojechać. Kiedy mówiłeś, że jedziesz do Brukseli. Dlaczego?

- Zbliżał się termin transakcji, otworzyłem masę nowych kont, na jeden tydzień, żeby przysyłać między nimi pieniądze. Wszystkie formularze bankowe z tych kont trafiały na farmę. Musiałem je odebrać. I zniszczyć.

- Rozumiem. Wtedy także ukryłeś dane luksemburskiego konta w komodzie chłopców, prawda?

Wydawał się zawstydzony.

- Ukryłem je tam po... hm... transakcji. Kiedy te dane stały się naprawdę ważne.

Kate doskonale pamiętała tamten wieczór.

- To było wtedy, kiedy przyjechał domniemany ojciec Julii, prawda? Kiedy szliśmy z nimi na obiad.

- Naprawdę? Tego akurat nie pamiętam.

To wydało się jej mało prawdopodobne. Niemożliwe. I znów wróciły wątpliwości, podejrzenia, nieufność.

- Nie pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

- Kim według ciebie był ten facet? - zapytała. - Lester, zdaje się...

- Jej szef? Współpracownik?

Siedzieli w milczeniu, snując oddzielne, choć równoległe domysły.

- Dlaczego nie ukryłeś danych konta w biurze? Albo na farmie?

- Żeby nigdzie nie wyjeżdżać - odparł. - Gdybyśmy, na przykład, musieli szybko uciekać.

- Dlaczego mielibyśmy uciekać? I to szybko?

- Gdyby, na przykład, mieli mnie złapać.

- Ale przed chwilą mówiłeś, że to niemożliwe.

- No tak, ale lepiej się zabezpieczyć.

Przyszło jej do głowy, że do tej pory Dexter zabezpieczał się głównie przed nią. Co przypomniało jej o kamerze w biurze. Nie była pewna, jak daleko powinna się teraz posunąć. Nie była pewna, jak bardzo i czy w ogóle zależy jej na tym, żeby dowiedzieć się, czy Dexter widział nagranie z biura. I czy to ułatwiło mu przejrzanie jej zakłamania. Bo Kate ciągle trzymała własne sekrety w tajemnicy.

- Twoje biuro nie jest bezpieczne? - zapytała ryzykownie.

- Przeciwnie, jest bardzo bezpieczne.

- Zabezpieczyłeś je? - Nie mogła przestać, skoro już zaczęła.

Twarz Dextera nadal nie wyrażała niczego.

- Kupiłem kamerę.

Zamarła.

- Ale nie zdążyłem jeszcze podłączyć jej do komputera.

Dexter o niczym nie wiedział.

Czego jeszcze nie wiedział?

Nie wiedział, że Kate ukradła mu klucze. Nie wiedział, że włamała się do jego biura i przeglądała jego rzeczy. Nie wiedział, że żywiła wobec niego podejrzenia, zanim pojawili się Bill z Julią, zanim jej powiedzieli. Nie wiedział, że Bill i Julia wydali się jej podejrzani niemal od samego początku. Nie wiedział, że włamała się do rzekomego biura Billa, że w Monachium kontaktowała się ze starym znajomym z Firmy i nowymi w Berlinie i Genewie. Nie miał pojęcia, że przed kilkoma zaledwie tygodniami podejrzewała tajnych agentów o to, że są zabójcami.

I przede wszystkim nie wiedział, że włącząc się po Europie wraz z całą rodziną, gonił własny ogon.

I że jego żona pracowała dla CIA.

Na niebie nic nie zapowiadało wschodu słońca, ale w mieście pojawiły się pierwsze samochody, furgonetki i autobusy. Nie trzeba słońca, żeby zaczynać dzień.

- A ten twój ostatni wyjazd do Londynu przed świętami... Pojechałeś zapłacić Marlenie?

- Tak.

- Ile?

- Dwadzieścia tysięcy funtów.

- To chyba nie jest dużo.

- Nie jest, ale zapłaciłem jej tak mało celowo. Zapłaciłem jej tyle, żeby podjęła się tej roboty, ale nie tyle, żeby podejrzewała, że ma do czynienia z czymś ważnym. Moim zdaniem więcej pieniędzy nie oznacza większego bezpieczeństwa. Moim zdaniem gwarantuje go mniej.

Była zdziwiona jego przenikliwością.

- Więc co się z nią stało po tej... hm... jak mam to nazwać?

- Transakcji?

- Okay, transakcji. Co się stało z Marleną?

- Spotkała się z Pułkownikiem jeszcze jeden raz, a potem odwołała spotkanie. Ukryła się, ale została w Londynie. Na wszelki wypadek. Gdyby coś poszło nie tak i gdybym potrzebował jeszcze jej pomocy. Wymyśliła bajkę o pobiciu przez klienta i o tym, że się boi. Znalazłem faceta, którego mogliśmy o to oskarżyć.

- Pomyślałeś o wszystkim, prawda?

- Tak.

- Więc skończyłeś z nią?

- Tak.

- Ale żyje?

- Wiem, co ci chodzi po głowie.

- No i...?

- Po pierwsze, ona nie wiedziała, w czym uczestniczy. Zna tylko swój fragment układanki.

- Ale...

- Ale na wszelki wypadek mam przeciw niej bardzo obciążające dowody. Świadczące o tym, że popełniła bardzo poważne przestępstwa.

- Mogłaby dogadać się z prokuratorem i uzyskać uniewinnienie w zamian za zeznania obciążające ciebie, nie sądzisz?

- Lista jej przestępstw jest bardzo długa. Za niektóre nie wychodzi się z więzienia.

- Mimo wszystko...

- Tak, masz rację - powiedział, a w jego głosie pojawiła się irytacja. - Masz oczywiście rację. Istnieje minimalne prawdopodobieństwo, że któregoś dnia ktoś może ją zmusić do obciążenia mnie. - Spojrzał Kate prosto w oczy, nie spuszczał z niej wzroku. - Ale

co w związku z tym mam zrobić?

Kate nie odwróciła oczu. W jego spojrzeniu było coś, co stanowiło wyzwanie, zachętę, żeby powiedziała głośno to, co powiedziałyby, gdyby była jeszcze tą, którą była kiedyś.

Ta dawna Kate powiedziałyby: „Zabij ją”. Nowa Kate powiedzieć tego nie mogła.

Niewypowiedziana kwestia wisiała w powietrzu, dając Kate kolejną szansę, kolejną możliwość powrotu do nieuczciwej przeszłości. Ale i ta szansa, podobnie jak inne, których nie wykorzystała, przepadła. Zamiast tego w głowie Kate zrodził się pomysł nowej linii ataku, odwrócenia kota ogonem, co robiła zawsze, kiedy nie wiedziała, jak się bronić. Dlaczego Dexter trzymał to wszystko w sekrecie? Tak długo!

Ale czy miała prawo - akurat ona - kwestionować czyjeś powody do zachowywania tajemnicy? Sama potrafiłaby podać mnóstwo wielce prawdopodobnych przyczyn, dla których Dexter nie powinien niczego jej mówić. Nie miała prawa go o to pytać.

Ale czy nie na tym właśnie polega małżeństwo? Na pytaniu o rzeczy, o które pytać nie wolno?

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, Dexter?

- Kiedy? - zapytał. - Kiedy miałem ci powiedzieć?

To był jej argument, którym chciała się bronić wiele razy w rozmowie, do której nie doszło.

- Kiedy przyszedł mi do głowy ten absurdalny plan? - ciągnął. - Kiedy wynająłem londyńską kurewkę, żeby uwiodła starego mordercę po to, żebym mógł włamać się do jego komputera? Kiedy przeprowadziliśmy się do Luksemburga, żebym mógł śledzić interesy handlarza bronią? Odeszłaś ode mnie.

Pokręciła głową. Nie, nieprawda. A może? Nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że Dexter wszystko o niej wie. Ale teraz, po raz pierwszy, poczuła wątpliwości. Bo Dexter był znacznie sprytniejszy, szczwany i o wiele bardziej podstępny, niż kiedykolwiek mogła podejrzewać. Myliła się co do niego przez te wszystkie lata. Jak bardzo?

- Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić z tymi z FBI? - zapytał.

Kate nie miała wówczas pojęcia, jak bardzo nieszczerze było to pytanie.

Patrzyła przed siebie, zastanawiając się nad czekającym ją zadaniem.

- Zadzwoń rano do Julii - powiedziała, zerkając na zegarek. Zaraz obudzą się chłopcy. - Umówię się z nią.

- Po co?

- Bo jak podejrzewam, poproszą mnie o pomoc. Każą mi pewnie nosić podsłuch. Będę oburzona, ale będą naciskać, odgrażać się, że uczynią nasze życie nieznośnym, jeśli nie pójdę na współpracę. - Kiedy wypowiedziała głośno te słowa, plan ten wydawał się jej najwłaściwszym trybem postępowania. - Więc w końcu się zgodzę.

Dexter uniósł brwi, pochylił się ku niej.

- I co wtedy?

- I wtedy wybierzemy się gdzieś do miasta, jakbyśmy starali się upewnić, że nikt nas nie śledzi i nie podsłuchuje. Do jakiejś restauracji, na przykład... całkiem neutralnej, nowej... - Umilkła, próbując wyobrazić sobie właściwe miejsce i rozwiązać wszystkie problemy jednocześnie.

- A potem?

- A potem urządzimy przedstawienie. Dla FBI.

Przedstawienie dobiegło wreszcie końca. Samochód pędził przez noc po prostej dwupasmówce, nieoświetlonej i pustej, koła mruczały na asfalcie, szumiały, przemierzając wiejską okolicę i zmierzając ku odległej poświacie nad miastem, nad ich domem i dziećmi, gdzie czekało ich normalne życie albo całkiem nowe.

Dexter prowadził szybciej niż zazwyczaj. Być może za dużo wypił w restauracji, był zdenerwowany przedstawieniem odgrywanym do mikrofonu FBI i agentów słuchających audycji w odbiornikach. Mikrofon wciąż działał.

Siedzieli w samochodzie zanurzeni w ciszy, w ciepłej kąpeli milczenia, nieudawania. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów cisza między nimi nie składała się z kłamstwa na kłamstwie. Ale Kate odczuwała nadzwyczajną bolesność jednej wielkiej nieprawdy, która wciąż wisiała między nimi.

Przyglądała się drodze, hipnotycznej żółtej linii na środku czarnego pasa. Znow się wahała. A potem poczuła takie zniechęcenie sobą, że dłużej znieść go nie mogła.

Dosyć.

- Dexter - powiedziała, zmuszając się do tego, zanim się opamięta - stań, proszę, na parkingu.

Zdjął nogę z gazu, zerknął kątem oka na żonę.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Parking znajdował się kilka kilometrów na południe od miasta i był potężnym kompleksem zastawionym osiemnastokołowcami i porozbijanymi skodami, z których wysypywała się podpita młodzież, kupująca piwo, papierosy i wielkie torby chipsów. Tu i ówdzie kręcili się też młodzi zakolczykowani Holendrzy wracający z długich wypraw w Alpy, można też było spotkać milczące portugalskie sprzątaczkę w drodze do domu, jedzące właśnie kanapki.

Dexter nie wyłączył silnika, podgrzewane siedzenia działały. Zgasił tylko światła i spojrzał na Kate.

Zastanawiała się nad pluskwą. Zastanawiała się, czy nie powinni wysiąść z auta i pójść na parking. Ale FBI i Interpol wiedzieli od dawna o tym, co miała zamiar powiedzieć. Więc po co zadawać sobie trud.

- Dexter - zaczęła - nie zajmowałam się pisaniem memorandów.

Obok nich na niskim biegu przejeżdżał ciągnik, warczał wielki motor, klekotały źle przymocowane łącza. Kate czekała, aż ich minie.

- Pracowałam...

Nagle zmieniła zdanie. Wiedziała, co chce powiedzieć, ale nie wiedziała, jak zareaguje na to Dexter.

Spojrzała na jasno oświetlony budynek na samym środku parkingu, sklep i bar, lśniące podłogi i równo ustawione stoliki.

Zdjęła zegarek z nadgarstka, wsunęła go do skórzanej kieszeni fotela.

- Chodźmy na kawę.

Dexter wrzucił monetę do maszyny, nacisnął guzik i czekał, aż ustanie syczenie i bulgotanie espresso, plującego strugą z bezbarwnej plastikowej rurki do ekologicznego kubka.

Kate upiła łyk cappuccino. Nie było złe, ta parkingowa maszyna parzyła całkiem dobrą kawę. Gorącą, mocną i przyzwoitą. W Europie wszędzie jest dobra kawa.

Usiedli przy stole z blatem z wytłaczanego szkła na lekkich stalowych krzeselkach. Olbrzymie okno wychodziło na autostradę. W drugim końcu sali zaszyła się inna para, kobieta była zapłakana, oboje przeżywali jakiś kryzys: zerwanie, niechcianą ciężę, romans. Mieli własne problemy, nie będą ich podsłuchiwać.

Wstępy nie miały sensu. Kate wyciągnęła ręce przez stół, ujęła dłonie Dextera.

- Pracowałam dla CIA - powiedziała. - Byłam kimś, kogo nazywa się szpiegiem.

Dexter otworzył szeroko oczy.

- Moja praca polegała na prowadzeniu agentów w Ameryce Łacińskiej. Jeździłam do Salwadoru, Wenezueli, Nikaragui, Panamy, Gwatemali, ale głównie pracowałam w Meksyku.

Zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć. Ale się rozmyślił.

- Wstąpiłam do Agencji tuż po studiach. Nic innego nie robiłam. Wybrałam taką pracę przede wszystkim dlatego, że uważałam, że nigdy nikogo nie pokocham. Przejścia z rodzicami... siostrą... Byłam jak odrętwiała. Wyzbyłam się nadziei na jakąkolwiek bliskość. Uważałam, że nigdy nie założę rodziny.

Ścisnęła jego dłonie, podkreślając znaczenie słów, najważniejszego komponentu skomplikowanej spowiedzi.

- Zakładałam, że zawsze będę sama, Dexter. Myślałam, że nigdy nie będę musiała

okłamywać najbliższych, bo nie przypuszczałam, że będę ich mieć. Byłam młoda, pokiereszowana i nie wyobrażałam sobie, że przestanę być młoda i okaleczona. Pamiętasz, jak to jest być młodym?

Skinął głową bez słowa.

- Trudno wtedy przyjąć do wiadomości, jak krótka jest młodość. Wydaje się, że trwa bardzo długo, wiecznie. Ale jest jak mrugnięcie powieką.

Po drugiej stronie sali kobieta załkała głośno i boleśnie.

Dexter wpatrywał się w żonę z napięciem.

- Myliłam się. Zakochałam się w tobie.

Dostrzegła kątem oka mężczyznę, który wszedł do baru i spojrzał w jej stronę. Miała ogromną nadzieję, że niedługo nadejdzie taki dzień, kiedy nie będzie musiała zwracać uwagi na każdego.

- Chciałam ci o tym powiedzieć, Dexter. Uwierz, proszę. Zastanawiałam się nad tym setki razy. Tysiące. Niemal każdego dnia, odkąd jesteśmy ze sobą. Ale kiedy miałam ci to powiedzieć? Kiedy była najlepsza chwila?

Był to ten sam argument, jakiego użył podczas rozmowy na balkonie: kiedy pojawia się moment uprawnionego oczyszczenia? Czy po odegranym przez nich oboje oczyszczeniu? Odegranym dla FBI? Teraz na tym parkingu znów wracali do siebie, do własnej małżeńskiej intymności.

- Wzięliśmy ślub, a ja wciąż milczałam. To okropne. Naprawdę tak uważam i przyznaję się do winy. To, co robiłam, było niedopuszczalne.

Dexter uśmiechnął się lekko, więc ulżyło jej nieco.

- Potem urodził się Jake... - przerwała, zastanawiając się, ile może mu powiedzieć, jak bardzo szczerą musi być ta spowiedź, żeby się liczyła, przede wszystkim dla niej. - Wycofałam się z pracy operacyjnej, usiadłam przy biurku w Waszyngtonie. Nie wiesz, co to oznacza. To jest jak... wyrzucenie z pierwszej drużyny... na ławkę rezerwowych.

Dexter interesował się kiedyś sportem, baseballlem. I znów uśmiechnął się do Kate ze zboląłą miną, ale nadal nie był w stanie nic powiedzieć.

- Mówiąc wprost, zrezygnowałam z kariery, choć wciąż pracowałam dla CIA. Potrzebowaliśmy pieniędzy, ubezpieczenia, którego nie miałeś...

Dexter skrzywił się bezwiednie. Nie powinna tego mówić. Na szczęście w Luksemburgu opieka zdrowotna jest powszechna i bezpłatna.

- Tak czy inaczej - mówiła dalej - chodzi o to, że nigdy nie zebrałam się, żeby wyznać ci prawdę.

Nie wiedziała, czy jest zły, czy smutny, oburzony, czy wstrząśnięty. Znacznie później doszła do wniosku, że stać go było tylko i wyłącznie na stoicyzm. Nikt go nie szkolił, jak dawać sobie radę w tego typu konfrontacjach. Był genetycznie lub profesjonalnie przebiegły. Przypadkowo.

- A kiedy mieliśmy się tutaj przenieść, całkiem zrezygnowałam z pracy. Zwolniłam się. Czy wtedy miałam wyznać ci prawdę? Czy nie było już na to za późno? Okłamywałam cię przez dziesięć lat. Ale kłamstwo odeszło w przeszłość wraz z pracą. Miałam powody, by przypuszczać, że straci na znaczeniu, że każdego dnia stanie się mniej ważne. Więc po co miałam się przyznawać do czegoś? Wydawało mi się, że to niczego nie zmieni. Sam wspomniałeś kiedyś, że mówienie o czymś, czego znaczenie sprowadza się do dochowania tajemnicy, jest bez sensu i nie przynosi żadnych korzyści.

Dexter wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w pustkę.

- Ale myliłam się, Dexter, wiem, jak bardzo się myliłam. Powinnam była ci powiedzieć przy pierwszej sposobności. Ale nie zrobiłam tego... - Starła się patrzeć na niego błagalnie. - I bardzo, bardzo cię za to przepraszam.

Dexter uśmiechnął się do niej szeroko - pobłażliwie, wyniośle i protekcjonalnie. Tak, jak uśmiechają się ludzie, których ktoś gorąco i szczerze przeprasza. Był to uśmiech wyrozumiałości połączonej z wyższością. Uśmiech, który mówił: „Przyjmuję twoje przeprosiny, ale jesteś moją dłużniczką”.

Tak się przynajmniej Kate wydawało w tamtej chwili.

Upłynęło kolejne półtora roku, zanim zrozumiała, że uśmiech Dextera wyrażał głęboką ulgę. Był uśmiechem kogoś, kto nie musiał już dłużej udawać, że nie wie o czymś, o czym wie od dawna.

Zaczęło padać. Jak zwykle. Najpierw lekko, od czego wielka szyba wychodząca na autostradę pokryła się mgiełką. Potem mocniej i głośniej, bo krople dudniły na szklanym dachu parkingowego atrium.

Skręcający samochód błysnął światłami w oczy Dextera.

- Co robiłaś?

- Głównie spotykałam się z ludźmi - odpowiedziała. - Nakłaniałam ich do tego, żeby robili rzeczy korzystne dla Stanów Zjednoczonych. A przynajmniej dla CIA. Przekonywałam ich.

- Jak?

- Pieniędźmi i informacjami. Pomagałam im też organizacyjnie. Czasem groziłam konsekwencjami, jeśli nie chcieli współpracować.

- Jakimi konsekwencjami?

- Wstrzymaniem dostaw rzeczy, które były im potrzebne. Pieniędzy albo broni, albo wsparcia rządu amerykańskiego. Rzeczy, które mogły trafić do ich konkurentów, czego bardzo nie chcieli.

- Ale czasem musiałaś grozić im bezpośrednio...

- Czasem groziłam im, że zostaną zabici.

- Że ty ich zabijesz?

- Nie tłumaczyłam im tego.

- I co? Zabijano ich?

- Niekiedy.

- Ty to robiłaś?

- Niezupełnie.

- Co to znaczy „niezupełnie”?

Nie chciała odpowiadać na to pytanie. Nie zrobiła tego.

Dexter odwrócił głowę. Musiał zadać pytanie, którego zadać nie chciał:

- Czy twoja praca obejmowała... seks z tymi ludźmi?

- Nie.

- Ale robiłaś to?

- Co?

- Sypiałaś z nimi?

- Nie - odpowiedziała. - A ty? Sypiałeś z ludźmi w pracy?

- Nie.

Dopila cappuccino, chłodne jak pomieszczenie, w którym siedzieli. Nie spodziewała się takiego zwrotu. Na obszar wierności małżeńskiej. Prawdopodobnie jedyny, na którym byli wobec siebie lojalni.

- Zabijałaś ludzi? - zapytał prosto z mostu.

Spodziewała się tego, obawiała się tego, i wciąż nie wiedziała, co odpowiedzieć. I do czego się przyznać.

- Tak.

- Ilu?

Nie chciała podać mu liczby. To był jeden z głównych powodów, dla których nigdy nie wyznała mu prawdy. Nie chodziło jej przecież o złamanie zasad tajemnicy służbowej, ani

o obawę przed przyznaniem się do wieloletniego kłamstwa. Podstawowym powodem, dla którego nigdy nie chciała prowadzić tej rozmowy, było to, że nigdy nie chciała odpowiadać na to pytanie, zadane przez tego mężczyznę, który już nigdy nie spojrzy na nią jak dawniej.

- Kilku.

Wyraz twarzy Dextera świadczył o tym, że domaga się konkretów, większej szczerości. Ale Kate pokręciła głową. Nigdy nie poda mu liczby.

- Niedawno? - zapytał.

- Niezupełnie.

- To znaczy... - W jego głosie kryło się zniecierpliwienie, miał dosyć jej uników.

- Po raz ostatni kilka miesięcy po przyjściu Jake'a na świat. To był ktoś, kogo poznałam w Meksyku. - Jeśli będzie musiała opowiedzieć mu o Torresie, równie dobrze może powiedzieć mu o wszystkim. Niemal o wszystkim. - To był polityk, który przegrał wybory prezydenckie. Szykował się do następnych, chciał naszej pomocy. Mojej pomocy. Spisałam go na straty, po raz ostatni pojechałam do Meksyku, żeby spotkać się z innymi politykami, innymi kandydatami ubiegającymi się o prezydenturę. A kiedy wróciłam do Waszyngtonu, ten człowiek zmusił mnie niejako, żebym się z nim spotkała.

- Zmusił cię? Jak?

- Porwał mnie. Z ulicy. Nie zastosował przemocy, ale nie pojechałam na to spotkanie z własnej woli. Bo sytuacja była groźna. To spotkanie było jedną wielką hucpą z pretensjami, dlatego Agencja, dlatego ja, nie chcemy go wspierać. A kiedy dobiegło końca, ten człowiek wyjął z kieszeni fotografię. Zrobiono ją przez okno naszego salonu. Byłam na niej z Jakiem.

Dexter pokręcił głową, jakby nie rozumiał.

- To była groźba. Wobec mnie. Jeśli go nie poprę, coś złego przydarzy się moim bliskim. Nie potrafiłam ocenić, czy jest w stanie spełnić tę groźbę. I z pewnością nie potraktowałabym jej poważnie, gdyby nie to, że ten człowiek był bardzo irracjonalnym graczem. Cierpiał na manię wielkości, miał urojenia. A ja miałam dziecko. Pierwsze. Nasze pierwsze dziecko.

- I...

- I nie było innego sposobu, żeby zostawił nas w spokoju. Deportacja czy uwięzienie, czy cokolwiek innego nic by nie dało. Ten człowiek miał długie, bardzo długie ręce. Jeśli postanowił nas skrzywdzić, nic nie mogło go powstrzymać.

- Dlatego musiałaś go zabić.

- Tak.

- Jak? Gdzie?

Kate nie chciała klatka po klatce odmalowywać Dexterowi pornograficznego obrazu morderstwa. Nie chciała wymieniać ulic, jakie przemierzała na Manhattanie, podawać długości ostrza, którym poderżnęła gardło ochroniarzowi, i liczby pociągnięć za spust, kiedy strzelała do Torresa; koloru zbryzganej krwią tapety w hotelowym pokoju. Nie chciała opisywać widoku mężczyzny padającego na podłogę; odgłosu płaczu dziecka, dobiegającego z sąsiedniego pokoju; kobiety, która stamtąd przybiegła i wypuściła z rąk buteleczkę ze smoczką, przez którą wyciekało na wykładzinę mleko; błagalnych słów „por favor”, jej uniesionych rąk, kręcącej się z niedowierzaniem głowy; warg proszących, błagających o to, by ją oszczędziła; wielkich, otwartych szeroko, czarnych oczu, najgłębszych studni najczarniejszej rozpacz, gdy Kate wycelowała do niej z glocka, tocząc ze sobą trwającą całą wieczność spór, a dziecko płakało i miało głos podobny do Jake’a i było pewnie w tym samym wieku co on; tak jak ta nieszczęsna kobieta, która miała pewnie tyle lat co Kate; była inną wersją Kate, mniej szczęśliwą wersją, która wcale nie zasługiwała na to, by umrzeć.

- Nie chcę wchodzić w szczegóły, Dexter.

Nie chciała mu powiedzieć o krwi wypływającej z ogromnej dziury na potylicy Torresa; o krwi, którą nasiąkał dywan. Przeklęte miejsce.

- Może kiedyś - dodała - ale nie dziś. Dobrze?

Kiwnął głową.

- Zdałam sobie sprawę - mówiła dalej - że stałam się łatwym celem, że łatwo jest mnie zastraszyć. Zmusić do robienia rzeczy, których robić nie mogłam. Wiedziałam, że muszę się wycofać. Wiedziałam, że muszę przestać wchodzić w interakcję z agentami.

Tamta młoda kobieta widziała twarz Kate. Wiedziała, że Kate zabiła Torresa i ochroniarza. Tamta młoda kobieta była świadkiem dwóch zabójstw popełnionych z zimną krwią i mogła posłać Kate do więzienia na resztę życia. Mogła odebrać Kate dziecko, męża. Życie samo...

- Więc kiedy go zabiłam, wróciłam do biura i poprosiłam o przeniesienie.

Kate celowała prosto w jej pierś, trzymając prawy nadgarstek lewą dłonią, bo prawa dłoń drżała, bo wpadła w panikę, bo zastanawiała się, czy zdoła to zrobić. I czy wystarczy jej sił, żeby tego nie zrobić.

A w sąsiednim pokoju zapłakało dziecko. Głośniej.

Potrzebowała dużo czasu, żeby się oczyścić po tylu latach i tylu kłamstwach.

Zdumiało ją to, że nie czuje się wcale inaczej, kiedy już wszystko, czy prawie wszystko, zostało ujawnione.

Oboje mieli prawo być na siebie wściekli. Ale sprawiedliwy gniew każdego z nich niwelował się, więc nie czuli złości. Na twarzy Dextera malowała się troska. Kate pomyślała, że martwi się o ich przyszłość. Może zastanawiał się, czy zdołają przetrwać - tacy kłamcy... razem... Czy przetrwa małżeństwo oparte na takim zakłamaniu. Wspólne życie, które było grą od tak dawna.

Kate nie wiedziała, że Dexter nie przyznał się do wszystkiego. I podobnie jak ona nie wyjawiał wszystkich kłamstw.

Otworzył usta, trzymał je otwarte przez chwilę, walcząc z czymś, co chciał powiedzieć. Potem dał za wygraną.

- Przepraszam, Kat, ja też cię przepraszam.

Później zdała sobie sprawę, że siedząc na tym parkingu, zastanawiał się, czy wyznać jej najskrytsze kłamstwo, odkryć przed nią najgłębsze pokłady oszustwa. Postanowił inaczej.

Podobnie jak ona.

Kate szła po omacku korytarzem, dotykając palcami wytłaczanej tapety. Zmierzała do światła sączącego się z sypialni chłopców. Kiedy wyjeżdżali z domu na obiad, zapomniała opuścić rolety. Teraz przez okno sypialni wpadało uliczne światło, nadające wszystkiemu srebrzystą barwę. Znalazła się w przyprószonym srebrem świetle maleńkich ubranek, maleńkich zabaweczek i małych niewinnych chłopców o gładkich czołach i nieprawdopodobnie szczupłych rączkach.

Podeszła do ich łóżek z młodzieżowymi materacami, niewiele większymi od tych z niemowlęcych łóżeczek, choć nazywanymi „chłopciami”. Pocałowała obu w głowy, w ich pachnące świeżo jedwabiste włosy. Każdy z nich spał w innej absurdalnej pozycji, z rozrzuconymi rękami i nogami, jakby zrzucono ich na te łóżka prosto z nieba. Pac.

Wyjrzała przez okno przed opuszczeniem rolet. Opiekunka wsiadała do samochodu, za kierownicą siedział Dexter, który miał zawieźć ją przez most do Gare na jej ciasną uliczkę pełną tanich azjatyckich restauracji. Luksemburg jest miejscem, w którym wielki stek *au poivre* jest tańszy od okropnego chińskiego żarcia.

Na końcu ulicy stała taksówka, taksówkarz wydmuchiwał papierosowy dym przez otwarte do połowy okno, dym wznosił się gwałtownie do góry i rozpląwał w chłodnym powietrzu.

Na drugim końcu ulicy dojrzała z trudem zarys postaci stojącej pod dębem zasadzonym w czworokącie wypełnionym ziemią, przykrytą czarnym żelazistym żwirkiem. Będzie tam stał aż do świtu albo będą się zmieniać na tej nocnej służbie wartowniczej, która miała na celu nie pozwolić Moore'om uciec. Będzie przestępował z nogi na nogę na bruku, opierał się o ostrą żeliwną balustradę, będzie drżał i kulił się z zimna, będą boleć go nogi, będzie zmęczony, głodny, zmarznięty i znudzony.

Ale na tym polega jego praca. A choć Kate nie miała wówczas o tym pojęcia, mężczyzna ten dokonał niedawno odkrycia, które wzmogło jego motywację, znajdującą się obecnie na poziomie, jaki spokojnie można nazwać obsesją. Miał zatem obsesję, która pomoże mu przetrwać długą zimną noc.

Znów siedziała na balkonie, kiedy wrócił Dexter. Wrzucił klucze do półmiska stojącego na stoliku w korytarzu, tam gdzie zawsze je wrzucał. I przeszedł w półmroku po

wypolerowanych kafelkach, takich samych jak w każdym luksemburskim domu. Wyszedł na balkon i zamknął za sobą drzwi.

Wiatr rozwiął deszczowe chmury. Niebo było przejrzyste, migotały na nim gwiazdy.

- Możesz mieć albo mnie... - zaczęła -...albo pieniądze. - Podjęła decyzję, nieodwołalną. Była pewna, że zna Dextera. A Dexter, jakiego znała, nie był człowiekiem, który marzy o kupowaniu jachtów i sportowych aut za skradzione krwawe pieniądze. Dexter, jakiego znała, chciał je zwyczajnie ukraść. - Nie możesz mieć i tego, i tego jednocześnie.

Siedzieli naprzeciw siebie w ciemności przez drugą noc z rzędu, a między pierwszym spotkaniem a drugim przebyli ogromny dystans.

Dexter podniósł głowę, spojrzął w gwiazdy.

- Nie musisz tego mówić.

- Wolałabym tego nie mówić. Ale muszę.

Zrozumiał. Oboje stali teraz na niepewnym gruncie. Oboje nie bardzo wiedzieli, na czym stoją.

- Chcę ciebie - powiedział, przenosząc wzrok na Kate. - To chyba oczywiste.

Wpatrywała się w niego. Zaszło między nimi coś, czego nie potrafiłaby nazwać: przyznanie, pogodzenie, wdzięczność; ogarnęła ich cała ta mieszanina uczuć, jaką odczuwa wobec siebie dwoje związanych ze sobą od dawna ludzi. Wyciągnął do niej rękę, ujął jej dłoń.

- Zostawimy te dwadzieścia pięć milionów na koncie - powiedziała - i nie tkniemy ich.

- Więc po co je zostawiać? Lepiej je rozdajmy. Wybudujmy szkołę w Wietnamie. Klinikę leczącą AIDS w Afryce. Cokolwiek.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że kiedykolwiek będzie w stanie dzielić się z innymi wielkimi sumami pieniędzy. Że będzie umiała obdarować kogoś anonimowo. Przemyślała na nowo cały plan, nowe możliwości, spojrziała na wszystko w innym świetle. Milczeli przez kilka chwil, pogrążeni w myślach.

- To chyba niemożliwe - powiedziała. - Musimy się zabezpieczyć. Musimy mieć zapas gotówki na wszelki wypadek. Na wypadek ucieczki. Musimy mieć tyle, by rozpocząć całkiem nowe życie. W każdej chwili.

- Dlaczego?

- Nie jestem do końca pewna, czy cię nie złapią. Zawsze są jakieś sposoby. Mogą znaleźć dowody, o których nie masz pojęcia. Jest ta dziewczyna w Londynie i to chorwackie źródło, kimkolwiek jest ten człowiek i gdziekolwiek mieszka. Są też ci, z którymi będą rozmawiać tamci ludzie, i zwierzać im się, na przykład w łóżku. I jest tych dwoje agentów FBI i ich raporty. O Interpolu już nie wspomnę.

Dexter skurczył się w sobie. Była pierwsza po północy.

- Przez lata będziemy musieli zachować czujność - ciągnęła Kate. - Może do końca życia. Musimy być gotowi zniknąć z walizką pieniędzy.

- Okay, ale walizka pieniędzy to ile? Milion? Dwa? A co z resztą?

- Musimy zostawić. Jak depozyt.

- Dlaczego?

- Bo może kiedyś będziemy musieli je oddać.

Obudziła się wystraszona i zlana potem.

Pocłapała ciemnym korytarzem, pocałowała synów w pachnące snem głowy, słuchała ich spokojnych miarowych oddechów.

Wyrzała przez okno. Bill wciąż stał na posterunku, pilnując, żeby nie uciekła.

Dexter spał głęboko, zapomniawszy o bożym świecie.

Tylko Kate nie spała, zmagając się z demonem, który regularnie ją nawiedzał, a szczególnie wtedy, kiedy chciała o nim zapomnieć.

Zjazd był stromy i wąski, ostry skręt o dziewięćdziesiąt stopni w samym środku, potem kolejny trudny zakręt po drugiej stronie bramy parkingu wprost na wąską uliczkę, zamkniętą po obu stronach kamiennymi murami, i znów w dół, i znów ostre skręty. Prowadziła samochód ostrożnie po wąskich ulicach w górę i w dół po mokrym od deszczu bruku, wciskając się w zakręty. Nastawiła radio na France Culture, poranne wiadomości, nowy polityczny skandal. Ciągle nie rozumiała mniej więcej połowy słów, ale z satysfakcją stwierdziła, że wie, o czym mówią. Chłopcy na tylnym siedzeniu dyskutowali zawzięcie o tym, co najbardziej lubią kroić lub siekać. Jake jabłka, a Ben - co zaskakujące - kiwi.

Przekroczyła już ten próg zmęczenia, za którym zaczyna się nierzeczywistość. Doskonale pamiętała ten stan z czasów, kiedy synowie przyszli na świat, kiedy budzili ją o czwartej rano do karmienia. A także z czasów misji, w których brała udział: najpierw włamanie o trzeciej rano, a potem nieprzewidziana ucieczka samolotem o piątej z zaimprovizowanego na leśnej polanie lotniska.

Prowadziła chłopców w porannej mgle do szkoły, wymieniając powitania i uśmiechy, i ukłony z niezliczonymi przyjaciółkami i znajomymi. Odbiła szybką pogawędkę z Claire. Amber przedstawiła jej nową Amerykankę, piegowatą dziewczynę z Seattle, której mąż

pracował dla Amazona w przerobionym starym browarze w Grund. Kate umówiła się z nimi na kawę przed odebraniem dzieci za sześć i pół godziny, które były codziennym okienkiem na robienie zakupów, sprzątanie, oglądanie filmów i romansowanie z instruktorami tenisa. Na prowadzenie takiego sekretnego życia, na jakie każdą z nich było stać. Lub też na oficjalne kawy z innymi ekspatkami.

W dół wzgórza, bardzo ostrożnie przez niebezpieczne tereny budów, przejazd kolejowy i znów do góry, a potem w dół przez rzekę Alzette w Clausen. Wzniesienie do Haute Ville, minąć zakręt do *palais* wielkiego księcia, minąć grubego aroganckiego strażnika w ciemnych okularach i znów na parking i własne na nim miejsce. Ćwir-ćwir.

Znów zaczęło padać, kiedy Kate szła przez centrum ulicami, które już знаła na pamięć - każde zagłębienie w drodze i każdy zakręt, każdą sklepową witrynę i każdego właściciela sklepu.

Przed kościołem St-Michel stała stara zakonnica.

- *Bonjour* - powitała Kate.

- *Bonjour*. - Kate przyjrzała się jej z bliska: okulary bez oprawek, ciemny habit pod grubym paltem. Zakonnica nie była wcale stara, wyglądała staro z daleka. Prawdopodobnie miała tyle lat co Kate.

Montée du Clausen. Wspaniałe widoki po obu stronach stromego wąskiego płaskowyzu; szeroka brązowoszara perspektywa; mokro. Deszcz gęstniał, zamieniając się w mroźną miarową ulewę. Kate owinęła się ciaśniej płaszczem.

Po przypominającym akwedukt moście nad wąwozem jechał pociąg. Na niemal zamrzniętej rzece poniżej kwakała przeraźliwie kaczka, co przypominało głośnie pretensje starego zrzędy. Przez ulicę przebiegło troje japońskich turystów w foliowych ponczo.

Kate wspięła się na taras widokowy na szczycie fortyfikacji, w ich głębi kryła się płatanina tuneli. Setki kilometrów tuneli ukrytych pod miastem, niektóre z nich były tak duże, że mogły pomieścić konie, meble albo zbrojny regiment. Podczas wojen mieszkańcy miasta chronili się i żyli w tych tunelach, unikając trwającej na górze rzezi.

Wyszła na platformę. Na tarasie stała inna kobieta odwrócona do niej tyłem, wpatrzona w wieżowce Unii Europejskiej w Kirchbergu. Stała na szczycie starej Europy i spoglądała na nową.

- Mylisz się - powiedziała Kate.

Kobieta - Julia - odwróciła się.

- Musicie dać nam spokój.

Julia pokręciła głową.

- Znalazłaś pieniądze, prawda?

- Niech cię szlag! - Kate starała się opanować. Nie była pewna, czy jej się uda. - To nieprawda!

Julia zmrużyła oczy przed padającym z boku deszczem.

- Kłamiesz.

Przez całą zawodową karierę Kate nigdy nie straciła opanowania podczas misji, podczas konfrontacji. Ale kiedy pojawiły się dzieci, ich obecność nadwątlila jej siły, pozbawiła cierpliwości, kazała jej regularnie wybuchać. Raz po raz czuła ucisk w piersi, który poprzedzał wybuch.

- I mam zamiar to udowodnić - dodała Julia, stawiając krok w jej stronę z pewnym siebie uśmiechem na absurdalnie umalowanych ustach.

Dłoń Kate uniosła się błyskawicznie i wymierzyła policzek Julii. Coś strzeliło w nadgarstku, kiedy uderzyła w mokrą skórę otwartą dłonią, mocno, tak mocno, że na policzku został czerwony ślad.

Julia przyłożyła rękę do bolącego policzka, spojrzała w oczy Kate, spojrzała nie bez satysfakcji. Uśmiechnęła się.

A potem rzuciła się na nią. Chwyciła ją za ramiona, za gardło i pchnęła, zapierając się nogami. Kate zachwiała się, zrobiła krok do tyłu ku schodom. Jeśli nie odzyska równowagi, zaraz z nich spadnie. Odwróciła się gwałtownie i oparła o niski kamienny murek oddzielający ją od dwudziestometrowej przepaści.

Rozejrzała się, z trzech stron otaczało ją niebezpieczne urwisko. Julia odcięła jej drogę ucieczki, stając u szczytu schodów. Japońscy turyści zniknęli. Na tarasie nie było nikogo, ani jednego turysty, ani jednego zwiedzającego, jak zazwyczaj w środku tygodnia w niedużym północnoeuropejskim mieście w połowie zimy. W mroźnej zimowej ulewie.

Zostały same.

Julia ruszyła ku niej z opuszczoną głową, zaciśniętymi ustami, piorunując ją wzrokiem. Jeszcze jeden krok. Kate została przyparta do muru.

Julia znajdowała się w odległości metra. Kate wyprostowała nagle rękę i zadała szybki cios. Julia uchyliła się i obróciła, wyciągnęła dłoń z kieszeni, a w niej coś srebrzystego, lśniącego, unoszącego się do góry.

Kate wyprowadziła kopnięcie, trafiając prawą stopą w dłoń Julii i broń, ale broń nie wypadła z dłoni, a Kate straciła równowagę na mokrych kamieniach. Upadła, najpierw siadając, a potem uderzając boleśnie głową o twardy, nierówny kamień.

Wszystko poczerniało.

Ale tylko na ułamek sekundy. Odzyskała wzrok, choć przed jej oczami migotały plamki, gwiazdy i wielokolorowe wiry. Czując, że sięga do kieszeni, kątem oka widziała odzyskującą równowagę Julię, odwracającą się ku niej, ku unoszącej się ręce Kate. Szybki ruch, trzask pękającego materiału.

Julia stała nad Kate, celując prosto w jej głowę. Matowa czarna beretta Kate była wycelowana prosto w pierś Julii.

Niżej, na ulicy, hałasował autobus. Nie widziały go, słyszały zgrzyt skrzyni biegów, gdy wjeżdżał na strome wzgórze Clausen.

Wpatrywały się w siebie ponad lufami broni. Obie były mokre od deszczu, woda spływała im po włosach, po twarzach, oczach. Kate zamrugła, Julia otarła czoło lewą ręką.

Nie przestawały patrzeć.

A potem nagle Julia opuściła broń. Wpatrywała się w Kate jeszcze przez sekundę i kiwnęła głową. Było to zaledwie skinienie, lekki ruch szyją, lekkie przesunięcie głowy w górę i w dół. A może jej szyja i głowa wcale się nie poruszyły? Może poruszyły się tylko oczy? Mrugnęły? Napięła policzki - w uśmiechu albo grymasie.

Przez następne półtora roku to enigmatyczne spojrzenie często nawiedzało Kate. Julia chciała jej coś zakomunikować w lejącym deszczu na tarasie widokowym. Ale Kate nie wiedziała co.

Julia odwróciła się, przeszła przez taras i zeszła schodami. Zniknęła. Odeszła. Oby na zawsze.

- Słyszałaś o Macleanach?

Kate stała przed szkołą, czekając, aż wybije trzecia. Na dworze było zimno, ale bezchmurnie i przejrzysto. Takie dni zdarzają się raz po raz o tej porze roku na amerykańskim północnym wschodzie. Tutaj była to absolutna rzadkość, odmiana po codziennej szarudze, *la grisaille*.

Pytanie to zadała osoba stojąca kilka metrów za plecami Kate. Kate nie chciała brać udziału w tej rozmowie, ale nadstawiła ucha.

- Nie, a co się stało?

- Wyjeżdżają. Może już wyjechali.

- Wracają do Ameryki? - Głos pytającej wydał się Kate znajomy. - Dlaczego?

Otworzyły się wielkie drzwi, dzieci zaczęły wychodzić z budynku, oślepienie ostrym słońcem.

- Nie wiem. Słyszałam tylko, że wyjeżdżają. Od Samantha. Wiesz, że pracuje w Luxembourg Relocation Experts? Właśnie dostała wiadomość, że zwolniło się mieszkanie Macleanów. Sprawdziła w agencji nieruchomości i okazało się, że Macleanowie wypowiedzieli umowę, bo wracają do Ameryki. Do pracy. Natychmiast.

Jake wyszedł na słońce, szukał wzrokiem mamy. Odnalazł ją, rozpromienił się jak zawsze, jak każdego dnia.

- Cześć, mamusiu!

Kate odwróciła lekko głowę i zerknęła na plotkujące kobiety. Skądś znała jedną z nich, tę, która miała niezbyt jasne informacje. Poczula na sobie jej wzrok, była przecież przyjaciółką Julii Maclean i miała być może swój udział w tym, co zmusiło Macleanów do wyjazdu.

Drugą kobietą, tą o znajomym głosie, była Zwykła Jane. Spojrzała w oczy Kate, a potem opuściła wzrok, niewątpliwie ze wstydem. Prawdopodobnie wydawało się jej, że chodzi o nią, o jej romans z Billem, któremu zrujnowała małżeństwo. Zawsze wydaje się nam, że stanowimy centrum wszechświata.

Zima dobiegała końca. Wybrali się na tydzień do Barcelony, gdzie można chodzić w kurtkach, zamiast w płaszczach, bo jest cieplej niż na północy kontynentu. Potem pojechali na weekend do Hamburga. I polecili na weekend do Wiednia. Obce miasta, obce języki.

Kate wybrała się sama na weekend do zimowego Paryża, w piątek rano wsiadła do TGV, po wygodnej dwugodzinnej podróży wyszła szybkim krokiem z Gare de l'Est i pomaszzerowała na lunch na zadaszony rynek, gdzie stały przykryte ceratą stoły, gdzie nad wietnamskimi straganami unosiły się kłęby pary, na patelniach smażyły się naleśniki, a na półmiskach piętrzyły architektoniczne budowle z wieprzowych nóżek. Potem odwiedziła wielkie domy towarowe przy Grands Boulevards. I Luwr.

W sobotę, późnym popołudniem, stała na Pont Neuf. Sekwana lśniła srebrzyście w zimowym świetle. Zawiązała ciasniej nowy szal wokół szyi. Wróciła na tętniący życiem lewy brzeg. Kawiarnie i restauracje były już pełne pijących i palących ludzi, zapadał zmrok, zapalano światła. Czekał na zmianę świateł na rogu Place St-Michel, zauważyła pierwsze pączki na gałęzi drzewa przy skrzyżowaniu.

Kiedy wyjechali z Luksemburga na letnie wakacje na południu Francji, przypuszczali, że wrócą do domu po pięciu tygodniach. Przypuszczali, że pošlą dzieci do tej samej szkoły do wyższych klas. Ale podczas tego miesiąca nad Morzem Śródziemnym zmienili plany. Czy naprawdę chcą mieszkać w Luksemburgu? Czy muszą?

Jedyne, czego potrzebowali - czego potrzebował Dexter - to pieczołowicie chronione konta numeryczne niezbędne do prowadzonych przez niego interesów. Dexter potrzebował także zarejestrowanej *société anonyme* prowadzącej interesy, którym nikt w Luksemburgu nie poświęca specjalnie uwagi: firmy inwestycyjnej. Musieli także płacić gdzieś podatki, najlepiej tam, gdzie nie sięga jurysdykcja FBI.

Ale czy koniecznie w Luksemburgu? Nie. Mogli to robić w Szwajcarii albo na Kajmanach, albo na Gibraltarze, czy w każdym innym szanującym prywatność schludnym małym państewku. Dexter odwiedził je wszystkie w miesiącach poprzedzających przeprowadzkę. Wybrał wielkie księstwo, wydało mu się bowiem najporządniejszym rajem podatkowym, w którym można zamieszkać. Luksemburg jest prawdziwym państwem, a nie jakąś zapomnianą wysepką na Morzu Irlandzkim czy na Karaibach, nie jest skałą na Półwyspie Iberyjskim. Ma dużą społeczność ekspatów, dobre szkoły, łatwy dostęp do kulturalnych bogactw zachodniej Europy.

A poza tym nikt w Ameryce nie wie, gdzie jest Luksemburg. Gdy w Ameryce mówi się o przeprowadzce do Zurychu albo na Kajmany, natychmiast rodzą się podejrzenia o ukrywanie dochodów, o pranie brudnych pieniędzy, o wszystko. Nikt nie ma pojęcia, co się dzieje w Luksemburgu.

Zatem Kate musiała przyznać, że Luksemburg był dobrym wyborem z punktu widzenia całej rodziny. Ale ich początki w Luksemburgu niejako zbecześciły to miejsce. Ich początki i Macleanowie.

Teraz, gdy powstała spółka Luxembourg S.A., gdy Dexter zarabiał legalnie dzięki inwestycjom całkiem sporo pieniędzy, gdy mieli prawo stałego pobytu w Europie i europejskie prawa jazdy, gdy płacili podatki w Luksemburgu... gdy mieli już najgorsze za sobą, czy musieli tam mieszkać?

Nie.

To chłopcy zawarli tę znajomość na plaży w St-Tropez. Rodzice przedstawili się sobie następnego dnia. A trzeciego dnia siedzieli już razem na tej samej plaży, poszli razem na

lunch, pili chłodne rosé i gawędzili ze sobą wesoło jak to amerykańscy ekspaci na wakacjach. Kate słuchała opowieści i anegdot o paryskim życiu, o szkole w St-Germain, o niespodziewanie tanich mieszkaniach...

A potem wsiedli rano do samolotu w Marsylii. Chłopcy byli czyści i uczesani, wpuścili koszule w spodnie. Prosto z lotniska pojechali taksówką do szkoły. Szybkie rozmowy z dziećmi i dłuższe z rodzicami. Uściski rąk ze szkolną urzędniczką, uśmiechy, zapewnienia, że szkoła jest wymarzonym miejscem dla chłopców.

Zjedli lunch w Flore. A potem wyprawa do miasta parnym letnim popołudniem. Trafili do *agence immobiliere*, której wystawa ozdobiona była lśniącymi fotografiami mieszkań. Przedstawili się, pokazano im kilka lokali.

Rano zapisali dzieci do szkoły i wynajęli mieszkanie.

W połowie sierpnia Luksemburg wydawał się pusty. Nie było w nim w każdym razie ekspatów. Przyjaciółki Kate wyjechały z rodzinami na wakacje - Amerykanki do Ameryki, a Europejki do wynajętych domków nad Bałtykiem w Szwecji, do białych willi w górach Hiszpanii czy do pastelowych zagród z basenem w Umbrii.

Szła przez stare miasto, widząc znajome twarze sklepikarzy i handlarzy na rynku na Place Guillaume, kelnerki podczas przerw na papierosa, pałacowych gwardzistów. Tych wszystkich ludzi, których nazwisk nie знаła, a którzy stanowili tło jej życia. Czowała, że powinna się pożegnać z każdym z nich.

Żałowała, że nie ma z nią przyjaciółek. Chciałaby usiąść teraz w kawiarni z Claire, Cristiną czy Sophią, wypić ostatnią kawę, uściskać je po raz ostatni. Ale tak było lepiej. Nienawidziła pożegnań.

Wróciła do mieszkania z kanapką z szynką w papierowej torbie i zajęła się od nowa sortowaniem zabawek synów, decydując, które z nich wyrzucić, które oddać, a które zatrzymać. Poszli z Dexterem na piracki plac zabaw - po raz ostatni.

Druga przeprowadzka będzie łatwiejsza. To, co za pierwszym razem było bardzo trudne, teraz stanie się prostsze, a to, co było zabawne, będzie bardziej zabawne. Zupełnie jak przy drugim dziecku, po narodzinach Bena; czuła się wtedy mniej onieśmielona, mniej oszołomiona, a wszystko było prostsze, gdy mogła korzystać z wcześniejszego doświadczenia.

Musieli zachować jakiś adres w Luksemburgu, z którego będą płacić podatki, gdzie będą rzekomo mieszkać. Idealnie nadawała się do tego mała farma w Ardenach,

wynajmowana za tysiąc euro miesięcznie. W kącie salonu stały kartony, które pojedą na farmę. Zapakowała do nich niedrogie lampy, stare naczynia, niedobrane drobiazgi z domu. A także kasetkę, w której ukryją milion w gotówce.

Jeśli nie liczyć tego miliona, pieniądze Pułkownika pozostały nietknięte. Być może nigdy ich nie tkną, tych dwudziestu czterech milionów.

Wyjrzała przez okno na wspaniałą panoramę, szeroką połąć Europy, w której od niedawna mieszkała. Do oczu napłynęły jej łzy. Czuła smutek, a nawet rozpacz. Jej życie toczyło się bezlitośnie dalej, zmierzając do nieuchronnego końca.

Dziś, 19:32

Wspomnienia się zacierają, nabierają nieokreślonych barw na krawędziach, mętnieją ku środkowi, podkopując pewność Kate, że dotyczą tego, co rzeczywiście się wydarzyło. Wszystko miałyby o wiele więcej sensu, gdyby to sobie zwyczajnie wyobraziła, gdyby wyobraziła sobie całe swoje życie. „Teraz” byłoby zwykłym „teraz”, powiązanim ze zwyczajną przeszłością.

Minęło już półtora roku, odkąd stała z Julią w mroźnym deszczu na tarasie widokowym zawieszonym nad Montée du Clausen. Obie były uzbrojone i wściekle, obie nie wiedziały, czy ta druga nie zdecyduje się strzelić.

Teraz w paryskiej kawiarni spoglądają sobie nieśmiało w oczy jak kochankowie po pierwszej nocy.

Ciało Julii pochyła się ku Billowi, przyciągane jakimś magnetyzmem. Ich sposób bycia, ich stosunek do siebie uległ jakiejś zmianie. Są bardziej naturalni niż poprzednim razem w Luksemburgu. Jest między nimi coś więcej. A może mniej.

- A więc - zaczyna Julia - co zamierzacie? - Kieruje to pytanie do Kate. Mężczyźni skończyli już męskie rozmowy o handlu bronią i ćwiartowaniu ludzi.

Kate zerka na Dextera. Nie spojrzał na nią, niczego jej nie podpowie. Zachowuje zupełny spokój, jakby nic mu nie groziło podczas tej rozmowy, jakby nic złego nie mogło się wydarzyć, jakby sprawy nie mogły wymknąć się spod kontroli. Co upewnia Kate w przekonaniu, że nie pomyliła się co do prawdziwego przebiegu wypadków między nimi. Upewnia ją po raz kolejny, dając jej stuprocentową gwarancję.

Nie rozumie tylko, jak ma rozmawiać z tymi ludźmi, jeśli oni wszyscy są normalni, a to, w czym bierze udział, jest zwykłym spotkaniem towarzyskim prawdziwych przyjaciół, a może nawet sporem między wrogami. Czego spodziewa się Julia? Uczciwości? Czy ta kobieta liczy, że będą prowadzić przyjacielską rozmowę?

- Dlaczego Paryż? - pyta Julia. Ma nadzieję, że uzyska odpowiedź na bardziej konkretne pytanie.

- Dlaczego nie? - odpowiada oschle Kate.

Bill podnosi rękę, wskazuje okolicę.

- Ze względu na to? - pyta. - To jest, kurwa, straszne.

W oczach Julii pojawia się prośba.

- Nie wygłupiaj się, Kate. Nie proszę o wiele, nie musimy być... przyjaciółmi...

Kate opuszcza wzrok.

- Ale nie musimy być także wrogami, Kate. Nie jesteśmy wrogami. Nie jesteśmy tu po to... To nie jest... - Milknie, odwraca głowę.

Kate wpatruje się w Julię: złożone ręce, łokcie na stole, pochyla się do przodu, ma uniesione brwi, przekrzywioną lekko głowę, chce usłyszeć i poznać jakikolwiek bezsensowny szczególnie jakiegokolwiek idiotycznej historii. Cokolwiek. W tej pozycji gorliwej słuchaczki Kate rozpoznaje coś dziwnego... Przyjaźń...

- Nie jest... - powtarza Kate, która nagle czuje dojmujący smutek. - Co chcesz ode mnie usłyszeć, Julio?

- Nie wiem, Kate. Obojętne. Tęsknisz za Luksemburgiem?

Kate wzrusza ramionami.

- Bo ja tak - mówi Julia. - Brakuje mi przyjaciółek. Brakuje mi ciebie, Kate.

Kate musi odwrócić głowę, bo czuje napływające do oczu łzy.

- Moje panie! - odzywa się Bill, unosząc kieliszek. - Nie bądźcie sentymentalne. Za Luksemburg!

Kate przygląda się unoszącej kieliszek Julii, która upija mały łyk wina i odstawia kieliszek na stół.

- Za Luksemburg.

- Wybaczcie obcesowość - zaczyna Kate, stawiając kolejny krok, którego nikt nie chciał postawić - ale po co tu przyjechaliście?

Julia i Bill wymieniają szybkie spojrzenia.

- Przyjechaliśmy... - odpowiada Julia -...żeby powiedzieć wam... powiedzieć Dexterowi... o Pułkowniku.

- Aha. - Kate kiwa głową. - Rozumiem.

Znów zapada cisza.

- To znaczy, nie rozumiem - ciągnie Kate - dlaczego musieliście zrobić to osobiście? W gruncie rzeczy nie rozumiem, dlaczego w ogóle musieliście to zrobić? Dexter jest przecież osobą podejrzewaną... oskarżaną... o poważne przestępstwo, którego waszym zdaniem się dopuścił.

- Ale byliśmy też przyjaciółmi - odpowiada Julia.

Kate pochyla się do przodu.

- Doprawdy?

Wpatrują się w siebie, jedna w drugą.

- Tak mi się wydawało. Nadal tak myślę.

- Ale... - Kate stara się, by na jej twarzy odmalowało się zdumienie, poczucie zdrady.

- Robiłam... robiliśmy to, co do nas należy.

Kate przyjmuje z ulgą to wyznanie. Przynajmniej w tej sprawie Julia jest szczerą. Choć nie wspomniała o pracy, bo praca była ostatnią rzeczą, jaką się zajmowała.

- Jest jeszcze coś - wtrąca Bill. - Chcieliśmy wam powiedzieć, że ponieważ Pułkownik nie żyje, śledztwo zostało zamknięte.

- Całkowicie? - pyta Dexter.

Przez chwilę siedzą nieruchomo w tętniącym życiem paryskim zmroku. Bill dopija resztkę wina, nalewa sobie następny kieliszek.

- Na amen. I na zawsze.

Policjant w granatowym mundurze opiera się o samochód, flirtując z dziewczyną siedzącą na skuterze. Pali papierosa. Wzrok Kate przyciąga pistolet wiszący niedbale na biodrze gliniarza. Łatwo byłoby go obezwładnić, odebrać mu broń, kiedy zajmuje się rzeczami dla Francuzów znacznie ważniejszymi od pracy.

Odwraca głowę na powrót ku towarzystwu. Czy ci ludzie kiedykolwiek dadzą jej spokój? Czy ona kiedykolwiek da spokój każdemu z nich?

Przez ostatni rok była szczerą z Dexterem. Była, choć nie do końca. Sądziła, że Dexter jest równie szczerzy wobec niej. Ale tego popołudnia straciła złudzenia. Teraz nie może uwierzyć, że potrzebowała aż tyle czasu, żeby zajrzeć do tego tableau. Teraz wie, że było w tym wszystkim, w tym przeoczeniu, ogromne pragnienie wyparcia.

Znalazła tylko małą fotografię, słabą odbitkę o wyblakłych kolorach. Trzeci rząd od góry strony, druga od prawej: zwyczajnie ładna dziewczyna z szerokim uśmiechem na pomalowanych bladą różową szminką ustach, z lekko utapirowanymi włosami.

- A zatem - zaczyna Kate - co macie zamiar zrobić z waszą połową?

Ta sama zwyczajnie ładna kobieta siedzi teraz po drugiej stronie stołu, unosi brwi, przestaje się uśmiechać, udaje zaskoczenie.

- Naszą połową czego?

- Waszą połową pieniędzy.

Ani Julia, ani Bill nie reagują - nie zmieniają wyrazu twarzy, nie wykonują niespokojnych ruchów, nie mówią... nic. To wyćwiczony brak reakcji zawodowych kłamców. Ale są w tym nazbyt przekonujący. Dobre aktorstwo nie potrzebuje przekonywania o jego zaletach, więc nie są aż tak dobrymi aktorami, jak przypuszczała, nie są nawet w połowie tak dobrzy jak ona. Może to prawda, co mówiono w CIA od pół wieku: agenci FBI nie są w połowie tak dobrzy jak szpiedzy z CIA. Możliwe też, że tych dwoje wyszło - jak Kate - z wprawy.

- Jakich pieniędzy? - pyta Julia.

Kate uśmiecha się protekcyjnie.

- Jeszcze nie zdecydowaliście? - Spogląda na tych troje siedzących z nią przy stole, na ochronne maski na ich twarzach, ukrywające przeróżne kłamstwa, jakimi się nawzajem karmili. Kłamstwa, w których chcą trwać. Mając nadzieję, że kłamstwa te przeprowadzą ich przez resztę w pełni satysfakcjonującego życia. Mimo że karmili nimi najważniejsze osoby w swych oddzielnych światach.

Kate nie spuszcza wzroku z głównej winowajczyni, Julii. Kiedy tego popołudnia zdała sobie sprawę, że Dexter i Julia - w rzeczywistości Susan Pognowski - znali się od czasu studiów, pierwsze, co przyszło jej do głowy, to to, że uknuli wszystko jeszcze w tamtych czasach albo zaraz po. Tyle że ten scenariusz nie pasował do Dextera, jej Dextera - takiego, jakiego znała. Dexter nie był takim typem. Nie umiał manipulować. Należał do tych, którymi się manipuluje.

Doszła więc do wniosku, że pomysłodawczynią wszystkiego była Julia, która wszystkich nabrała. Z Dexterem nie łączyło jej nic, nic erotycznego czy romantycznego. Tylko niezwykła przebiegłość i oszałamiająca umiejętność planowania i przewidywania.

Patrząc na to zdjęcie w tableau, czuła się zraniona, wściekła, zdradzona, wprowadzona w błąd. Spacerując po zatłoczonych ulicach Paryża, rozwiązała tę zagadkę, ułożyła puzzle kawałek po kawałku. A kiedy ujrzała pełen obraz, przestała wściekać się na Dextera, zdumiała ją natomiast Julia. Stojąc na rue St-Benoit na eleganckim zakręcie przy Le Petit Zinc, wybaczyła Dexterowi. Po przejściu kolejnej przecznicy zmieniła wszystkie życiowe plany. A kiedy po kilku minutach weszła do mieszkania, była gotowa do podjęcia stosownych działań.

Rozumiała, dlaczego Dexter musiał zachować akurat tę sprawę w tajemnicy. Przed nią. Bo gdyby ją wyjawiał, musiałby przyznać, że wie coś jeszcze: wie, że Kate pracowała dla

CIA, i nigdy jej o tym nie powiedział. Na to pozwolić sobie nie mógł. Nie mógł znieść myśli, że musiałby odkryć przed żoną, jak bardzo ją okłamywał.

Dexter nie wie, że mu wybaczone. Wie tylko, że dokopała się do ostatniego kłamstwa i odkryła prawdę. Niepokoi się, bardzo się niepokoi. Nie może wysiedzieć na miejscu. Kate przypomina sobie, jak przypinała synów szelkami do krzesełek, żeby jej nie uciekli podczas posiłku. Wyobraża sobie, że robi to samo z Dexterem, że przywiązuje go do trzcinyowego krzesła i zapina sprzączki. Ten absurdalny obraz wywołuje lekki uśmiech na jej twarzy.

Uśmiech ten dodaje Julii odwagi.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

Co każe Kate odpowiedzieć:

- Mówię o twojej połowie pięćdziesięciu milionów euro. - A na dokładkę dodaje: - Susan...

Bill krztusi się winem.

- Poprawcie mnie, proszę - mówi dalej - jeśli coś poplączę. Okay?

Bill, Julia i Dexter wymieniają się spojrzeniami. Troje komików. Kiwiają jednocześnie głowami.

- Nikt z siedzących przy tym stole nie wychował się w Illinois. Bill, nie studiowałeś na University of Chicago. A ty, Julio, nie skończyłaś żadnego wydziału University of Illinois. Stworzyłaś tę chicagowską przeszłość, wiedząc, że nigdy nie byłam w tym mieście i nie miałam tam znajomych. Nawet znajomych znajomych, którzy mogliby wypytać znajomych. Bill, wybac, ale jesteś w tej chwili mało ważny. Tych dwoje... - wskazuje na Dextera i Julię - ...mogło poznać się w dwojakiego rodzaju okolicznościach: albo mieszkali w jednym akademiku, albo chodzili razem na zajęcia. Domyślam się, że zawarli znajomość w pierwszym semestrze pierwszego roku studiów.

Przez chwilę ani Dexter, ani Julia nie reagują, oboje idą w zaparte, oboje nie przyjmują do wiadomości, że wszystko się wydało.

- To był akademik - mówi wreszcie Julia, która jako pierwsza dochodzi do wniosku, że nie da się uniknąć prawdy, przynajmniej w części. - Na pierwszym roku.

- Ale wydarzyło się coś, co zbliżyło was do siebie. Co?

- W drugim semestrze chodziliśmy razem na zajęcia - odpowiada posłusznie. - Z francuskiego.

- Więc zaprzyjaźniliście się na pierwszym roku, kiedy łatwo można się zaprzyjaźnić z

kimkolwiek. Tak jak przydarza się to ekspatom.

Kate przypomina sobie błyskawicznie dzień, w którym poznała Julię. Wieczorem, myjąc z Dexterem zęby w łazience, wspomniała, że ich nowe życie wygląda jak pierwszy rok studiów i że poznała kobietę z Chicago. Dexter zażartował, że nie może się z nią zaprzyjaźnić, żywiąc mniej lub bardziej udawaną antypatię do Chicago. Był taki spokojny. Nigdy nie przypuszczała, że jej mąż jest zdolny do takiego oszustwa, że ma aż tak duży talent. Podziwia Dextera mimo wszystko.

- Ale później związaście się z odmiennymi grupami ludzi - ciągnie Kate. - Przed absolutorium nie byliście już w zasadzie przyjaciółmi. Nikt z college'u nie uznałby was za przyjaciół, nawet gdyby go pytano, bo nikt nie pamiętał, że kiedyś byliście blisko. Bo w gruncie rzeczy tylko wy wiedzieliście o tym, co was łączy, prawda? Nie pojawialiście się razem publicznie. Wasza przyjaźń była waszą prywatną sprawą.

Bez reakcji, bez sprostowań.

- Minęło piętnaście lat. Ty... - wskazuje brodą Julię -...pracowałeś w FBI. Wspecjalizowałaś się w ściganiu cyberprzestępców. W sieci dokonana się eksplozja bankowości, przez zaledwie kilka lat obroty w Internecie wzrosły od zera do miliardów dolarów, a przez kolejne pięć lat w sieci znalazły się wszystkie światowe pieniądze transferowane elektronicznie z banku do banku. Stałaś się fachowcem w tej dziedzinie, jednym z lepszych specjalistów w FBI. Czy tak?

- Tak.

Kate patrzy na Dextera.

- Ty pracowałeś w banku. I również byłeś czołowym specjalistą w tej samej dziedzinie. I wtedy któregoś dnia całkiem niespodziewanie spotkałeś starą przyjaciółkę, była przyjaciółką. Gdzie to się stało?

- W księgarni - odpowiada cicho Dexter.

- Jakże uroczo! Więc w tej księgarni stara przyjaciółka zaprosiła cię na drinka, prawda? Oczywiście zgodziłeś się, chciałeś się dowiedzieć, co słyhać. Spotkaliście się w jakimś barze przy M Street, zaczęliście rozmowę, a potem, ni z tego, ni z owego, Julia przedstawiła ci swój plan. Znalazła sposób, by wasze obopólne fachowe doświadczenie zająłoby się, przynosząc kolosalny zysk. Czy tak?

- Najogólniej.

- Jej plan polegał na tym, że opracujecie metodę przejęcia transakcji internetowej, ty dokonasz kradzieży, a ona postara się o to, żeby cię nie złapano. Co nie było trudne, gdyż to ona miała cię ścigać. Łup podzieliliście na pół. Musieliście tańczyć wokół siebie. Ty, Julio,

musiałaś monitorować Dextera. Nas! Przekonałaś się, że powinęła mi się noga. W pracy. Że nie mamy pieniędzy. Że Dexter, w przeciwieństwie do innych komputerowych maniaków ze swojego pokolenia, nigdy nie dorobił się fortuny. Że był trochę zgorzkniały z tego powodu, a co za tym idzie, miał odpowiednią motywację.

Kate spogląda na tę diabolicę siedzącą po drugiej stronie stołu pomiędzy dwoma stosunkowo nieudolnymi partnerami.

- Wiedziałaś też o jego zadawnionej urazie, o fantazjowaniu o zemście na kimś, kto zamordował jego brata.

Ciągle nie jest pewna, czy powinna przyznać się, że wie o największym kłamstwie. Tak, nie, nie, tak...

Otwiera usta, by rzucić to oskarżenie. Jedno słowo, które zmieni wszystko dla Dextera. Znów...

- Rzekomo.

Dziś, 20:08

Dexter jest najwyraźniej zaskoczony. Obaj mężczyźni marszczą brwi.

- Co to znaczy „rzekomo”? - pyta Dexter.

Julia zaciska szczęki, przymyka powieki. Wie, że Kate zna prawdę. I wie, że Kate zaraz się nią podzieli.

- Kiedy rozważałeś propozycję Julii... - Kate zwraca się do męża -...kiedy się nad nią zastanawiałeś z właściwą sobie pilnością, pojawiły się nowe wiadomości o Pułkowniku. Coś, co wskazywało, jak złym jest człowiekiem, czy tak?

Dexter nie kręci ani nie kiwa głową, nie mruga, nie otwiera ust. Wpatruje się w jakiś punkt i myśli, chce dogonić myślami żonę i wyciągnąć dla siebie wnioski, zanim żona głośno je wypowie, by uniknąć ostatecznego poniżenia.

Kate uśmiecha się do niego ironicznie, nieco triumfalnie. To nie jest fair oczywiście. Choć mu wybaczyła, cieszy ją jego zażenowanie.

- Oczywiście że tak, kochanie. - Ma prawo do małej zemsty, do udowodnienia mu, że został oszukany przez osobę, której ufał. To będzie bolesne, ale nie potrwa długo. Inaczej niż samo oszustwo, które ciągnęło się przez dekadę.

Kate czuje, jak zgrzytają przekładnie Dextera, czuje niemal unoszący się dym. Zastanawia się nad anonimowym chorwackim źródłem, nad podstawionym mu dobrze opłacanym aktorem w zaplanowanej kompleksowo grze. Spogląda na autorkę scenariusza, Julię.

W końcu rozumie. I wreszcie otwiera usta.

- To ty byłaś moim źródłem?

Julia patrzy na Dextera bez cienia poczucia winy.

- Tak.

Oczy Dextera wychodzą prawie z orbit. Stara się przetrwać trudną do ogarnięcia masę kłamstw, sięgając pamięcią do samych początków tej historii.

- Mówiłem ci o śmierci Daniela? - pyta. - W college'u?

- Tak.

- I kiedy zaczęłaś pracować w FBI, zajęłaś się tą sprawą? Dowiedziałaś się, że za morderstwem Daniela stoi Pułkownik?

Kate widzi infantylne zdumienie na twarzy Dextera. Jest dorosłym mężczyzną, który jak dziecko przekonuje się, że rzeczywistość jest inna od wyobrażeń. Ma nadzieję, że jeśli zacznie krzyczeć i płakać, świat mu ustąpi i będzie taki, jak on chce. Jak dawniej.

Tak wyglądają dzieci, kiedy dowiadują się prawdy o Świętym Mikołaju, o piratach i dinozaurach, o podróżach międzyplanetarnych. „Gdybyśmy mieli długie włosy jak ptaki...”, tłumaczył jej tego ranka Ben, „to moglibyśmy fruwać, prawda, mamusiu?”

Julia nie odpowiada, może nie chce być tą, która zburzy resztki naiwności Dextera.

Dexter zagląda w głąb kieliszka. Kate wie, że przekopuje się przez warstwy kłamstw: jeśli nigdy nie było tajnego chorwackiego źródła, nigdy nie było też urzędnika Departamentu Stanu, który dał mu namiary na to źródło, co oznacza...

- Pułkownik Petrović nie miał nic wspólnego ze śmiercią Daniela, prawda?

Kate wyciąga rękę i chwyta dłoń męża, ścisza ją.

- Uau - mówi Dexter. Ma wysoko uniesione brwi. Uwalnia dłoń z ręki Kate, odchyła się od stołu, zapada w siebie, szukając odrobiny prywatności w tym upokorzeniu. - Uau.

- Przykro mi - mówi Julia. - Petrović był złym, bardzo złym człowiekiem...

Dexter unosi dłoń.

- Dojdźmy do sedna! - Piorunuje Julię wzrokiem. - Sfabrykowałaś telefon z Departamentu Stanu i kazałaś mi wierzyć w fikcję, że to Pułkownik zabił mojego brata. Sfabrykowałaś raport o śmierci Daniela i wynajęłaś kogoś, żeby przekazał mi ten raport i skontaktował mnie ze sfabrykowanym chorwackim uchodźcą, który przez... jak długo to trwało... dziesięć lat... karmił mnie sfabrykowanymi informacjami o pułkowniku Petroviciu?

- Trafiłeś w sedno - przyznaje Julia.

Zapada cisza.

- Niko po chorwacku znaczy „nikt” - dodaje.

Dexter wypuszcza głośno powietrze.

- Ale chcę ci powiedzieć - kontynuuje - że większość informacji o Pułkowniku nie była daleka od prawdy.

- Z wyjątkiem tych, które dotyczyły Daniela. I mnie.

Kate zerka na Billa, który milczy. Domyśla się, że i on nie wiedział o tym aspekcie historii. Ale nie dba o to: jego udział w tym przedstawieniu ma same dobre strony, a Bill ma własne kłamstwa, z których będzie się kiedyś rozliczał. Które tymczasem musi chronić.

- Karmiłaś mnie wiadomościami od tak zwanego Niko - ciągnie Dexter - żebym

połknął haczyk i wszedł w tę historię z handlarzem bronią, który rzekomo zamordował mojego brata. Żeby był zmotywowany, ba, zmuszony pomóc ci ukraść mu pieniądze, czy tak?

- Tak.

- Wymyśliłaś ten plan kilkanaście lat temu?

- Tak.

- Nie pojmuję... - mówi Dexter, a na jego twarzy maluje się bezgraniczne zdumienie. - Co byś zrobiła, gdyby Pułkownik w międzyczasie zginął? Albo zbankrutował? Albo gdybym nie poszedł na współpracę? Poświęciłaś na to wszystko tyle czasu i wysiłku!

- Przypuszczasz - mówi Julia - że jesteś jedyny na świecie?

- *Monsieur!* - Julia przywołuje kelnera. - *Une carafe d'eau, s'il vous plaît.*

Kate zauważa, że francuski Julii znacznie się poprawił. Nie musi już udawać, że mówi źle po francusku.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pyta Dexter.

- Chce mi się pić - rzuca Julia do towarzystwa, czekając, aż znów zostaną sami. Kelner nalewa wodę do dwóch kieliszków stojących przed paniami, Julia pije długo, opróżnia kieliszek. Nalewa sobie ponownie, wiedząc, że wszyscy wstrzymują oddech. Przez jej oblicze przebiega dziwny cień. W końcu mówi: - Nie byłeś jedyną opcją.

- Nie rozumiem.

- Ty i Pułkownik nie byliście jedynymi antagonistami, jakich zestawiałam. - Teraz Kate usiłuje doścignąć ją myślami, ale Julia nie pozwala na to, kontynuując opowieść: - Nie byłeś jedyną osobą na świecie, Dexter, która mogła pomóc mi zrealizować plan. W gruncie rzeczy okazałeś się... wybacz, że to mówię... najbardziej nieporadny. Jestem szczerze zdziwiona, że akurat tobie się udało.

- Że co?

- Poświęciłam lata... całą karierę... na wyszukiwanie najsprytniejszych, najbardziej pomysłowych specjalistów w dziedzinie sieciowych zabezpieczeń. Spotkałam się z każdym z nich. Poznałam ich najgłębsze, najmroczniejsze sekrety. Największe obawy i najszybsze pragnienia. Zadawnione żale i zżerające ich urazy. Miejsca, w które można trafić, by dali się zmanipulować.

- Jak to zrobiłaś?

- To dosyć łatwe i zupełnie usprawiedliwione, kiedy pracuje się w FBI i rozmawia z

kandydatami do biura lub prowadzi śledztwo.

Z każdą chwilą Kate coraz bardziej podziwiała Julię.

- W końcu wyselekcjonowałam pół tuzina hakerów.

- Jeśli uważasz, że jestem najbardziej nieporadny, dlaczego zdecydowałaś się na mnie?

- Nie zdecydowałam się. Przedstawiłam plan wszystkim. Ty akurat zrealizowałeś go jako pierwszy.

- Byłem pierwszy? - Dexter chce ocalić resztki godności kilka chwil po miażdżącej obeldze.

- Tak. Tylko że w międzyczasie pojawił się pewien problem. - Julia zerka na Kate. - Dowiedziałam się, kim jesteś, Kate, kiedy było już za późno. Kiedy koła poszły w ruch. Odrobiłam lekcje, jeśli chodzi o Dextera, ale nie zadałam sobie trudu, by zagłębiać się w przeszłość wszystkich żon, matek i kochanek kandydatów. Zrobiłam to dopiero wtedy, kiedy Dexter przyszedł do mnie z gotowymi procedurami.

- I?

- I głęboko zastanawiałam się nad spuszczeniem Dextera ze schodów. Razem z jego procedurami. Szukałam powodu, żeby z nim nie współpracować, przekazać pomysł komuś innemu do implementacji. Musiałam także rozważyć ewentualność, że Dexter mnie wrabia, że szykuje prowokację. Ale wtedy odkryłam, że Dexter nic o tobie nie wie...

Kate nie chce o tym słuchać z jej ust, w dodatku publicznie. Sama chciała upokorzyć dwulicowego męża, ale nie życzy sobie, żeby Julia robiła to samo z nią. I z nim. Dexter już dosyć wycierpiał.

- Dexter był bez skazy - ciągnie Julia - Całe jego życie dało się zweryfikować, było jawne. Nie był niczym szpiegiem, niczym kretem, kapusiem. Jest tym, za kogo się podaje. Ale nie miał pojęcia, kim jest jego żona.

- I co zrobiłaś?

- Powiedziałam mu.

- Dlaczego?

- Nie miałam wyboru. Dexter przyszedł do mnie z gotowym rozwiązaniem. Był tym, który potrafił ukraść pieniądze. Dotarcie do tego punktu trwało bardzo długo, a nie miałam pewności, czy pozostali kandydaci dadzą sobie radę. Musiałam przystać na plan Dextera. Gdybym tego nie zrobiła, musiałabym wydobyć od niego procedury, a potem go zabić.

Dexter wybuchł krótkim śmiechem. Ale pojmuje, że to nie był żart. Marszczy czoło.

- Ale zabicie męża analityczki z CIA nie było dobrym pomysłem. Musiałam więc

zadbać o to, by Dexter zachowywał ostrożność przy tobie, Kate. Zadbałam o to, żeby zdwoił wysiłki. Żeby nic nas nigdy nie łączyło. Musiał wypełniać wszystkie polecenia co do joty. Musiał wiedzieć, że bez względu na to, jak poważnie traktuje to, co robimy, wszystko jest znacznie poważniejsze.

- Skąd wiesz, że ci uwierzył?

- Hej, siedzimy przy jednym stole!

- Dlaczego jej uwierzyłeś? - pyta Kate.

- Bo nie miała powodu, żeby kłamać.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Julia prychnęła.

- Przestańcie! Jak miał powiedzieć agentce CIA, że ma zamiar włamać się do banku i ukraść fortunę?

- Słusznie. I co dalej?

- Przeprowadziliśmy... to znaczy ja przeprowadziłam... całą serię transakcji, które można było powiązać z Dexterem. Dexter był jedyną osobą, która na nich korzystała. Przez długi czas. Stał się winny poważnych przestępstw i powiązanych z nimi wykroczeń: fałszowania danych, włamań, defraudacji, wreszcie kradzieży z konta American Health. Nawiasem mówiąc, kradzież ta zapewniła nam operacyjny budżet, a także pieniądze na utrzymanie waszej rodziny. To było pierwsze przestępstwo, na które oficjalnie wpadłam, stosunkowo łatwo, jak możesz się domyślić, i zameldowałam o nim przełożonym, którzy przydzielili mnie do zbadania tej sprawy. Tych niedających się powstrzymać przejęć elektronicznych transferów. Przełożeni byli zachwyceni, gdyż bardzo szybko odkryłam podejrzanego, który jak przewidywałam, zechce uciec z kraju. Okazało się, że miałam rację. Nikt nie mógł mi już odebrać tej sprawy. Miałam nosa, przewidując jej dalszy rozwój.

- Wygląda na to, że wszystko zależało od ciebie i od tego, czy będziesz prowadziła śledztwo - mówi Kate. - Dlaczego?

- Bo Dextera łatwo było namierzyć.

- Łatwo mnie było namierzyć?

- Oczywiście. Jest mnóstwo dowodów, które cię obciążają, Dexter. Są dowody, nawet fotograficzne, że to ty otwierałaś i zamykałaś konta, przez które przechodziły skradzione pieniądze.

Dexter opuszcza głowę.

- Są zdjęcia, na których jesteś z dziewczyną wynajętą do prostytutki, oszustwa i kradzieży. Jest wreszcie sama dziewczyna i jej bardzo obciążające cię zeznania,

potwierdzające, że zamierzałeś zrobić to, co zrobiłeś.

Dexter kręci głową.

- To przekonujące dowody. Na popełnienie poważnych przestępstw.

- Nie rozumiem - mówi.

Ale Kate rozumie.

- To polisa ubezpieczeniowa, głuptasie. - Nieszczęsny Dexter.

- Czy to prawda? - Jest oszołomiony dwulicowością Julii.

- Musiałam mieć pewność, że dotrzymasz umowy - przyznaje Julia. - Musiałam mieć coś, co zmusi cię do posłuszeństwa. Musiałam także zadbać o swoją pozycję w biurze, żeby nikt nie odkrył tego, co można odkryć, bo sama to sfingowałam.

Kate ożywia się pod koniec tej krótkiej przemowy, gdyż czekała na tego rodzaju wyznanie.

- Okay, stanęło na mnie... - mówi, licząc na kolejny gwóźdź do trumny, który jest częścią jej własnej umowy.

- Tak, stanęło na tobie - odpowiada Julia. - Byłaś jedyną przeszkodą. Musiałam mieć pewność, że żona z CIA nie doniesie na męża. Choć nie posądzałam cię o to. Nie wyobrażam sobie, by jakakolwiek kobieta zrujnowała sobie życie tylko dlatego, że jej mąż okazał się złodziejem. W dodatku Robin Hoodem, który ukradł pieniądze najgorszemu bydlakowi na świecie, mordercy swego brata. Mówimy o sprawiedliwym przestępstwie. No a ten pierwszy milion od bezlitosnych prawników pozbawionej serca firmy ubezpieczeniowej wyrównywał dawne rachunki. Ale tak czy inaczej, musiałam mieć pewność, prawda? Musiałam sprawdzić żonę, wciągnąć ją do środka, uświadomić jej, że mąż jest winny. Że ściga go FBI, i to nie bez przyczyny. Musiałam pozwolić jej odkryć prawdę i przekonać się, co z tym zrobi.

- Pochlebiasz mi, traktując mnie tak poważnie.

- Mówiąc szczerze, miałam jeszcze jeden powód, żeby stanąć z tobą do konfrontacji.

- Jaki powód?

- Powodem tym - wtrąca Bill - byłem ja.

Kate nie przestaje być pod wrażeniem kłamstw tej kobiety, układających się w ogromną pajęczą sieć fałszu.

Przenosi wzrok na Billa.

- Domyślałam się, że przez cały wasz pobyt w Luksemburgu - mówi - uważałeś, że prowadzisz uczciwe śledztwo.

- Owszem.

- Ha! - Kate spogląda na Julię. - Brawo, Julio! Jesteś geniuszem.

- Dziękuję.

- Więc oboje uczestniczyliście w misji - ciągnie Kate - całkiem jawnej i autoryzowanej przez FBI, ścigaliście przestępcę, który ukradł ten pierwszy milion. Ty, Julio, stałaś na czele śledztwa, a ten przystojny błazen był twoim partnerem.

Julia kiwa głową.

- I zostaliście „wysłani” - zaznacza cudzysłów palcami - do Luksemburga jako małżeństwo. Pilnowaliście mojego nieszczęsnego męża, sprawdzając, ile pieniędzy wydaje, jakie prowadzi życie. Czy tak postępuje facet, który właśnie ukradł milion dolarów? Czy tak postępuje facet, który wie, jak ukraść dowolną kwotę, kiedy tylko zechce?

Kate kręci głową.

- Wynajmował skromne mieszkanie i ciasne pokoje w hotelach średniej klasy. Latał klasą turystyczną i codziennie chodził do biura. Jego żona sama codziennie myła w domu kible. Pojechał z nią do Esch-sur-Alzette, żeby kupić używane audi. Milionerzy nie jeżdżą do Esch, a przynajmniej nie po używane kombi.

Ciągle jeździli tym samym audi. Nie zdecydowali się na zakup nowego auta. A może doszli do wniosku, wcale o tym nie mówiąc, że stare audi w zupełności im wystarcza? To przecież tylko samochód.

- Doszliście do wniosku, że ten facet nie jest mistrzem oszustów, a jego rodzina nie jest zamożna. Mimo to musieliście mieć jakieś wyniki. Bo prędzej czy później musieliście wrócić do J. Edgar Hoover Building z raportem w rękę. Od tego zależała wasza kariera. Więc co zrobiliście?

Kelner przynosi kolejną karafkę wody, a Kate czeka, aż odejdzie paryskim chodnikiem w zapadającym zmierzchu. Zapalano światła. Tłum promenujący po tym carrefour w porze obiadu jest gęsty, niemal zbity, ale radosny. Czuje emanujący z tłumu błogostan, ulega mu, siedząc w tym przyjemnym miejscu z trojgiem rozsądnych ludzi, których w końcu rozgryzła. Podobnie jak całą tę historię, która z każdą chwilą wydaje się jej coraz bardziej intrygująca, choć przecież sama w niej uczestniczy. To nieprawdopodobnie wspaniałe oszustwo!

- Podziwiam cię, Bill - mówi Kate, nie czekając na odpowiedź. - Doskonale odegrałeś swoją rolę. Domyślałam się, że powierzono ci zadanie dotarcia do żony podejrzanego. Najpierw pokazałeś mi kiepską przykrywkę, która musiała wzbudzić moje podejrzenia: Chicago. Potem pozwoliłeś mi się dowiedzieć, kiedy będę mogła włamać się do twojego biura, oboje

wmanipulowaliście mnie w tego tenisa w środku dnia, prawda?

Julia podnosi kieliszek i upija maleńki łyk, delektując się kropelką wina. Delektując się otaczającą ją już aurą królowej pomysłowości.

- W tym domniemanym biurze Billa nie znalazłam niczego, co potwierdzałoby waszą tożsamość. A przecież tego rodzaju dowody nietrudno sfabrykować. Ale nie zrobiliście tego. Za to Bill zostawił broń praktycznie na wierzchu, obok prezerwatyw. Sfabrykowaliście fałszywe biuro, które miało wyglądać jak fałszywe biuro kogoś, kto udaje, że wykonuje jakiś zawód. Podaliście mi fałszywe miejsce, z którego się wzięliście, żebym wiedziała, że jest fałszywe, i udawaliście małżeństwo, żebym wiedziała, że je udajecie. Prowadziliście mnie za rękę do tych wszystkich kłamstw. Po co?

- Bo chciałam, żebyś je odkryła.

- No tak, ale dlaczego?

- Żebym mogła nadzorować, ile wiesz. Żebyś przekonała się, kim jesteśmy i co robimy. Żebyś wiedziała, że twój mąż jest winny, że ma pieniądze. Że można go aresztować i oskarżyć. Musiałam cię wciągnąć w to przestępstwo. Jego przestępstwo. W dodatku chciałam, żebyś do wszystkiego doszła sama.

Kate uśmiecha się ironicznie.

- Niezupełnie sama... - przyznaje Julia -...ale prawie.

Kate zerka raz po raz na metalową cukiernicę, gdzie przed godziną ukryła między kostkami cukru nadajnik Haydena. Jej część umowy.

- A kim był Lester? - pyta. - Twój fałszywy ojciec, który nie przyjechał z Nowego Meksyku.

- Les to nasz szef.

- Po co tu przyleciał?

- To było tuż po wielkiej kradzieży. Les chciał ujrzeć na własne oczy podejrzanego i jego żonę. Chciał się przekonać, jak wyglądają ludzie, którzy właśnie ukradli pięćdziesiąt milionów euro. Wypytywał żonę, gdzie się stołują w europejskich stolicach. W jakich hotelach mieszkają. Odpowiedź brzmiała: to mało prawdopodobne, aby ta para ukradła jakiegokolwiek pieniądze. Mimo to Dexter pozostawał nadal głównym podejrzanym. Jedynym podejrzanym, biorąc pod uwagę fakt, że był winny. Więc Lester dał nam jeszcze jeden miesiąc na zamknięcie śledztwa.

- I wtedy postanowiliście stanąć ze mną do konfrontacji.

- Owszem. Byłaś przecież kiedyś patriotką. - Julia uśmiecha się. - A poza tym mogliśmy pokazać ci dowody, że twój mąż ma romans z piękną młodą kobietą, z którą spędza czas w pięciogwiazdkowych szwajcarskich hotelach. Ty nigdy nie spałaś w pięciogwiazdkowym hotelu. Nie ma takich w Nikaragui, prawda?

- Nie ma.

- Stanęliśmy do konfrontacji, żeby przekonać się, co zrobisz, i zamknąć sprawę.

Kate pamięta tamten styczniowy dzień, rozmowę we trójkę na zimnej ławce w parku. Kiedy Julia podała złą kwotę - dwadzieścia pięć milionów. I wyraz twarzy Billa, który zastanawiał się, co to oznacza. Bo ukradziono, o czym wiedział, dwa razy tyle.

Bill wpatruje się w Kate tym samym pewnym siebie, niczym niespeszonym wzrokiem, jakim wpatrywał się w nią w nocnym klubie w Paryżu i przy Grand Rue w Luksemburgu. Wzrokiem, który mówił: „Wiesz, kim jestem” i rzucał wyzwanie: „I co z tym zrobisz?”.

Kate nie doceniła Billa. Bill poznał prawdę znacznie wcześniej, niż usłyszał o niej od Julii.

I znów domyśla się, że nie zwróciła uwagi na ważny kawałek puzzle'a. Całkiem spory kawałek. Na którym widać, jak Bill popełnia własny prywatny szwindel. Którego ofiarą jest Julia.

Dziś, 17:50

- Żartujesz. - Hayden uśmiechnął się lekko.

- Nie - odpowiedziała Kate. - Nie żartuję.

Zbliżała się szósta. U Georgesa pojawiali się pierwsi spragnieni po pracy i turyści z wczesnymi rezerwacjami na obiad. Jeden ze współpracowników Haydena dał kierownikowi sali dwadzieścia euro, żeby nie sadzał nikogo w pobliżu. Ale to nie mogło trwać wiecznie.

- A co chciałabyś robić? - zapytał Hayden.

- Znam dobrze hiszpański. Obecnie mówię też całkiem znośnie po francusku. Wiem to i owo o Europie. Umiem się zachować w ambasadach, konsulatach i organizacjach pozarządowych. I nie zapomniałam, jak się robi rzeczy, które należy zrobić.

- Ale nikogo tu nie znasz. Nie masz żadnych kontaktów.

Właśnie z tej przyczyny Julia nie mogła być dekoratorką wnętrz w Luksemburgu. Ale to wymówka na krótką metę. Kiepska racjonalizacja.

- Wiem, że znów zacznę od samego dołu. I prawdopodobnie tam zostanę, na samym dole, na zawsze.

Hayden odchylił się od stołu.

- Dlaczego chcesz to robić?

Kate potrzebowała dużo czasu, żeby przyznać przed sobą, że nie chce robić tego, co robiła. W Agencji. Że chce być pełnoetatową matką. Ale przez dwa ostatnie lata przekonała się, że popełniła błąd. Że wcale tego nie chce.

- Dzieci poszły do szkoły, nie mam co robić w ciągu dnia. Moje dni są puste, o ile jakoś ich nie wypełnię. Ale muszę wypełnić je czymś sensownym. Czymś, co nie jest ucieczką od nudy.

Wiedziała, że jeśli dostanie z powrotem tę pracę, nie będzie robiła już tego, co kiedyś. Już nigdy nie dadzą jej bronii. Nigdy się nie uzależniła od niebezpieczeństwa za każdymi drzwiami. Jeśli więc dostanie z powrotem tę pracę, będzie zupełnie inaczej. Ale lepsze to niż nic.

Z drugiej strony będzie pracować w cywilizowanych warunkach. A poza tym miała dużo pieniędzy i mieszkała w Paryżu, a synowie wyrosli już z pieluch, i zbliżyła się z mężem... bardzo. Chciała tylko odrobinę więcej.

- Kiedyś nie chciałam - mówiła dalej - żeby jakiś latynoski psychopata porwał mi synów. Nadal tego nie chcę, więc odpowiada mi cicha spokojna praca.

Hayden spojrzał na nią zaskoczony.

- A więc o to chodziło?

- Nie rozumiem?

- Torres groził twojej rodzinie?

Nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru się przyznać do popełnionego z zimną krwią morderstwa, popełnionego z premedytacją, do zabójstwa obcokrajowca na amerykańskiej ziemi.

- Jestem gotowa na kompromis - powiedziała, odsuwając od siebie dawną zbrodnię, wiedząc doskonale, że Hayden nie ma zamiaru wsadzać kija w mrowisko. - I przyszedłam po to, żeby zawrzeć umowę.

- Okay. Co masz mi do zaoferowania?

- Złodzieja, który ukradł pięćdziesiąt milionów.

- To interesujące.

- W zamian chcę tylko wrócić do pracy.

Skinął głową.

- Wspaniale.

- To dobrze - odpowiedziała.

Wyciągnął rękę przez stół, żeby ją uścisnęła.

- Ale - zawahała się - jest pewien problem...

Przestał się uśmiechać, opuścił rękę.

- Jaki?

- Chcę gwarancji nietykalności. Dla siebie. I dla męża.

- Gwarancji nietykalności? Za zastrzelenie Torresa? Proszę... Nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, żeby się tym zajmo...

- Nie o to chodzi.

- Mówisz o kolejnym morderstwie, o którym nie wiem?

- Co masz na myśli, mówiąc „kolejne”? - zapytała, nie zgadzając się, by wiązano ją z jakimkolwiek morderstwem. - Ale nie chodzi o żadne morderstwo. Mówię o czymś, co robi się w białych rękawiczkach. W pewnym sensie...

Uniósł brwi.

- Więc jak? Umowa stoi?

Hayden nie odpowiedział od razu, wpatrywał się w Kate, czekając, aż powie coś

jeszcze. W końcu doszedł do wniosku, że tego nie zrobi.

- Przykro mi, Kate. Nie.

Za godzinę miała być po drugiej stronie Sekwany na spotkaniu z Julią, Billem i Dexterem. Musiała być tam wcześniej, zanim tamci się pojawią. Zanim pojawi się jej mąż.

Spojrzała na miasto, na ulice rozchodzące się promieniście od muzeum, gmatwaninę dachów. Pogodziła się ostatecznie z myślą, że będzie musiała wyznać Haydenowi prawdę. Jeśli nie całą, to przynajmniej trochę więcej.

Zastanawia się, czy Hayden siedzi teraz w furgonetce za rogiem i słucha tej rozmowy. A może jest po drugiej stronie i przygląda się wszystkiemu. Kiedy się rozstawali dwie i pół godziny temu, nie wyraził się jasno na temat swojego udziału w wydarzeniach, które miały nastąpić. Hayden był mistrzem w wyrażaniu się niezbyt jasno.

- Więc na do widzenia - odzywa się Kate, zwracając się znów do Julii - stanęliśmy do konfrontacji. Która nic wam nie przyniosła. Gorzej, bo zerwaliśmy z wami wszelkie kontakty. Nie mieliście już dostępu do podejrzanych. Wasze śledztwo znalazło się w impasie, trwałym impasie. Gra dobiegła końca. I nagle całe miasto zwróciło się przeciw wam.

- Właśnie chciałam cię o to zapytać - wtrąca Julia. - Komu się poskarżyłaś i co im powiedziałaś?

- Poskarżyłam się Amber Mandelbaum. Żydowskiej supermamie z Południa i największej plotkarze. Powiedziałam jej, że Julia, moja najlepsza przyjaciółka, wpycha łapska w spodnie mojego męża. Wredna suka! Z oczywistych względów przestałyśmy być przyjaciółkami.

- Jasne.

- Więc wyjechaliście - ciągnie Kate. - W zasadzie nigdy nie mieliście przyjaciół, zresztą nie przyjechaliście do Luksemburga, żeby prowadzić normalne życie. Musiało ci ulżyć, Bill, że pozbyłeś się kochanki. Wyobrażam sobie, że Jane była wymagająca. Żądała coraz więcej...

Julia się krzywi.

- Choć technicznie rzecz biorąc, Jane nie była twoją kochanką, bo nie byliście prawdziwym małżeństwem.

Bill nie odpowiada.

- Tak czy inaczej, wróciliście do Waszyngtonu z pustymi rękami. Było wam przykro, było wam wstyd, musieliście przyznać, że się pomyliliście. Dexter Moore nie był złodziejem.

Sprawa z Interpolem zamknięta. Wpadliście w wir zajęć w Biurze, normalny młyn. Ale poświęciliście tyle czasu, sił i środków na spektakularną klęskę, że przestano traktować was jak gwiazdy. Prawda, Julio?

Julia milczy.

- Nikt się specjalnie nie zdziwił, kiedy postanowiliście odejść. Tym bardziej że wszyscy wiedzieli, że udając małżeństwo, przekroczyliście reguły profesjonalnego aktorstwa. Staliście się parą.

Bill zmienia pozycję na krześle. Dexter znów jest wstrząśnięty, co widać na jego twarzy. Julia opuszcza wzrok, przyznaje się. Dexter kręci głową z niedowierzaniem.

- Takie rzeczy zdarzają się nieustannie, prawda? - mówi dalej Kate. - Choć, pochlebiam sobie, że nigdy nie zachowałam się tak nieprofesjonalnie w pracy. Ale dosyć się napatrzyłam. Miałam wokół siebie mnóstwo flirtujących ze sobą oficerów operacyjnych.

Przerywa, zastanawia się, na ile może sobie jeszcze pozwolić i co jej to - jeśli w ogóle - przyniesie. Wie, że jedną z najbardziej niebezpiecznych, wręcz samobójczych przywar jest pycha, udowadnianie światu, jak bardzo jest się sprytnym. Wielu ludzi przez to zginęło.

Ale nie potrafi się powstrzymać.

- No dobrze, Julio, kiedy wciągnęłaś w to Billa?

- Jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie ma.

- Powiedziałaś mu, kiedy odeszłam... kiedy odeszliśmy z Biura.

Kate cofa się pamięcią do ostatnich kilkunastu miesięcy we Francji i dalej do Luksemburga, do zimy sprzed dwóch lat, zanim jeszcze odegrali z Dexterem przedstawienie do nadajnika FBI, do nocy, kiedy Dexter się oczyścił - przynajmniej częściowo - przed Kate.

- Od jak dawna jesteście razem?

- Od paru miesięcy.

Kate zerka na Billa, który milczy, który chce, żeby ktoś inny opowiedział o jego roli w całej tej historii. A raczej o tym, jak ją widziano.

- Po co mu powiedziałaś?

- Kocham go - odpowiada Julia. - Chcemy być razem. - Podnosi dłoń z pierścionkiem.
- Jesteśmy zaręczeni.

- To miło - mówi Kate z lekkim uśmiechem. - Gratuluję. Ale kiedy się do siebie... zbliżyliście?

- Co cię to obchodzi? - pyta Bill. Staje się czujny, maska spokoju zsuwa się z jego twarzy. Kate podejrzewa, że Bill wie, do czego zmierza i dlaczego.

- Jestem ciekawa. Usiłuję odmalować sobie cały obraz.

Bill wpatruje się w nią groźnie, zaciskając szczęki. Kate wie, że on wie, że ona wie.

- Pod koniec - odpowiada Julia. - Tuż przed wyjazdem z Luksemburga.

Kate przypomina sobie ławkę w Kirchbergu, na której doszło do konfrontacji z Billem i Julią.

- Więc nie byliście ze sobą w święta, w Alpach?

Julia parska krótkim śmiechem.

- Nie upiliście się w sylwestra i nie poszliście ze sobą do łóżka?

Kate nie zauważyła, kiedy prawa dłoń Billa zniknęła pod stołem, ale zniknęła.

- Nie.

Kate hamuje gwałtownie w myślach przy ławce, na której Julia dwa razy z rzędu powtórzyła o skradzionych dwudziestu pięciu milionach euro, a Bill, słysząc to, zrobił zdziwioną minę, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, żeby poprawić Julię, że chodzi o pięćdziesiąt milionów skradzionych euro, ale nie zrobił tego, zamknął usta, udając, że nie zwrócił uwagi na przejęzyczenie, choć doskonale je zapamiętał, choć męczyło go ono tak bardzo, że aż sprawdził w Waszyngtonie, ile naprawdę ukradziono Pułkownikowi, i potwierdził, że skradziono mu pięćdziesiąt milionów, dwa razy tyle, ile rzuciła Julia prosto w twarz Kate, co było dosyć dziwną sprawą, zbyt - można by rzec - schludnie połowicznym przejęzyczeniem, by uznać je za przypadkowe, a jeśli tak, to oznacza, że musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie tego językowego lapsusu, nad którym Bill mocno się głowił, i w końcu na nie wpadł, widząc wreszcie całą tę sytuację z lotu ptaka, przyglądając się jej w wolnych chwilach, pojmując w końcu, jak ogromne pieniądze wchodzą w grę, i postanawiając, że użyje wszystkich swoich atutów - wyglądu, uroku, umiejętności dochowywania sekretów, aż po grób - przeciwko jej, Julii, słabościom, przeciwko jej niepewności, samotności i rozpaczliwemu pragnieniu założenia rodziny w obliczu ponurej i nieubłaganej perspektywy braku kandydatów na męża.

- Więc może... - podpowiada Kate -...w Amsterdamie? - Opuszcza dłonie na uda i pochyla się, zmieniając pozycję. Potem odchyła się w zupełnie innej pozie, unosząc lewą dłoń z uda i kładąc ją na stole. Cały ten manewr ze zmianą ułożenia ciała miał na celu pozostawienie prawej ręki pod blatem, w torebce.

Bill także zmienia pozycję, choć mniej spektakularnie niż Kate, choć osiągając podobny cel.

Julia patrzy na nowego narzeczonego. Choć nie tak znowu nowego, bo wszystko wydarzyło się półtora roku temu, w styczniu. Półtora roku to dużo, jeśli jest się z kimś, kogo

się nie kocha. Ale kto wie, może Bill pokochał Julię, może do tego dorósł.

- No tak - mówi Kate. - Amsterdam, jak przypuszczam, to bardzo romantyczne miasto. Tyle w nim dziewczyn i trawki... - Wie, że to nie wydarzyło się w Amsterdamie. To wydarzyło się po ławce.

Przesuwa prawą dłoń w głąb torebki, wyczuwa palcami puderniczkę, przeciwsłoneczne okulary, gumę do żucia, notes i długopis, klucze i luźne kawałki papieru, sięga do samego dna torebki, tam gdzie leży najcięższa rzecz. Pod twardą przegródkę, którą otwiera.

Wszyscy wpatrują się w siebie, a Kate i Bill nie spuszczaają z siebie wzroku. Siedzą otoczeni przez tysiące ludzi w Carrefour de l'Odéon, zapada wrześnieowy zmrok, pogoda, światło i wino są idealne jak na fotografii. Europa, o jakiej się marzy.

Kate zamyka dłoń na kolbie beretty.

Prawa ręka Billa spoczywa pod stołem.

Kate odwraca się ku Julii. Nieszczęśliwej, samotnej kobiety do czasu pojawienia się tego mężczyzny. Teraz, we dwoje, są pozornie szczęśliwi. Twarz Julii promienieje, różowią się policzki.

Ale u podłoża tego wszystkiego, tego szczęścia, leży wielki fałsz. Nieczysty motyw. Ta kobieta popełniła mały błąd, pomyliła się co do kwoty. Wskutek czego ten mężczyzna zrekonstruował całą intrygę i zaplanował własną sieć intryg - uwiedzenie, romans, związek, oświadczyzny, całe długie życie razem - którą oplótł kobietę. Wykorzystał jej kłamstwo.

Ale czy ich związek jest przez to mniej rzeczywisty? Czy to wyklucza prawdziwą miłość, to, że się kochają?

Spogląda na Billa, widzi nieugiętość, determinację. Do czego się posunie, by chronić własną tajemnicę?

Kate i Bill celują do siebie z pistoletów pod marmurowym blatem stołu. Czy jest gotów ją zabić? Czy wystrzeli w samym środku Paryża i trafi ją w brzuch? Czy chce zostać do końca życia zbiegiem? Czy zmarnuje sobie życie - całkiem nowe, świeżo wyprodukowane - tylko po to, by Kate nie powiedziała Julii prawdy?

Prawdy o tym, że odkrył, co uknuła partnerka razem z podejrzanym. A on, zamiast pójść na konfrontację, zamiast ją wydać, przyłączył się do szwindlu. Udając, że nie wie, co się dzieje; udając, że się zakochał; udając wreszcie szok, gdy Julia wyjawiała mu prawdę.

Kate znów zerka na Julię, tę dziwną kobietę, tak błyskotliwą pod wieloma względami, a jednocześnie niepotrafiącą - albo niechcąca - ujrzeć czegoś, co dokonało się pod jej nosem.

Ale kto wie? Może Julia przejrzała Billa i zna prawdę? Może ją znała, zanim prawda

stała się prawdą? Może tamto przejęzyczenie nie było wcale pomyłką? Może specjalnie się pomyliła, podpowiadając Billowi trop, chcąc, żeby ją dopadł, uwiódł i poślubił. Może to także uknuła razem z tym całym skomplikowanym, wieloletnim szwindlem?

I może Dexter nie zostawił tableau na półce przez zaniedbanie?

Myśli wirują w głowie Kate, a jej oczy przesuwają się od jednej twarzy do drugiej i od jednego przedmiotu leżącego lub stojącego na stole do drugiego. W końcu zatrzymują się na kieliszku z winem stojącym przed Julią. Upiła bardzo niewiele, nie więcej niż łyk trunku. A siedzą przy tym stole już półtorej godziny i kończą drugą butelkę. Ale Julia wypiła tylko parę łyków. Kobieta, która sama wypijała butelkę do lunchu, poi się teraz wodą.

Przytyła z pięć kilogramów, może nawet dziesięć. Jej twarz się rumieni, promienieje.

- O Chryste - mamrocze Kate. - Jesteś w ciąży!

Julia czerwieni się jeszcze bardziej. Jest w ciąży, choć przed dwoma laty mówiła, że nie może mieć dzieci. Kolejne kłamstwo.

Ciąża. To zmienia wszystko.

Kate i Hayden siedzieli pod lśniącym niebem, małe białe obłoczki przełamywały monotonię błękitu, podświetloną od dołu złocistymi promieniami zachodzącego słońca. Malarska perspektywa, światło jak z Vermeera.

Kate nie potrafiła docenić jakości północnoeuropejskiego malarstwa, dopóki nie zamieszkała w północnej Europie. Póki nie zdała sobie sprawy, że malarskie niebo nie jest czymś wynalazkiem, chimerycznym zniekształceniem rzeczywistości, ale dokładnym odwzorowaniem unikalnego nieboskłonu. W Bridgeport w stanie Connecticut i Waszyngtonie w Dystrykcie Kolumbii czy w Mexico City w Distrito Federal oraz w każdym innym mieście na zachodniej półkuli niebo wyglądało inaczej. Doskonale o tym wiedziała, bo często się w nie gapiała.

- Musisz mi powiedzieć - mruknął Hayden - czego konkretnie ma dotyczyć gwarancja nietykalności.

Impas trwał. Ale Kate wiedziała, że jej propozycja była czystym blefem, a jego nie. Musi się poddać. Bo wreszcie miała pewność, czego chce, czego jej trzeba, a tylko Hayden mógł jej to dać. Sam niczego od niej nie potrzebował.

A poza tym bardzo się jej spieszyło. Musi to teraz zamknąć i wrócić na lewy brzeg Sekwany.

- Chodzi o udział w kradzieży - powiedziała. - Pięćdziesięciu milionów.

Hayden podniósł kieliszek, napił się wody, odstawił kieliszek na stół i znów wbił wzrok w Kate.

- Pomyśl o tym w taki sposób... - ciągnęła -...że brałam udział w operacji, jaką mogłaby prowadzić Firma. Ten Pułkownik był wrzodem na tej ziemi. Nie tylko wrzodem, ale i siłą destabilizującą, nieodpowiedzialnym maniakiem sprzedającym broń ludziom, którzy mogli ją wymierzyć, jeśli jeszcze tego nie zrobili, przeciwko Amerykanom, nawet w Ameryce.

Twarz Haydena nie wyrażała niczego.

- Więc my... nie ja, zauważ, ale my... pozbyliśmy się Pułkownika. A jego pieniądze nie trafiły do rąk takich ludzi jak on. A poza tym mam dla ciebie bonus, który powinien cię przekonać.

- Jaki?

- Współwinnym, drugą zamieszana w to osobą, jest, wyobraź sobie, agent FBI.

Roześmiał się, krótko, gardłowo, a potem parsknął. Uznał, że to zabawne.

- A co z forszą?

- Oddamy ją - odpowiedziała bez zastanowienia. - To znaczy, nie temu, który poniósł szkodę. Oddamy ją... powiedzmy... tobie. Choć, trzeba ci wiedzieć, że nie mamy wszystkiego.

Hayden spojrział gdzieś w bok, na współpracowników siedzących na dachu, podwładnych w drugim końcu restauracji. Potem znów wbił wzrok w Kate.

- Więc co? - zapytała. - Umowa stoi?

- Gratuluję - mówi Kate. - Kiedy rozwiązanie?

- Jestem dopiero... Jeszcze nie minął czwarty miesiąc.

- To cudownie - rzuca Kate. Odwraca się do Billa. - Gratuluję.

Ciągle trzyma rękę pod stołem, gotów chronić eleganckiego opakowania wielkiego steku kłamstw Julii. Rzykuje bardzo wiele: może stracić nie tylko dwadzieścia pięć milionów euro, ale i żonę, i dziecko. Całe życie.

Kate odpuści to sobie. Nic nie powie o jego dwulicowości. Nigdy.

Wsuwa beretkę z powrotem pod przegródkę w torebce. Wyjmuje dłoń, sięga przez stół i kładzie ją na dłoni Julii, czując na skórze ostre krawędzie zaręczynowego diamentu, we wnętrzu własnej dłoni. Dotyka kciukiem skóry Julii.

Bill kiwa głową do Kate, opuszcza powieki, wyraża zapewne wdzięczność. Zmienia pozycję, podnosi rękę, sięga po kieliszek.

Kate nie chce, żeby ta kobieta rodziła w więzieniu. Nie chce być odpowiedzialna za tragedię nienarodzonego dziecka. Nie chce pogarszać tej sytuacji.

Jest już odpowiedzialna za coś równie złego.

Nie, to, co zrobiła, było znacznie gorsze.

Na Park Avenue zatrąbiła taksówka, zapiszczały hydrauliczne hamulce tira. Przez cienkie firanki wiszące za aksamitnymi zasłonami sączyło się poranne światło, w jego promieniach fruwały kłęбки kurzu. Na hotelowym wózku leżała taca, a na niej niedojedzony tost, napoczęte do połowy jajko, cienkie kawałki bekonu, łyżka tłuczonych ziemniaków. Srebrny dzbanek z kawą i porcelanowa filiżanka stały na stole, pokój wypełniał aromatyczny zapach kawy, dzbanek lśnił w słońcu.

Z głowy i piersi Torresa wypływała krew i wsiąkała w dywan.

Dziecko znów zapłakało.

Kate przyswoiła sobie w ułamku sekundy olbrzymią ilość informacji. Wiedziała przedtem o żonie Torresa, o tej, która zmarła przed kilkoma laty na skutek komplikacji po rutynowym zabiegu. To były nieaktualne informacje.

Nie miała informacji o nowej kobiecie i dziecku. Choć przygotowała się starannie do tej misji: sprawdziła, w jakim hotelu i w którym pokoju mieszkał Torres, ilu ma ochroniarzy i gdzie oraz kiedy pełnią służbę. Zaplanowała też parę rzeczy: jak dostać się z Waszyngtonu do Nowego Jorku, nie zwracając na siebie uwagi, jak poruszać się między stacjami i celami, gdzie pozbyć się broni, jak opuścić hotel.

Ale była leniwa, działała nieudolnie i niecierpliwie. Nie przygotowała się do końca, nie sprawdziła wszystkiego dwa razy. Nie dowiedziała się wszystkiego, co powinna była wiedzieć.

Więc spotkała ją niespodzianka: młoda kobieta stojąca w drzwiach sypialni w hotelowym apartamencie Waldorf-Astoria, odwracająca głowę ku płaczącemu dziecku, niemogąca nawet w takiej chwili pokonać macierzyńskiego instynktu opieki nad niemowlęciem. Niemająca pojęcia o tym, że zrywając kontakt wzrokowy z Kate, zrywając ludzką więź, jaka się między nimi wytworzyła, zezwala Kate na popełnienie najgorszego czynu, jakiego ta się dopuściła.

To była jej, Kate, wina. Nie zaplanowała misji z należytą starannością. I właśnie dlatego wejdzie jutro do biura przełożonego i złoży rezygnację.

W sąsiednim pokoju dziecko płakało coraz głośniej. Kate pociągnęła za spust.

Kate zerka na cukiernicę, zastanawia się nad ukrytym w niej mikrofonem. Zaledwie parę godzin temu była o dwa kilometry stąd na północ, na drugim brzegu rzeki, dobijając targu z Haydenem. A teraz siedzi tutaj i musi dotrzymać umowy.

Choć umowa nie mówiła o tym, że tych dwoje musi trafić za kraty, a Kate powinna ich aresztować. Zadanie Kate polega na tym, by przyznali się do wszystkiego, co niemal dobiegło końca. Jutro przeleje dwadzieścia cztery miliony euro na tajne konto tajnych operacji w Europie. Które będzie prowadziła sama.

- Czy Dexter musi ci coś dać, żebyś mogła odebrać swoją połowę?

Julia kiwa głową. Ale kiwnięcie głową to za mało.

- Co? - pyta Kate.

- Potrzebny mi jest numer konta. Mam identyfikator i hasło, ale nie znam numeru konta.

Dexter również kiwa głową. Wreszcie nadeszła pora. Sięga do kieszeni marynarki, wyjmując kawałek papieru, ale Kate chwyta go za nadgarstek.

Patrzy na nią ze zdziwieniem. Wszyscy są zdziwieni, nie wiedzą, co się dzieje. Nawet Kate, która nie pojmuje siły swojego odruchu. Pragnienia, by jej wybaczone. Pragnienia, któremu nie może się oprzeć. Wie, że to z powodu ciąży Julii, która zamieniła tę podstępna wyrachowaną sukę w zasługującą na sympatię bohaterkę powieści, ot tak. Kate jest teraz po stronie Julii, a nie przeciw niej. Przynajmniej w tym jednym.

Trzyma lewą ręką męża za nadgarstek. Dexter trzyma zwitek papieru w zamkniętej dłoni. Prawą ręką Kate sięga po cukiernicę, wysypuje jej zawartość na blat. Podnosi nadajnik kciukiem i palcem wskazującym, pokazuje go wszystkim. Wszyscy unoszą brwi.

Kate wrzuca nadajnik do kieliszka z winem.

- Macie jedną minutę - mówi. - Może dwie.

Julia przesuwa wzrok między nadajnikiem w kieliszku a zamkniętą dłońią Dextera z numerem konta. Kate ostrożnie przewraca kieliszek, rozlewając wino, tworząc powód, dla którego nadajnik przestał nagle działać.

- Nie dostaniecie pieniędzy - mówi Kate. Ciemnoczerwona plama wina rozlewa się po obrusie, nici tkaniny nasiąkają czerwienią z dala od kałuży. Znów ten sam wzór. - Ale jeśli się postaracie, nikt was nie złapie.

Julia i Bill wstają szybko, choć nie w panice, by nie zwracać na siebie uwagi.

- Przejdźcie przez hotelowe lobby - instruuje Kate. - Zejdźcie na dół. Wyjdziecie

tylnym wyjściem na boczną ulicę.

Julia zarzuca torbę na ramię. Wpatruje się w Kate, a na jej obliczu malują się trudne do odgadnięcia uczucia. Bill chwyta ją za łokieć, stawia pierwszy krok, odchodząc od stołu, od Moore'ów, od pieniędzy.

- Powodzenia - rzuca Kate.

Julia odwraca się od Kate i Dextera. Uśmiecha się lekko, mrużąc oczy. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale milczy. Odwraca się na dobre.

Kate patrzy za nimi, widzi, jak wtapiają się w gęsty tłum wokół Carrefour de l'Odéon, gdzie palą się wszystkie światła. Mały czerwony fiacik trąbi na seledynową vespę, która przemyka między samochodami. Policjant nie zwraca na to uwagi, nie przestając flirtować z ładną dziewczyną. Nad stolami wypełnionymi kieliszkami z winem, dzbankami i karafkami, paterami z szynką i foie-gras terrine, oraz koszykami z chrupiącymi bagietkami leżącymi na serwetkach, unosi się papierosowy dym. Kobiety w szalach na szyjach i mężczyźni w sportowych marynarkach wybuchają raz po raz gromkim śmiechem, podają sobie ręce, całują się w policzki, mówią „cześć” i machają na do widzenia. W Mieście Światła, w którym znika bez śladu dwoje amerykańskich ekspatów, powoli zapada noc.

Podziękowania

Wyrażam wdzięczność bohaterским czytelnikom wcześniejszych, znacznie gorszych wersji tej powieści. Są to: Adam Sachs, Amy Scheibe, Jamaica Kincaid, Jane Friesen i Sonny Mehta.

Dziękuję agentowi Davidowi Gernertowi i jego współpracownikom: Rebecce Gardner i Sarah Burnes.

Podziękowania dla wydawców z Crown: Molly Stern i Mai Mavjee, dla redaktora Zachary'ego Wagmana, redaktora technicznego Terry'ego Deala i wszystkich innych w Nowym Jorku, którzy pomagali mi w przekształceniu wydruku w książkę.

Dla redaktora Angusa Cargilla z Faber and Faber w Londynie oraz dla dyrektor do spraw wydawniczych Hannah Griffiths i wydawcy Stephen'a Page'a.

Dla Michaela Rudella i Jeffrey'a Duplera za pomoc prawną; dla Sylvie Rabineau za pomoc w kwestiach filmowych; dla Layli Demay za pomoc we francuskim; oraz dla Amy Williams za pomoc przy pisaniu.

Dla pań z Luksemburga: Becky Neal, Bindy Haines, Christiny Kampe, Cory Demeneix, Cristiny Bjorn, Jules Brown i Mandip Sumbly.

Dla Kevina Mitnicka, autora fascynującej książki *The Art of Intrusion*, która była moim podstawowym źródłem informacji o pracy hakera komputerowego. Zaznaczam jednak, że cyberkradzież opisana w niniejszej powieści jest całkowicie fikcyjna, a jej szczegóły zostały wymyślone. Podobnie jak logistyka pracy i kończenia pracy w Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Dla personelu Soho House w Nowym Jorku i Coffee Lounge w Luksemburgu, który traktował mnie uprzejmie, gdy siedziałem nad tą książką.

I dla mojej pięknej żony Madeline McIntosh, najmądrzejszej osoby, jaką znam.

[1] Amerykański program ubezpieczenia społecznego, zapewniający ubezpieczenie zdrowotne osobom powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).[2] William Szekspir, *Makbet*, przekład Józef Paszkowski.[3] Ibidem.[4] Amerykański morderca, który 1 sierpnia 1966 roku zastrzelił w Austin w Teksasie 14 osób, raniąc przy tym 38 kolejnych.[5] Szlak turystyczny w Bawarii i Badenii-Wirtembergii między Würzburgiem a Füssen.[6] Powieść Johna Kennedy'ego Toole'a.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Preludium

CZEŚĆ I

1

2

3

Dziś, 10:54

4

5

6

Dziś, 11:02

7

8

Dziś, 11:09

9

10

Dziś, 11:40

11

12

CZEŚĆ II

Dziś, 12:02

13

14

15

16

17

18

19

Dziś, 12:41

20

21

CZEŚĆ III

Dziś, 12:49

22

23

Dziś, 13:01

24

25

Dziś, 16:57

26

27

Dziś, 19:03

28

29

30

31

32

33

34

Podziękowania

Przypisy

Wydawca